

Psychologiczny thriller
oparty na autentycznych wydarzeniach z życia autorki

CLARA
SALAMAN

ŁÓDŹ



CLARA
SALAMAN

ŁÓDŹ

przełożył
Andrzej Leszczyński



Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

ZATOPIENIE

1 POCZĄTEK

2 MIESIĄC MIODOWY

3 MAŁA UTOPIA

4 OSTRO NA WIATR

5 ŚLADEM ZDARZEŃ

6 CHOROBA NA MORZU

7 URODZINY

8 RZECZY NIEPROSZONE

9 ODJAZD

10 GASNĄ ŚWIATŁA

11 STRATA

12 ZAKOŃCZENIE

TONIĘCIE

EPILOG

Paulowi.

I Davidowi Sandersowi RIP

ZATOPIENIE

Do sprawy samobójstwa Johnny podszedł z niezwykłą przytomnością umysłu. Kiedy uznał, że jest już sam na sam z morzem, a łódź została tak daleko, że nawet ptaki spadają na pokład martwe z wycieńczenia, puścił rumpel i pozwolił, żeby jacht sam się ustawił do wiatru. Gdy wyruszał w morze, oświetlone blaskiem wschodzącego słońca czerwone grzywy fal nie wróżyły niczego dobrego. Żagle zaciekle łopotały mu nad głową, lecz on nawet tego nie słyszał. Po dłuższej chwili odwrócił się i popatrzył na wydęte płótna oczyma, które już wyglądały jak martwe, błyszcząły mętną zielenią na tle spalonej słońcem twarzy, co sprawiało, że wyglądał zdecydowanie starszej niż na swoje dwadzieścia jeden lat.

Opatulony genuą wstał, odblokował szot i wyszedł na pokład. Zaczął mozolnie zrzucać i składać ciężki grot, metodycznie zawiązując wszystkie linki i wprawnie utrzymując równowagę na rozkołysanej łodzi, podczas gdy otaczająca go mroczna otchłań zdawała się zalotnie puszczać do niego oko. Kiedy starannie związał żagiel po raz ostatni, wrócił na dół do kabiny i zniknął pod pokładem.

W kabinie panował straszny bałagan, wszędzie walały się ubrania, które ledwie sobie przypominał. Kubki i szklanki, puste kartoniki i plastikowe opakowania – pozostałości po różnych osobach żyjących na tej łodzi. Aż sam się nie mógł nadziwić, że wcześniej nie zwrócił uwagi na ten bałagan. W płycie pilśniowej między salonem a kambuzem było dość duże wgniecenie, które ledwie pamiętał. Ruszył przed siebie, zbierając całe naręczą śmieci i upychając je do wielkich, czarnych, plastikowych worków, które na końcu wsadził do szafek pod fotelami w salonie. Następnie opróżnił półki i powkładał książki oraz pozostałe rupiecie do swojego zniszczonego śpiwora, który schował w szafce.

Jedynym przedmiotem na pokładzie godnym podziwu był mosiężny sekstans. Podniósł go i obrócił w palcach, spoglądając jak na relikw podobny do niego samego. Później przeszedł do sterówki, stanął przy kole sterowym i zapatrzył się na wschodzące słońce, które zdawało się wisieć niepewnie nad linią horyzontu... Na tę zuchwałą różową kulę wędrującą obojętnie po orbicie. Cisnął sekstans w morze najdalej, jak tylko potrafił, przyglądając się czerwonym rozbłyskom obracającego się w powietrzu mosiądzu. Nie czekał, aż przyrząd spadnie do wody, tylko zawrócił do saloniku, chcąc jak najszybciej uporać się z tym, co było jeszcze do zrobienia.

Kiedy już wszystko sprzątnął, poupychał rondle i patelnie do szuflad w kambuzie, a ubrania do szafki w salonie, kątem oka złowił swoje odbicie w lustrze w łazience i zdziwił go ten widok. Miał na sobie czarny garnitur i muszkę, jakby dopiero co wyszedł z jakiegoś przyjęcia. Marynarka i spodnie luźno zwisały na jego wychudzonej sylwetce, ale były tak samo dobre, żeby w nich umrzeć, jak każde inne ubranie. Zrzucił z nóg adidas i ruszył przez kambuz, oddychając głęboko i przyglądając się smudze słonecznego blasku u wejścia do kabiny. Jak zwykle odruchowo balansował kołysanie łodzi, przenosił ciężar ciała z pięt

na palce stóp, jak gdyby intuicyjnie wyczuwając rytm falowania morza, przez co mięśnie reagowały o ułamek sekundy wcześniej od uderzenia fal. Tylko oczy pozostawały nieruchome, jakby wpatrzone poza horyzont.

Najpierw ręka jakby sama z siebie sięgnęła do szuflady w kambuzie. Wysunął ją i wyjął duży kuchenny nóż, który służył do różnych celów, a teraz miał do spełnienia jeszcze jedną ważną funkcję. Musiał być jednak bardzo ostry. Johnny usiadł więc na schodkach kambuza i poświęcił kilka cennych minut na jego naostrzenie, przyglądając się, jak słońce odbija się w błyszczącej stali.

Potem zrobił sobie jeszcze krótką przerwę przed pójściem przez salon do kingstonu. Osunął się na kolana przed toaletą i jak w modlitwie zwiesił nisko głowę, pogardzając swoją słabością, od której dygotał na całym ciele. Wziął głęboki oddech, uniósł nóż i szybkim ruchem przeciął obie rury, wlotową i wylotową, i parzył tępo na wlewającą się do środka wodę. Teraz nie było już odwrotu. Wstając powoli ze wzrokiem utkwionym w dwa wlewające się strumienie, poczuł chłód wody omywającej mu stopy. Morze zaczęło się przelewać po podłodze w rytm kołysania jachtu na falach. Patrzył zahipnotyzowany, jak poziom wody stopniowo się podnosi, sięga mu do kostek, przelewa się przez próg i zaczyna zalewać salon. Brnąc, zawrócił na schody zejściówki i z obojętnością i fascynacją patrzył na przelewającą się z boku na bok falę, wypełniającą każdą szczelinę, posuwającą się szybko ciemną smugą po pstrokatym dywanie i pochłaniającą wszystko na swej drodze. Woda dosięgła już nóg stołu i w ciszy kontynuowała swą podróż ku górze. Przyglądał się temu jak urzeczony, czując na karku palące promienie słońca. Dobrze wiedział, co będzie dalej. On także miał zostać wkrótce zatopiony.

Kiedy woda sięgnęła mu do kolan, wstał. Wszystko, co mogło pływać, unosiło się na powierzchni. Szczotka z toalety ze stukiem obijała się o brązowe szafki. Z forpiku wypłynęła mała czarna opaska na rękę. Zapatrzył się na plastikową przezroczystą linijkę z kolorowymi delfinami, która podskakiwała wesoło nad stołem mapowym. Wszedł do kokpitu i wyjrzał na puste morze. Ze wszystkich stron otaczała go pustka. Zapatrzył się w rozmyty błękit poranka, świadomy pulsowania w całym ciele, wywołanego coraz szybszym biciem serca. Uznał to za ironię losu, że w takiej chwili czuje w sobie więcej życia niż przez ostatnie dni, jak gdyby to życie chciało teraz o sobie przypomnieć z czystej złośliwości. Gdyby tylko mógł zapłakać, pewnie by to zrobił, ale zabrakło mu już łez, i oczy pozostały suche.

Wkrótce różne śmieci zaczęły wpływać do kokpitu, a woda w kajucie powoli, lecz wyraźnie zanurzała rufę jachtu. Johnny wszedł na pawęż i ześliznął się do wody, której chłód wżerający się w skórę na krótko pozbawił go oddechu. Powinien był się na to przygotować. Kilkom energicznymi ruchami nóg oddalił się od łodzi. Nie chciał iść pod wodę razem z nią i jej odpychającym ładunkiem. Obrócił się, żeby popatrzeć, jak tonie, i poczuł, że nasiąknięte wodą ubranie przywiera do całego ciała i ciągnie go w głąbinę. Spostrzegł na rufie miejsce, gdzie kiedyś była nazwa, której zamalowanie uważał teraz za próżny gest, jakby kiedykolwiek istniała możliwość wymazania z pamięci wykonanego szerokimi zawijasami napisu: „Mała Utopia”. Nagle część rufowa przeważyla wypełniony jeszcze powietrzem dziób, dźwigając go w górę. Czubek masztu zaczął się obniżać ku

powierzchni niczym oskarżycielski palec wymierzony w niego. Unosił się obok na wodzie i gdy jacht zaczął na dobre tonąć, zanurzył głowę, czując, jak zimne morze siłą wdziera mu się do uszu i oczu. Pod wodą otworzył oczy. Była tam, jak gdyby wpółzawieszona w odmętach, dnem do góry, nieco przechylona na prawą burtę. Kiedy wypłynął, żeby zaczerpnąć powietrza, wydała mu się pełna wdzięku w tej chwili śmierci, z wciąż uniesionym ku górze dziobem, jakby w ostatnim zrywie przed upadkiem. I nagle zaczęła się znów zanurzać, szybko i bezgłośnie znikając pod powierzchnią.

Pozostał po niej tylko krąg bąbelków powietrza i uczucie mrowienia w nogach. Wziął jeszcze jeden głęboki wdech, zanurzył głowę pod wodę i patrzył, jak szybko idzie na dno, niczym kamień, kołysząc się lekko na boki w tym ostatnim śmiertelnym tańcu. Spoglądał na nią, dopóki nie został po niej tylko cień, a granatowa toń nie utuliła jej w wiecznym mroku, w którym już nic nie mógł dojrzeć. Wynurzył się ponownie, zaczerpnął powietrza i popatrzył na powierzchnię morza, na której lekko spieniony krąg znać miejsce zatonięcia. Po chwili rozpękły się tam jeszcze dwa duże bąble powietrza przypominające ostatnie tchnienie z głębin i nastał spokój – Johnny został sam ze świadomością, że będzie następny.

Słyszał świst, z jakim powietrze wyrywało się z jego płuc, w miarę jak fale unosiły go i opuszczały niczym kawałek dryfującego śmiecia. Przyszło mu do głowy, że powinien był jednak zaopatrzyć się w jakiś balast, przywiązać się do masztu albo przypiąć pasem do koi, ale sam pomysł związania się na wieki z zatopioną łodzią sprawił, że ucieszył się, że mimo wszystko tego nie zrobił. Nie wytrzyma tu długo, co do tego nie miał wątpliwości. Wziął cały zapas aspiryny, który znalazł w apteczce. Wkrótce powinien ulec wszechogarniającej senności. Zamknął więc oczy, odchylił głowę i wystawił całe ciało na pastwę niebios.

Nie odczuwał już zimna. Ciało stało się jakby nieważkie. Unosząc się tak na powierzchni, odnosił wrażenie, że woda jest jego sprzymierzeńcem; omywała go jak balsam i wypychała ku górze. Pozwolił unosić się fali niczym żółw dryfujący na powierzchni, rozłożywszy szeroko ręce i nogi, których nie potrafił już odróżnić od samej wody – o tej samej temperaturze, tak samo pozbawione kształtu – zlewały się ze sobą. Słońce zdawało się tak samo ciepłe, jak jego ciało, zniknęły wręcz wszelkie granice oddzielające go od otoczenia. Jedynym wyjątkiem pozostała ona.

Musiał przysnąć, bo gdy znowu otworzył oczy, słońce stało trochę niżej na niebie, a on całkiem zapomniał, że topi się w Morzu Śródziemnym. Zdawało mu się przez chwilę, że leży na piaszczystej wydmie albo w ogrodzie na tyłach domu, gdzie rześki wiatr wybudza go z drzemki. Zapatrzył się w błękit nieba, jakby chciał ujrzeć czyhającą za nim czarną otchłań. Tysiące metrów nad sobą dostrzegł biały ślad zostawiony przez samolot. Pomyślał o podróżujących nim ludziach, suchych i bezpiecznych, zajętych swoimi sprawami, otwierających torebki, ustawiających zagłówki, przeglądających gazety, chrapiących, z głowami pełnymi wrażeń ze spotkań, żyjących własnym życiem, nieświadomych jego istnienia daleko w dole. Ślad samolotu aż nazbyt szybko rozwiął się w powietrzu i w piersi Johnny'ego zrodziło się straszliwe, nieznośne poczucie osamotnienia.

Próbował się skupić wyłącznie na przyjemnych odczuciach, na jedności, na braku wrażenia odmienności, które miał jakiś czas temu, tyle że przyjemne odczucia już

przeminięły, ustępując miejsca wypełnionej strachem pustce. Jego ciało utraciło wcześniejszą lekkość, a przesiąknięte wodą ubranie ciągnęło go w dół. Żywioły stały się wrogie, fale zalewały mu twarz, przez co krztusił się i kasłał, a chłód wody przenikał i paraliżował ciało, nawet chmury od czasu do czasu zasłaniające słońce wykradały mu resztki ciepła. Słońce także się szykowało, aby go porzucić, spoglądał, jak kołysze się tuż nad krawędzią świata na podobieństwo wielkiej pomarańczowej piłki. Uniósł głowę i ze szczytu fal zaczął lustrować horyzont, ale ze wszystkich stron otaczała go pustka. Nie było nikogo ani niczego, co mogłoby towarzyszyć jego śmierci. A wkrótce miało się ściemnić. Nie wiadomo skąd pojawiła się panika, uznał jednak, że coś tak drobnego i mało znaczącego mogłoby przerazić tylko człowieka, który nie chce umrzeć. Ale nie przewidział, że tak to będzie wyglądało; myślał, że utonięcie oznacza szybki koniec. Pojął jednak, że nie zasłużył na luksus łatwej i szybkiej śmierci. Powinien był się przywiązać do masztu, żeby razem z łodzią spocząć na dnie, gdzie było jego miejsce.

Spojrzał w dół, na swoje dłonie połyskujące zielonkawo pod powierzchnią wody. Drapało go w gardle i napuchły mu wargi. Niewielki ból doskwierał w boku. Chciało mu się sikać, ale nie był w stanie tego zrobić. Żołądek zacisnął mu się w supeł. W końcu poczuł ciepły strumyk moczu spływający mu po udach i dopiero gdy skończył, uświadomił sobie, jak straszliwie zmarzł. Niebo na wschodzie zaczynało ciemnieć, zrywał się wiatr, na rozkołysanym morzu pojawiły się białe grzywy.

Nagle jego wzrok przykuło coś, co wydało mu się szarym kadłubem frachtowca na horyzoncie. Instynktownie zaczął młócić wodę rękami i nogami, ale wkrótce przestał. Cóż to ma za znaczenie, czym jest ten podłużny przedmiot. Cokolwiek to było, znajdowało się w takim samym położeniu co on – dryfowało na wodzie. To nie był statek przepływający w oddali, lecz odbijacz – dobrze mu znany biały odbijacz. Musiał wypłynąć z głębin, uwolnić się od zatopionego jachtu. Zatem nie był sam, miał coś, co razem z nim dryfowało w tej bezkresnej toni.

Ledwie mógł już poruszać rękami i nogami, ponieważ od przesywającego zimna stały się ciężkie i bezużyteczne, unosiły się na wodzie niczym kawałki drewna. Dysząc ciężko i wypluwając wodę, patrzył na zbliżający się do niego odbijacz, oddalony już zaledwie o kilka metrów. Tym razem nie zdołał się powstrzymać, uniósł rękę, chwycił go, przyciągnął do siebie. Oparł głowę o jego szorstką, twardą powierzchnię i wpatrywał się w jego liczne zadrapania i plamy, zastanawiając się, czy ułatwi on, czy też utrudni mu śmierć.

Coś miękkiego musnęło jego łydkę. Obejrzał się i zobaczył dryfującą linkę odbijacza. Przyciągnął ją zeszywniałymi palcami. Zaplątał się w nią jakiś ciężki kawałek materiału. Kiedy wy dostał go na powierzchnię, z gardła mimowolnie wyrwał mu się piskliwy charkot, a serce nagle забиło mocniej, na krótko napełniając życiem odrętwiałe ciało. To była jej mata modlitewna. Pociemniała i przesiąknięta wodą, ale nie miał jednak wątpliwości, że to jej mała mata modlitewna. Jak gdyby wrócił do niego jej drobny fragment. Ona uznałaby to za znak.

Palcami zeszywniałymi jak metalowe pręty z trudem próbował wyplatać matę ze zwojów linki. Bardziej przydały się zęby, łatwiej mu było chwycić nimi linkę i przeciągnąć centymetr po centymetrze przez supły i ostatecznie uwolnić dywanik. Wyciągnął go z wody

i zarzucił na odbijacz. Następnie owinął linkę wokół siebie, niezgrabnie przekładając ją z jednej ręki do drugiej. Uniósł koniec linki, żeby przeciągnąć ją przez żelazne ucho na końcu odbijacza. Jakimś cudem mu się to udało i wybrał luz, ale było już całkiem ciemno, zanim zdołał zawiązać dwa półszytyki utrzymujące go przy odbijaczu. A chwilę po tym jego ciało zaczęło się trząść spazmatycznie.

Tata poprosił Johnny'ego, żeby razem z Robem przypilnowali dziewczynek na plaży, bo sam musi jechać do sklepu w Padstow. Chłopak chciał rzetelnie wywiązać się z braterskich obowiązków, ale Rob kupił trochę trawy od ratownika, siedzieli więc na piaszczystej wydmie i zaprawiali się w słońcu. Parę godzin wcześniej stracili dziewczynki z oczu. Kiedy Johnny widział je po raz ostatni, dokazywały w wypełnionych wodą zagłębieniach skał, zajmowały się tym, czym zazwyczaj zajmują się jedenastolatki.

Johnny leżał więc na rozgrzanym piasku, przesiewał go przez palce i obracał w dłoni kawałek fajansowego talerza oszlifowanego przez fale na kształt idealnego serduszka, wystawiał plecy na słoneczny żar i porównywał z Robem trimarany z katamaranami, kiedy nad jego ramieniem spostrzegł kucającą na nadmorskiej wydmie małą przyjaciółkę Sarah. Usadowiła się na samym szczycie, plecami do morza, skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę i z rękoma wyciągniętymi prosto przed siebie. Zaciekawilo go, co ona tam robi. Wpatrując się w napięciu na poruszane wiatrem wysokie trawy przed sobą, wyglądała jak dzikie zwierzę szykujące się do skoku na upatrzoną zdobycz. Nagle, ku jego niezmiernemu zaskoczeniu – jako że był nieźle najarany – skoczyła do tyłu wysoko w powietrze i rozprostowując nogi, wykonała w górze idealne salto przez plecy, połączone ze śrubą, z gracją przelatując na tle kornwalijskiego nieba. Zgrabnie wylądowała na piętach u podnóża wydmy, twarzą do morza, ale impet zmusił ją do wykonania kilku kroków przed siebie, aż wbiegła na mokry piasek utwardzony przez fale.

Johnny aż się zakrztusił dymem ze skręta.

– Rob! Widziałeś to?

Ten od niechcenia zerknął przez ramię.

– Nie – odparł.

– Spójrz na Clemmie!

Obaj patrzyli, jak dziewczyna mozolnie wspina się z powrotem przez grząski piach na szczyt wydmy, w blasku słońca podobna do nimfy w pasiastym niebiesko-białym kostiumie kąpielowym. Johnny zwrócił uwagę na jaśniejsze pasy nieopalonej skóry wystające spod kostiumu na jej drobnych, jędrnych pośladkach. Uskoczyła w bok, żeby nie zderzyć się z Sarah, która stoczyła się ciężko i niezgrabnie po stromym zboczu wydmy.

– Teraz uważaj! – zapowiedział Robowi, unosząc się na łokciu i układając wygodnie, żeby lepiej wszystko widzieć.

Dziewczyna miała mocno opalone, silne ramiona i długie miedziane włosy rozwiewane przez słońca bryzę. Jak, do diabła, mógł wcześniej nie zwrócić na nią uwagi? Wydawało się, że nawet blask słońca trochę inaczej układa się dzisiaj wokół jej ciała, jakby chciał

uwypuklić jej sylwetkę na tle otoczenia. Jeszcze dwie minuty temu nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia, mimo że znał ją od lat, bo była przyjaciółką jego młodszej siostry. Kilka razy widywał ją w tym zakątku Kornwalii, lecz do tej pory w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Miał wrażenie, że dopiero teraz ją zobaczył, jakby ktoś mu pożyczył lornetkę, dzięki której mógł dostrzec w przyjaciółce Sarah kogoś całkiem innego – Clemency Bailey. Po raz kolejny przyjęła tę samą pozycję na szczycie wydmy, zastygła na chwilę, koncentrując się przed skokiem, po czym odważnie rzuciła się do tyłu, znowu robiąc salto ze śrubą na tle nieba, ale tym razem z niezwykłą swobodą, powoli, jakby od niechcienia.

Rob aż usiadł i głośno gwizdnął na palcach. Dziewczyna obejrzała się i ujrawszy, że patrzą na nią, uśmiechnęła się szeroko i skłoniła teatralnie, po czym zaczęła z powrotem wdrapywać się na szczyt wydmy.

– Wyrośnie z niej niezła uwodzicielka – mruknął Rob, ale Johnny był przekonany, że myśli wciąż o trimaranach, co jemu bardzo odpowiadało, gdyż wolał ponad jego ramieniem obserwować dziewczynę, mając wspaniały widok wyłącznie dla siebie.

Później tego samego wieczoru wszyscy wybrali się na spacer brzegiem morza. Świecił księżyc w pełni – a jego mama hołdująca ideom hippisowskim tylko szukała wymówki do takiej wyprawy. W drodze powrotnej do wioski Clemmie oznajmiła, że chce jeszcze nocą popływać, a on, zostawszy specjalnie w tyle, powiedział niemal całkiem obojętnie: – Lepiej, żebym miał na nią oko, bo jest dość mocny przybój.

Oburzyła się wtedy, że nie potrzebuje nadzoru, bo ma prawie dwanaście lat i jest wystarczająco duża, żeby pływać w samotności, mimo to usiadł na suchym piasku poza zasięgiem fal i tylko odprowadził wzrokiem oddalającą się resztę towarzystwa.

– Zapalę – odezwał się do niej, co przyjęła wzruszeniem ramion.

– Żyjemy w wolnym kraju.

Zrobiła na nim wrażenie, kiedy beztrósco ściągnęła sukienkę przez głowę i zdjęła majtki, ledwie zerknąwszy na niego przez ramię. Popatrzył, jak wbiega do morza, okrzykami witając co wyższe fale, i na jej nagie ciało skąpane w blasku księżyca.

– Chodź do mnie! – zawołała, gdy usiadł na piasku.

Poczuł się dumny, że wezwała go do swojego wodnego świata, gdzie trwała nieustanna zabawa. Nie miała pojęcia, że Johnny jeszcze ani razu nie zanurzył się w zimnym brytyjskim morzu, a tylko pływał po nim. Bywało, że fale ustawiały na boku jachty, na których pływał. Wciąż jednak powtarzał z dumą, że jeszcze nigdy nie dał się zmoczyć, bo zawsze udawało mu się wskoczyć na miecz, przenieść środek ciężkości i ustawić łódź do normalnej pozycji, ledwie zmoczywszy stopy.

– Cykor-świkor! – wykrzyknęła i dała nura w fale, błyskając białymi pośladkami w blasku gwiazd, zanim zniknęła pod powierzchnią morza.

– No, chodź, Johnny! – zawołała znowu, machając do niego ręką, połyskująca od ściekającej po niej wody.

Po raz pierwszy poczuł się wtedy nie na miejscu, siedząc na suchej plaży, kiedy wszystko wskazywało na to, że dużo lepiej jest w wodzie.

– Ratunku! – wykrzyknęła nagle, udając, że tonie. – Rekin!

Całkiem zniknęła pod wodą, a nad powierzchnią pojawiły się jej nogi, gdy stanęła na rękach na dnie.

I wtedy, niemal wbrew sobie, Johnny błyskawicznie zrzucił z siebie ubranie i pobiegł do niej, rozchlapując lodowatą wodę i wołając: – Służby ratunkowe w drodze! Proszę zachować spokój!

A po chwili, gdy zimna woda zalała mu przyrodzenie, jęknął:

– O jasna cholera!

Zimno w połączeniu ze znoszącym w bok prądem sprawiły, że zawył głośno. Clemmie natychmiast odwróciła się do niego i udając, że tonie, wyciągnęła rękę, którą gorliwie złapał i przyciągnął ją do siebie, utulił w swych ramionach niczym odważny rycerz ratujący damę znajdującą się w opałach.

– Mam cię! Teraz jesteś bezpieczna! I gdzie ten twój podły rekin? – zapytał, napinając biceps.

Zachichotała gardłowo – co miał zapamiętać jako jej charakterystyczny śmiech – po czym oplótła go nogami w pasie, a rękoma objęła za szyję. Natychmiast odczuł jej nagość na swoim brzuchu, chłód jej ciała stykającego się z jego ciałem. Kiedy obróciła się ku niemu, ich twarze znalazły się zaledwie o centymetry od siebie, jakby sprzężone razem, już nieuśmiechnięci, ale poważni, skupieni, z błyszczącymi od blasku księżyca oczami, utkwionymi w sobie nawzajem. Dziwne uczucie przeniknęło jego ciało, jak gdyby fala ciepła przesuwająca się stopniowo ku górze i wypełniająca pustkę, z której istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy, narastającą świadomość, że czekał na tę chwilę przez pełne czternaście lat swego życia. Cokolwiek to było, wiedział, że to jest właśnie to. Sama esencja życia! Zaprzagnął, żeby czas stanął w miejscu, by mógł w pełni to wszystko ogarnąć, ale ona błyskawicznie wysliznęła się z jego ramion. Odpłynęła wraz z falą i ułożyła się płasko na plecach, ze wzrokiem utkwionym w gwiazdy.

Bo ona również to poczuła. Leżała na wodzie i dryfowała ze wzrokiem utkwionym w niebie, pozwalając nieść się falom, mile zaskoczona tym, co się przed chwilą stało, całkiem nowym dla siebie wrażeniem w głębi ciała, dziwnie śliskim i przyjemnym. Czuła się ożywiona. Jak gdyby coś się w niej odmieniło, kończąc jej dzieciństwo. Pozwalała, żeby fale ją unosiły i spychały do brzegu, ale kiedy stanęła na nogi, uświadomiła sobie nagle swoją nagość i pobiegła przez przybój na suchy piasek.

Nieco później siedzieli i w milczeniu spoglądali na morze, mokrzy, ociekający wodą, ogarnięci poczuciem bliskości. Miała na sobie jego sweter, który zwieszał się fałdami z jej drobnej sylwetki. Podciągnęła kolana pod brodę, żeby nie zmarznąć, a kropelki wody spływały jej po policzkach.

– Wierysz, że są tam jakieś potwory? – zapytała ze wzrokiem utkwionym w mrocznym horyzoncie.

– Tak – odparł. – Dlaczego nie?

To jej się podobało. Wierzyła w istnienie potworów. Wierzyła we wszystko.

– Ta czerwona kropka mogłaby być okiem jednego z nich – powiedziała, wskazując palcem.

– Albo kutrem rybackim.

– Patrz! Teraz zrobiła się zielona!

– To ta sama łódź. Skręca.

– Skąd wiesz?

– Czerwone światło jest na lewej burcie, a zielone na prawej. Teraz widać białe na rufie. A zatem odpływa. Na zachód.

– Dokąd?

– Na połów.

– To wiem, Johnny. Ciekawa jestem, dokąd dotarłaby, gdyby płynęła cały czas prosto?

– Pewnie do Ameryki. Nie, dokładniej do Kanady.

– Kurde. – Possała koniec kosmyka włosów mokrych od słonej wody. Po chwili zapytała: – Byłeś w Ameryce?

– Nie. jeszcze nie. Ale kiedyś będę. Pozegluję tam.

Spodobało mu się, jak ona na niego patrzy, jakby kierowała na niego strumień wewnętrznego światła. Chciał, żeby nie odwracała wzroku.

– Naprawdę?

– No. Zamierzam zbudować własną łódź, jednokadłubowy kecz. Oczywiście drewniany, z tekowymi pokładami. To będzie najpiękniejszy jacht pływający po oceanach. A potem wyruszę nim w samotny rejs dookoła świata. – Nie wytrzymał, żeby się trochę nie pochwalić. Ale nie kłamał. Właśnie takie miał plany.

Wpatrywała się w niego. To coś, co wcześniej się w niej odmieniło, znowu dało o sobie znać i definitywnie to on był tego powodem. Miała wrażenie, że on ją zna, że są w jakiś sposób złączeni. Był wszystkim, czym i ona chciała być, przede wszystkim poszukiwaczem przygód.

– Johnny, będę mogła z tobą popłynąć? Zabierzesz mnie w rejs dookoła świata?

Zaśmiał się.

– To już nie byłby samotny rejs.

– Kogo to obchodzi? Wyruszylibyśmy w rejs dwuosobowy.

Uśmiechnął się i wyjął woreczek z tytoniem.

– Pewnie byłoby to możliwe.

Zaczął szykować sobie papierosa.

– Zwiń dużego skręta! – rzuciła podniecona tym, że przystał na jej plan. – Dużego i grubego, jak ten, którego paliłeś na wydmach.

– Ty palisz? – zapytał, mile zaskoczony, że mu się przyglądała.

– Jeszcze nie... Johnny? Dlaczego mówisz o łodzi jak o kobiecie?

Obrócił się do niej, tyłem do wiatru, żeby zwinąć papierosa.

– Ze względu na kształt, krągłe krzywizny, elegancję jak u kobiety.

– Aha – powiedziała. – Ja też mam eleganckie krągłości?

– No, wiesz... Masz dopiero jedenaście lat.

– Zgadza się – odparła, lekko rozdrażniona, bo uważała, że jest w dziwnym wieku, przejściowym, z jednej postaci do drugiej. – I dziewięć miesięcy.

– Przyjmuję poprawkę.

– I mam chłopaka – dodała, jakby przez to mogła się wydawać jeszcze starsza.

– Tak?

– No. To Roger Benson. Całowaliśmy się z języczkiem i w ogóle...

Johnny gwizdnął cicho.

– A to ci szczęściarz z tego Rogera.

Złożył dłonie, żeby osłonić zapałkę, i potarł łąpkiem o draskę. Czerwonawy płomień na krótko go oślepił. Czuł na sobie jej wzrok i to mu się podobało. Zaciągnął się dymem, wydmuchnął go i podał jej papierosa. Ten jednak przykleił mu się do wilgotnych palców i nie mogąc go odkleić, uniósł skręta do jej ust, a ona pochyliła się ku niemu. Poczuł na palcach dotyk jej miękkich warg.

Zakasłała.

– Faj – mruknęła i wypluła na piasek okruch tytoniu.

– Na początku zawsze wydaje się obrzydliwe. Będiesz musiała się do tego przyzwyczaić.

– Tak? Przyzwyczaję się.

Zależało jej, żeby zrobić to, jak należy. Po raz drugi pochyliła się do jego ręki. Znowu zaciągnęła się dymem i teraz już się nie zakrztusiła, wydmuchnęła go, ale najwyraźniej papieros jej nie posmakował.

– Dobra dziewczynka – powiedział, a ona uśmiechnęła się z dumą.

Dopiero teraz zauważył, że jej dwa przednie zęby lekko na siebie zachodzą, i pomyślał, że któregoś dnia jakiś chłopak dostanie obsesji na tym punkcie.

– Johnny? Masz dziewczynę?

Odchylił się z powrotem i oparty na łokciach popatrzył w kierunku kutra na morzu.

– Niezupełnie – odparł.

– Co to znaczy?

– To znaczy niezupełnie.

Przekręciła się, ułożyła na brzuchu i popatrzyła na niego.

– Dobra. Ja to ocenię – powiedziała. – Całowaliście się z języczkiem?

Z poważną miną spojrzał jej w oczy.

– Tak, całowaliśmy się.

– A więc tak, masz dziewczynę – oznajmiła, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie.

Usiadła z powrotem i popatrzyła na ledwie już widoczne światło kutra wypływającego na Atlantyk. Oczywiście, że miał dziewczynę. Z takim wyglądem, paląc własnoręcznie skręcane papierosy i będąc poszukiwaczem przygód...

– Zamierzasz się z nią ożenić? – zapytała.

Johnny zaśmiał się.

– Nie.

– Dlaczego?

Powoli zaciągnął się dymem z papierosa.

– Bo ona już ma męża.

Odwróciła się do niego powoli, z rozdziawionymi ustami i rozszerzonymi oczami. Nabrała głęboko powietrza.

– Rety! To ile ona ma lat?

– Trzydzieści pięć – odrzekł, przyglądając się, jak dreszcz emocji przemyka po jej uroczej buzi.

– Mój Boże... – pisnęła uradowana. – Więc to stara kobieta, Johnny! A ty masz dopiero czternaście lat.

Kilka miesięcy wcześniej zgodził się posiedzieć z dzieckiem przyjaciółki matki, gdy kobieta niespodziewanie wróciła wcześniej, słodko pachnąca czerwonym winem. Zatrzymała go w holu, wsunęła mu pieniądze do kieszonki na piersi, powiedziała, że jest najseksowniejszym chłopakiem, jakiego dotąd spotkała, po czym, ku jego bezgranicznemu zaskoczeniu, przytknęła swoje wargi do jego ust. Dalej sprawy potoczyły się szybko – stracił dziewictwo na okrywającym sofę kocu z supermanem, zaledwie na kilka minut przed powrotem jej męża. Od tamtej pory dość często wcielał się w opiekunkę do dziecka.

Przypomniał sobie, że Clem jest w tym samym wieku, co jego siostra.

– Tylko nie mów o tym Sarah, Clemmie.

– Nie powiem – obiecała, zrobiła znak zamykania ust na suwak, odchyliła się i oparła na łokciach.

Lubiła tajemnice, ale nie miała pojęcia, jak postąpić z tą. Oswajała się z nią przez chwilę, lecz wciąż napełniała ją dziwnym uczuciem.

Kuter rybacki musiał skręcić na południe, bo widać było tylko lampę na lewej burcie. Siedzieli blisko siebie, obserwując kurs łodzi, a ciepły zachodni wiatr zwiewał im włosy z twarzy.

– Johnny – odezwała się cicho, patrząc na niego swoimi ciemnymi oczami. – Ożenisz się kiedyś ze mną? Gdy twoja dziewczyna już umrze?

Zaśmiał się.

– Pytam poważnie – dodała.

Jego śmiech ucichł, on także stał się poważny. Uznał, że ona jest właśnie taką dziewczyną, którą pewnego dnia poślubi.

– W porządku – odparł.

– Obiecujesz? – zapytała. – Więc musisz mi coś dać, żeby ta obietnica stała się prawdziwa.

Już wtedy miała przeczucie, że trzeba jakoś specjalnie zaznaczyć tę okazję.

– Nic nie mam.

Nagle sobie przypomniał. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął odłamek talerza w kształcie serca, który znalazł na plaży.

– Jonathanie Love, ożenisz się ze mną?

Stał w holu przy drzwiach kuchennych, gdzie wisiał telefon. Zadzwoiła w czasie kolacji, toteż ojciec, Rob i Sarah wpatrywali się w niego, mając nadzieję, że to do kogoś z nich.

– Rozmawiam z Johnnym, prawda? – zapytała.

– Tak, to ja.

– Mówi Clem. – Na krótko zapadła cisza. – Clemency Bailey. Pamiętasz mnie?

Oczywiście, że pamiętał.

– Dawniej Clemmie – dodała. – Teraz już tylko Clem.

– Och, cześć, witaj – odparł. – Jasne, że cię pamiętam.

Głos miała inny niż ten, który pamiętał, dużo głębszy. Ale przecież musiała dorosnąć. Jeśli on miał teraz siedemnaście lat, ona musiała mieć piętnaście. Jej rodzice dawno temu wyprowadzili się z Putney, ale ostatnio wrócili, prawdopodobnie zadzwoniła więc, żeby spotkać się z jego siostrą.

– Czy twoja dziewczyna już umarła? – zapytała.

Nie wiedział, o czym ona mówi, ale nie chciał, żeby ktoś usłyszał tę rozmowę, toteż ramieniem zamknął drzwi i zaczął okręcać sobie wokół palca kabel od słuchawki. Tylko przypadek sprawił, że to on odebrał telefon, a nie Rob albo Sarah. Dopiero co wrócił z rejsu towarowego na Karaiby i wkrótce znowu wyruszy w kolejny rejs, miała więc szczęście, że zastała go w domu.

– O czym ty mówisz? Nie mam dziewczyny – odpowiedział.

– Obiecałeś, że się ze mną ożenisz, kiedy twoja dziewczyna umrze.

– Czyżby? – Uśmiechnął się. – O jakiej dziewczynie wtedy mówiłem?

– O tej mężatce.

Romans z przyjaciółką matki dawno się zakończył. Jej mąż znalazł pod łóżkiem skarpetkę Johnny'ego z jego nazwiskiem i dostał szału.

– No więc? – zapytała.

– Faktycznie jestem gotów do ożenku – odparł. – Ale co byś powiedziała na to, żebyśmy się najpierw spotkali, potem umówili na kilka randek, pobyli trochę ze sobą?

Spotkali się w Hammersmith, w Blue Anchor nad rzeką, o zachodzie słońca. Przyплыw wdzierał się w górę rzeki i między drzewami pływały kaczki. Przyjechał na swoim motorze marki Triumph Tiger Cub, kupionym za honorarium za piosenkę do filmu *Loot*, bo tym się teraz zajmował. Niedawno zmienił świece, ale i tak je zalał na podjeździe przed mostem, musiał więc pchać motocykl aż do pubu, przez co trochę się spóźnił.

Od razu rozpoznał Clemency Bailey. Siedziała przy stoliku przed lokalem i paliła papierosa – z dużą wprawą, jak zauważył. Kiedy go zobaczyła, wstała i pomachała ręką. Zaskoczył go jej wygląd, ale też właśnie na to liczył. W pewien sposób była odpowiedzialna, przynajmniej po części, za piękny widok, jaki tworzył podświetlony na różowo altostratus widoczny na niebie za jej plecami. Miała na sobie dzinsy i luźną białą bluzkę, dość głęboko wyciętą, odsłaniającą rowek między drobnymi kształtnymi piersiami. Z ukłuciem zazdrości przypomniał sobie, jak kiedyś w morzu trzymał ją w ramionach całkiem nagą. Tyle że wtedy była jeszcze dzieckiem.

– Cześć – powiedziała.

Przeciagnął dłonią po włosach przyklapniętych od kasku.

– Witaj, Clemency Bailey – rzekł, odkładając kask na brzeg stolika.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Pachniała piżmem, jak olej lniany, jak świeżo położony tekowy pokład łodzi.

– Witaj, Jonathanie Love. Świetnie wyglądasz.

Mógł powiedzieć to samo, bo prezentowała się po prostu oszałamiająco, ale nie zamierzał tego robić – takie dziewczyny jak ona należało potrzymać trochę w niepewności.

– Staram się – odparł.

Chciał, żeby wypadło to ironicznie, skoro miał na sobie T-shirt poplamiony olejem silnikowym. Ale ona nie patrzyła na jego T-shirt, z uwagą wpatrywała mu się prosto w oczy.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedziała.

Jego mama zmarła przed rokiem na raka, który w ostatnim stadium opanował już wszystkie narządy. Jedyną pozytywną stroną choroby matki było to, że nikt się nie czepiał, że zaważył wszystkie egzaminy i rzucił szkołę.

– Widziałaś się z moją siostrą?

Skinęła głową.

Nie chciał rozmawiać o śmierci matki.

– Czego się napijesz? – zapytał.

– Tego samego, co ty.

Oczywiście była nieletnia, zresztą tak samo jak on, lecz barmani rzadko zwracali na to

uwagę. Wszedł do środka i poprosił o dwa piwa Ram Special, wyniósł je przed pub i usiadł naprzeciwko niej. Przyglądała się, jak napełnia piwem szklanki, po czym jedną przesuwa w jej stronę. Stuknęli się.

– No więc... – zaczął, spoglądając w jej śliczne oczy – przechodząc do sprawy... będziesz miała białą sukienkę?

Później, kiedy drobna mżawka zmieniła się w deszcz, weszli do środka i usiedli w rogu. Telewizor nad barem był ściszony, nadawano transmisję z meczu w krykieta, pierwszego meczu reprezentacji na stadionie Edgbaston, w którym drużyna Indii Zachodnich bezlitośnie rozprawiała się z Anglią. Johnny jeszcze nie spotkał dziewczyny, która by lubiła krykieta, poczuł się nawet trochę zazdrosny, kiedy przestała zwracać uwagę na niego i skoncentrowała się na meczu. Ale i on lubił krykieta. Zaczęła mu opowiadać, że woli transmisje radiowe, uwielbia komentatorów i leżąc w łóżku, może godzinami słuchać afektowanego sposobu mówienia Henry'ego Blofelda. Johnny zaczął sobie wyobrażać, jak to ona leży w łóżku zasłuchana w transmisję radiową, a on leży obok niej i pieści te jej drobne piersi, podziwia jędrny płaski brzuch, wodzi dłońmi po całym jej ciele.

Nagle zaczęła przerzucać rzeczy w torebce. Wyglądało na to, że nosi w niej strasznie dużo drobiazgów. Dla ułatwienia sobie poszukiwań, zaczęła wykladać część rzeczy na stolik, bransoletki, gumę do żucia, cały zestaw długopisów, jakieś szkice i rysunki robione na skrawkach papieru. Wreszcie znalazła to, czego szukała: wypchany portfelik. Wyjęła go i z taką samą pieczołowitością zaczęła przeglądać zawartość wszystkich przegródek. Aż trudno było uwierzyć, że jedna osoba może stale nosić przy sobie tyle śmieci. On wyszedł z domu jedynie z dziesięciofuntowym banknotem i kluczem nastawnym.

– To on – powiedziała w końcu z dumą, wyciągając w jego stronę dość sfatygowane zdjęcie.

Johnny spojrzał. Wysoki mężczyzna w idiotycznych okularach, z wielką fircykowatą muszką pod szyją, stał pod palmą gdzieś na Karaibach, trzymając w ręku kij do krykieta. Na dole fotografii był nabazgrany napis: „Dla Clemency, z wyrazami miłości Henry Blofeld”. Johnny, który nie miałby nic przeciwko temu, żeby też mieć takie zdjęcie, pomyślał, że facet wygląda na niezłego dupka.

– W mojej opinii – powiedziała Clem ze wzrokiem utkwionym w ekranie, na którym Botham właśnie trafił szóstkę – Botham w pojedynkę uratował Anglię przed totalnym blamażem.

Johnny wstał i uśmiechnął się do niej, poklepując się dłonią po kieszeniach spodni. Miał ochotę nastawić swoją płytę w szafie grającej.

– Podoba mi się twoja opinia – rzekł.

Zdziwiła się nieco, nie mając pewności, czy przypadkiem w ten sposób jej nie krytykuje.

– No cóż, każdą opinię zawsze można zmienić – odparła z wyraźnym optymizmem w głosie.

To była prawda, rzeczywiście wypowiadała zdecydowane opinie, ale najczęściej tylko

po to, żeby się przekonać, jak brzmią, bo w gruncie rzeczy czasami się zastanawiała, czy w ogóle miała jakieś własne opinie. W każdym razie na pewno nie zamierzała go rozśmieszać. Odprowadziła go wzrokiem, gdy z uśmiechem ruszył przez salę. Kiedy pochylił się nad szafą grającą, wybierając płytę, stwierdziła, że jest bardzo przystojny, a jednocześnie taki znajomy. Świetnie pamiętała, jak dobrze ją traktował, gdy była dzieckiem, jakie chwile zażenowania przeżyła, gdy któregoś razu w Putney zastał ją w środku nocy w łazience. Zmoczyła wtedy łóżko i próbowała osuszyć prześcieradło kawałkami papieru toaletowego, a on wziął od niej to prześcieradło, wsadził je do brudów, wyjął gruby ręcznik kąpielowy, kazał jej go rozłożyć na mokrym miejscu i spać dalej. Kiedy wracała do domu po wizycie u Love'ów, często żałowała, że nie ma takiego brata. Dopiero teraz się cieszyła, że nie jest jej bratem.

Nastawił utwór, którego nie знаła, a gdy wrócił do stolika, usiadł trochę bliżej niej niż poprzednio. Spodobało jej się, że zna słowa piosenki i nie wstydzi się śpiewać na głos, popijając piwo. Podobało jej się brzmienie jego głosu. Lubiła sposób, w jaki na nią patrzył tymi swoimi zielonymi oczami przypominającymi barwą głęboką wodę. Prawdę mówiąc, podobało jej się w nim wszystko. Pomyślała, że cokolwiek się wydarzy, ta piosenka będzie jej zawsze go przypominała.

Później Johnny podszedł do baru, żeby kupić dwa następne piwa Ram Special, i stojąc tam, przytupywał do taktu piosenki zespołu Aztec Camera. Nastawiła *Oblivious* czwarty raz z rzędu – i sam już żałował, że zaczął tę zabawę z szafą grającą. Kiedy się odwrócił w stronę stołu, przyłapał ją, jak pospiesznie wysuwa kciuk z ust i aż zrobiło mu się przykro, że wprowadził ją w zakłopotanie. Całkiem zapomniał o jej zwyczaju ssania palca. Teraz przypominał sobie, jak jeszcze w Kornwalii zwrócił uwagę, że Clem, ssąc kciuk, jednocześnie głaszcze się leniwie drugą ręką.

Nie miało to żadnego znaczenia, i tak był nią zauroczony. Wrócił do stolika, postawił przed nią butelkę oraz szklanę i sięgnął po zdjęcie, które wciąż leżało między kartonowymi podkładkami do piwa.

– Byłem tam w ubiegłym roku – powiedział od niechcena, odkładając fotografię z myślą: Mam cię gdzieś, Blofeld.

– Gdzie? – zapytała, autentycznie zaintrygowana, z błyszczącymi oczami utkwionymi w jego twarzy.

– W Indiach Zachodnich. Na Barbadosie.

– Niemożliwe! Sam?

– Nie, było nas dwóch. Ja i szyper.

Otworzyła oczy ze zdumienia. Zapatrzyła się na niego, jakby nie mogła uwierzyć. Nie znała nikogo, kto by zrealizował swoje plany, o których mówił w wieku czternastu lat. Przepłynął przez Atlantyk. A więc był autentyczny. Był taki, jaki oczekiwała, że będzie.

– Nie bałeś się? – zapytała.

Zaśmiał się.

– Oczywiście, że nie.

– Ja bym się bała. Jak było? Całą tę długą podróż odbyłeś morzem? I co, było cudownie? Poczujesz się jak w raju?

Johnny pociągnął łyk piwa, niemal powalony jej gorliwością, jednak Blofeld został pokonany.

– No cóż... Było inaczej! – odrzekł.

Bo rzeczywiście tak było. Widok Barbadosu wylaniającego się na horyzoncie po wielu tygodniach niemalże uwięzienia na Atlantyku odebrał jak cud. Zarazem wściekł się trochę, ale o tym nie zamierzał jej mówić.

Przeprawa zajęła im aż sześć tygodni, bo trafili na bezwietrzną pogodę, toteż mocno dało o sobie znać poczucie izolacji. Wręcz nabrał przeświadczenia, że z takiej czy innej przyczyny – na przykład eksplozji atomowej czy zderzenia z kometą – całkowicie zaniknęło życie na Ziemi. Tak bardzo dał się ponieść tej apokaliptycznej wizji, że był już pewien, iż łódź, na której się znajduje, jest ostatnią łodzią na Ziemi, i po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie z całą mocą, że teraz, kiedy wszyscy zginęli, odczuwa wielką miłość do swoich przyjaciół i rodziny. Clem nie mogła o tym wiedzieć, lecz nawet ona pojawiła się w jego myślach jako przykład zaprzepaszczonej okazji, kiedy nie chciał zmierzyć się z życiem. Nigdy wcześniej nie uświadamiał też sobie, że stały ląd ma aż tak intensywny zapach: bogaty, roślinny i ziemisty. Planeta Ziemia po prostu pachniała ziemią. Kiedy dopływali do wyspy, wyszedł na pokład i popatrzywszy na wybijającą zieleń spowijającą zbocza gór oraz turkusowe wody przy brzegu, zaczął gorączkowo wypatrywać śladów obecności człowieka. A kiedy w końcu zauważył przez lornetkę łodzie i nabrzeża oraz mały samolot na niebie, ogarnęło go nieopisane szczęście i poczuł ogromną miłość do całej ludzkości. Barbados rzeczywiście przypominał raj, ale z powodów zupełnie innych niż te, o których mogła pomyśleć, a głównie przez to, że ludzkość jednak nadal egzystowała.

– Owszem, to raj – powiedział teraz. – Za kilka miesięcy płynę tam znowu.

Nagle poczuła się, jakby uszło z niej całe powietrze. Doskonale wiedziała, że to nie miało sensu, przez lata dawała sobie radę bez Johnny'ego, lecz nagle perspektywa jego wyjazdu napełniła ją poczuciem beznadziei.

– Mogę popłynąć z tobą? – zapytała, ale skwitował to śmiechem, więc poczuła się głupio.

Za bardzo dała się ponieść, musiała uważać i nie wrywać się z czymś podobnym. On był poszukiwaczem przygód, a takim ludziom zależało przede wszystkim na przygodzie. Sama musiała znaleźć swoje przygody. Zamierzała jednak być równie odważna jak on.

– Może gdzieś tam się spotkamy, bo ja również będę podróżować – powiedziała, nalewając sobie piwa do szklanki, trzymając butelkę tak wysoko, że na powierzchni utworzył się kożuszek gęstej piany. – Muszę zobaczyć świat, Johnny. Nie chcę być do końca życia uwiązana do jednego miejsca i skazana na towarzystwo matki.

Przyglądał jej się uważnie i czuł coraz większą ochotę na to, żeby pochylić się nad stolikiem, obrócić jej twarz ku sobie i pocałować te delikatne wargi. Po raz pierwszy w życiu dotarło do niego, że mógłby się zajmować czymś innym niż żeglowaniem.

– Coś ci powiem, Clem. Chrzanić rejsy kurierskie. Popłynemy razem – rzekł i nagle dotarło do niego, że byłby gotów powiedzieć albo zrobić wszystko, byleby tylko znowu ujrzeć ten wyraz w jej oczach. – Oczywiście po ślubie.

Zaśmiała się, nie do końca przekonana, czy miał to być żart. To nie miało znaczenia. Kiedy siedziała z nim i układała plany, nieważne, wydumane czy też realne, odczuwała tak ogromne szczęście, że aż ją kłuło w sercu.

– Dokąd chciałybyś popłynąć? – zapytał, trącając swoją szklanką jej szklankę i niby przypadkiem muskał palcami jej dłoń, przez cały czas nie spuszczać z niej oczu.

– Gdzieś na wschód – odparła.

Wszystko w niej mu się podobało: to, jak dobrze się czuje we własnym ciele, jak układa wargi, błysk w oczach, gdy na niego patrzyła, sposób noszenia ubrań, jej balsamiczny zapach. Chłonał to wszystko instynktownie. Kiedy Botham trafił kolejną szóstkę, a ona, podekscytowana, położyła mu dłoń na kolanie i trzymała ją tam dłuższy czas, pomyślał, że być może zwróciła uwagę na jego erekcję. Miał ją od kilku godzin.

Kiedy całkiem się ściemniło i znudziło im się siedzenie w pubie, zaproponował, że odwiezie ją do domu na swoim motocyklu – oczywiście zakładając, że da radę go zapalić. Przeszli za róg, gdzie stał zaparkowany trigger cub. Jego dzieło zrobiło na niej wrażenie, a przynajmniej na to wyglądało. Oddał jej swoją skórzaną kurtkę i kask, który zapiął jej pod brodą, znowu niby przypadkiem muskając palcami jej policzek. Miał wielką ochotę ją pocałować, ale była tak podniecona perspektywą przejażdżki motocyklem, że postanowił z tym poczekać – powinien był to zrobić w pubie. Usiadł na motorze i powiedział jej, żeby objęła go w pół i mocno się trzymała, co posłusznie uczyniła. Na szczęście motor odpalił już za pierwszym razem, niczym wierny druh.

Nigdy wcześniej nie jechała na motorze. Odchylała się w złą stronę, co bardzo mu przeszkadzało. Obejmowała go kurczowo, jakby walczyła o życie, co z kolei mu się podobało. Nie miał do niej pretensji nawet o to, że krzyczała mu prosto do ucha. Dobrze się czuł w roli władcy emocji.

Gdy tylko zaczęli nabierać prędkości na Rocks Lane, minęli wóz policyjny, którego Johnny wcześniej nie zauważył. Natychmiast skręcił w lewo, lekceważąc niebieski migacz dachowy, który pojawił się w lusterku. Jednak gdy radiowóz skręcił za nimi, nie mógł już dłużej udawać. Gliniarz siedzący na fotelu pasażera sygnalizował, żeby się zatrzymali. Johnny dał znać, że zrozumiał – co tamci pewnie by zauważyli, gdyby wcześniej włączył światła – po czym wyhamował i zjechał do krawężnika przy kościele, za którym w krzakach zazwyczaj zbierali się geje.

– Nic się nie martw, Clem – powiedział, nie gasząc silnika, bo nie był pewien, czy da radę go uruchomić po raz drugi.

Ale Clem wcale nie wyglądała na zmartwioną. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie podnieconej.

– Masz – powiedziała, znowu grzebiąc w swojej przepaścistej torebce.

Nigdy dotąd nie miała kłopotów z policją, lecz teraz ani trochę się nie przejmowała.

Johnny wydawał jej się niezwykczony. Przy nim czuła się bezpieczna, był odważny i nieustraszony – w końcu przepłynął przez ocean.

– Weź dropsa, żeby nie poczuli, że coś piliśmy.

Wziął od niej cukierka. Nie ssał gruszkowych dropsów od lat, ich słodko-kwaskowy smak obudził wspomnienia z dzieciństwa.

Popatrzyli, jak wóz policyjny zatrzymuje się przed nimi i drzwi się otwierają. Wysiedli obaj. Pierwszy coś meldował przez krótkofalówkę, drugi, wysoki osiłek kroczący z dumnie zadartą głową, wkładał czapkę. Kiedy się zbliżyli, niższy obrzucił motocykl podejrzliwym spojrzeniem.

– Proszę zgasić silnik! – nakazał.

Ale Johnny udawał, że go nie słyszy.

– Proszę zgasić silnik! – powtórzył wyższy policjant.

– Jak go wyłączę, to mogę już nie odpalić – odparł głośno Johnny.

Mały przejął inicjatywę, sięgnął do stacyjki i przekręcił kluczyk. Cofnął się o dwa kroki i zaczął szerokim łukiem obchodzić motocykl od przodu.

– Proszę, proszę, proszę! Co my tu mamy?!

Prawdę powiedziawszy, cedził to swoje „proszę”, jakby podziwiał nowy miot maciory w chlewie.

– A gdzie światła stopu? Gdzie kierunkowskazy? Gdzie kask?

I gdzie ubezpieczenie? Gdzie dopuszczenie do ruchu? Gdzie prawo jazdy? – Ale te pytania musiały jeszcze poczekać.

– Brak tylnej tablicy rejestracyjnej – dodał wyższy.

Johnny nie wiedział, czy ma traktować tę wyliczankę jak oddzielne pytania, toteż nie czuł się w obowiązku, żeby odpowiadać.

– Czy mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

– Nie mam przy sobie – odparł, na co niższy odegrał scenkę z wyciąganiem i otwieraniem notesu.

– Nazwisko? – rzucił.

Johnny nie był idiotą. Nie zamierzał podawać swojego prawdziwego nazwiska, to nie wchodziło w rachubę. Rozejrzał się szybko w poszukiwaniu inspiracji.

– Hood – odpowiedział, a gdy policjant zaczął zapisywać, dodał: – Robin Hood.

Poczuł, że Clem delikatnie uszczypała go w bok, ale nic nie powiedziała. Gliniarz wyduł wargi i podniósł wzrok znad notesu. Johnny zauważył jednak, że zdążył już zapisać: Hoo...

– Lepiej nie marnuj mojego czasu, żałosny durniu.

– Mówię prawdę – zarzekł się Johnny. – To moje prawdziwe nazwisko. Robin Hood.

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia.

– Głuchy jesteś, do cholery?! – warknął wyższy.

– Naprawdę tak się nazywam, proszę pana – odparł Johnny łagodnym, pełnym pokory głosem.

– W takim razie pojedziemy na komisariat, żebyś mógł własnoręcznie wypełnić formularz danych osobowych.

– Nie ma sprawy – powiedział jak gdyby z oburzeniem. – Nic na to nie poradzę, że moi rodzice wykazali się takim poczuciem humoru. Przez całe życie jestem przez to obiektem drwin i przysięgam, że zmienię nazwisko, jak tylko będę mógł, ale na razie to niemożliwe. Nazywam się Robin Hood. Przedstawię swój akt urodzenia, jeśli będziecie chcieli.

Dostrzegł powstający wyłom w murze. Mały zaczął się zastanawiać, czy wciska im kit, czy mówi prawdę.

– Wyglądam na takiego, co się urodził wczoraj? – zapytał, ale już bez wcześniejszej pewności siebie.

Johnny wzruszył ramionami, chcąc okazać, jak ciężkie brzemię musi dźwigać.

– Mówię prawdę.

Gliniarz spojrzał na niego podejrzliwie, obejrzał się na partnera, w końcu zapisał imię i nazwisko w notesie. Potem zwrócił się do Clem.

– A ty, skarbie? – zapytał. – Jak się nazywasz?

Pochyliła się ku niemu i zajrzała do notesu.

– Marion – odpowiedziała głośno i pewnie. – Lady Marion.

MIESIĄC MIODOWY

O tej porze, gdy słońce chowało się za górami, temperatura szybko spadała. Był koniec marca i wieczory robiły się zimne. Johnny z górnego pokładu spoglądał ponad kutrami rybackimi na morze, tam, skąd właśnie przybyli: z Turcji. Nie dostrzegł jednak stałego lądu, który rozplynął się w granatowej linii horyzontu. Wspiął się więc na drewniany reling, żeby zwiększyć pole widzenia, lecz nadal niczego nie dostrzegł. Przez cały dzień widzialność była słaba. Spojrzał więc na pokład „Old Rangoon”, nie mogąc się nadziwić jej brzydocie. Była trzydziestopięciometrowym okazem wyjątkowo złego gustu, zabawką milionera, bezużyteczną błyszczącą stertą plastiku przeznaczoną do organizowania przyjęć koktajlowych w jakiejś pedałkowatej przystani. Nawet sobie nie wyobrażał, że kiedyś trafi na pokład takiej potwornej jednostki. Ale w końcu było mnóstwo rzeczy, których wcześniej sobie nie wyobrażał, jak choćby małżeństwo z Clemency Bailey i poczucie, że świat stoi przed nimi otworem.

Zeskoczył z relingu i zaczął sobie zwijać skręta. W dole stojąca na pontonie gromadka greckich chłopców nie mogła oderwać oczu od brytyjskiego szypra „Old Rangoon”, Charliego, który był zajęty rozkładaniem turystycznego roweru i czynił to z wprawą człowieka nawykłego do podobnych wyrazów podziwu. Rowerek wydawał się komicznie mały, a Charlie był niezwykle wysoki, toteż jego wyćwiczone ruchy, ustawianie poszczególnych części we właściwych pozycjach oraz szcęknięcie zatrzaskami i dokręcanie śrub sprawiały wrażenie przedstawienia cyrkowego. Dopingowała go w tym niezbyt liczna, ale zapalona publiczność, najwyraźniej oczekująca jeszcze pokazu żonglerki albo połykania noży mogącego zwieńczyć występ z dziwnym małym rowerkiem. Nie doczekała się jednak, ponieważ Charlie podskoczył, rozkładając nogi jak nożyce, opadł na siodełko i z kolanami odchylonymi na boki bez wytchnienia popedałował w stronę posterunku straży granicznej w porcie wyspy Kos. Chłopcy pytająco obejrżeli się na Johnny’ego, jakby ponosił jakąkolwiek odpowiedzialność za pozbawiony finału występ Charliego, ale ten tylko wzruszył ramionami i przypalił papierosa.

On sam poznał Charliego zaledwie sześć godzin wcześniej, kiedy szukał dorywczej pracy na nabrzeżu portu w Bodrum. Zastał go na pokładzie rufowym „Old Rangoon”, pogrążonego w dyskusji z grubym przedstawicielem administracji portowej, którego obaj często widywali paradującego w połyskliwym garniturze wzdłuż nabrzeży z nadętą miną. Teraz stał z dumnie wypiętą piersią obok skrzyni dużej ciężarówki z brytyjską rejestracją, zaparkowanej nie dalej niż trzy metry od burty wielkiego jachtu motorowego, i zaglądał pod plandekę nad opuszczoną tylną burta. Był chyba za gruby, żeby wdrapać się na skrzynię ciężarówki, gdzie mógłby wszystko dokładniej zbadać, ale i tak demonstrował swoją władzę na chodniku, oparty ramieniem o tylną klapę, gdy mówił coś szybko do mikrofonu trzeszczącej krótkofalówki.

Obserwując tę scenę, Johnny z ciekawości też obszedł skrzynię ciężarówki, żeby móc na nią zajrzeć. Wyglądało na to, że jakiś bogaty łobuz zorganizował sobie przeprowadzkę drogą morską, bo wóz był wyładowany meblami oraz wielkimi kartonowymi pudłami z logo Harrodsa.

Między urzędnikiem a Charliem stał jakiś przyszczaty młody Turek, który próbował tłumaczyć. Johnny przesunął się ku niemu i nadstawił ucha, wietrząc dla siebie okazję. Miał wyjątkowy dar do pojawiania się we właściwym momencie, a teraz, na rozstajach swoich podróży po świecie, bardzo potrzebowali jakiegoś zarobku. Oboje z Clem byli całkowicie spłukani, bo prace w stoczni jachtowej na dobre ustały, i mieszkali w namiocie na tyłach restauracji Attili, mając na życie zaledwie równowartość trzech funtów. A to oznaczało, że najdalej pojutrze znów musieliby zacząć podkradać jedzenie.

Charlie miał postawę byłego wojskowego, widoczną zwłaszcza w postukiwaniu obcasami i szczególnym akcentowaniu zdań. Jego krótko przyszczyżona broda i sposób mówienia zdradzały, że nawykł do tego, iż ludzie słuchają jego poleceń, pewnie z tego powodu nie czynił najmniejszych starań, żeby odpowiadać Turkom powoli i wyraźnie.

– Chcemy zostawić ciężarówkę na punkcie straży granicznej, jak uzgodnił to właściciel tych rzeczy. Tłumaczyłem już, że zjawi się tu jutro rano, punktualnie o ósmej zero zero, i wtedy zabierze samochód sprzed waszego biura. Czy to jasne?

Turecka wersja tej wypowiedzi zaprezentowana przez przyszczatego młodzieńca była wyraźnie krótsza. Gruby jęknął gardłowo, pokręcił głową i energicznie zamachał rękami. Młody tłumacz popatrzył znacząco na Charliego i przekazał:

– Żadnej ciężarówki.

– Mój szef już wam zapłacił za tę przysługę – wycedził szyper, stuknąwszy obcasami dla podkreślenia swojego stanowiska.

Tłumacz zagadał po turecku, ale gruby znów energicznie pokręcił głową i przypalił następnego papierosa.

– W porządku – zgodził się Charlie. – W takim razie zostawimy wszystkie rzeczy na ciężarówce i przekazemy je pod wasz nadzór, żeby właściciel mógł je później zabrać o umówionej godzinie.

Ale ten pomysł nie zrobił żadnego wrażenia ani na tłumaczu, ani na urzędniku.

– Zabierajcie to na Kos! – rzucił w końcu nonszalancko gruby, bezwstydnie drapiąc się po jajach.

– Nie potrzebujecie pomocy? – zapytał głośno Johnny, podchodząc na skraj nabrzeża. – Szukamy pracy. – Ruchem głowy wskazał Clem, która kucała niedaleko i wypakowywała rzeczy z kasztanowego worka żeglarskiego, który zrobił dla niej ojciec. Zaliczała się do zbieraczy, chomikowała dosłownie wszystko – papierki po cukierkach, miniaturowe modele samochodów, najróżniejsze drobiazgi – wszystko to teraz ustawiała na nabrzeżu, jakby była na pchlim targu.

Charlie potarł brodę, wciąż nie spuszczać wzroku z grubego tureckiego urzędnika, i mruknął:

– Cholerni idioci. Myślicie, że ja rzygam forsą?

Nie byłoby to podejrzenie bezzasadne, jako że Charlie wyglądał na człowieka, który śpi na pieniądzach. Otaczała go aura czystości charakteryzująca bogatych ludzi: nogawki jego ciemnych dżinsów nie były nawet przyciemnione na podwinięciach, nakrochmalona koszula była bielsza niż biała, a buty pokładowe aż błyszcząły.

– Więc to nie jest pańska łódź? – zapytał Johnny, omiatając spojrzeniem „Old Rangoon” i zachodząc w głowę, czy na pewno warto się przy niej kręcić.

Charlie zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Na miłość boską, człowieku, naprawdę wyglądam na potężnego magnata, właściciela wielkich jednostek? Naprawdę sądzisz, że zajmowałbym się takimi dyrdymałami, gdybym był na szczycie łańcucha pokarmowego?

Chyba po raz pierwszy w życiu Johnny słyszał, żeby ktoś używał słowa „durdymały”.

– Nic podobnego, może pan być tego pewien – ciągnął Charlie. – Ja jestem tylko małpą do zrzucania i stawiania żagli.

Johnny w kilku krokach stanął za tylną burtą ciężarówki.

– Więc czyje to rzeczy? – zapytał, ruchem głowy wskazując ładunek.

– Za ten transport jest odpowiedzialny mój szef – odparł donośnie szyper, jakby kierował te słowa nie do Johnny’ego, tylko do grubego urzędnika, który oddalił się już wzdłuż nabrzeża i wcisnąwszy się do swej czarnej, wąskiej budki, spoglądał przez małe okienko.

– Co robi ten pański szef, przeprowadza się? – zapytał Johnny.

– Nie on, tylko jakiś jego ważny przyjaciel – odpowiedział Charlie nieco podniesionym głosem, żeby gruby dobrze słyszał. – Muszę dodać, że to podobno nadzwyczaj wpływowy człowiek.

– Jeśli jest taki wpływowy, to czemu nie kupił sobie własnej ciężarówki?

– Świetne pytanie! – rzucił szyper, obracając się ku niemu i obrzucając go wnikliwym spojrzeniem głęboko osadzonych oczu, a Johnny ucieszył się, że przynajmniej w końcu zdołał przyciągnąć jego uwagę. – A jak według ciebie, młody człowieku, bogaci jeszcze bardziej się bogacą? Przez to, że nie wydają własnych pieniędzy... Pewnie usłyszał, że płyniemy do Fethiye, i zapytał, czy mógłby dorzucić parę swoich rzeczy na skrzynię naszej ciężarówki, która miała przywieźć z Wielkiej Brytanii kilka pojemników farby. No i masz tych parę rzeczy, jak widać! – Charlie zaśmiał się w głos z nedorzeczności tego określenia, toteż Johnny natychmiast zrobił zdegustowaną minę.

– Mój szef się wściekł. Po prostu się wściekł! – Można było odnieść wrażenie, że wzmianka o wściekłości szefa mimo wszystko wprawiła go w podniecenie. – Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. A teraz w dodatku szykują się kłopoty. Kazał mi zostawić te graty tu, przed posterunkiem odpraw celnych, a ten morświn z okienka... – Urwał, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na urzędnika, bo nagle coś przyszło mu do głowy. Ponownie spojrzął na Johnny’ego. – Nie boisz się ciężkiej pracy?

– Nie.

– Skąd miałbym wiedzieć, że tak jest?

– Może pan popytać ludzi w stoczni w Gündüz. Pracowaliśmy tam przez ostatni miesiąc, po dwanaście godzin na dobę.

– Razem z nią? – zapytał, zerkając na Clem, która powoli zbliżała się do nich. – Jest silna? Wygląda dość mizernie.

– Moja żona jest drobna, ale silna.

– Twoja żona? – Zaśmiał się. – Sam wyglądasz tak, jakbyś dopiero niedawno wyskoczył z pieluch. Macie paszporty?

– Oczywiście.

– Od jak dawna tu jesteście?

– Mniej więcej od miesiąca. Chcieliśmy jechać dalej, do Iranu, Iraku, może nawet Pakistanu i Indii.

– Dobra, w porządku. Nie musisz mi opowiadać całej historii. Jesteście zatrudnieni. Zapłacę wam po dziesięć funtów dziennie na głowę. Rozładujcie ciężarówkę i poustawiajcie te graty na pokładzie. Płyniemy na Kos.

I tak, przy pomocy kilku Turków z załogi Charliego, Johnny i Clem spędzili następne trzy godziny na mozolnym dźwiganiu mebli oraz pudeł i ustawianiu ich na pokładzie rufowym, po czym w trójkę popłynęli na wyspę Kos tym gigantycznym pływającym hotelem o nazwie „Old Rangoon”.

Johnny pstryknął niedopałek w pokryte plamami ropy wody portu, zastanawiając się, co porabia Clem. Greccy chłopcy zeszli z pontonu na nabrzeże i oddalili się, rozkładając wędki. Wychylił się i popatrzył na pokład w dole zastawiony niechcianym ładunkiem. Każdą wolną przestrzeń wypełniały kartonowe pudła, biały fortepian Steinwaya sąsiadował z marmurowym posągami, olbrzymi dębowy stół stał na boku, na jednej jego nodze wisiał kryształowy żyrandol, dalej znajdowało się rozłożone na części olbrzymie łóżko z baldachimem. Cały tył jachtu był zajęty przez wyposażenie domu jakiegoś tureckiego milionera.

Jeszcze bolał go kręgosłup. Przeciągnął się i ziewnął. Przy odrobinie szczęścia powinni to wszystko rozładować i wrócić do Bodrum przed północą, w samą porę, żeby spotkać się z bystrym Australijczykiem Dave'em, mając po dwadzieścia funtów w kieszeni. Odetchnął głęboko rześkim wieczornym powietrzem i dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie, odwrócił się i ruszył na poszukiwanie Clem – powinna gdzieś być na tym olbrzymim symbolu pływającego bezguścia. Odsunął przesuwane szklane drzwi na tyle sterówki i wszedł do korytarza biegnącego wzdłuż prawej burty jednostki. Do tej pory jeszcze nie był na jej górnym pokładzie.

– Clem? – zawołał.

Na ścianie wisiał szereg bardzo powiększonych ziarnistych fotografii przedstawiających mocno umalowaną tlenioną blondynkę w średnim wieku w rozmaitych wyzywających pozach. Nie należała do modelek, które dobrze wyglądają zarówno na

powiększeniach, jak i w wyzywających pozach. Zatrzymał się przed ostatnim zdjęciem, na którym była z całą rodziną. I Johnny od razu przestał się dziwić, że Charlie wykonuje każde polecenie Pana Jachtowego Magnata: facet miał gębę boksera z oczami mordercy. Był dwa razy większy od żony – co wiele tłumaczyło – a swoimi błyszczącymi od złota paluchami o rozmiarach bananów pewnie mógłby wydusić życie z każdego żywego stworzenia. Przed parą szczęśliwych małżonków stały trzy pucołowate, dziewczynki, które w niedalekiej przyszłości niewątpliwie będą musiały się poddać zabiegowi usuwania owłosienia z całego ciała.

– Clemmie? – zawołał ponownie Johnny.

Pewnie kręciła się po całym jachcie podobnie jak on. Otworzył drzwi po lewej stronie i wykończenie kajuty podziało na niego jak cios między oczy. Znalazł się w czymś w rodzaju tematycznego parku safari. Z podłogi gapiła się na niego wyprawiona skóra zebry z całym łbem. Wielka skórzana sofa ustawiona w poprzek, od burty do burty, była co do centymetra zakryta narzutą ze skór lamparta. Z boku wielką drewnianą żyrafę w galopie ścigał tak samo drewniany wychudzony Murzyn, przy czym oboje byli przyklejeni do pokładu, a nad atrapą ogniska z grubych bali wisiał wielki olejny obraz przedstawiający stado słońi wędrujących przez afrykańską równinę.

Znalazł ją w kajucie oznaczonej jako „Apartament Cesarski”. Ledwie otworzył drzwi, pewnie by zagwizdał, gdyby gwizdanie na jachtach nie przynosiło pecha – w każdym razie wydał już wargi, ale się powstrzymał. Kajuta była ogromna, hektary grubej białej wykładziny wiodły do królewskiego łóża zakrytego licznym oddziałem czerwonych satynowych poduszek. Jedynym elementem przypominającym, że znajdują się na jachcie, a nie w luksusowym hotelu, był kołyszący się widok portu za iluminatorem umieszczonym nad łóżkiem.

Wmaszerował do środka i rzucił się obok niej na łóżko, lądując twarzą na miękkich poduchach.

– Och, tak! – jęknął stłumionym głosem. – Wreszcie prawdziwe łóżko!

Już dość dawno nie spali w prawdziwym łóżku, a miękka trawa pod śpiworami, która szybko się wygniotła, i odgłos łopoczących płacht namiotu nad głową jakiś czas temu straciły swój urok.

Johnny zrzucił z nóg adidasy i przekręcił się na wznak. Przez kilka minut można było odnieść wrażenie, że oboje zaraz zasną, ale on nie mógł za długo opierać się jej wdziękom. Najpierw przeciągnął dłonią po krzywiźnie jej bioder, potem po ramieniu, włosach spalonych słońcem niemal na jasny blond i skórze o takim miodowym odcieniu, którego nie widział u nikogo innego.

– W jednym z pudeł... – zaczęła, unosząc wysoko nogi, żeby jednym szybkim ruchem ściągnąć z siebie zarówno dzinsy, jak i majtki – ...jest sukienka z metką, a na niej cena trzech tysięcy dolarów. Jak ktoś może wydać trzy tysiące dolarów na sukienkę?

Johnny pomógł jej się uwolnić od bluzki i zaczął delikatnie pieścić wargami jej sutki.

– Tylko pomyśl, co moglibyśmy kupić za takie pieniądze – odparł. – Mielibyśmy już własną łódź... wspaniały dwumasztowy trzydziestopięciostopowy kecz z tekowymi pokładami. Popłynęlibyśmy nim przez Pacyfik, przybijalibyśmy, gdzie dusza zapragnie... i kiedy dusza zapragnie...

Popatrzyła na niego i się uśmiechnęła. Czasami aż serce ją bolało od całej tej miłości, którą go darzyła, bo nawet nie miała pojęcia, że można aż tak bardzo kogoś kochać. Czasami ich miłość wydawała się nieskończona, bezgraniczna, że czuła się jak astronauta unoszący się w niej bez ciężenia. Teraz czule pocałowała go w czoło i delikatnie przeciągnęła palcami po włosach, które sterczały na wszystkie strony, posklejane słoną wodą.

– Będę łowił dla ciebie ryby – powiedział, po czym uniósł się na łokciu i pocałował ją. – Będę dla ciebie nurkował. Będę wyławiał perły albo gąbki...

Przywykła już do adoracji, po prostu tak już było między nimi. Wcześniejsze życie wydawało jej się mgliste i mało ważne. Od czasu tamtej nocy, kiedy się całowali w celi komendy policji w Barnes, po tym jak Johnny został aresztowany, byli nierozłączni. Ku przerażeniu matki w dniu swoich szesnastych urodzin przeniosła się do jego kawalerki w Roehampton. Jej matka nigdy nie zaakceptowała Johnny'ego, którego uważała za obiboka niezdolnego do znalezienia porządnej pracy i zarobienia na godziwe życie, co oznaczało, że całkowicie mijała się z prawdą, gdyż właśnie z tych powodów Clem tak bardzo go kochała. Ale matka nigdy jej nie rozumiała, od tak dawna, jak Clem tylko sięgała pamięcią, patrzyła na nią z wyrazem zaskoczenia i rozczarowania w oczach. Clem wołała się do tego nie przyznawać – w końcu matka była dla niej jedyną życiową ostoją – jednak często czuła się zakłopotana z jej powodu, głównie przez brak wyobraźni i kurczowe trzymanie się konwenansów. Czasami, zwłaszcza gdy przebywali wszyscy w domu Love'ów i jej matka robiła jakąś banalną uwagę na temat pogody albo herbaty, po prostu robiło jej się wstyd. Ale odkąd wyruszyli w tę podróż, zauważyła zmianę w swoim nastawieniu, z perspektywy czasu irytacja ustępowała miejsca czułości, jakby z dystansu tysiąca kilometrów mogła wreszcie docenić swoją matkę. Postanowiła, że gdy odwiedzi jeszcze dom rodzinny, postara się traktować ją inaczej. Ale prawda była taka, że to rodzina Johnny'ego stała się jej rodziną, podziwiała ich, a oni przyjęli ją do swego grona tak, jak przyjmowali wszystko, co ich spotykało w życiu. Kiedy zamieszkali w Putney, ojciec Johnny'ego wchodził rano do ich sypialni z gorącą herbatą i odsłaniał zasłony w oknie, najczęściej recytując jakąś odę.

– *Czy mogę cię porównać do letniego dnia?* – zaczynał, zwracając się do letniego dnia.

Zatrudnił ich w swojej firmie budowlanej, ale gdy nie mieli nic do roboty, zazwyczaj można ich było znaleźć w łóżku kawalerki w wieżowcu w Roehampton. Ułożyli sobie gruby materac tuż przy oknie, żeby mieć zapewniony widok na Richmond Park. Nie uprawiali całego czasu seksu, niekiedy tylko leżeli godzinami, z czułością spoglądając sobie w oczy, jak potrafią tylko kochankowie albo lunatycy, jakby nie mogli się nadziwić temu cudowi, który połączył dwie pasujące do siebie części i uczynił z nich jedność. Teraz Clem odsunęła się od Johnny'ego.

– Nie sądzisz, że przyjaciel naszego magnata dostanie szału, jak się dowie, że wszystkie

jego graty wylądowały na Kos, podczas gdy miały płynąć do Fethiye?

– To nie nasze zmartwienie, Clem – odparł Johnny, żałując, że nawet w takiej chwili ona nie może się skoncentrować na jednej rzeczy.

Kilka razy zaczerpnął głębiej powietrza przesyconego zapachem tekowych pokładów i wkrótce już się kochali na śliskiej czerwonej satynowej pościeli milionera.

Nie słyszeli jego kroków. Clem zobaczyła go pierwsza i usiadła powoli, nie zadając sobie trudu, żeby zakryć piersi, i poklepała Johnny'ego po ramieniu. Ten się obrócił i ujrzał Charliego Pottsę stojącego w drzwiach i gapiącego się na nich.

– Ach, tu jesteście – mruknął, nie okazując zmieszania i nie próbując się wycofać, jak gdyby nie zauważył, że zaskoczył ich w trakcie stosunku. – Jeśli zamierzacie dalej wyprawiać takie harce, wolałbym, żebyście robili to gdzie indziej, a nie tutaj. Na dolnym pokładzie jest kajuta w sam raz nadająca się do celów rozrodczych.

Johnny przeciągnął ręką po włosach. Oczywiście nie zamierzali się rozmnażać, Clem brała tabletki antykoncepcyjne.

– W każdym razie nie ma na to czasu... – dodał Charlie, służbiście stuknąwszy obcasami, po czym wszedł w głąb kajuty, stanął nad Johnnym i podał mu kartkę błękitnego papieru. – To telegram od szefa – wyjaśnił, usilnie starając się nie gapić na obnażony biust Clem.

Johnny uniósł kartkę do oczu, ustawiając ją tak, żeby ona też mogła przeczytać: ZATOPIĆ WSZYSTKIE RZECZY STOP NA WODACH MIĘDZYNARODOWYCH STOP.

Clem z Johnnym wybuchnęli śmiechem i poparzyli na Charliego, ten jednak miał kamienną minę.

– To chyba nie jest na poważnie, prawda? – zapytał Johnny, ocierając kropelki potu z błyszczącego od nich czoła.

– Mój szef nie słynie z poczucia humoru. – Można to było wywnioskować już po pierwszym rzucie oka na zdjęcia.

– Nie przyjmą ich tutaj? – zapytała Clem.

– Widziałaś tutejszy posterunek celny? Ma rozmiary budki wartowniczej.

– Więc chce, żebyśmy wyrzucili to wszystko za burtę? Fortepian? I meble? Pożłacane lustro? – zdziwił się Johnny. – Zepchnęli do morza?

– Zgadza się. Zrobimy to dzisiaj i później popłyniemy do Fethiye. Poza ustaloną stawką zapłacę wam dodatkowo pięćdziesiąt funtów. Czy to was zadowoli?

– Ale gdy się dowie, że płyniemy do Fethiye, pewnie będzie na nas czekał w porcie, prawda? – zaoponował Johnny po części wbrew sobie, ponieważ wizja dodatkowego zarobku podziałała mu na wyobraźnię.

– Niech będzie, co ma być. Jeśli nie zobaczy niczego na pokładzie, to niczego nie będzie żałował.

Johnny i Clem wymienili znaczące spojrzenia. Nie mieściło im się to w głowie.

– W porządku – odparł Johnny, spoglądając na szypra. – Bierzmy się do roboty.

Charlie skinął głową.

– Zatem proponowałbym, abyście albo przerwali swoją pozaregulaminową działalność, albo szybko ją dokończyli, żebyśmy mogli się przygotować do ciężkiej pracy. – Tym razem aż dwukrotnie trzasnął obcasami, odwrócił się na pięcie i wyszedł z kajuty.

„Old Rangoon” wyszedł z portu na Kos, kiedy niebo za rufą pokryło się czerwonymi pasami. Clem nie zdołała się opanować, żeby nie usiąść przed klawiaturą Steinwaya i nie zagrać dosyć trudnej sonaty Beethovena, mając pełną świadomość, że Charlie obserwuje ją uważnie. Ale znała dobrze na pamięć tylko około dwudziestu początkowych oszalałymi taktów, potem zazwyczaj udawała, że coś ją rozproszyło albo że się znudziła, bo przerywała występ przed wyjątkowo trudnym kawałkiem. Słuchacze pozostawali więc pod wrażeniem jej mistrzowskiej gry, co bardzo jej się podobało. W każdym razie Johnny zawsze przyjmował to z podziwem.

Charlie stał na górnym pokładzie rufowym i zerkał od czasu do czasu na rybackie kutry przed nimi, po czym rzucał do mikrofonu kilka krótkich poleceń swojej młodej załodze. Jego głos wydobywał się czysty i klarowny z głośnika znajdującego się obok Johnny’ego, który stał nagi do pasa, spocony, otoczony kartonowymi pudłami i wielkimi wyładowanymi plastikowymi torbami, wciąż nie mogąc uwierzyć, że zaraz przyjdzie mu spychać do morza ten ładunek wart w sumie z milion funtów. Jak gdyby liczył jeszcze na to, że zaraz podpłynie do nich motorówka z kolejną depeszą od szefa, z której dowiedzą się, że to był tylko żart, że wcześniejszego polecenia nie wolno im traktować poważnie. W szczególności jedna skrzynia przyciągała uwagę Johnny’ego, gdyż znajdował się w niej nowiutki kompas pokładowy wraz z elektronicznym systemem nawigacji satelitarnej, wart całkiem niezłą fortunę. Zwrócił na to uwagę Charliemu, który powiedział:

– Cudownie. Razem z tym zatopimy wszelkie pokusy. – A gdy Johnny zaoponował, obrzucił go krytycznym spojrzeniem i dodał: – Mamy zatopić wszystkie rzeczy, Jonathanie. Sam czytałeś depeszę. W porcie w Fethiye będzie na nas czekała policja. Zapewniam cię, że z turecką policją nie ma żartów. Widziałeś film *Midnight Express*?

Kiedy na zachodzie słońce zaczęło wplatać w błękit nieba pierwsze smugi czerwieni, posortowali cały ładunek według ciężaru. Złoto było dobre, ale marmur jeszcze lepszy. Srebro tylko niezłe. Ale drewno do kitu. Zapełnili lodówkę naczyniami stołowymi i sztucami, kompasem okrętowym i kamiennym posągami obciążyli mahoniowy stół. Nowiutki silnik do motorówki upchnęli w szafie i przywiązali go różnymi częściami garderoby, w tym także sukienką za trzy tysiące dolarów, która okazała się uszyta z wyjątkowo użytecznej elastycznej tkaniny. Pracowali szybko i efektywnie przez kilka godzin, wypełniając pościelowe poszycia z salonu Harrodsa wszelką dostępną drobnicą, biżuterią, kryształowymi wazami i fiolkami perfum. Aż ręce ich rozbolały od tej roboty, a na dłoniach narobili sobie odcisków. Skończyli jednak i teraz czekali już tylko na rozkaz Charliego, żeby zacząć to wszystko spychać za burtę.

Było już całkiem ciemno, zanim jego szorstki i zachrypnięty głos popłynął z głośników

za ich plecami, a pokład oświetliły dwie słabe lampy.

– Radar wyłączony. Silnik wyłączony. Światła nawigacyjne pogaszone. W pobliżu nie ma innych jednostek. Do dzieła!

Z głośnika popłynął jakiś ponury chorał, aż oboje popatrzyli na szypra w zdumieniu.

– To *Requiem* Verdiego – wyjaśnił do mikrofonu i ruchem ręki dał znać, żeby brali się do roboty.

Łódź kołysała się dość silnie od dziobu do rufy, ustawiona pod fale. Johnny odpiął łańcuch zabezpieczający na rufie, rozciągnięty między dwoma drewnianymi słupkami relingu, po czym zawrócił po pierwszy wypchany element ładunku. Zawierał silnik od motorówki wraz z większością biżuterii i ciężkim złoconym lustrem – nie było szans, żeby unosił się na wodzie. Przeciągnęli wór po pokładzie, trzymając go za rogi, po czym ustawili na samej krawędzi rufy.

– No, dobra, Clem – powiedział, na co ponownie chwycili bagaż, unieśli w górę i zaczęli kołysać między sobą, coraz wyżej, jak gdyby w zgodzie z crescendo muzyki płynącej z głośników. – Raz... dwa... trzy...

Puścili ciężar i popatrzyli, jak nieregularną białą masą wylatuje łukiem w powietrze, po czym ciężko spada do wody. Podeszli nawet na skraj pokładu i wychylili się przez reling, żeby zobaczyć, jak pękaty biały wór ledwie chwilę unosi się na wodzie, która wreszcie zatapia go i ściąga w mroczną otchłań, pochłaniając rzeczy warte dobrych dwadzieścia tysięcy dolarów jednym wielki haustem.

Popatrzyli na siebie, przerażeni i podnieceni tą surrealistyczną sytuacją, w której się znaleźli.

– No, dobra! – odezwała się wreszcie Clem. – Zróbmy to jeszcze raz!

Poszli więc po następną wypchaną powłokę, tym razem z ciężką marmurową lampą i srebrnymi kandelabrami. Przetaszczyli ją, rozkołysali, odliczyli do trzech i rzucili, po czym stanęli przy relingu, żeby obserwować. Przy wtórze muzyki Verdiego nastawionej na cały regulator, dość silnego wiatru i kołysania łodzi na falach w blasku księżyca czysty absurd tego, czym się zajmowali, dodawał im sił. Odliczali: raz, dwa, trzy i rzucali za burte następny ładunek. Za wypchanymi poszwami poleciało do morza łóżko z baldachimem, potem szafa i komoda na bieliznę, z której szuflady, niedającej się domknąć, wystawał wypchany łeb łosia, a jego szkliste oczy zabłyśły w świetle lamp pokładowych, zanim zniknął pod powierzchnią. W końcu zatapiali tylko rzeczy, nic niewarte graty mające spocząć na dnie Morza Śródziemnego. Pracowali bez wytchnienia, dopóki gwiazdy nie pokonały połowy swego dystansu nad ich głowami, Verdi dawno nie umilkł, a ostry żółtawy sierp księżyca nie wdrapał się na nieboskłon.

Fortepian zostawili sobie na koniec, gdyż był największym obiektem wymagającym zdwojonego wysiłku. Aż Charlie zszedł na pokład, żeby pomóc im z fortepianem i kompasem. Clem po raz ostatni przeciągnęła palcem po klawiszach, wywołując głośnie glissando. W trójkę przetoczyli instrument do relingu na pokładzie rufowym, ustawili się za nim i pchając z całych sił, nadali mu nieco impetu przed upadkiem. Mimo to majestatycznie przechylił się nad krawędzią burty, miękko wylądował w wodzie, wydając z siebie

dziwnie melodyjny akord, i dryfował krótko na falach, zanim przekreślił się na bok i zniknął w głębinach.

Przez chwilę stali we troje na pustym pokładzie, w grobowym milczeniu wpatrując się w morze. Wszystkie rzeczy zniknęły pod wodą, nie zostawiając nawet śladu po swoim istnieniu. Na powierzchnię nie wydobył się ani jeden bąbel powietrza, mogący świadczyć o tym, co zrobili.

– Zadanie wykonane – oznajmił w końcu Charlie. – Odpocznijcie trochę. Obudzę was, gdy dopłyniemy do celu.

Odwrócił się, wbiegł po schodkach, przeskakując po dwa stopnie naraz, i zniknął w sterówce.

Położyli się na koi w swojej ciasnej kajucie w rufowej sekcji pomieszczeń załogi, twarzą w twarz, ale z zamkniętymi oczami, i jak pijani pogrążyli się w mętnych refleksjach z tego, co zrobili, czym skazili ten wspaniały, jak gdyby odwrócony nogami do góry podwodny świat, dopiero odczuwając przedsmak ulgi. Byli tak zmęczeni fizycznie, że ledwie mogli się poruszać.

– Charlie nakazał, że gdyby nas pytali, choć nie powinni tego robić, mamy o niczym nie mówić policji. Niczemu nie jesteśmy winni. Nie przewoziliśmy żadnych sprzętów. Jasne, Clem?

– Jasne – powiedziała i ziewnęła. Bolało ją całe ciało.

Johnny delikatnie musnął palcami jej włosy za uchem i zaraz usnęła. Niedługo później i on zamknął oczy, zapadając w sen. Oboje zasnęli kamiennym snem, wyzutym z sennych marzeń.

Dziwne było to, że policja wcale na nich nie czekała w Fethiye. „Old Rangoon” dobił do nabrzeża krótko po świcie i na pokład weszli celnicy w swoich fluorescencyjnych kamizelkach, z sumiastymi wąsami, paląc papierosy bez filtra i świecąc latarkami w każdy ciemny kąt. Pokręcili się po jachcie, lecz o nic nie pytali, podsunęli Charliemu papiery do podpisu i zeszli na ląd.

Nie napotkali więc żadnych kłopotów, dopóki nie wrócili do Bodrum.

Spóźniony dolmusz w końcu zajechał na przystanek. Błyszczące gwiazdy pstrzyły niebo niczym rozpryski farby, a silny wiatr znad morza wzbijał w powietrze śmieci i wydymał długie luźne koszule mężczyzn spieszących do meczetu, wezwanych na modlitwę przez muezzina z minaretu. Kiedy wysiadali z autobusu, owionęła ich mączysta woń pieczonego chleba przemieszana z natarczywie słodkim zapachem kwiatów. Nie czuli się już obcy w tym mieście, przybycie tutaj przed siedmioma tygodniami na pokładzie małej łodzi rybackiej z Naxos wydawało im się bardzo odległe – żółte światła portu mrugające do nich w ciemnościach z odległości wielu mil na długo poprzedzały wyłonienie się zza horyzontu białych zabudowań i potężnego zamku, pogrążonych w niesionym echem wezwaniach z minaretu. Mimo to dopiero po pewnym czasie uderzyło ich, że już nie są w Europie, ale na drugim kontynencie, w kraju muzułmańskim. Nie licząc sprzedawcy z baru z kebabem w

Hammersmith oraz starszego gościa z ich wieżowca, który nigdy nie korzystał z windy, nie spotkali dotąd żadnego innego Turka. Ale teraz, gdy wysiadali z dolmusza, czuli się w Bodrum jak w domu.

Postanowili, że mając trochę pieniędzy, dogodzą sobie i spędzą kilka nocy w pensjonacie Genghisa, żeby w tym czasie poszukać sobie nowej pracy w stoczni, a gdyby udało im się zaoszczędzić jeszcze więcej, mogliby za parę tygodni złożyć namiot i wyruszyć dalej na wschód.

Johnny zarzucił sobie dużą czerwoną torbę podróżną na ramię i zeskoczył z progu dolmusza na chodnik. Torba ważyła połowę tego, co zwykle, gdyż większość swoich rzeczy Clem zostawiła w namiocie. W środku były tylko ich śpiwory, trochę jej gratów i ubrania na zmianę. Gdyby to od niego zależało, zawsze podróżowałiby tylko z takim bagażem.

Clem była w doskonałym nastroju po targu, jakiego dokonał w drodze. W ciągu pierwszej godziny podróży kierowca zatrzymał autobus na poboczu, żeby zabrać stertę dywanów. Johnny patrzył przez okno z podziwem, jak sterta dźwiga się z ziemi i o własnych siłach wsiada do dolmusza. Wdrapała się po schodkach i ruszyła ciasnym przejściem na tył autobusu, w ich kierunku. Serce w nim zamarło, gdy uzmysłowił sobie, że turyści przyciągają handlarzy jak magnes. Autobus był prawie pusty, podróżowały nim jeszcze tylko dwie starsze kobiety i gapiący się na nich nachalnie facet, siedzieli jednak kilka rzędów dalej. Sterta dywanów przystanęła i po krótkim namyśle klapnęła ciężko obok Johnny'ego w ostatnim rzędzie. Zdążył zauważyć tylko starczą pomarszczoną dłoń i mocno podkrążone oko wyglądające spod zwałów tkanin. Nic więcej.

– Anglicy? – doleciał go stłumiony głos, gdy autobus podskoczył na wybojach i wyjechał z powrotem na szosę z głośnym pobrzękiwaniem jakichś poluzowanych części. Johnny udał, że nie słyszy.

– Amerykanie? – padło kolejne pytanie.

Szorstkie dywany ocierały mu się o rękę, załatywało od nich kurzem, ale nie był to nieprzyjemny zapach. Johnny pokręcił głową, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Anglicy – odpowiedziała Clem, wychyliwszy się zza niego, żeby pomacać brzeg granatowo-czerwonego wyrobu tkwiącego w środku sterty.

Johnny popatrzył na nią ze zgrozą. Od razu wyczuł, podobnie jak sprzedawca dywanów, że obudziła się w niej ciekawość. W przekrwionym oku pojawił się błysk chciwości, a pomarszczona dłoń zaczęła wyciągać dywanik.

– Piękny, ręczna robota, sto procent naturalny barwnik... mata modlitewna... – zaczął recytować szybko Turek.

– Nie mamy lir – ostrzegła Clem.

– Bóg słyszy modlitwy z tego dywanika... to magiczny dywanik... Sterlingi? – padło pytanie, a błyski w oku handlarza przybrały na intensywności. – Sterlingi dobre – ciągnął. – Dla was specjalna cena... Tylko czterysta funtów za ten dywanik, bardzo specjalna cena.

Clem zaśmiała się i pokręciła głową.

– Cztery funty? To chyba żart!

– Trzysta dziewięćdziesiąt... – padło szybko, a pomarszczona dłoń wyciągnęła się ku nim przyzywająco, żeby podkreślić, że ta korzystna cena nie będzie oferowana zbyt długo.

Ale im się wcale nie spieszyło. Sterta dywanów siedziała przy nich przez sześć godzin i nawet na sekundę nie przestała się targować. Najpierw grzecznie ignorowali handlarza, potem zaczęli stanowczo odmawiać, pograżyli się w rozmowie, wreszcie Johnny zrobił sobie z waty zatyczki do uszu i zapadł w drzemkę, ale gdy się obudził, stwierdził ze zdumieniem, że Turek wciąż proponuje nowe niższe ceny.

Gdzieś w czasie piątej godziny podróży, po krótkiej przerwie na wymianę przebitego koła i niezrozumiałej szarpaninie między siedzącymi z przodu starszymi kobietami, Johnny znów zaczął wyławiać to, co mówi siedzący obok niego handlarz. A mówił teraz cicho, zrezygnowanym tonem, łypiąc jedynym widocznym okiem spod zwałów tkanin, lecz jego nieustępliwość i oferowana teraz cena kazały zwrócić na niego uwagę.

– Powiedział pan: cztery funty? – Johnny obrócił się powoli ku niemu i popatrzył na stertę dywanów. Oko wyjrzało spod niej, nagle ożywione, i zamrugało szybko, jakby wychodziło z transu.

– Tak, cztery funty sterlingi, bardzo proszę – mruknął ociężale Turek.

– Zgoda.

Clem była podniecona. Do końca podróży w kółko rozwijała matę modlitewną, oglądała i zwijała z powrotem. Dywanik był nieduży, miał około metra na sześćdziesiąt centymetrów, nie miała jednak wątpliwości, że handlarz mówił prawdę. Wypowiadane na nim modlitwy powinny zostać wysłuchane. Wręcz czuła jego moc. W jej dłoniach spoczywała nie tylko historia maty, ale także jej przyszłość. Któregoś dnia chciała opowiedzieć wnukom, jak to razem z Johnnym kupiła ten dywanik w czasie podróży autobusem za cztery funty.

Kiedy wysiedli w Bodrum i ruszyli w stronę rynku, niosła ciasno zwinięty dywanik pod pachą. Nie mogła się doczekać, kiedy go pokaże Genghisowi. Znał się na wielu rzeczach i z pewnością powinien być pod wrażeniem jej zakupu.

Przecisnęli się przez zatłoczony plac i skręcili w stronę nabrzeża, gdzie pnie wszystkich drzew były pomalowane na biało, jakby dla przyzwoitości zostały ubrane w spódniczki. Głośno szeleściły listowiem targanym przez silny wiatr od morza. Ktoś porozwieszał w koronach parę latarni i te kołysały się teraz dziko. Przy skrzyżowaniach stały grupki mężczyzn niemających nic specjalnego do roboty, tylko starsi raczyli się herbatą i grali w oko. Jak zwykle przerywali rozmowy i oglądali się ciekawie za przechodzącą parą. Tuż za kafejką jazzową jakiś staruch z krzaczastymi siwymi wąsami pożółkłymi od nikotyny wykrzyknął coś w ich kierunku i zamachał ręką.

– O co mu chodzi? – zapytała Clem.

Johnny nie odpowiedział, tylko wziął ją pod rękę i przyspieszył kroku. Nie znosił spojrzeń, jakimi obrzucali ją tutejsi mężczyźni. Zdarzało się, że nie bacząc na jego obecność, wyciągali ręce i sięgali do jej piersi albo krocza. Dlatego wołał iść szybciej. Na

plytach chodnika pojawiły się ciemne plamki pierwszych kropli deszczu. Skręcili wzdłuż przystani, z której mętny blask latarni ledwie sięgał do ulicy, za to skrzył się w dwójnasób na rozkołysanej powierzchni morza. Puste łodzie rybackie przywiązane do wielkich żelaznych pierścieni wpuszczonych w betonowe nabrzeże podskakiwały na falach, inne, zakotwiczone w drugim rzędzie, były już słabiej widoczne, za to z głośnym stukotem obijały się o siebie, a ich olinowanie furkotało i podzwaniało na wietrze. Między ciemnymi chmurami od czasu do czasu pojawiał się żółtawy sierp księżyca, wyławiając z ciemności zarys potężnego zamku stojącego po przeciwnej stronie portu, a nad wodą niosły się dźwięki muzyki i gwar głosów płynący z barów i restauracji.

Deszcz zaczął przybierać na sile, toteż ostatnią część drogi do pensjonatu Genghisa pokonali biegiem. Zwrócili uwagę na dziwną krzątanicę na przystani jachtowej w dole. Stało przed nią kilka wozów policyjnych, a gliniarze wędrowali pomostami i świecili latarkami na łodzie. Johnny zastukał do drzwi Genghisa, ale nikt nie odpowiedział. Załomotał więc mocniej. Odchyliła się okiennica okna na parterze i właściciel pensjonatu wyjrzał na zewnątrz. Rzucił kilka niezrozumiałych słów po turecku i nerwowo rozejrzał się po ulicy. Zaraz jednak szybko zamknął okno, a po chwili dały się słyszeć jego kroki na schodach. Otworzył im drzwi.

– Wchodźcie szybko – powiedział, niemal wciągając ich do środka, po czym błyskawicznie zamknął drzwi i oparł się o nie ramieniem, jakby ze strachu, że ktoś będzie chciał je wyważyć.

– O co chodzi? – zapytał Johnny. Jeszcze nie widział tak zdenerwowanego Genghisa, który należał do ludzi pogodnych i często się uśmiechał.

– Musicie uciekać, Johnny – szepnął Turek. – Musicie jak najszybciej uciekać z Bodrum.

– Co? Dlaczego?

– Nie wiem, co się stało... ale wszędzie was szukają. – Genghis naprawdę wyglądał na przerażonego, wargi mu drżały, nie śmiał podnieść wzroku z podłogi.

– Kto? Kto nas szuka? – wydukał Johnny, zaskoczony jego stanem. Niesamowite wydarzenia minionej nocy nagle zaczęły nabierać złowrogiego znaczenia.

– Dziś rano przyszli po wasz namiot, złożyli go, zabrali wasze rzeczy. Poszli do restauracji Attili i rozwalili jeden stolik, ale Attila nic nie powiedział...

– Kto, Genghis? Kto to zrobił? Policja?

– Możliwe. Nie wiem. Ale chyba nie policja... Żli ludzie. Poszli do portu i napadli na człowieka z Australii...

Johnny'emu serce zamarło.

– Pobili Dave'a?

Australijczyk należał do ludzi, o których nie da się powiedzieć ani jednego złego słowa. Pracowali z nim od wielu tygodni. Budował własny jacht z siatkobetonu, przeznaczony specjalnie do celów przemytniczych. Szmugłował broń, dywany i Bóg wie, co jeszcze. Na pewno stanąłby w ich obronie, gdyby ci ludzie nie dopadli go pierwszego.

– Jest w szpitalu. Roztrzaskali jego łódź.

– Mój Boże... – jęknęła Clem, której krew odpłynęła z twarzy.

– Byli tu dziś rano i wypytywali mnie o jakąś ciężarówkę z Wielkiej Brytanii. Wiedzieli, że popłynęliście na Kos. Też się tam wybrali. Potem wrócili. Popłynęli do Marmaris. I też wrócili. Teraz czekają tutaj. Musicie uciekać, zanim was znajdą. Uciekajcie. Słyszycie? Uciekajcie!

– Ale to nie może mieć z nami nic wspólnego, Genghis... – zaczął Johnny.

– Nic mi nie mów. O niczym nie chcę wiedzieć – rzucił szybko Turek, spoglądając na nich ze strachem w oczach. – Narobiliście sobie wrogów. Więc teraz lepiej uciekajcie!

– I co zrobimy? – Clem spojrzała pytająco na Johnny'ego.

Ten dźwignął z podłogi torbę i zarzucił ją sobie na ramię. A jakie mieli wyjście? Łatwo ich było rozpoznać z daleka. O tej porze roku, poza sezonem turystycznym, rzadko dało się spotkać w Bodrum obcokrajowca.

– Na pewno tu wrócą – powiedział Genghis. – Już myślałem, że to oni znów się dobijają. Nie jesteście tu bezpieczni. Musicie uciekać. Wyjdźcie tylnymi drzwiami.

Poprowadził ich przez pensjonat, szurając kapciami po podłodze wyłożonej szachownicą drobnych płytek. Johnny wziął Clem za rękę i poczuł, jak ona dygoce. Zresztą sam był roztrzęsiony, serce łomotało mu w klatce piersiowej, zwariowane myśli wirowały w głowie.

– Rzeczywiście lepiej się stąd wynosić. Zobaczymy, czy nie zostało coś z naszych rzeczy pod namiotem, a potem pójdziemy na przystań, może ktoś nas zabierze na pokład.

– Waszego namiotu już nie ma – powiedział Genghis, po cichu otwierając kuchenne drzwi. – Nie idźcie do stoczni ani na przystań. Uciekajcie. Nie rozumiecie?... To nie jest wasz kraj. Tutaj jest całkiem inaczej. Nie szukajcie pomocy policji. Lepiej pogadajcie z rybakami. Macie pieniądze? – Pospiesznie sięgnął do kieszeni.

– Tak, mamy. Dzięki, Genghis.

– Nie idźcie do portu, jasne? Czekają tam na was.

Na jego okrągłej pucołowatej twarzy malowała się tak głęboka troska, a jego dobroć była tak poruszająca, że Johnny pochylił się i uściskał go serdecznie.

– Dzięki, Genghis – powiedział.

– Turcy to dobrzy ludzie. Przykro mi.

Właściciel pensjonatu otworzył szerzej drzwi i najpierw sam wyjrzał na dwór, żeby sprawdzić, czy droga wolna. Wymknęli się w zacinający deszcz, wdzięczni mu za osłonę, przeskoczyli niewysoki murek i przebiegli przez ulicę, chcąc szybciej znaleźć się poza zasięgiem światła latarni. Poszli ścieżką wzdłuż terenu pensjonatu i dopiero wtedy uświadomili sobie, że prowadzi ona wzdłuż otwartego terenu, na którym stał ich namiot, kiedy zobaczyli zaparkowany samochód blokujący im dalszą drogę. Natychmiast zawrócili i oddalili się powoli, ale jak tylko skręcili za róg, ruszyli biegiem w dół zbocza i zatrzymali się dopiero przed ulicą prowadzącą do przystani.

– Może powinniśmy jednak wyjaśnić wszystko na policji – szepnęła zadyszana Clem, kurczowo ściskając pod pachą matę modlitewną. – Na pewno nie szukają nas. Nie zrobiliśmy nic złego.

– Nie – odparł stanowczo, ponieważ nie ufał policjantom.

Rozmyślał gorączkowo. Deszcz zaciął coraz mocniej. Zapatrzył się na jego smugi widoczne w świetle ulicznej latarni. W porcie na dole zawracał jakiś samochód, snopy światła reflektorów przesunęły się po falach.

– Ktoś idzie – szepnęła Clem, zerkając przez ramię w ciemność zatapiającą uliczkę, z której dobiegało postukiwanie obcasów.

Johnny spoglądał na główną ulicę, wciąż starając się rozeznąć w sytuacji, niezrozumiałej i niewiarygodnej. Od strony rynku mężczyźni stojący przed herbaciarnią zniknęli w środku z powodu deszczu, pozostał tylko ten staruch z wybująymi wąsami, który spod parasolki rozglądał się ciekawie przy sąsiednim skrzyżowaniu. Johnny ścisnął rękę Clem i pociągnął ją do przodu, przez ulicę, w stronę niewielkiej kępy krzaków rosnącej między promenadą a nabrzeżem przystani. Dali nura pod jej osłonę. Potrzebował trochę czasu na przemyślenie sobie wszystkiego i znalezienie jakiegoś wyjścia. Odniósł wrażenie, że mimo szumu deszczu doleciały do niego trzaski krótkofalówki. Nie miał wątpliwości, że musiał maczać w tym palce ktoś ze służb celnych.

– Musimy przedostać się dalej tą drogą – powiedział.

– Ale na pewno nie tędy, pod okiem tego faceta – przekazała szeptem Clem.

– Jasne. Spróbujmy z drugiej strony podejść do portu.

Wyskoczyli z zarośli i pobiegli nabrzeżem aż do osłoniętej części plaży, gdzie rybacy wyciągali swoje łodzie na brzeg. Przywarli plecami do ściany budynku, żeby złapać oddech.

– Boisz się, Johnny? – zapytała Clem z ociekającymi deszczem włosami oblepiającymi jej mokre policzki, wciąż kurczowo ściskając pod pachą dywanik.

– Jak jasna cholera – przyznał otwarcie.

Od razu pożałowała, że tak powiedział, bo czuła, że prawie do końca wyczerpała swoje zapasy odwagi. Nie powinien był tego mówić. W ogóle nie powinien był okazywać lęku – dopóki tego nie robił, zawsze jakoś im się udawało, jakoś dotąd nie spotkała ich żadna krzywda. Dlatego teraz poczuła przypływ paniki. Wziął ją za rękę i w ciemnościach pobiegli pod zadaszeniem na skraju plaży, mając nadzieję, że szum deszczu stłumi ich kroki. Kiedy wypadli spod zadaszenia w rześisty deszcz na nabrzeżu, Johnny tylko poprawił ciężką torbę na ramieniu, starając się zakryć rękoma ich twarze. Ruszyli szybkim krokiem przez półmrok na nabrzeżu, omijając łukiem półkola światła rzucane przez pływające olbrzymy, pozamykane i opustoszałe, a i tak lepsze od miejscowych kutrów rybackich i puszczonej samopas łodzi. Dłoń Clem w jego palcach wydała mu się drobna i śliska, ale tylko ścisnął ją mocniej, zdeterminowany, żeby minąć wszystkie kutry. Teraz znowu musieli je minąć, lecz tym razem w celu umożliwienia sobie dalszej drogi w wędrówce poza miasto.

Przeszli obok wejścia kawiarni osłoniętego żółtą markizą, spod której gwar głosów i śmiechy wylewały się na skąpaną w deszczu drogę. Kiedy okrążali keję, przed nimi, u wylotu uliczki, w którą powinni skręcić, pojawiło się dwóch ludzi z latarkami, co wręcz wbiło ich w ziemię. Jeden z mężczyzn zawołał coś do drugiego, toteż Johnny i Clem pospiesznie dali nura w cień rufy zacumowanego guletu, a Johnny aż zaklął pod nosem.

– Z tyłu nadchodzi czterech mężczyzn – szepnęła Clem, zerkając trwożliwie przez ramię.
– Za nami jest aż czterech...

Odwrócił się szybko i mimo ciemności od razu spostrzegł idących w tym kierunku czterech mężczyzn, oddalonych o jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Wskakuj na pokład.

Przeskoczyli nad burtą, knagami oraz linami i ostrożnie ruszyli w deszczu w kierunku sterówki. Johnny'emu przyszło na myśl, żeby ukraść którąś z łodzi. Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu, bo musieliby przepłynąć całą marinę i na pewno nie udałoby im się wyjść w morze.

– Musimy się tylko tam przedostać – powiedział, wyglądając znad krawędzi burty rufowej, i ruchem głowy wskazał uliczkę, u której wylotu wciąż kręciło się dwóch ludzi z latarkami. – Chyba że spróbujemy w drugą stronę... – Obejrzał się w kierunku zamku i skał u jego podnóża.

Przyczaili się w sterówce, kucając pod oknami, dopóki mężczyźni nadchodzący ich śladem nie dołączyli do tamtych dwóch, a cała grupka nie podzieliła się na dwie mniejsze, z których jedna zajęła posterunek pod żółtą markizą restauracji, a druga zawróciła do portu. Zamiast wrócić na nabrzeże, zaczęli się ostrożnie przekradać z jednej łodzi na drugą, gdyż były zacumowane burta w burtę. Johnny niósł torbę podróżną na ramionach, jakby to był plecak, a Clem wciąż ścisnęła pod pachą dywanik. W ciemności udawało im się jednak przekradać niepostrzeżenie nad burtami.

Z tyłu rozległ się okrzyk, promienie latarek zaczęły prześlizgiwać się po pokładach i olinowaniu jednostek, które zostawili za sobą. Teraz zostało im już tylko jedno wyjście, zagłębić się jak najszybciej u podstawy zamku w labirynt falochronu utworzonego z olbrzymich głazów.

Byli jednak sprawni fizycznie, toteż pomknęli co sił przez deszcz. Ścigały ich głośnie okrzyki mężczyzn i przesuwające się na wszystkie strony po falach snopy światła, ale nawet się nie oglądali, dopóki nie dotarli do pierwszych głazów. Zadyszani, przemoknięci i przerażeni, zaczęli się po nich wdrapywać na czworakach, w panice ześlizgując się z mokrych skał. Clem aż jęknęła cicho z bólu, gdy rozciąła sobie policzek. Ale Johnny złapał ją za rękę i pociągnął wyżej, tak silnie ściskając jej nadgarstek, że zdrętwiały jej palce, a ramię omal nie wyrwało się z barku. Dopiero na szczycie falochronu przystanęli i popatrzyli na port za nimi. Poszukujący ich ludzie gdzieś się pochowali na ulicy, zostało tylko dwóch z latarkami sprawdzających zacumowane jachty, ale posuwali się w złym kierunku.

– Jezus, Maria... – syknęła szlochająca Clem i otarła łzy spływające jej po twarzy. Dygotała na całym ciele. – Czego oni od nas chcą?

Johnny wciąż spoglądał na mężczyzn krążących po pokładach łodzi. Zauważył innych biegnących ulicą w stronę portu. Oparł się plecami o skałę.

– Co chcą z nami zrobić? – pisnęła zapłakana Clem.

– Nie wiem – odparł, gorączkowo wodząc spojrzeniem po całym porcie.

Bo niby skąd miałyby wszystko wiedzieć? Wciągnął ją głębiej między głązy, pod ich osłonę przed snopami światła latarek, i tam przykucnęli, oparci plecami o skały, starając się w miarę możliwości ukryć też przed deszczem w oczekiwaniu, aż całkiem ucichną krzyki i tupania. Oboje tak samo byli zaszokowani i przerażeni, więc jeszcze przez długi czas szybko oddychali, starając się uspokoić serca dziko łomoczące w piersi. W końcu nastąpiła jednak cisza, w której otaczał ich tylko szum wody, odgłos fal uderzających o głązy i deszczu spadającego na skały. Johnny wciąż się zastanawiał, co teraz mają zrobić.

Clem odsunęła się od niego, skuliła ciaśniej i oparła czoło na kolanach. Gdzieś w oddali grzmot przetoczył się po niebie. Podniosła głowę i popatrzyła na morze. Nie mieli dokąd uciekać. Nie mieli o czym rozmawiać.

Kiedy wreszcie się odezwała, w jej głosie nie wyczuwało się już paniki. Zapytała spokojnie, opanowanym tonem:

– Dlaczego zawsze musi nam się przydarzyć coś takiego?

– Wcale nie zawsze – burknął.

– Owszem, zawsze.

Nie potrafił temu zaprzeczyć. Zawsze kończyło się jakąś katastrofą. We Francji pracowali dla obrzydliwego typka, który okantował ich ze wszystkich pieniędzy. We Włoszech zostali napadnięci nie raz, ale dwa razy, przez co musieli podróżować przez Jugosławię z zatrzymanym okazjnie kierowcą, który wciąż się przebierał bez żadnego wyraźnego powodu. Nawet ich ślub zakończył się fatalnie, bo on zapomniał wziąć pieniądze na opłacenie noclegu w drogim hotelu w Padstow, musieli więc uciekać przez okno, zjeżdżając po rynnie.

– Różne rzeczy się zdarzają w czasie podróży – powiedział, chociaż sam się zastanawiał, jak innym udaje się uniknąć wpadek w czasie wakacyjnych eskapad. Bo przecież Rob i jego dziewczyna zawsze wracali z podróży pięknie opaleni, z opowieściami o zrealizowanych marzeniach.

Clem nie odpowiedziała, tępo wpatrując się w odległy horyzont. Później zamknęła oczy, znów oparła czoło o kolana i pogrążyła się w fantazjach. Łatwo jej to przychodziło, potrafiła sobie wyobrazić siebie w innych miejscach tak dokładnie, że czasami odnosiła wrażenie, jakby naprawdę znalazła się gdzie indziej. Tym razem poniósł ją szum deszczu, który w jej myślach stał się deszczem kornwalijskim. Tyle że chłostał szyby niewidoczne za zasłoniętymi oknami domku letniskowego, a ona wygrzewała się w miękkim wygodnym fotelu przysuniętym do kominka i oglądała jakiś film na starym czarno-białym telewizorze. Johnny siedział na podłodze u jej stóp, oparty o brzeg fotela, a jego ojciec leżał na sofie w samych szortach, z rękoma złożonymi pod głową i zmierzwionymi siwymi włosami. Od czasu do czasu obraz na ekranie telewizora się rozmywał i Johnny albo jego ojciec musieli

wstawać i poprawiać druciany wieszak z pralni, wystający z tyłu odbiornika i pełniący funkcję anteny.

– Przykro mi, Clem – odezwał się Johnny.

Krople deszczu ściekały za kołnierz jej bluzki, czuła, że wzdłuż kręgosłupa spływają jej już aż do majtek.

– Nic się nie stało – odparła ciężko i obróciła głowę w jego kierunku, ale nie otworzyła oczu.

Domyślał się, że myślami powędrowała gdzieś daleko, uważał jednak, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nawet w rwącym górskim strumieniu po utracie wiosł można było zamiast nich użyć rąk, żeby popłynąć dalej. Wstał i rozejrzał się dokoła, powiódł wzrokiem po morzu, wreszcie sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie zgubił woreczka z tytoniem. Wytarł palce o koszulę, pod osłoną swetra zwinął sobie skręta i zapalił, po czym osłonił palcami żar papierosa. Pomyślał, że jeśli przeczekają tu jeszcze godzinę albo dwie, a potem wrócą na ulicę, będą bezpieczni. Wtedy Clem się przekona. Wejdą na przełęcz, tam złapią jakąś okazję i jutro wieczorem będą się już śmiać z tej przygody. Kiedy się odwrócił, żeby dać się jej zaciągnąć dymem, klęczała na dywaniku z dłońmi złożonymi do modlitwy, bezgłośnie poruszając wargami.

– Co ty robisz, Clem?

– Modłę się na swojej macie modlitewnej. Przecież ona właśnie do tego służy.

– Ale ty nie jesteś muzulmanką.

– Bóg nie zwraca uwagi, jaką religię się wyznaje.

Pstryknął przemoczonym niedopałkiem do wody. Wiedział, że ona wierzy w anioły, duchy i własną prywatną wersję boga, którego zdaniem chodzenie do kościoła to strata czasu i który dobrze się bawi, przyjmując najdziwniejsze pobożne życzenia. Ale jeszcze nigdy nie widział, żeby się modliła, tym bardziej na klęczkach. Poczuł, że tym razem naprawdę bardzo się na nim zawiodła. Lecz nie powinna była szukać u nikogo pociechy. Brzydził się myślą, że ona może być zależna od kogoś innego.

Boże, jeśli słuchasz jej prośb, wyciągnij nas z tego.

Oboje równocześnie usłyszeli muzykę. Zdawała się dobiegać zza strug deszczu. Dźwięczny, klarowny, dosłownie anielski kobiecy głos śpiewał przy akompaniamencie gitary. Piosenka rozbrzmiewała gdzieś bardzo blisko, między głazami za zakrętem, tuż poza zasięgiem wzroku, jakby siedziała tam syrena i śpiewała specjalnie dla nich, kusząc ich swym głosem. Osłupiali, popatrzyli na siebie, bojąc się poruszyć choćby jednym palcem, jakby cudowny głos rzeczywiście miał ich wybawić z kłopotów. Kobieta śpiewała o wschodzie złego księżyca, który sprowadzał trzęsienia ziemi i błyskawice, huragany i powodzie, ale teraz im wydawało się to najwspanialszą rzeczą na świecie.

Syrena dalej śpiewała dla nich, wyrażając na głos ich troski, aż Johnny zamknął oczy i uniósł twarz do nieba, wystawiając ją nie tylko na uderzenia kropli deszczu, lecz także na niebiańską muzykę.

Zauroczeni tą sytuacją, wstali i ruszyli powoli, jakby w obawie, że każdy gwałtowniejszy ruch przeszkodzi śpiewaczce. Johnny schylił się i powoli dźwignął z ziemi torbę podróżną, a Clem powoli zrolowała swoją matę i wsunęła ją pod pachę, po czym wzięła Johnny'ego za rękę i oboje poszli w stronę źródła muzyki, dostrojeni do jej brzmienia, przeskakując swobodnie z jednego głazu na drugi, gdyż wstąpiła w nich nowa nadzieja i zostali podniesieni na duchu.

Ich oczom ukazała się niewielka, prawie całkiem pusta zatoczka. Aż nie mogli się nadziwić, że nigdy wcześniej tu nie byli, jak gdyby teraz wyłoniła się z niebytu wyłącznie na ich użytek. W następnej zatoce znajdowała się przystań jachtowa, w której bywali prawie codziennie. Ale ta musiała być niewidoczna z drogi.

Na wodzie kołysały się nieliczne małe jachty, a z ciemności wyłaniało się kilka pomalowanych na biało domów stojących nad brzegiem morza. Mrok w całej zatoce rozjaśniało tylko jedno słabe źródło światła, żółty ciepły ognek palący się na pokładzie małej łodzi zacumowanej przy krótkim moło w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, kołyszącej się na wzburzonej wodzie. Stała rufą w ich kierunku i przez otwarte na oścież drzwi kajuty światło wlewało się do sterówki, a z niej padało na wodę rozedrganym zygakiem do ich stóp, rozświetlając po drodze strugi deszczu.

To właśnie na tej łodzi śpiewała syrena, której głos niósł się daleko niczym promienie słońca i napełniał swym ciepłem ich serca.

Nagle do syreny dołączył drugi głos dziecka, który w doskonałej harmonii z śpiewem kobiety podjął tekst piosenki o wschodzie złego księżyca.

Teraz, gdy Johnny i Clem ujrzeni wyraźnie w strudze światła z łodzi drogę na dół, mimo nieustannego deszczu skały wydały im się mniej śliskie, a stopy jak gdyby same odnajdywały właściwe miejsca, w których należało je postawić. A rozpadało się jeszcze mocniej i grom rozbrzmiał wyraźnie bliżej. Przebili się między głazami falochronu na nabrzeże i pokonali około dwudziestu metrów dzielących ich od nasady wąskiego drewnianego moła. Głosy nieco przycichły, gdy ich źródło zasłoniły burty jachtu. Johnny poprawił na ramionach torbę podróżną i mocniej ścisnął dłoń Clem. Kiedy skręcili na pomost, w namokłych od deszczu butach ruszyli niemal bezszelestnie po deskach w stronę łodzi i zatrzymali się przy jej rufie. Na pawęży dużymi fantazyjnymi zawijasami była wymalowana nazwa jachtu: „Mała Utopia”.

Wydała im się doskonale pasująca do ich sytuacji, jakby znaleźli niebiańską przystań pełną ciepła, światła i muzyki.

„Mała Utopia” była niedużym jachtem, najwyżej dziesięciometrowej długości. Suwklapa miała odciąć drogę deszczowi do środka, ale pod nią drzwi sterówki były uchylone, jako że zacinało teraz z prawej burty. Nad głową Johnny’ego dziko łopotała na wietrze zawieszona na achtersztagu bandera z krzyżem świętego Jerzego. Przez jakiś czas stali bez ruchu, trzymając się za ręce, przemoczeni do suchej nitki, ale jakby nieczuli na pogodę, oczarowani światłem i muzyką wydobywającymi się ze środka. W końcu przywiódł ich tu anielski głos. Pieśń dobiegała końca, lecz mimo przemoczenia i wychłodzenia chcieli jej słuchać dalej, bo przecież syrena miała przybrać ludzką postać. Na razie zadowalała ich sama obietnica bezpieczeństwa.

Kiedy umilkły ostatnie akordy gitary i deszcz znów objął panowanie nad ciemnością, Johnny odchrząknął i przekrzykując kakofonię zderzających się na wietrze części olinowania, zawołał:

– Halo?!

Nad ich głowami niebo rozcięła błyskawica.

Chwilę później osłona się odchyliła i ze sterówki wytknął głowę mężczyzna. Wysoki, potężnie zbudowany, ogorzały i nieogolony przypominał niedźwiedzia. Obiema dłońmi osłonił oczy od światła, żeby lepiej ich widzieć.

– Halo? – odpowiedział tak samo, wychodząc ze sterówki.

Miał na sobie suchy T-shirt, który w zacinającym deszczu od razu pokrył się na piersi ciemnymi ukośnymi smugami.

Przyglądali się, jak obrzuca ich szybkim spojrzeniem, a wyraz zaciekawienia na jego twarzy ustępuje miejsca zatroskaniu. Johnny uświadomił sobie nagle, jak żałośnie muszą wyglądać. Obejrzał się na Clem i w smudze światła z salonu spostrzegł długie rozcięcie na jej policzku, z którego skapująca krew zaplamiła jej mokrą bluzkę na piersiach, przez co powstały nieregularne szkarłatne smugi. Podczas ucieczki zgubiła jeden but, a dłonie, kolana i kostki miała pokryte licznymi zadrapaniami. W tych przemoczonych i zaplamionych krwią ciuchach wyglądała najwyżej na piętnastolatkę. Zdawał sobie sprawę, że on także wygląda podobnie młodo.

– Jezu... Nic wam nie jest? – zapytał Misiek, lecz żadne z nich nie wiedziało, co odpowiedzieć.

Powinno to być oczywiste, że jednak nie wszystko jest w porządku. Mężczyzna lękliwym wzrokiem spojrzał na nabrzeże w zatoce, jakby się obawiał, że jest ich tam więcej. Johnny także się obejrzał, ale w zatoce nikogo nie było, pozostałe łodzie również wyglądały na puste. Kolejny grzmot przetoczył się po niebie.

– Proszę – rzekł Misiek, wskazując wejście do sterówki. – Schowajcie się przed deszczem!

Wyciągnął rękę i Johnny podał mu przemoczoną torbę podróżną, po czym odwrócił się do Clem. Ale ona nie była w stanie się ruszyć, jakby całkiem zamarzła.

– Wszystko w porządku, skarbie – odezwał się do niej mężczyzna, pomagając jej zeskoczyć na pokład, a następnie uścisnął jej dłoń swoim gigantycznym łapskiem, drugą ręką sięgając po dywanik. – Nic ci tu nie grozi.

Spojrzała na niego i jakby nagle uprzejmość nieznanego całkiem ją rozkleiła, ponieważ łzy strumieniem potoczyły jej się po policzkach.

– Chodź szybko – powiedział łagodnie, nogą odchylając szerzej drzwi sterówki i zarzucając sobie torbę podróżną na ramię. – Wejź do środka i ogrzej się trochę.

Johnny jako pierwszy zszedł pod pokład jachtu i ociekając wodą, stanął tuż za progiem, zaskoczony suchym i ciepłym powietrzem pod pokładem. Kobieta, będąca zapewne ich syreną, siedziała w salonie od strony lewej burty, na kolanach trzymała gitarę. Przy niej siedziało małe dziecko, cztero-, może pięcioletnie. Było jak dwie krople wody podobne do matki, tylko z odziedziczoną po ojcu ciemną cerą. Żadne z nich się nie odezwało, oboje tak samo zdumionymi spojrzeniami obrzucili przybyszów z ukosa, spod nachmurzonych brwi. Dziecko przeniosło wzrok z Johnny'ego na Clem, popatrzyło na jej podrapane do krwi nogi i zwróciło się do matki z pytaniem:

– Dlaczego ta pani płacze?

– Już dobrze. Idziemy do łóżka, Kleks – powiedziała kobieta, wstając i wyciągając rękę do córeczki.

Ale ta wyrwała jej się i pomknęła przed zagadkowymi przybyszami do kajuty dziobowej. Łypnęła jeszcze na nich swoim wielkim ciemnym okiem zza drzwi, zanim powoli zamknęła je za sobą.

– Annie, przynieś mi apteczkę – zwrócił się Misiek do żony miękkiem, łagodnym basem, po czym odwrócił się do Johnny'ego. – Znaście angielski? – zapytał.

Ten przytaknął ruchem głowy.

– Jesteśmy Anglikami – odparł.

– Ktoś was napadł?

Johnny pokręcił głową. Mężczyzna skinął potakująco i zaczął myć ręce nad zlewem.

– Lepiej zdejmijcie te przemoczone ubrania.

Schylił się, wysunął szufladę spod koi za stołem mapowym i wyjął z niej kilka ręczników. Następnie podszedł do Clem, wielkim paluchem podniósł jej brodę ku górze i fachowym wzrokiem obrzucił głębokie rozcięcie na jej policzku.

– Brzydko to wygląda – powiedział i pokręcił głową, aż mokra od deszczu grzywka kręconych włosów opadła mu z czoła na oczy.

Clem pokiwała głową.

– Przewróciłam się na skałach – powiedziała, gdy zaczął delikatnie osuszać jej twarz

ręcznikiem. Zerknął jej prosto w oczy, ale zaraz odwrócił wzrok, gdy nie doczekał się dalszych wyjaśnień. Trudno było nawiązać rozmowę w tej sytuacji, toteż Clem tylko zapatrzyła się na niego, całkiem oszołomiona niespodziewanym zwrotem wydarzeń, jak gdyby zostawiła jakąś swoją część nadal moknącą w ulewnym deszczu, odrętwiałą z rozpaczy, niemającą pojęcia, gdzie się podział.

– Pewnie wiesz, że tam wyżej biegnie droga – powiedział Misiek, puszczając do niej oko.

Zapatrzyła się na jego twarz. Był około czterdziestki, oczy miał bardzo ciemne, skórę ogorzałą od słońca, włosy gęste i kręcone, policzki okryte szczeciną zarostu, lecz to jego zapach przyciągnął jej uwagę. Wydał jej się znajomy. Podobnie pachniał jej ojciec. Widocznie mężczyzna używał takiego samego mydła jak jej ojciec. Zamknęła oczy i dała się ponieść wspomnieniom.

Johnny ściągnął z siebie przemoczone ubrania, zostawiając dzinsy i koszulę w stercie na podłodze. Bez skrępowania wyprostował się, całkiem nagi, i zaczął dokładnie wycierać ręcznikiem, gdy niespodziewanie kobieta z małą dziewczynką wróciły do salonu.

– Och, przepraszam – mruknął, zakrywając się od pasa w dół.

– Widywałyśmy już podobne widoki – powiedziała kobieta z uśmiechem, stawiając na stole apteczkę. Jej uśmiech sprawiał, że stawała się uderzająco piękna, jakby rysy twarzy ulegały gruntownej odmianie. Dziewczynka położyła niewielką stertę ubrań obok apteczki i jej matka dodała: – Powinniście coś wybrać dla siebie z tych rzeczy.

– Dziękujemy – Johnny zwrócił się do dziewczynki, która ze wstydu schowała się za nogą matki i tylko wyjrzała zza niej ukradkiem, gdy zaczął oglądać przyniesione ubrania.

– Wracaj do łóżka, Kleks – mruknął Misiek, lecz mała wciąż wyglądała ciekawie zza nogi matki.

– Słyszałaś, co tata powiedział? – odezwała się kobieta, głaszcząc córkę po ciemnych włosach.

Kiedy mała zniknęła, matka otworzyła apteczkę wypakowaną po brzegi lekami chyba na każdą przypadłość znaną człowiekowi. Misiek pogrzebał w niej i zaczął szybko smarować zadrapania Clem różnymi specyfikami.

– Na pewno dobrze się czujesz, skarbie? – zapytał miękko, przyjemnym basem.

Otworzyła oczy i skinęła głową, patrząc, jak on odwraca się do apteczki i grubymi, lecz delikatnymi palcami zakręca tubkę. Dopiero teraz zauważyła, że ma ucięte końce dwóch palców prawej dłoni.

– No cóż, to powinno pomóc – rzekł, ostrożnie rozcierając maść na jej skórze z uśmiechem odsłaniającym równe białe zęby. – Ty też lepiej wyskakuj z tych mokrych ciuchów!

Johnny był już częściowo ubrany w suche rzeczy, parę przepaścistych szortów, których pasek musiał zawiązać w supeł, i wielką białą koszulkę należącą zapewne do Miśka. Clem bez wahania poszła w jego ślady, odkleiła od skóry przemoczone spodnie i zagapiła się na swoje podrapane nogi, jakby należały do kogoś innego. Z jej stóp i dolnych części łydek

wystawały drobne brunatne kolce jeżowców. Powoli rozpięła guziki bluzki, ściągnęła ją przez głowę i podała kobiecie, która wszystkie ich ubrania zebrała w ciasną kupkę i wcisnęła do szafki na mokre rzeczy. Clem została w samych majtkach, które też przemoczone, nie zostawiały pola wyobraźni, i ze zdziwieniem patrzyła na swe podrapane do krwi ciało. Johnny owinał ją suchym ręcznikiem i zaczął starannie wycierać.

– Zaraz cię od tego uwolnimy – powiedziała kobieta, wyciągając z apteczki dużą pęsetę i spoglądając na nogi Clem. – Włóż to!

Podała jej duży T-shirt i pomogła się ubrać, po czym narzuciła na ramiona gruby sweter. Clem usiadła przy stole obok Johnny'ego i zaczęła się w milczeniu przyglądać, jak nieznamy sprawnie dzielą się nożyczkami, rolką plastra i różnymi maściami, pospiesznie opatrując rany na jej nogach.

Johnny poczuł dreszcze w miarę rozgrzewania się wychłodzonego ciała. Odchylił się na oparcie siedzenia w salonie i zasłuchał w bębnie deszczu o dach kajuty w górze, w duchu dziękując bogu Clem, że za sprawą jej modlitwy natknęli się na tych ludzi. Przyglądał się obojętnie ich działaniom. Para była dużo starsza od niego i Clem. Kobieta w skupieniu zabawnie marszczyła brwi i przygryzała dolną wargę. Miała błękitne oczy o kącikach lekko wygiętych ku dołowi, co nadawało jej twarzy dziwnie smutny wyraz. Kiedy podniosła głowę i pochwyciła jego spojrzenie, uśmiechnęła się. Po raz kolejny był pod wrażeniem, jak szybko wyraz smutku może zniknąć z czyjegoś oblicza, jakby uśmiech przeobrażał ją w całkiem inną osobę.

– Teraz lepiej? – zwróciła się do Clem, wycierając pęsetę przed odłożeniem jej do apteczki. – W tutejszym morzu trudno trafić na coś gorszego.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała Clem.

Rozgrzana i opatrzona czuła się dozgonnie wdzięczna. Była przekonana, że sprawiły to jej modlitwy na cudownej macie modlitewnej, które zostały wysłuchane. Ci ludzie uratowali im życie. Wyciągnęła rękę, chwyciła dłoń Johnny'ego i ucałowała po kolei każdy jego palec, mimo że spoglądała na mężczyznę, który z szafki nad przejściem do kubryku wyjął kilka szklaneczek z grubego szkła. Powoli i metodycznie powycierał je ściereczką, trzymając ostrożnie w swoich masywnych palcach, po czym nachylił się ku swojej żonie, kładąc dłoń na jej ramieniu. Z szafki przy jej kolanach wyjął dużą butelkę raki, następnie otworzył zamrażalnik i wyciągnął z niego butelkę wody mineralnej.

Dokładnie tego było im potrzeba. Przyglądali się w napięciu, jak nalewa alkohol i dodaje schłodzonej wody, aż w szkle pojawiły się białe obłoczki wirujące niczym dym w powietrzu, a dokoła rozszedł się intensywny zapach anyżku.

– Wypijcie jednym haustem! – powiedział, siadając obok żony i przesuwając szklaneczki po stole w ich kierunku.

Podnieśli je i zgodnie z radą opróżnili do dna. Johnny poczuł, jak alkohol spływa palącym strumieniem przez gardło i wlewa się falą żaru do żołądka. Misiek bez pytania nalał mu drugą porcję.

– Dziękuję – powiedział Johnny, biorąc głęboki oddech, żeby trochę uspokoić podrażniony przełyk. – Jesteśmy państwu winni wyjaśnienia.

Mężczyzna spojrział na niego z porozumiewawczym błyskiem w piwnych oczach.

– Nie jesteście nam nic winni – powiedział, sięgając na półkę za plecami po papierosy.

Palił takie, które sprzedawano w miękkich opakowaniach, toteż musiał mocno postukać w dno paczki, zanim jeden wysunął mu się między wargi. Przekrzywił głowę na bok i pospiesznie zapalił, po czym uśmiechnął się i pchnął zapalniczkę po stole w kierunku Johnny'ego.

– Jesteście głodni? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, podniósł się z miejsca i w półprzysiadzie, podobnie jak jego żona, sięgnął do szuflady pod nimi i wyciągnął stamtąd dużą paczkę chipsów, którą otworzył jednym szarpnięciem. Położył ją na stole, gestem nakazując im się częstować, a sam sięgnął po gitarę. Johnny miał wrażenie, że mężczyzna jest w ciągłym ruchu, teraz zaczął wygrywać akordy z łatwością i bez pośpiechu, jak gdyby dźwięki naturalnie i samoistnie się łączyły, tworząc melodię.

Oboje z Clem umierali z głodu. Pospiesznie sięgnęli po chipsy, natomiast gospodarze zajęli się swoimi sprawami, jak gdyby na ich jachcie wizyta wygłodniałej, przemoczonej i zakrwawionej pary była na porządku dziennym. On wrócił do gry na gitarze, ona zaczęła przyszywać guzik do jakiejś części odzieży trzymanej na kolanach. Johnny przestał jeść, gdy kobieta znowu zaczęła śpiewać, po raz kolejny zauroczony jej głosem. Położył dłoń na nodze Clem i obejrzał się na nią, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? Zawsze jakoś wychodzimy z trudnych sytuacji”. Naprawdę w to wierzył. Nigdy by jej nie zawiódł. Uśmiechnęła się, uszczęśliwiona pobytem w ciepłym i bezpiecznym miejscu. Stuknęła swoją szklaneczką o jego szklanekę i rozsiadła się wygodniej, podkuliła nogi pod siebie i zasłuchiwała się w grę Miśka oraz śpiew jego żony, w uderzenia fal o burty jachtu i bębnienie deszczu o pokład nad głową.

– Myśleliśmy, że to śpiewa syrena – powiedziała Clem, gdy kobieta skończyła pieśń.

Uniosła głowę znad szycia i śmiech znowu odmienił rysy jej twarzy.

– Albo anioł – dodała Clem. – Kiedy tam, między skałami, usłyszeliśmy pani głos, zabrzmiał dla nas jak anielska pieśń.

– Naprawdę?

– Poważnie. Myślałam, że to anielski śpiew.

– Zapewniam cię, że nie jestem aniołem – odparła kobieta, gdy jej rysy znowu utraciły lekkość. Ze zmarszczonymi brwiami pochyliła się z powrotem nad swoją robótką.

– Ale głos masz anielski – przyznał Misiek, spoglądając na żonę i brzdąkając w zamyśleniu.

– Może i tak, ale nie tylko ja jedna, prawda? – odrzekła, spoglądając swymi jasnymi lekko skośnymi oczami na niego. Sięgnęła po szklaneczkę i dopiła raki.

– Nawiasem mówiąc, nazywamy się Frank i Annie – powiedział Misiek.

– Johnny i Clem – przedstawił ich Johnny, jak gdyby salutując trzymaną w dłoni szklaneczką.

Ryk grzmotu rozbrzmiał tak głośno, że aż wszyscy czworo podskoczyli na miejscu.

– Boże jedyny! – mruknął mężczyzna, gdy za szybą zamigotała błyskawica, jakby nie kontaktowało jej zasilanie.

Wstał i podszedł do zejściówki i pchnięciem otworzył drzwi kajuty. Johnny odniósł wrażenie, że Frank lekko utykał na stopniach. Miał na sobie długie do kolan, workowate szorty, z których wyłaniały się silne nogi porośnięte ciemnymi włosami. Po wewnętrznej stronie łydki ciągnęła się długa blizna. Wychylił się do sterówki i spojrzał w stronę masztu.

Johnny odwrócił głowę i wyjrzał przez pleksiglasowe okno za sobą. Zygzakowata błyskawica przecięła niebo, rozświetlając zatokę. Stali pośród innych łodzi, głównie rybackich, rozkołysanych i obijających się o siebie. Ale na żadnej nie było ludzi, nie dostrzegł nawet żywej duszy – nikt ich tu nie szukał, tego był niemal pewien.

– Niezły sztorm – powiedział Misiek, zamykając drzwi.

Usiadł z powrotem przy stole i sięgnął po gitarę, ledwie spojrzawszy na pochłoniętą szyciem żonę. Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, co Johnny przyjął z ulgą. Mógł się w spokoju nacieszyć cudownym działaniem raki, gdyż bardzo mu się spodobało, jak trunek spowija jego umysł przyjemną anyżową mgiełką. Rozejrzał się dokoła, próbując dokładnie oszacować jacht. Zawsze go zdumiewały jednostki do wynajmu, brzydkie i niezgrabne, pozbawione elegancji, jakby spod sztancy. Przypominały praktyczne, unoszące się na wodzie, rozkołysane przykłady funkcjonalności. Wszystkie drewniane elementy wykończenia zdawały się zrobione z oklejonej dwumilimetrowej płyty pilśniowej.

– Jesteście na wakacjach? – zapytał.

– Na wakacjach? – zdziwił się Misiek, przerywając grę. – Nie. Mieszkamy na jachcie. „Mała Utopia” to nasz dom.

– Aha – mruknął Johnny, pospiesznie robiąc minę wyrażającą podziw.

Postanowił wziąć jeszcze tęgi łyk wody ognistej, żeby uniknąć jakiegoś faux pas. Misiek znów zaczął grać, a po chwili także śpiewać głębokim basem, najwyraźniej na żywo układając melodię do słów.

– Clem – odezwała się Annie, jakby nigdy wcześniej nie słyszała takiego imienia. – Od czego to zdrobnienie?

– Od Clemency. Ale nikt mnie tak nie nazywa.

– Podobnie jak Kleks. Naprawdę na imię ma Imogen. Ale nie nazywamy jej po imieniu.

– Skąd jesteście? – zapytał Misiek.

– Z Londynu. Z Putney – odparł Johnny.

– A my z drugiego końca, z Kentish Town.

– Jak długo już mieszkacie na jachcie?

Frank oparł gitarę na kolanach i ułożył rękę na krzywiźnie pudła. Johnny’ego uderzyło, że ma wyjątkowo gładkie i czyste dłonie jak na kogoś, kto mieszka na łodzi. Jego własne były pokryte odciskami i poczerniałe w zagłębieniach skóry, bez względu na to, jak bardzo starał się je domyć. W dodatku Misiek był prawie dwadzieścia lat starszy od niego. Równocześnie Johnny także zauważył brak koniuszków dwóch palców u prawej dłoni.

– Sześć lat?... – rzekł mężczyzna pytająco, spoglądając na żonę.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Przeskakujemy z jednego portu do drugiego – dodał tamten. – Zaczęliśmy we Francji i dotarliśmy aż tutaj.

Dla Johnny’ego byłaby to niebiańska perspektywa – tyle że na klasycznym jachcie, rzecz jasna, a nie w takiej plastikowej łajbie jak ta.

– Nigdy nie zatrzymujemy się w jednym miejscu dłużej niż tydzień, jeśli to tylko możliwe – ciągnął Frank. – Mieliście szczęście, że zastaliście nas tu jeszcze dzisiejszego wieczoru, bo już byśmy odpłynęli, gdyby nie to załamanie pogody.

– Dokąd zmierzacie? – zapytał Johnny.

– Chcemy opłynąć całą tę wielką turecką zatokę, a później pożegłować dalej. Tak przynajmniej planujemy.

Johnny i Clem wymienili szybkie spojrzenia, jakby oboje usłyszeli nagle to samo: możliwość zabrania się z nimi. Johnny wyjął swój woreczek z tytoniem, ze środka wyciągnął paczkę bibulek marki Rizlas, ale te okazały się przemoczone i posklejane w jeden namoknięty bloczek. Misiek pchnął po stole w jego kierunku swoją paczkę papierosów.

– Poczęstuj się – powiedział. – Jak się domyślam, nie macie dzisiaj gdzie przemocować... To się rozkłada na dwuosobowe miejsce do spania. – Głową wskazał koję, na której siedzieli razem z Annie.

– A co z waszą córeczką? – zapytał Johnny.

– Zmieścimy się. Ona lubi spać z nami.

– Dziękujemy – rzekł. – Bardzo dziękujemy. – Wystukał papierosa z paczki i poczuł, jak Clem lekko dźga go palcem w nogę. – Wybaczcie śmiałość – dodał – ale czy jest możliwość, żebyście nas podrzucili do następnego portu albo następnego miasta?

– Mamy pieniądze – dodała Clem.

Misiek z żoną wymienili spojrzenia.

– Pewnie – odparł mężczyzna. – Nie widzę przeszkód.

– Och, bardzo dziękujemy – pisnęła Clem. – Będziemy bardzo wdzięczni! Mogłabym was ucałować!

Gospodarze zaśmiali się krótko.

– Nie krępuj się! – rzucił Misiek, unosząc wysoko brwi i odsłaniając w szerokim uśmiechu białe zęby. Sięgnął po szklaneczkę.

Niewiele było trzeba, żeby Clem się upiła. Zaczęła gospodarzom na odległość przesyłać całusy nad stołem. Od raki policzki jej się zaczerwieniły, a oczy zaczęły błyszczeć. Wyglądała naprawdę pięknie. Jej urok podziałał także na Miśka. Johnny dokładnie zarejestrował ten moment. Frank pochylił się, żeby wziąć ze stołu swoją zapalniczkę, gdy nagle został rażony. Gwałtownie szarpnął się do tyłu, a uśmiech zastygł mu na ustach i po chwili zniknął. Zdarzało się, że gdy Johnny był świadkiem, jak uroda Clem działa na

mężczyzn, rozmyślał o niej jak o swoistej broni. Frank miał bowiem taką minę, jakby Clem właśnie przystawiła mu pistolet do głowy. W jego oczach na krótko pojawiły się błyski czystej bezsilności.

– Wyglądacie jeszcze jak dzieci, jeśli wolno mi się tak wyrazić – powiedział Misiek, odwracając wzrok i bezpiecznie kierując go ku swojej gitarze.

– Ale jesteśmy małżeństwem – odparła z dumą Clem, jednym haustem opróżniając szklaneczkę, ewidentnie świadoma, jak jej uroda podziałała na niego. – Niedługo skończę osiemnaście lat.

– Zauważyłem obrączkę na palcu – powiedział Frank.

Clem szybko spojrzała na swoją wąską złotą obrączkę z drobnym szafirkiem. Johnny wygrał w pokera i tuż przed wyjazdem kupili sobie dwie takie obrączki za trzydzieści sześć funtów na bazarze w Kensington.

– W zasadzie jesteśmy w podróży poślubnej – wyjaśniła. Kiedy sobie o tym przypomniwała, na krótko żal ścisnął jej serce w kontraście ze wspomnieniami z ostatniej nocy. Wzięła Johnny'ego za rękę, która nie była już zimna i mokra, ale ciepła i zaczerwieniona tak samo jak jej. Przeciągnęła po niej palcami, jakby w ten sposób chciała odegnąć od siebie przykre wspomnienia. – Podróżujemy na wschód, zatrzymujemy się tu i tam, żeby trochę zarobić, i ruszamy dalej. To może być najdłuższy miesiąc miodowy w historii – wyjaśniła.

– Zanim wrócicie do domu i się ustatkujecie? – zagadnął Frank.

– Och, nie, w ogóle nie zamierzamy się ustatkować. – Clem roześmiała się głośno, skubiąc róg jednego z plasterków na kostce.

– Nie chcecie mieć dzieci?

– Oczywiście, że chcemy. Już wybrałam dla nich imiona. Będziemy mieć mnóstwo dzieci.

– Nie takie mnóstwo – wtrącił Johnny, strząsając popiół do przesypującej się popielniczki.

Jemu się nie spieszyło, żeby zostać ojcem. Najpierw chciał kupić jacht, na którym jego dzieci będą mogły dorastać – odpowiedni jacht, wymagający sporo pracy: smukły drewniany kecz albo dużą żaglową barkę holenderską, na pewno nie taką balię jak ta. Używanie takich jachtów powinno być zakazane. Każda jednostka zaprojektowana przez kapuściany łeb nie powinna w ogóle dostać pozwolenia na wyjście w morze.

Podniósł wzrok. On także był zalany jak świnia i nie bardzo wiedział, co mówi na głos, a co tylko sobie myśli.

– Ale już niedługo – powiedziała Clem, biorąc papierosa z jego palców. Głęboko zaciągnęła się dymem. – Niedługo będziemy mieć dzieci.

– Za jakieś dziesięć lat – dodał Johnny, co gospodarze skwitowali śmiechem, mimo że wcale nie żartował.

Frank zaproponował Clem drugiego papierosa. Poczęstowała się i pochyliła nisko nad

stolikiem z tą wyteżoną uwagą, jakiej zawsze potrzebują pijani, żeby przypalić papierosa.

– Wolałabyś mieć synka czy córeczkę? – zwrócił się do niej Frank.

– I synka, i córeczkę.

– Dziewczynki są lepsze – odrzekł.

Trudno było określić stopień jego nietrzeźwości, ale zdaniem Johnny'ego Misiek także miał już nieźle w czubie. Jak wszyscy. Na butelkach raki powinny być drukowane ostrzeżenia o szkodliwości dla zdrowia.

– A wy nie chcecie mieć więcej dzieci? – zapytała Clem, spoglądając na kobietę.

Ale ta nie odpowiedziała. Tylko w jej jasnych oczach przemknął jakiś mroczny cień, a deszcz jak gdyby nagle zabębnił nieco głośniejsze o sufit kajuty.

Za plecami Clem na stole mapowym stał piękny mosiężny sekstans. Johnny sięgnął po niego.

– Ładna rzecz – powiedział, chcąc zmienić temat. – Skąd go macie?

Ojciec Johnny'ego kolekcjonował sekstansy, toteż znał się na nich trochę.

– Był już na jachcie, gdy go kupiliśmy. Zdaje się, że jest zepsuty.

Johnny zważył przyrząd w rękach i z bliska zajrzał przez szybkę. Nie zauważył żadnego powodu, dla którego miałby nie działać.

– A gdzie kupiliście ten jacht?

– We Francji.

– Tam się urodziła wasza córka? – Clem zapytała Annie.

– Nie. Tutaj – padła odpowiedź.

– W Turcji?

– Nie. Tu, na jachcie. – Annie się zaśmiała. – Mniej więcej tam, gdzie teraz siedzi Johnny.

Skrzywił się odruchowo i wszyscy się zaśmiali. Tak więc znowu potrafił być niewymuszenie zabawny. I wcale mu nie przeszkadzało, że to on jest powodem rozbawienia, bardziej się cieszył, że może grać rolę błazna. Tym większą przyjemność sprawiał mu śmiech Annie, bo mógł wtedy obserwować, jak jej twarz promienieje radością.

– Nie martw się, dokładnie zmyłam obicia – powiedziała, także sięgając po papierosa z uniesioną jedną brwią. – Frank sam odebrał poród – dodała, zerkając z dumą na męża.

– A więc jesteś lekarzem? – podchwyciła Clem.

– Nie – odparł Frank, w zamyśleniu znów trącając struny gitary i lekko odchylając głowę do tyłu, jak gdyby właśnie wpadł na trop poszukiwanego przezeń akordu. – Ale naoglądałem się ich wystarczająco, żeby wejść w rolę – dorzucił, przy czym zabrzmiało to niemal jak wers do układanej przez niego piosenki.

Clem czekała, aż powie coś więcej na ten temat, ale on znowu pograżył się w swojej muzyce. Przyszło jej do głowy, że może być artystą, bo otaczała go specyficzna aura

wyszukanej niedbałości, jak niektórych reżyserów filmowych albo choreografów. Przez chwilę słuchali jego gry, racząc się kolejnymi porcjami raki. Frank nagle przestał grać, położył gitarę na kolanach, sięgnął po paczkę i wystukał z niej jednego papierosa bezpośrednio do ust, stosując stary szpanerski numer.

– Podoba mi się, jak to zrobiłeś – powiedziała Clem, a Johnny od razu się domyślił, że czekała na to od dłuższego czasu, stosownie śmiejąc się z tanich żartów w nadziei właśnie na ten moment. Pochyliła się szybko i podała Frankowi ogień.

– Jak się zapatrujecie na szkołę? – zapytała. – Kleks w ogóle chodzi do szkoły?

– Pierdolić szkołę – rzucił Frank, głęboko zaciągnąwszy się dymem, jakby chciał wyssać całe życie z papierosa. – Jest przereklamowana.

Johnny’emu to się spodobało. Zawsze był podobnego zdania.

– Sami ją uczymy – wyjaśnił Misiek, rozlewając resztki z butelki do ich szklaneczek. – Doskonale porozumiewa się w trzech językach. Potrafi dość płynnie czytać, dodawać, zna podstawy historii. Czego mogłaby nauczyć ją szkoła, czego ja nie potrafię?

– Dobrze się czujesz? – zapytała Annie, ujrawszy, że Clem próbuje otworzyć okienko.

– Jakoś strasznie mi gorąco – odparła Clem, która z minuty na minutę czuła się coraz gorzej.

– Bo jesteś pijana – rzucił radośnie Johnny.

– To prawda – odparła. – Och, Johnny, jestem bardzo pijana i bardzo mi duszno. – Usiadła z powrotem i błyskawicznie ściągnęła sweter.

– Faktycznie jesteś bardzo zaczerwieniona – przyznała Annie.

Przechyliła się przez stół i z matczyną troską przytknęła dłoń do czoła Clem, mrugając szybko z przejęcia. Był to wręcz intymny kobiecy gest i mimo pijackiego ośpienia, które i nad nim szybko przejmowało kontrolę, Johnny poczuł się dotknięty do żywego.

– Nic ci nie jest – powiedziała kobieta, siadając z powrotem obok męża. – To pewnie przez raki. Może spróbuj się położyć.

Clem natychmiast usłuchała jej rady i wyciągnęła się tam, gdzie siedziała, oparłszy głowę na kolanach Johnny’ego. Westchnęła głośno i przekręciła się na bok, wsuwając kciuk do ust, a palcami drugiej ręki muskając fajansowe serduszko zawieszona na szyi. Domyślił się, że ona błyskawicznie zaśnie w ciągu kilku minut, gdyż miała niezwykłą zdolność usypiania w jednej chwili. Zakrył swetrem jej nogi i zanurzył palce w jej włosach, pozwalając lokom odzyskać pierwotny kształt na podobieństwo rozprostowujących się resorów w starym nortonie jego ojca.

– Moja mama tak robiła – powiedział Johnny, spoglądając na Annie. – Dokładnie tak robiła, kiedy byłem mały.

– To znaczy jak?

– Przykładała dłoń. – Naśladując jej wcześniejszy gest, przytknął dłoń do czoła Clem.

– Naprawdę? – Annie uśmiechnęła się do niego. – Wydaje mi się, że matki właśnie tak robią.

– Możliwe. – Od dawna nie myślał o swojej matce. To alkohol wprowadził go w nostalgiczny nastrój. – Moje łóżko stało przy kaloryferze i czasem rano, gdy nie chciało mi się iść do szkoły, przyciskałem do niego czoło, skopywałem pościel i zaczynałem pojękiwać, a wtedy mama robiła właśnie tak, pochylała się nade mną i przykładała mi dłoń do czoła, tak samo, jak ty to zrobiłaś przed chwilą, i zatroskanym głosem mówiła: „Rzeczywiście jesteś rozgorączkowany, Johnny. Zadzwońię do szkoły”. No i proszę! Mogłem zostać w łóżku i przez cały dzień masturbować się do woli.

Annie i Frank zareagowali śmiechem. Naprawdę tego dnia dobrze mu szło błaznowanie.

– No i sam widzisz – rzekł Frank. – Właśnie dlatego nie lubię chłopców.

Annie sięgnęła do sterty brudnych ubrań leżących przy jej nodze, wyciągnęła małą sukienkę i zaczęła ją rozprostowywać na kolanie, wygładzać dłonią, jakby w zamiastce prasowania. Frank pochylił się nad stołem i swoją wielką łapą przetarł blat, jakby zauważył na nim jakieś okruchy. A kiedy podniósł wzrok na Johnny’ego, miał już całkiem poważną minę.

– Zatem straciłeś matkę, prawda, Johnny? – zapytał.

Ten, całkiem zaskoczony, zagapił się na niego. Nie przypominał sobie, żeby mówił coś o śmierci swojej matki. Ale nie mógł sobie także przypomnieć, żeby w ogóle się odzywał.

– Nie przejmuj się, Johnny – wtrąciła Annie, przerywając na chwilę wygładzanie sukienki i kierując ku niemu spojrzenie swoich wielkich jasnych oczu zasmuconych jego zmieszaniem. – Frank umie zobaczyć wiele rzeczy, których inni ludzie nie widzą. – Popatrzyła na męża z dziwną mieszaniną dumy i upokorzenia w oczach. – On widzi wszystko.

– Tak – bąknął Johnny, patrząc w ciemne oczy Miśka. – Moja matka umarła.

– Ile wtedy miałaś lat? Kilkanaście? – zapytał Frank, na co Johnny mógł tylko skinąć głową. Zdawało mu się, że miękki i łagodny głos męczyzny rozbrzmiewa w jego głowie, wiruje razem z oparami raki, powoli się w niej rozpływając. Czuł, jakby się roztopiał od środka, był gotów opowiedzieć tym ludziom absolutnie o wszystkim, gdyby tylko zapytali.

– Pewnie było ci trudno – powiedział cicho Frank. – Chłopcy bardzo potrzebują kontaktu z matką.

Johnny znowu skinął głową. Pamiętał jej dotyk o wiele lepiej niż rysy twarzy. Pamiętał chłód jej palców na swoim czole wraz z twardymi pierścionkami i kłującymi paznokciami. Zawsze miała je pomalowane jasnorożowym błyszczącym lakierem. Z czułością przyjmował te żywe wspomnienia związane z jej dłońmi.

Annie przestała wygładzać ubrania, położyła dłoń na stole, przesunęła ją powoli i wzięła Johnny’ego za rękę. Nie zapanował nad sobą, był za bardzo pijany. Uniósł jej dłoń i przyłożył sobie do czoła, w jednej chwili tracąc całą pewność siebie. Uśmiechnął się i zamknął oczy. Teraz był już tak bardzo przejęty wszystkim – całym tym wieczorem, ucieczką przed prześladowcami, tym niebem, na które natknęli się przypadkiem, dobrocią spotkanych ludzi, bezmiarem ich troski, opatrunkami na ranach, raki, muzyką, oderwaniem od całego świata, swoją miłością do Clem i zmarłej matki – że oczy aż zaczęły go piec, a

widok kajuty rozmył się w wodnej toni, toteż pomyślał, że chyba zbiera mu się na płacz.

– Wszystko w porządku, Johnny – powiedział miękko Frank. – Przeżyłeś zły wieczór. Znalazłeś się w ślepej uliczce. Ale teraz już nic wam nie grozi.

I nagle Johnny poczuł masywną dłoń Franka na swojej głowie, po kobiecemu delikatnie głaszczącą go po włosach. Do tej pory żaden mężczyzna nie dotykał go w ten sposób.

– Już dobrze – powtarzał Frank miękkim głębokim basem, dopóki Johnny nie podniósł głowy, nie oparł jej o szafkę i nie zamknął oczu, wciąż czując dotyk dłoni Franka na włosach i dotyk palców Annie na rękę oraz głowę Clem na swoich kolanach. Ze wszystkich stron był otoczony czułością. Zasłuchał się w bębnienie deszczu o pokład, teraz już delikatniejsze, jak wybijanie palcami po stole skomplikowanego rytmu. Pomyślał, że musi być naprawdę mocno wstawiony. Poczuł, że Frank zdejmuje rękę z jego głowy, żeby znowu sięgnąć po gitarę i zacząć wygrywać jakieś akordy. Para zaczęła mruczeć bardzo cicho, jakby znaleźli się gdzieś daleko, a Johnny’emu wydawało się, że ich głosy tańczą w jego głowie, pomyślał więc, że przyszło mu spędzać czas w dość dziwny, ale wspaniały sposób. Czuł się tak, jakby ktoś wyciągnął mu wtyczkę i powoli tracił energię. Ale tak mu było dobrze w tym upojnym stanie.

Kiedy otworzył oczy, oboje uśmiechali się do niego. Odpowiedział uśmiechem i Annie wróciła do przerwanego zajęcia wygładzania dłonią ubrań.

– Ja z Clem też kiedyś będziemy tak żyli – powiedział. – Zamieszkamy na jachcie z dzieckiem.

Frank oparł łokieć na stole i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Porządny chłopak. Właśnie tak należy żyć.

– Naprawdę? – Johnny wyprostował się szybko, gdyż melancholia opuściła go równie szybko, jak nadeszła. – Opowiedz mi o tym!

W ciemnych oczach Miśka pojawiły się niewyraźne błyski, westchnął ciężko.

– No cóż – zaczął w zamyśleniu, jakby miał właśnie ujawnić tajemnicę. – Jesteśmy na łodzi, prawda? A więc żyjemy według zasad panujących na morzu. To znaczy tak, jak chcemy. Jesteśmy wolni od tych wszystkich śmiesznych ograniczeń, jakie narzuca nam społeczeństwo, od zasad, według których żyją inni, określających, jak się zachowywać, jak dostosowywać, jak odnosić do siebie nawzajem i jak wychowywać nasze dzieci. Nikt nie powinien nam dyktować, jak mamy żyć, czego dzieci powinny się uczyć, a czego nie, jak powinny myśleć, a jak nie powinny. Tu, na „Małej Utopii”, sami myślimy za siebie. Nie ma zasad, nie ma kajdan, łańcuchów, etykietek. Wiesz, jak to się nazywa, Johnny? – zapytał, z takim impetem odstawiając swoją szklaneczkę na stół, że aż wychlapał nieco raki. On też był nieźle wstawiony. – To jest, kurwa, złoty wiek.

Johnny także huknął swoją szklaneczką o stół. Nie wiedział, co to „kurwa, złoty wiek”, ale brzmiało to cholernie fantastycznie. Uśmiechnął się szeroko, bo w całym swoim życiu nie spotkał nikogo podobnego do Franka. Wyglądało na to, że wszyscy gdzieś po drodze musieli iść na kompromis. Tylko nie on. Żył na własnych warunkach. Dlatego Johnny poprzysiągł sobie, że i on kiedyś będzie tak żyć, że nie zadowoli się niczym innym. Nie

miął ochoty na zasrane do połowy życie w zasranym do połowy związku z zasraną do połowy pracą, jak czyniło to wielu ludzi. Nawet jego ojciec musiał iść na kompromis. Tylko Frank miał odwagę. Johnny także musiał być odważny.

Frank wystukał sobie kolejnego papierosa prosto do ust – świetnie mu to wychodziło – przypalił go w ten swój charakterystyczny sposób i podał Johnny’emu. Następnie wystukał jeszcze jednego dla siebie. Nikt do tej pory nie uczynił dla niego nic podobnego.

– Popieram – powiedział Johnny. Język wyraźnie mu się plątał. – Co się, do cholery, dzieje z większością ludzi wraz z wiekiem?! – zawołał, coraz mocniej rozgorączkowany, jakby spotkał go wielki zawód ze strony całego świata. – Dlaczego po prostu rezygnują?

– Za strachu – odparł Frank. – Ludzie żyją w strachu. Ale nie my, przyjacielu! Nie my na pokładzie „Małej Utopii”!

Podniósł szklaneczkę z raki i wyciągnął ją w stronę Johnny’ego.

– Za „Małą Utopię”! – wykrzyknął Johnny, płacząc się na literze t.

Annie też stuknęła się z nim szklaneczką i zauważył, jak bardzo jest wkurzona: spoglądała na niego z ukosa, a sterta układanych przez nią ubrań wyglądała jak Krzywa Wieża w Pizie.

– Za wody międzynarodowe! – dodał, gdyż nagle przypomniał sobie wypchany łeb łosia wyglądający z szuflady komody w mrok gdzieś w głębinach, białe klawisze fortepianu Steinwaya, których już nikt nigdy nie dotknie, i zestaw nawigacji satelitarnej, wskazujący teraz drogę donikąd, wszystko to pogrążone w ciemności, na dnie głębokiego błękitnego morza. Czy naprawdę minęły od tamtej pory zaledwie dwadzieścia cztery godziny?

– Którymi nie włada żaden kraj! – podchwycił Frank i poderwał się, żeby stuknąć się z Johnnym, ale jego wzrok padł na Clem śpiącą na wznak z głową na jego kolanach.

Jej pierś unosiła się lekko przy każdym oddechu, a kciuk zastygł spomiędzy warg tuż przy ręce Johnny’ego, który w zamyśleniu obracał w palcach małe fajansowe serduszko wiszące na jej szyi.

– Spójrzcie na nią! – wycedził Misiek, zdziwiony, chwiejąc się na nogach. – Ona ssie kciuk!

Johnny skinął głową, a Frank zaśmiał się krótko i ciężko klapnął z powrotem na swoje miejsce, w jednej chwili poważniejąc.

– Podobacie mi się – powiedział. – Jest w was coś rzadkiego i bezcennego.

– Cholerna racja, że tak jest – przyznał Johnny.

Był już dokumentnie pijany. Ale to się nie liczyło. Nic się już nie liczyło. Odnalazł bowiem nowy rodzaj wolności.

Frank powoli wydmuchnął kłęb dymu i odłożył papierosa.

– Tak – powiedział, wpatrując się w Johnny’ego, wręcz świdrując go swoimi ciemnymi oczami o przenikliwym spojrzeniu. – Bardzo mi się oboje podobacie.

Potem znów sięgnął po gitarę, zagrał i głośno zaśpiewał tę samą starą pieśń o złym księżycu, którą wcześniej słyszeli w wykonaniu syreny – śpiewał o paskudnej pogodzie, o

zemście oko za oko, o zbieraniu swoich rzeczy i szykowaniu się na śmierć. Johnny słuchał tego z głową przekrzywioną na ramię, dopóki słowa pieśni nie wydały mu się dziwne.

Nocami w Putney słyszało się trzaski i szmery, jakby dom szykował się na nadejście nowego dnia. Johnny leżał w łóżku i słuchał bębnienia deszczu o szyby oraz astmatycznych bulgotów w zabudowanym kaloryferze. Ale to nie burza go obudziła. Skopał kołdrę i wstał z łóżka. Jego pokój sąsiadował z łazienką, z której dolatywały wyraźne odgłosy czyichś wymiotów. Otworzył drzwi i po cichu zakradł się pod łazienkę. A po chwili zajrzał do środka.

Matka klęczała na podłodze z głową wetkniętą w muszlę klozetową. Coś musiało jej poważnie zaszkodzić.

– Hej, mammo! – odezwał się, klękając przy niej.

Położył jej rękę na karku i poczuł wstrząsające nią torsje. Odgarnął jej włosy z twarzy i przytrzymał, czekając, aż skończy.

Wreszcie usiadła i otarła usta, wyczerpana i blada.

– Musiałam coś zjeść...

Johnny odchylił się, spuścił wodę w toalecie, po czym nalał wody do czerwonego plastikowego kubeczka do mycia zębów i podał jej. Wypłukała usta i wypluła wodę do klozetu. Pomógł jej wstać i posadził ją na brzegu wanny. Zmoczył flanelową myjkę pod kranem i podał jej. Obmyła nią sobie usta i dłonie.

– Przepraszam, że cię obudziłam, skarbie – powiedziała.

– Masz dreszcze – rzekł i poszedł do swojej sypialni po szlafrok. Był na niego o wiele za mały, dostał go, gdy miał dwanaście lat, ale na nią prawie pasował.

– Wracaj do łóżka – powiedziała.

– Nie chce mi się spać.

Wciąż siedziała na brzegu wanny. Uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i na jej bladych wargach pojawił się uśmiech.

– Mój kochany chłopiec – powiedziała cicho.

– Znowu zbiera ci się na wymioty?

– Nie, do diabła. Mam nadzieję, że nie. To strasznie męczące. – Potarła dłonią twarz.

Wiatr ze zdwojoną siłą cisnął deszczem o szybę, aż oboje spojrzeli w stronę okna wypełnionego szklanymi kaflami.

– Chcesz może popatrzeć na deszcz na dole? – zapytała matka.

Chwilę później rozsiedli się w niskich fotelach ustawionych pod kątem w stosunku do siebie, w oszklonej przybudówce na tyłach domu, gdzie trzymali świnki morskie i myszokoczki. W ciepłym przytulnym półmroku popatrzyli na swoje odbicia w szybach oddzielających ich od ciemności, wycia wiatru i strumieni deszczu miotanych falami w okna. Matka zakryła sobie nogi kocem i odchyliła głowę do tyłu, żeby patrzeć na strugi

wody spadającej na dom, a nie na gromadki świnek morskich i myszokoczków kręcące im się wokół stóp. W pokoju pachniało trocinami.

– Cieszę się, że żaden z was nie jest na morzu w taką pogodę. – Wiatr znowu zahuczał głośniej, jakby w odpowiedzi na jej słowa. – Kiedy Rob wypływa?

– W październiku.

– Musicie zabrać ojca pod żagle, Jonts. Brakuje mu tego. potrzebuje zmiany otoczenia.

Schyliła się i podniosła świnkę morską, ale ta błyskawicznie zeskoczyła jej z kolan i ze zgrzytem pazurków o kafelki wylądowała na podłodze. Johnny wypatrzył zestaw ojca do zwijania papierosów leżący na półce wśród części motocyklowych i sięgnął po niego.

– Dlaczego tata sprzedał „Mewę”? – zapytał, już ze sporą zręcznością skręcając sobie papierosa. – Uwielbiałem tę łódź.

– Aż jestem zdziwiona, że ją pamiętasz. Byłeś jeszcze bardzo mały. – Matka uśmiechnęła się, najwyraźniej miała same dobre wspomnienia związane z tym jachtem. Przeciągnęła palcami po włosach i westchnęła. – Z trudem sobie z wami radziliśmy. Sarah była już w drodze. Ty i Rob wyrzucaliście różne rzeczy za burzę, jakby nagle się wam znudziły. Miałam tego dość...

– Więc to nie miało nic wspólnego z stryjem Timem?

Spuściła głowę i spojrzała na syna.

– Może.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy przerywanej tylko szumem deszczu.

– Że też odszedł w taki sposób – odezwał się w końcu Johnny. – W taką noc jak ta.

– Powiadają, że zatonięcie wcale nie jest takie złe. Słyszałeś?

– A skąd to można wiedzieć, do diabła? – syknął, a wiatr znowu uderzył deszczem w szyby. – Możesz mi podać zapałki, mamo?

– Jonathanie, masz dopiero piętnaście lat – zaprotestowała bez przekonania, po czym wychyliła się z fotela i podała mu zapałki.

– Czy on rozmawiał o tym z tobą?

– O Timie? Nie – odparła i skrzyżowała nogi ułożone na krześle, po czym wygładziła rękoma zakrywający je koc. – Ale wody nadal są wzburzone.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Od czasu do czasu budzę się jeszcze w nocy, gdy wykrzykuje coś do Tima głosem, po którym nawet trudno mi go rozpoznać.

Johnny zapatrzył się na nią. Nie chciał znać szczegółów, jego ojciec zaliczał się do ludzi, którzy nigdy nie okazują lęku. Prawdę mówiąc, należał do tych, którzy rozwiewają obawy innych. Patrick Love potrafił znaleźć rozwiązanie każdego problemu, to nie ulegało wątpliwości.

Stuknął zapałką o draskę i rozświetlając płomykiem ciemność, zapalił papierosa.

– Jaki był Tim? – zapytał.

– Twój ojciec i jego brat byli prawie tacy jak wy dwaj – powiedziała z dumą w głosie.
– Bardzo życzliwi, stanowili wzorowe rodzeństwo. Fanatycznie się wspinali, byli gotowi wdrapać się na wszystko. Któregoś wieczoru wleźli obaj na sam szczyt mostu Alberta. Przyjrzyj się przy najbliższej okazji, krawat Tima wciąż tam jest na górze. I całą drogę powrotną do swego mieszkania w Fulham pokonali tamtego wieczoru, nie stawiając nawet stopy na chodniku.

– Robi wrażenie.

– Pomyślałam to samo. – Zaśmiali się razem niemal w identyczny sposób.

– Tim był bardziej podobny do Roba – dodała matka.

– Miał obsesję na punkcie seksu?

Znowu się zaśmiała.

– Prawdę mówiąc, miał, skoro już o tym wspomniałeś. Za każdym razem zjawiał się z inną dziewczyną. Powiedzmy raczej, że nie był zbyt wybredny.

U ich stóp coś poruszyło się gwałtownie, ze zgrzytem pazurków o podłogę dwie świnki morskie pognały przez pokój i skuliły się w rogu. Niebo rozświetliła błyskawica i oboje zaczęli odliczać upływające sekundy, tak samo wyobrażając sobie, że są teraz na morzu i podczas takiego sztormu idą na dno. Po chwili grzmot przetoczył się echem w oddali.

Kiedy matka się odezwała, powiedziała cicho, gardłowym głosem:

– Mam nadzieję, że zginął szybko, że nie męczył się za długo.

Johnny zaciągnął się dymem z papierosa.

– Nie wiem... Pewnie zmarł z wychłodzenia.

– Tak myślisz?

– I nie sądzę, żeby to była szybka śmierć. Pewnie to zabrzmiało surrealistycznie, ale człowiek zaczyna widzieć różne rzeczy, których tam nie ma.

– A może jednak są, Johnny – odparła. – Może są właśnie po to, żeby nam ulżyć w cierpieniu.

– Mówisz jak stara hippiska.

Uśmiechnęła się, wiatr zawył mocniej. Wyglądało na to, że grzmot obudził myszokoczki, ponieważ jeden wskoczył do kółka i zaczął nim błyskawicznie kręcić. Johnny popatrzył w jego kierunku, jakby ujrzał jakąś zjawę w ciemności.

– Chyba, że spanikował. Mówią, że strach jest często przyczyną śmierci – powiedziała jego matka, po czym dodała jak gdyby do siebie: – Boże, mam nadzieję, że ja bez strachu stanę przed śmiercią.

Spojrzał na nią. Miał ochotę zapytać, co się naprawdę z nią dzieje, o czym nie chce mu powiedzieć. Zaciągnął się dymem i przez dłuższą chwilę przytrzymał go w płucach, zanim powoli wydmuchnął w głąb pokoju.

– Słyszałem, że miałaś już takie napady nudności, mamó – rzekł cicho, lecz ona nie zareagowała, wciąż wpatrywała się w dach przybudówki. Czekał w nadziei, że coś

odpowie, ale sekundy milczenia się przeciągały. – Mamo?

– Po prostu mam wrażliwy żołądek.

– I plecy? Bo przecież wciąż narzekasz na bóle w plecach.

– To nic takiego, Jonts. Artretyzm.

– Ty masz artretyzm? Przecież dopiero skończyłaś trzydzieści siedem lat.

– Cóż, robiłam badania. Najbardziej prawdopodobny jest artretyzm.

Wyciągnęła rękę po papierosa i Johnny jej go podał, przyglądając się, jak bierze go smukłymi palcami i unosi do ust. Od dłuższego czasu nie widział jej z papierosem w ręku. Popatrzył teraz, jak jego koniec rozżarza się w ciemności niczym miniaturowe słońeczko, kiedy matka zaciągnęła się dymem.

– Ta pogoda też na mnie działa... – rzekła.

Nie rozumiał, co pogoda może mieć wspólnego z jej samopoczuciem, ale nie skomentował tej uwagi.

– Cóż, jeśli to artretyzm, możesz liczyć na to, że będę cię woził w wózku, tym się nie martw. Albo przywiążę cię do trapezu i wykorzystam jako balast na „Piorunie”.

Uśmiechnęła się szeroko, wychyliła z fotela i ścisnęła go za rękę.

– Tylko nie mów o tym nikomu, dobrze, Jonts?

Johnny’ego obudził warkot pracującego silnika. Nie ruszając się, wyrzwał przez okienko z lewej burty na szare zachmurzone niebo. Obrócił głowę, ale w tej samej chwili poczuł pod czaszką dotkliwy ból straszliwego kaca. Obok niego Clem spała w najlepsze, wciąż ubrana w tę samą sukienkę, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru. W ogóle nie pamiętał, jak się kładli spać, ale wyglądało na to, że leżą wygodnie wyciągnięci w tym miejscu, gdzie wieczorem stał stół w salonie, przykryci rozpostartym śpiworem. Pamiętał jednak coś innego. Byli bezpieczni. Złapali okazję do sąsiedniego portu. Przez chwilę spoglądał na śpiącą Clem, po czym ostrożnie rozpiął górny guzik w jej sukience, żeby lepiej widzieć jej piersi. Przeciągnął palcami po delikatnym brązowym sutku i wzdłuż krzywizny jej szyi dotarł do warg. Otworzyła zaspane oczy i uśmiechnęła się, a potem przytuliła się do niego i znów zamknęła oczy. Po chwili rozwarła je gwałtownie.

– Płyniemy! – powiedziała.

Skinął głową.

– I widzisz, Clem? Nie zawsze kończymy jak nędzni żebracy.

Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała, rażona jakąś myślą.

– Jaki dziś dzień? – zapytała szeptem.

Był piątek.

– To piątek? – zagadnęła z troską w oczach.

– Nie jestem pewien.

– Ależ tak – odrzekła. – Dziś piątek.

– Clem – mruknął, obejmując ją ramieniem. – Nie bądź śmieszna.

Westchnęła i przekręciła się na wznak. Nie miał wątpliwości, że pograżyła się w rozmyślaniach, spoglądając przez górny luk na rozmyte pobielające niebo. Przez lata często musieli zmieniać plany, byle tylko nie wyruszać w podróż w piątek. Nagle – jak gdyby Frank o tym wiedział i postanowił się z nią podrażnić – ze sterówki doleciało jego denerwujące pogwizdywanie. Clem obróciła głowę i zmierzyła Johnny’ego ostrym spojrzeniem rozszerzonych oczu. Uśmiechnął się do niej.

– To wcale nie jest śmieszne – szepnęła.

No tak, nie powinien się śmiać. Jako jedyny na świecie powinien rozumieć jej przesady. Jego stryj utopił się podczas sztormu u wybrzeży kornwalijskich. Stracił równowagę na pokładzie, gdy jacht uderzył w rafę, i wypadł za burtę, a ojciec Johnny’ego krążył tam przez dwa długie dni, aż stracił głos od nawoływania brata. Morze wyrzuciło zwłoki na brzeg dopiero po tygodniu. Okazało się, że stryj nie tylko wyszedł w morze w piątek, ale wcześniej pomalował burty na zielono, łamiąc kolejne żeglarskie tabu. Dlatego Clem lubiła żeglarstwo, bo wszystkie przesady były dobrze ugruntowane, nie musiała wymyślać swoich własnych. A uwielbiała wymyślać zasady do innych rzeczy, prawdę mówiąc, do większości rzeczy. Gdy jechała samochodem, musiała wstrzymywać oddech między latarniami. Jadąc na rowerze, musiała zakołysać przednim kołem, gdy mijała skrzynkę na listy albo czerwony autobus. Miała swoje specjalne sposoby na robienie kanapek, kąpiel, zaciąganie zasłon czy ubieranie się. Zanim poznała Johnny’ego, nawet nie zdawała sobie sprawy, że to coś dziwnego, sądziła bowiem, że każdy ma swoje sposoby na wykonywanie różnych czynności. Johnny też miał swój sposób na układanie swoich skarpetek, co czasem trwało całą wieczność, a zęby szcزتkował dokładnie przez pięć minut. Nigdy się z tego nie śmiała.

– Clem, mamy okazję, żeby się stąd wynieść. Dopłyniemy do następnego portu, wsiądziemy w autobus i pojedziemy na wschód. To wszystko. Wcale nie wyruszamy w podróż.

Przez chwilę spoglądała mu w oczy, wreszcie go pocałowała. Uwielbiała taki prostoliniowy sposób myślenia. Pozostawiona sama sobie często zatracala się w szczegółach. Znowu przytuliła się do niego i jeszcze raz go pocałowała. A on wsunął rękę pod jej sukienkę i szybko odnalazł jej najcieplejsze miejsce.

– Dzyń, dzyń, dzyń...

Oboje błyskawicznie unieśli głowy z poduszki. Ktoś był w salonie. Na końcu łóżka siedziała mała dziewczynka z wczorajszego wieczoru, Johnny nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Miała na sobie czerwoną aksamitną kurtkę piracką z rękawami zakończonymi brudnymi białymi falbanami. Poza tym była całkiem naga, a jej ciemne włosy sterczały dziko na wszystkie strony. W rękę trzymała pluszową zabawkę.

– Cześć – zagadnął Johnny. – Widzę, że mamy pirata na łóżku.

– Nie jestem piratem, tylko kapitanem Hookiem.

Nie sprostował.

– A gdzie twój hak? – zaciekała się Clem.

– Wpadł mi do morza w czasie łowów.

– A co poławiałaś? – zapytał Johnny.

– Morskie potwory – odparła ze zdziwieniem, jak gdyby powinni to wiedzieć.

– Oczywiście! Złapałaś jakiegoś?

– Widzę twój biust.

Jedno ramię sukienki Clem się zsunęło. Poprawiła je.

– A ja twój – powiedziała.

– Przecież jestem mężczyzną – odrzekła dziewczynka, marszcząc brwi. – Męskie biusty się nie liczą.

– A to kto? – zapytała Clem, spoglądając na powycieraną i pogryzioną małpkę, którą dziewczynka trzymała w ręku.

– Gilla – wyjaśniła. – Jest grylicą. Morskie potwory nie lubią gryli.

– Też miałam kiedyś taką małpkę podobną do Gilli – powiedziała Clem, która na widok zniekształconej główki zabawki przypomniała sobie, jak bardzo uwielbiała swoją zabawkę.

– Niedługo są moje urodziny – oznajmiła mała.

– Naprawdę? – wtrącił Johnny. – Ile skończysz lat?

– Pięć i pół. Naprawdę mam na imię Imogen. A to po irlandzku znaczy „Nie moja wina”.

– Kleks? – Donośny głos Miśka rozbrzmiał echem w sterówce. – Mówiłem, żebyś im nie przeszkadzała. Daj im się wypać! Jesteś mi tu potrzebna.

Za lukiem Johnny’emu mignęła sylwetka Franka. Chyba robił to celowo – miał na sobie zieloną koszulę. Johnny nawet nie pamiętał, dlaczego zielony kolor ma przynosić nieszczęście. Miało to chyba coś wspólnego z żeglarzami tęskniącymi za domem, bo ogarnięci tęsknotą żeglarze unieszczęśliwiali łódź. Clem powinna to wiedzieć dokładnie.

Kleks zeskoczyła z łóżka i wielkimi krokami ruszyła po schodach na górę, jak dzika bestia ciągnąc za sobą Gillę. Ewidentnie traktowała ten jacht jak swoje podwórko. Zwinnie ruszyła w głąb sterówki. Johnny podniósł się i na klęczkach wyjrzał przez okno salonu. Po lewej burcie – przesuwały się przedmieścia Bodrum, w oddali za nimi widać było zamek, białe domy stały stłoczone wzdłuż brzegu zatoki. Z prawej burty jakieś sto metrów za nimi płynęła mała motorówka z dwoma mężczyznami na pokładzie. Jeden przyglądał się przez lornetkę „Małej Utopii”. Johnny błyskawicznie się skulił.

W luku na szczycie zejściówki pojawił się Frank ze wzrokiem utkwionym w linii horyzontu.

– Właśnie, lepiej zostańcie tu, na dole – powiedział do Johnny’ego. – Ta motorówka płynie za nami już od pewnego czasu. Chyba nie wnieśliście na pokład żadnych

narkotyków, prawda?

– Nie – odparł Johnny.

– Pomachaj im, Kleks! Dobra dziewczynka.

Clem też się podniosła i klękła obok Johnny'ego.

– Myślisz, że ciągle nas szukają? – zapytała.

– Wątpię. Nadal chcesz tu zostać do soboty? – zaciekał się, ostrożnie spoglądając na motorówkę.

Na wodach zatoki nie było innych łodzi, nie licząc dziwnego kutra rybackiego wypływającego z portu za nimi. Turyści dopiero zaczęli odkrywać Turcję, bez wątpienia Bodrum powinno się już niedługo doczekać własnego lotniska.

– Nalejcie sobie kawy, stoi na kuchence – powiedział Frank, odsuwając się na krok w głąb sterówki, przez co w całej okazałości ukazała się jego zielona koszula. Włożył do niej szorty koloru khaki.

– Za kilka godzin będziemy już daleko stąd – powiedział Johnny, spoglądając na Clem.

Wstał z koi, żeby nalać kawy do dwóch kubeczków, a ona szybko złożyła łóżko, dzięki czemu znów mieli stół kuchenny. Siedzieli w milczeniu nad kawą, dopóki Frank znów nie zajrzał do salonu.

– Brzeg czysty – oznajmił.

Johnny wyszedł na pokład i rozejrzał się, rejestrując pospiesznie zachmurzone szare niebo i brak wiatru. Brzeg był dosłownie całkiem czysty: nie było tam niczego. Jak okiem sięgnąć rozciągało się pustkowie, jałowe górskie tereny porośnięte krzakami, tylko z rzadka upstrzone samotnymi szałasami. Płynęli wzdłuż brzegu na silniku ze stałą prędkością czterech węzłów, holując za sobą tender – małą wiosłową łódź, która lepsze czasy miała już za sobą.

Trudno było uwierzyć, że w nocy szalała tu burza, bo poza dość wysoką falą i ostrym rześkim powietrzem nic na to nie wskazywało. W ogóle nie było wiatru, a wiszące nisko chmury zaczynały się rozplýwać, ukazując plamy jasnego błękitu, chociaż słońce przypominało tylko rozmazaną białą kulę mgliście oświetlającą błotnistoszare falujące morze. Nie widać było innych żaglówek ani w ogóle żadnych łodzi.

W bezlitosnym dziennym świetle oboje, Frank i Annie, wyglądali starzej niż poprzedniego wieczoru – on mógł nawet być po czterdziestce. W przeciwieństwie do Johnny'ego chyba wcale nie cierpiał z powodu kaca. Stał z papierosem w ustach i wyglądał tak, jak gdyby wcale się nie kładł spać. Za to Annie sprawiała wrażenie wymęczonej, siedziała w kącie na pokładzie, z kolanami pod brodą, i sączyła kawę. Oczy ukryła za dużymi ciemnymi okularami i starała się ignorować kapitana Hooka, który niestrudzenie wdrapywał jej się na ramiona.

– Przestań, Kleks! – powiedziała ociężale, delikatnie spychając z siebie córkę.

– Chyba już nikt was nie znajdzie – powiedział Frank.

– Chyba tak. Tylko gdzie, do diabła, jest następna przystań? – zapytał Johnny, wpatrując

się w pusty brzeg.

– Spójrzmy na mapę – zaproponował Misiek.

Clem, z kubeczkim kawy w ręku, dołączyła do nich na pokładzie.

– Dzień dobry! – rzuciła radośnie.

Johnny domyślił się, że bardzo się stara nie zwracać uwagi na zieloną koszulę Miśka, jego gwizdanie i wyjście z portu w piątek. Usiadła powoli na prawej burcie na wysokości sterówki i popatrzyła na jałowe pustkowie na brzegu.

– Johnny’emu dopisuje szczęście na pokładzie łodzi – powiedziała ni stąd, ni zowąd.

– Poważnie? – zapytał Frank, obracając się w jej stronę.

– Urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Aha, w takim razie... – mruknął Frank, po czym schylił się, sięgnął do dźwigienki gazu i nieco zwiększył obroty silnika.

– Jest w czepku urodzony, bo przyszedł na świat w łożysku, całym, nieuszkodzonym. Jego tata opowiadał, że wyglądał, jakby był powleczony folią.

– I to jest oznaka szczęścia, tak? – zapytał Frank, strząsając popiół za burtę.

– Łożysko mnie chroniło – wyjaśnił Johnny już ze stopni zejściówki, gdyż wybierał się popatrzeć na mapę leżącą na stole nawigacyjnym.

– To oznacza, że nie grozi mu śmierć przez utonięcie – dodała Clem.

Johnny rozpostarł mapę na stole. Była niewiarygodnie prymitywna, niewiele lepsza od takich, jakie drukuje się na pocztówkach. Wiosek w ogóle na niej nie zaznaczono, chociaż, patrząc teraz na pusty brzeg, pomyślał, że chyba po prostu ich tu nie ma. Było kilka miasteczek, jedno nawet przy samym końcu tej olbrzymiej zatoki, ale większymi miastami – takimi, w których powinny być dworce autobusowe, a może nawet także kolejowe – były dopiero Datça i Marmaris położone w sąsiedniej zatoce. Pamiętał jak przez mgłę, że Frank mówił wieczorem, że płyną wzdłuż brzegu od jednego portu do drugiego. Oni jednak mogliby nawet wysiąść w jakiejś wiosce, odszukać drogę i złapać okazję. Nie powinno być z tym żadnych problemów.

– Nie. To prawda – mówiła Clem, gdy Johnny wrócił do sterówki. – W dawnych czasach żeglarze zadawali sobie wiele trudu, żeby mieć w załodze kogoś takiego jak Johnny. Bo to oznaczało, że dopóki on pozostanie na pokładzie, łódź nie zatonie.

– Ja też jestem w oczysku? – zapytała Kleks, podnosząc wzrok na matkę.

– Łożysku. Nie, skarbie.

– Wierzysz w szczęście, prawda, Clem? – zapytał Frank z lekkim uśmiechem na ustach.

– A ty nie?

– Nie. I jak to wygląda, Johnny?

– No cóż, wioski nie są zaznaczone na mapie, ale niedługo powinniśmy na jakąś trafić. Tam wysiądziemy i pojedziemy w głąb lądu.

– Albo dopłyniemy razem aż do Danii, co nie? – rzucił Misiek.

– Nie, dzięki. Będzie lepiej, jeśli wysiądziemy wcześniej, Frank.

– Ale pewne rzeczy po prostu przynoszą szczęście – ciągnęła Clem, zwracając się do Annie. – A inne nie. Wszyscy to wiedzą. – Zamilkła na chwilę, lecz nikt jej nie poparł. – Ty w ogóle nie wierzysz w szczęście? – zapytała więc Franka, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. W końcu nawet Johnny nigdy nie gwizdał na morzu.

– Nie wierzę w nic, co ma na celu rozbudzanie strachu u ludzi. Przesady i pech to tylko narzędzia sprawowania władzy. Budzą strach. Podobnie jak religia. I wszystkie rządy. To tylko szczególna forma manipulacji stosowana przez władze.

Clem zapatrzyła się na niego, zachodząc w głowę, czy mówi poważnie.

Johnny całkiem zapomniał, jak bardzo był pod wrażeniem tego człowieka poprzedniego wieczoru, pamiętał jednak, że alkohol nieźle pomieszał mu w głowie. Nie dawało mu spokoju krępujące wrażenie, że chyba nawet się popłakał.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedział, wysupłując z paczki swojego pierwszego papierosa tego dnia. – Zdaje się, że raki mi nie posłużyła.

– Nigdy nie przepraszaj za to, jaki jesteś, Johnny – odparł Frank, pstryknąwszy niedopałek za burtę. Spojrzał mu prosto w oczy. – Bo to bzdura.

– Zatem uważasz, Frank, że tylko wyobrażamy sobie swoje szczęście? – podjęła Clem ze wzrokiem utkwionym w horyzoncie. Najwyraźniej nie mogła się pogodzić z takim punktem widzenia.

– Dokładnie tak – rzekł, odwracając się do niej. – To sprawa przyczyny i skutku.

Znowu zaczął pogwizdywać.

Żeglowali przez cały ranek, ciesząc się ciszą i samotnością i obserwując, jak błękitne niebo zaczyna przeważać nad głowami. Kiedy wyszło słońce, Annie pomogła Clem porozwieszać na relingu przemoczone rzeczy z torby podróżnej i przypinać je klamerkami do bielizny, żeby suszyły się w słabo grzejącym porannym słońcu, przez co wszystkie ich ubrania znalazły się jak na wystawie. Niedużo tego było, kilka koszul, kilka par spodni, dwie bluzy, mata modlitewna oraz dwa śpiwory. Kleks nie odstępowała ich przy tym na krok. Kiedy skończyły, zaparzyły herbatę, poszły z kubeczkami na rufę i rozsiadły się na ręcznikach. Johnny zwrócił uwagę, że Clem rozmówiała z kapitanem Hookiem. On z Frankiem usiedli w sterówce, zapalili po papierosie i sącząc gorzką herbatę bez mleka, zaczęli wypatrywać na brzegu oznak życia. Ale im bardziej oddalali się od miasta, tym mocniej Johnny'emu doskwierało dobrze mu znane poczucie izolacji, ześlizgiwania się poza krawędź świata.

Z salonu doleciały dźwięki piosenki Cata Stevensa o pierwszej bliźnie i pechu, odtwarzanej w samochodowym odbiorniku kasetowym z podłączonymi dwoma głośnikami.

– A więc ty także trochę żeglowałeś, zgadza się, Johnny? – zagaił Frank.

– Głównie małą łódką... Ale udało mi się kilka razy być na drugim brzegu.

– Czego? – zdziwił się Frank, unosząc głowę znad kubeczka z herbatą.

– Atlantyku.

Frank przestał mieszać herbatę, zastygł z uniesionymi brwiami, dopiero po chwili z uznaniem pokiwał głową.

Johnny zwinął sobie skręta, więc Frank podał mu zapalniczkę, lecz jeszcze przez jakiś czas w milczeniu spoglądali na żony, na morze i wybrzeże, powoli sącząc herbatę. Johnny był najszczęśliwszy na morzu. Coś się w nim odmieniało, gdy tylko odbijał od brzegu, coś zasadniczego, jak gdyby dokonującego się na poziomie komórkowym. Zawsze czuł się dużo lepiej na morzu niż na lądzie, już od dnia, kiedy ojciec nauczył go obsługiwać żagle na małym minisailu, jeszcze w Kornwalii, gdy był bodaj w wieku Kleks.

Westchnął głośno, położył nogi na siedzeniu sterówki i przeciągnął się, myśląc o tym, że życie jest piękne, zwłaszcza gdy można podróżować w ten sposób. W dodatku mieli w perspektywie zejście na ląd w najbliższym porcie, żeby złapać okazję i pojechać tam, dokąd będzie jechał kierowca, o ile nie będzie to znowu Bodrum. Zapatrzył się na fale, wypatrując najlżejszych śladów wiatru, gdyż bardzo chciał razem z Frankiem postawić żagle. Uważał, że to wstyd, płynąć żaglówką i w ogóle nie mieć okazji do postawienia żagli.

Słońce świeciło już mocno, do końca rozproszyło mgłę. Johnny popatrzył na małą dziewczynkę, która w nadmiarze lała olejek do opalania na plecy Clem, brudząc białą zawiesziną wszystkie paski i ramiączka żółtego bikini. Jej matka sprzątała po niej bałagan, ściągając olejek z pleców Clem i wcierając go w swoją skórę. Johnny zawsze z fascynacją obserwował kobiety zachowujące się wyjątkowo swobodnie we własnym gronie i niewstydzące się swojego ciała. Teraz ta trójka wyglądała na dobrze zżyte ze sobą, iskające się samice z jednego stada naczelnych.

Upił łyk herbaty, gdy Clem przekreśliła się i ułożyła na brzuchu. Annie zaczęła nadmiar olejku wcierać w jej uda i krzywiznę u nasady pośladków, co pobudziło jego erekcję. Na krótko odwrócił wzrok, a gdy spojrzał znowu, Annie odstawiła buteleczkę z olejkiem i ku jego zaskoczeniu płynnym ruchem ściągnęła T-shirt przez głowę i naga do pasa, zapatrzona w fale, zaczęła wcierać sobie resztki olejku w skórę na piersiach. Odrobina herbaty pociekła mu z kącika ust. Nie mógł oderwać od niej wzroku, miała wspaniałe piersi.

Uświadomił sobie, że wpatruje się za długo, więc szybko odwrócił głowę, żeby nie wyglądało na to, że się gapi, i włożył całą swoją energię w markowanie fascynacji kilkoma dużymi ptakami, które przelatywały szybko obok jachtu, mknęły tuż nad powierzchnią już tylko lekko sfalowanego morza, w poszukiwaniu ryb nurkującymi i zakręcającymi tuż nad wodą.

– Wspaniałe, prawda? – zagadnął Frank, unosząc kubeczek do ust. – Mam na myśli głuptaki.

Johnny obejrzał się na niego gwałtownie.

– Mówię o ptakach – wyjaśnił Frank, który także gapił się na Annie. – Nazywają je głuptakami! – Odchylił głowę do tyłu i ryknął gromkim śmiechem, a Johnny zaraz poszedł w jego ślady. Frank zaniósł się śmiechem do tego stopnia, że aż łzy spłynęły mu po policzkach.

– One też są piękne i wspaniałe – przyznał Johnny, mówiąc zupełnie szczerze, ale zaraz uświadomił sobie, że może posunął się trochę za daleko. Niemniej Frank rechotał tak głośno, że Annie i Clem zaczęły się rozglądać, zaciekawione, co go tak bardzo rozśmieszyło.

Przez całe popołudnie także płynęli na silniku, gdyż ciągle nie było wiatru. Na brzegu wciąż nie napotykali śladów cywilizacji, więc Johnny znowu zszedł pod pokład, żeby jeszcze raz spojrzeć na mapę. Skupił uwagę na małym miasteczku, a właściwie wiosce położonej na końcu niewielkiej zatoki, ale wyglądało na to, że droga stąd w głąb lądu jest słabo dostępna, więc nie rokowało to większych nadziei. Wyszedł na pokład z lornetką i zaczął przez nią lustrować kilometry pustkowi na zboczach gór, hektary nieużytków, na których z rzadka dały się dostrzec stada pasących się kóz bądź pasterskie szałas. Popatrzył na ostrzyżone do gołej skóry zwierzęta przesuwane się w górę albo w dół zboczy. Ale potem obrócił głowę, żeby w obiektywie lornetki znów ukazały mu się wspaniałe piersi Annie. Poprawił ostrość i powoli przeniósł punkt widzenia na dół jej brzucha. Była mocno zbudowana, wygimnastykowana i umięśniona. Leżała z nogami w górze, toteż dokładniej przyjrzał się serii drobnych białych szram po wewnętrznej stronie jej ud. Ale zaraz szybko opuścił lornetkę, odwrócił się i oparł plecami o bok siedzenia sterówki. Nagle ogarnęła go przemożna senność, zaczął przysypiać w coraz mocniej grzejącym słońcu, starając się wypchnąć z wyobraźni widoki piersi i ud...

Późnym popołudniem Frank poprosił go, żeby przejął ster na czas układania Kleks do południowej drzemki. Ale gdy przy rumplu zasiadła Annie, zaczęła ich uczyć gry w półtysiaca, co początkowo wydało im się nadzwyczaj skomplikowaną grą podobną do brydża, tyle że jeszcze bardziej złożoną, gdy okazało się, że dwójka karowa może być bijącym wszystkim atutem. Ponownie zwrócił uwagę na jej blizny. Rzucały się w oczy zwłaszcza wtedy, gdy tasowała karty. Ciągnęły się po wewnętrznej stronie jej ud białymi zygzakowatymi liniami, przez co przypominały ślady gąsienic pełzających w stronę krocza.

Lekka bryza pojawiła się dopiero późnym popołudniem, ale wtedy już Frank chciał znaleźć zaciszną zatoczkę, w której mogliby zacumować na noc. Johnny wolałby postawić żagle, żeby złapać w nie choćby ten słaby wiatr, który właśnie się pojawił, ponieważ uwielbiał żeglowanie po nocy, ale to nie był jego jacht, nawet jeśli perspektywa spędzenia na nim kolejnej nocy wydawała mu się kusząca. Uważał jednak, że im bardziej oddalą się od Bodrum, tym lepiej. Postanowił więc odłożyć do jutra konieczność zejścia na ląd. Gdyby nawet musieli wynająć cały dom i taksówkę na przejazd do miasta, wciąż mogli sobie na to pozwolić za pieniądze Charliego.

Tak więc „Mała Utopia”, w miarę schodzenia słońca ku horyzontowi, pożeglowała bliżej brzegu, kierując się w stronę najbliższej przystani. Niewiele było trzeba, żeby znaleźli odpowiednie miejsce. Wpłynęli na silniku do zatoki chronionej z trzech stron przed wiatrem przez strome zbocza. Johnny i Clem stanęli na dziobie, żeby mierzyć głębokość wody za pomocą przyrządu kapitana Hooka do wykrywania ławic ryb. Dno było kamieniste, przetykane łachami piasku, więc kiedy Johnny rzucił kotwicę, ta od razu zaczepiła się o podłoże i łódź szybko się obróciła, ustawiając dziobem do wiatru.

Kiedy Frank w końcu wyłączył silnik, zapadła błoga cisza. Johnny już zapomniał, jak

bardzo nienawidzi silników. Ludzie setki lat jakoś dawali sobie bez nich radę, a teraz stały się nieodzowne. Kilka lat wcześniej z Robem i Clem dostarczali z Gibraltaru do Falmouth jacht, na którym nie było silnika. Okazało się to tak rzadkim wydarzeniem, że w wielu portach witano ich brawami.

Przez jakiś czas stali we czworo na pokładzie, napawając się ciszą i tylko wpatrując się w ten niezwykły fragment dzikiej przyrody, która ich otaczała, zasłuchani w szmer bryzy marszczącej wodę, stukot fal o burty, rozlegający się od czasu do czasu nad złotawymi wzgórzami wrzask drapieżnego ptaka. Znaleźli się pośrodku uroczego pustkowia, z zachodzącym słońcem grzejącym ich w plecy, wydłużającym ich karykaturalnie długie cienie po falach aż do skał na brzegu.

Nastąpiło generalne porządkowanie sterówki i pokładu wśród głośnych narzekań kapitana Hooka na wszelkie próby włożenia pod brudną piracką marynarkę jakichś cieplejszych ubrań, żeby zakryć gęsią skórę pokrywającą całe jej ciało. Johnny'emu udało się zająć ją bardzo ważnym zadaniem wypatrywania „zielonego błysku”, legendarnego zjawiska towarzyszącego słońcu chowającemu się za horyzontem, mającemu jakoby charakter zielonego promienia strzelającego w niebo. Opowiedział jej, że przez całe życie wypatrywał tego błysku, ale nigdy go nie widział, bo miał za słaby wzrok. Kleks przestała się awanturować, usiadła mu na kolanach i szeroko rozwartymi oczami zapatrzyła się na słońce, próbując w ogóle nie mrugać, przez co Annie zdołała na nią wcisnąć ubranie pod marynarkę, po czym w wyrazie wdzięczności przeciągnęła dłonią po głowie Johnny'ego.

Na niebie pojawiły się różowe i purpurowe smugi, które niczym długie palce wyciągały się ponad ich głowami na wschód, gdzie migotały już pierwsze gwiazdy. Frank i Clem przynieśli do sterówki swetry oraz kubeczki napełnione czerwonym winem, po czym wszyscy w piątkę zasiedli w oczekiwaniu na zielony rozbłysk, obserwując czerwoną kulę zsuwającą się z nieba. Tylko kapitanowi Hookowi dopisało szczęście – widział nawet kilka rozbłysków, jak powiedział, najwyraźniej wtedy, gdy inni mrugali. Kleks opisała to zjawisko szczegółowo, zielonemu promieniowi miały towarzyszyć wszystkie kolory tęczy, które jej wspaniałe oczy zdążyły zauważyć. Ale słońce pocałowało horyzont i zniknęło im z oczu bez żadnych fajerwerków.

Kiedy gwiazdy upstrzyły niebo, a księżyc wyruszył w swoją wędrówkę, zjedli na kolację makaron z talerzyków trzymany na kolanach. Annie położyła kapitana Hooka do łóżka i krótko się z nim zmagając, głośnie protesty dolatujące z kajuty na dziobie szybko umilkły i wkrótce dołączyła do nich z następną porcją wina. Clem zrobiła jej miejsce, przenosząc się na drugą stronę sterówki obok Johnny'ego, po czym ułożyła sobie stopę na kolanie i zaczęła knykциями pięści delikatnie masować jej podbicie. Frank siedział za nią na rufie, z nogami przerzuconymi przez rumpel, i z oczyma utkwionymi w niebie wodził palcem po trajektorii gwiazd w galaktyce. Sam z siebie wyniknął temat maleńkiej skali ich krótkiego życia na Ziemi. Gdyby Betelgeza, widoczna właśnie tam, była wielkości pomarańczy, powiedział, planeta Ziemia zmieściłaby się na czubku igły. Clem pochyliła się ku niemu, żeby zobaczyć dokładnie, którą gwiazdę wskazuje. Miała na sobie jego golf, a włosy z tyłu głowy wsunięte za kołnierz, zaledwie kilka pasemek zwisało jej przy twarzy, Johnny pomyślał więc, że bardzo chciałby się z nią teraz kochać. Naprawdę się

zastanawiał, czy nie wstać, nie wziąć jej za rękę i rzucić: Wybaczcie, ludziska, ale mam zamiar uprawiać teraz seks z żoną, niedługo wrócimy. Był pewien, że nikt by nie zaprotestował. Upił nieco wina z kubeczka i uniósł go w stronę Annie, która jak zwykle w ciszy raczyła się swoim winem. Nikt nie przerywał milczenia, sączyli szybko ocieplające się wino, zasłuchani w stukot fal o burty.

– To był najbardziej nieoczekiwany i cudowny dzień – odezwała się w końcu Clem jak gdyby sama do siebie.

– Cudowny dzień najlepszego rodzaju – odrzekł Frank ze wzrokiem wciąż utkwionym w gwiazdach.

Westchnęła głośno, z rozkoszą, i z głową odchyłoną do tyłu także popatrzyła na miliony gwiazd nad nimi.

– Przypuszczam, że któregoś dnia ludzkość odkryje wszystkie tajemnice wszechświata – powiedziała, przenosząc palce na stopę Johnny'ego. – Ustali nawet, czym są czarne dziury.

Frank cicho mruknął potakująco, niemal równocześnie to samo zrobił Johnny, tyle że u niego był to wyraz przyjemności z masażu.

– Kiedy już poznamy wszystkie odpowiedzi, prawdopodobnie to się stanie – nastąpi koniec świata – dodała.

– Mogę się założyć, że już znamy tajemnice wszechświata – odparł Frank swoim miękkim głębokim basem. – Przecież mamy je przed oczami.

– Hm... – powtórzyła jego potakujące mruknięcie.

– Myślę, że to boski żart – wyjaśnił Misiek – i naprawdę znamy już wszystkie odpowiedzi.

– Być może – powiedziała, ale bez przekonania, przerywając masaż, jakby prowadzenie rozmowy i jednoczesna jego kontynuacja wykraczały poza jej możliwości. Johnny aż poruszał trochę palcami u nóg, żeby jej przypomnieć o swojej obecności. – Ewentualnie kiedyś je znaliśmy, tylko zapomnieliśmy.

– Tak – rzucił stanowczo Frank, odwracając głowę, żeby lepiej widzieć Clem. – Dokładnie tak! Być może jedynym celem naszej bytności tutaj jest ich powtórne odnalezienie.

– A może nie mamy przed sobą żadnego celu? – wtrącił Johnny, na co odpowiedział mu chichot Annie.

– Och, Johnny – syknęła Clem, mocno wbijając knykcie w podbicie jego stopy. – Nie bądź śmieszny. Oczywiście, że mamy. W przeciwnym razie czemu to wszystko miałoby służyć?

– Przynajmniej w tym jednym się zgadzamy, Clem. – Frank uśmiechnął się szeroko, aż w ciemności zabłyszczały jego białe zęby.

– A według ciebie czemu to ma służyć, Frank? – zapytała. – Powiedziałeś przed chwilą o boskim żarcie. Mam rozumieć, że wierzysz w Boga?

Frank znów popatrzył w niebo, a po chwili zaczął mówić, starannie dobierając każde

słowo, jakby wybierał ulubioną czekoladkę z niezwyklej bombonierki. W tym sposobie mówienia było coś, co nakazywało uważnie go słuchać, aby niczego nie przegapić. Na pewno byłby z niego doskonały nauczyciel. Gdyby w szkołach uczyli tacy nauczyciele jak on, Johnny zapewne bardziej przykładałby się do nauki.

– Nie wierzę, że nasze życie jest bezcelowe – oświadczył. – Nie wierzę w Boga jako takiego, ale wierzę w istnienie uniwersalnej siły, w porządek będący przeciwieństwem chaosu. – Patrzył na Clem, ale zwracał się do wszystkich. – I jestem absolutnie głęboko przekonany, że któregoś dnia ludzkość wkroczy w drugi złoty wiek.

Clem sięgnęła po paczkę papierosów i lekko przechyliła głowę na ramię w niemym pytaniu, czy może się poczęstować. Frank musiał dać jej znak przyzwolenia, ale było za ciemno, żeby Johnny to zobaczył. W każdym razie wyjęła papierosa z paczki, a Frank wykręcił się na miejscu, żeby jej go przypalić. W czerwonym blasku płomienia wyglądał zaskakująco staro, jego czoło pokryło się siecią zmarszczek, aż Johnny się zaciekawiał, czy Clem również to zauważyła.

– Co nazywasz złotym wiekiem? – zapytał.

– Ach! – jęknął Frank, jakby sięgał do dalszych pokładów pamięci. Zdjął nogi z rumpla i wyprostował się na miejscu. Poskubując w zamyśleniu mankiet swojego starego dziurawego swetra, rzekł: – Według wielu starożytnych tekstów był to okres w historii, w którym my, ludzie, żyliśmy w zgodzie z prawem naturalnym.

Clem słuchała uważnie, zaciągając się dymem. Przez lata nauczyła się palić elegancko, jak gwiazdy filmowe z lat dwudziestych.

– To był czas panowania szczęścia i harmonii, zwłaszcza pełnej harmonii człowieka z naturą.

– A co to jest prawo naturalne? – zapytała Clem.

– To prawo ustalone przez naturę, którego skutki występują we wszystkim.

– Nie rozumiem. Na przykład?

– No cóż, podam ten chyba najbardziej oczywisty... – odparł powoli Frank kojącym głosem. Johnny nadstawił ucha, żeby nie uronić ani jednego słowa – ...że wszyscy jesteśmy częstkami tego samego. My, Ziemia, cały wszechświat, jesteśmy zbudowani z tych samych pierwiastków chemicznych. Taki sam potencjał tkwi w tobie, jak i w gwiazdzie powstałej miliardy kilometrów stąd.

Johnny zaczął zwijać sobie skręta, jak zawsze powoli i starannie, równo rozkładając tytoń na całej długości bibułki, pomagając sobie paskiem kartonowego opakowania Rizla, żeby uzyskać idealny efekt. W zasadzie Frank mówił o rzeczach oczywistych, o skończonej liczbie pierwiastków, z których zbudowany jest wszechświat i wszystko, co się w nim znajduje, ale mówił to w taki sposób, że brzmiało to oryginalnie i świeżo. Johnny poczuł radość z powodu tej jednej dodatkowej nocy na pokładzie jachtu, bo chciał dowiedzieć się od niego więcej. Chciał też, żeby Clem podjęła przerwany masaż jego stopy, ale wyglądało na to, że zupełnie o nim zapomniała, kierując całą uwagę na Franka.

– Pomyśl choćby o żółędziach! – mówił, pochyliwszy się do przodu, patrząc teraz na

nich. – W takim małym nasieniu kryje się zdolność przeistoczenia w potężny dąb. To jasne, że życie jest realizacją naszego potencjału, przemianą tego, co ukryte, w to, co oczywiste.

Clem i Johnny słuchali w milczeniu, jakby ich zauroczył. Kiedy spoglądał im w oczy, w jego źrenicach pojawiały się ogniki jakiegoś wewnętrznego płomienia.

– Albo pomyślcie w ten sposób: w duszy każdego z nas jest kopalnia pełna drogich kamieni. Mamy dostęp do wszystkich bogactw ziemi. Więc może powinnością każdej istoty ludzkiej jest zgłębienie tych kopalń, wydobyć wszystkie diamentów na światło dzienne. Niewykluczone, że całkiem jest możliwe życie w stanie upajającej błogości, jeśli tylko taka będzie nasza wola.

– Jak się tam dostać? – zapytała Clem głosem stłumionym z zachwytu.

– To proste. Należy wykorzystać swój potencjał.

– Ale jak to zrobić?

Nagle zmęczył ją ciężar stopy Johnny’ego na kolanie, bo zepchnęła ją i podkuliła kolana pod brodę. Frank westchnął, jakby pogrążał się w otchłani niepoznawalnych tęsknot, i przysunął się nieco bliżej.

– Wystarczy tylko przestrzegać wszystkich innych praw naturalnych, a stanie się to automatycznie. Na początku trzeba sobie uświadomić, że samemu sprawuje się kontrolę nad swoim życiem. Nie jesteśmy ofiarami. Twój świat będzie taki, jakim go sobie stworzysz. Zawsze powtarzam to Annie. Prawda, kochanie?

Nie oczekiwał odpowiedzi, nawet nie spojrzał na żonę. Ale zrobił to Johnny. Szczodrze raczyła się winem, jakby słyszała to wszystko wcześniej. Za jej pozą pełną smutku skrywał się tak zadziorny charakter, że od razu poczuł się lepiej. Tyle że on nie słyszał tego wszystkiego wcześniej, a chciał usłyszeć więcej. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, żeby ktoś wypowiadał się w ten sposób.

– Musisz zacząć brać odpowiedzialność za siebie, a mam na myśli wszelkie twoje reakcje na życie, i w tym celu musisz przełamać własne mechanizmy obronne.

– Nie mogę kontrolować swoich reakcji, bo nie mam nad nimi władzy, po prostu reaguję – odparła Clem.

Frank zaśmiał się i rozsiadł wygodniej.

– Jesteś w wielkim błędzie. Oczywiście, że możesz.

– Nieprawda.

– Po prostu spróbuj oceniać dokonywane przez siebie wybory już w trakcie ich dokonywania.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Znowu pochylił się do przodu, lekko rozstawił nogi i w zamyśleniu zabębnił palcami po kolanach. Potem odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy, z bliska.

– Mówię zupełnie poważnie, Clem – rzekł i zawiesił głos. Oboje pochylili się w jego kierunku. – Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie dotąd spotkałem – powiedział, nie spuszczać z niej oczu.

Nastąpiła przerwa, krótka chwila, w której wahadło czasu zawisło bez ruchu. Johnny spostrzegł, jak Clem próbuje ukryć zadowolenie, bo odwróciła wzrok od Franka, ale kąci jej ust uniosły się nieco, a rzęsy zatrzepotały. Rzuciła Johnny'emu nieuważne spojrzenie, jakby zawstydzona. W świetle dziennym z pewnością widać byłoby rumieniec na jej twarzy. Zresztą Johnny sam poczuł chwilowy przyływ dziwnego, gorzkiego uczucia.

– W porządku – rzekł Frank, sięgając po paczkę papierosów. Wystukał sobie jednego prosto do ust i przypalił w ten swój pośpieszny, swobodny sposób. – Wybrałaś poczucie wyróżnienia – powiedział, jak gdyby przeprowadzał eksperyment i oceniał reakcję na fałszywy komplement. Zaciągnął się dymem, odchylił głowę i wydmuchnął go w niebo. – To był twój świadomy wybór. A mogłaś przecież poczuć się urażona moją uwagą. – Popatrzył na Johnny'ego. – To dotyczy również ciebie, twoje ego mogło ucierpieć przez to, że ktoś obcy nazywa twoją żonę piękną. – Urwał na chwilę. – Ale to także kwestia twojego świadomego wyboru.

Johnny nie chciał, aby Frank uważał, że niczym się nie różni od słabszych psychicznie ludzi, których ego łatwo zbiera siniaki. Chciał być lepszy od innych. Clem była piękna, to nie podlegało dyskusji, ale Johnny'emu zależało na tym, żeby inni mężczyźni także dostrzegali jej urodę, bo jemu to się podobało. Jego świadomym wyborem było szybkie zapomnienie o tym krótkim bolesnym ukłuciu i w chwili, gdy podjął tę decyzję, szybko się od niego uwolnił. I świadomie postanowił się nie obrażać. Poczł satysfakcję. Panował nad sobą. Nagle zrozumiał, co Annie miała na myśli, kiedy powiedziała, że Frank widzi wszystko. Spojrzał na nią. Siedziała skulona, ze spuszczoną głową i twarzą zakrytą włosami.

– Ale mogłem też uznać, że twoje słowa to pochwała mojego wyjątkowo dobrego gustu – rzekł, przypalając sobie skręta.

Frank uśmiechnął się i z aprobatą skinął głową, co sprawiło, że Johnny poczuł się jeszcze lepiej, jakby bez zastrzeżeń zdał jakiś egzamin.

– W porządku, rozumiem, o co ci chodzi, Frank – powiedziała Clem tonem, jakiego Johnny jeszcze u niej nie słyszał, jakby miał przed sobą uczennicę próbującą zaimponować nauczycielowi, waleczną i pewną siebie. – Nie czuję się wyróżniona. Jeśli nawet ktoś uważa, że jestem piękna, to co z tego?

– To także twój świadomy wybór, Clem. – Frank wciąż mówił powoli, cedząc słowa, jakby dysponował ograniczonym ich zakresem, a jego bombonierka była już prawie pusta. – Przekonasz się, że zawsze jest jakiś najszluszniejszy wybór, którego można dokonać w dowolnej sytuacji.

– Tylko jak można się przekonać, który wybór jest najszluszniejszy? – zapytała.

– Właściwy wybór to taki, który uszczęśliwi ciebie i wszystkich dokoła – powiedział z błyskiem w oczach, spoglądając najpierw na Clem, potem na Johnny'ego. – Powinnaś to czuć instynktownie. Zaczynaj ufać swojemu instynktowi, bo on zawsze zna odpowiedź.

Jeszcze nikt dotąd nie radził Johnny'emu, by zaufał swojemu instynktowi. Ojciec zawsze kazał mu się wykazywać inicjatywą, której źródła tkwiły wyłącznie w głowie. Nie miał więc wątpliwości, że to, co mówi Frank, jest słuszne.

– Przysięgam, że jeśli obydwoje zaczniecie postępować w ten sposób, będziecie zaskoczeni rezultatami. Powszechne bariery, które was ograniczają, upadną jak ubrania zdejmowane z ciała.

– Skoro już o tym mowa... – odezwała się Annie, prostując się nagle, czym zaskoczyła Johnny'ego, który myślał, że zapadła w drzemkę – ...Frank twierdzi, że w ogóle nie powinniśmy nosić ubrań, bo ludzie w epoce złotego wieku chodzili nago.

– Upiłaś się, kochanie – powiedział Frank z czułością w głosie.

– Przepraszam – rzuciła, szybko zwieszając z powrotem głowę i wbijając wzrok w swoje stopy.

Frank pochylił się, wziął ją za rękę i spojrzał na Johnny'ego.

– Annie miała trudne życie – powiedział tak samo czule. – Mam rację, kochanie?

Podniosła na niego smutne błękitne oczy, ale nic nie powiedziała.

– Czy to prawda, co mówiłeś? – zapytała cicho Clem po dłuższej przerwie, kiedy stało się jasne, że Annie nie oświeci ich już bardziej. – Rzeczywiście wszyscy chodzili nago w epoce złotego wieku?

– Tak, to prawda – odparł, puszczając dłoń żony. – Ubrania to kolejna forma zniewolenia. Stanowią kolejne bariery, kolejne ograniczenia pomiędzy nami a światem. Tylko w swojej nagości możemy być całkiem otwarci, możemy się uwalniać od swoich psychologicznych zahamowań. Tylko nadzy możemy się w pełni ujawnić.

– Czy wszyscy nie uprawialiby bez przerwy seksu, gdybyśmy chodzili nago? – zapytał Johnny, tak samo przerażony, jak i podniecony wizją powszechnego zrzucenia ubrań. Pstryknął niedopałek za burtę i popatrzył, jak na podobieństwo komety opada w morze.

– Początkowo może i tak, nie sądzę jednak, żeby to trwało wiecznie – powiedziała Clem. – Wszyscy by się z tym szybko oswoili.

– Zgadza się – przyznał Frank.

– Może i macie rację – rzekł Johnny. – Szybko stalibyśmy się zblazowani. Popularny stałby się odwrotny striptiz, kończący się włożeniem wełnianego swetra.

Tylko Annie zaśmiała się z tego żartu.

– Jesteście naturystami? Na co dzień chodzicie nago? – zaciekała się Clem.

– Jeśli jesteśmy sami na jachcie i jest dostatecznie ciepło, nie ubieramy się, prawda, Annie?

Przytaknęła ruchem głowy. Z pamięci Johnny'ego wypłynął widok jej nagich piersi, aż zerknął teraz na jej biust, dopijając resztkę wina z kubeczka. Spojrzał na Clem, która kręciła w palcach pasemko włosów, paliła i w zamyśleniu patrzyła na Franka. Ogólnie podobał mu się pomysł uwolnienia od ubrań i chodzenia nago, wiedział jednak, że wcale nie czułby się dobrze, musząc się dzielić nagością Clem z innymi. Uważał, że jej ciało należy wyłącznie do niego.

Annie podniosła się na chwiejnych nogach i odgarnęła włosy do tyłu.

– Za bardzo się nie przejmuj – powiedziała do niego. – Idę do łóżka... O ile Kleks

zostawiła mi trochę miejsca.

Niedługo później Frank zszedł za nią do kajuty, tak więc Johnny i Clem zostali zdani tylko na siebie, oddzieleni ciasną, może metrowej szerokości toaletą od łóżka Annie i Franka. Johnny nie spieszył się, myjąc zęby w sterówce, zadowolony z tej chwili samotności, bo coś nie dawało mu spokoju, tylko nie bardzo mógł zidentyfikować przyczynę. Popatrzył na księżyc. Był prawie w pełni, brakowało tylko wąskiego skrawka przy prawej krawędzi. Jego srebrzysty blask tworzył na morzu szeroką ścieżkę o poszarpanych brzegach. Na niebie świeciły miriady gwiazd, toteż natychmiast uzmysłowił sobie, że drobny problem, który próbował zidentyfikować, jest wobec nich zupełnie bez znaczenia.

– Daj spokój – mruknął sam do siebie. – Po prostu zapomnij.

Przepłukał usta, wypluł wodę do morza i zszedł do salonu.

Clem kończyła już szykować posłanie. Spięła razem oba śpiwory i ułożyła je przy drzwiach kajuty. Johnny zdjął ubranie i wsunął się do środka, starając się ułożyć jak najwygodniej do snu. Ale okazało się, że nie umie po prostu zapomnieć, coś mu ciągle doskwierało. Nie miał nawet ochoty zaczekać na Clem, jak to zwykle robił, odchyłając pościel, żeby mogła się ułożyć, a potem zakrywając ją i tuląc do siebie, aby ogrzać w swych ramionach. Ale nie chciał też odwracać się tyłem, gdyż byłoby to zbyt ostentacyjną manifestacją, toteż leżał jeszcze na wznak, gdy ona zaczęła zdejmować kolczyki i robić te wszystkie rzeczy, które sprawiają, że kobietom ułożenie się do snu zajmuje więcej czasu niż mężczyznom. Wsunął ręce pod głowę, ale zawadził łokciami o ściankę, toteż musiał się przesunąć w dół i podciągnąć kolana.

Zgasiła światło przed wyjściem na mycie zębów, co go ucieszyło, gdyż chciał się ukryć w ciemności. Przyszło mu do głowy, że mógłby udawać śpiącego, ale zaraz zrezygnował, bo Clem od razu by się domyśliła, że coś jest nie w porządku, ponieważ nigdy nie zasypiał przed nią. Leżał więc, zasłuchany w delikatne uderzenia fal o burzę, i próbował odegnać od siebie przykre myśli, patrząc na smugę księżycowego blasku przesuwaną się po salonie w rytm kołysania jachtu. Za drzwiami na dobre umilkł basowy głos Franka.

W odróżnieniu do niego Clem była uradowana, czuła lekkość w sercu. Stała w sterówce i zapatrzyła się na księżyc. Nie spieszyło jej się, nie odczuwała zmęczenia. Wręcz przeciwnie, czuła się podekscytowana. Gdzieś w środku, w okolicy serca, odczuwała dziwne trzepotanie, jakby ptaka zrywającego się do lotu, jak gdyby naprawdę coś chciało się wyrwać na wolność. Spoglądała na miliardy miliardów gwiazd nad głową i chyba po raz pierwszy czuła, że coś ją z nimi łączy, że jest częścią wszechświata. Nawet nie mogła się od tego uwolnić, skoro separacja była iluzją. Wiedziała z całą pewnością, że stanowi część wszechświata, bo przecież była zbudowana z tych samych pierwiastków, co wszystkie inne rzeczy. Czuła się przez to zdolna absolutnie do wszystkiego. Zacerpnęła głęboko rześkiego wieczornego powietrza, razem z gwiezdny pyłem, mając nadzieję, że zapamięta to uczucie. Chciała się nim podzielić z Johnnym albo je opisać. Zbiegła z powrotem po zejściówce i zaczęła się szybko rozbierać w salonie, nie znajdując w myślach odpowiednich słów do opisanie swoich uczuć, zresztą zauważyła, że on leży na wznak z głową obróconą w drugą stronę. Nie odwrócił się jednak, kiedy wsunęła się do

śpiwora, więc przytuliła się do niego, dając nura pod jego ramię. Jednakże wciąż nie reagował.

– O co chodzi, Robin Hoodzie? – zapytała szeptem.

– O nic. – Chciał dodać: Lady Marion, ale ugryzł się w język.

Czuł się wyobcowany. Nie potrafił udawać czułości. W gruncie rzeczy miał ochotę, żeby go przeprosiła za coś, co zrobiła, a z czego zapewne nie zdawała sobie sprawy. Dlatego leżał nieruchomo jak kłoda, bo nic innego nie potrafił wymyślić do czasu, aż wreszcie odgadnie, co się naprawdę dzieje w jego głowie.

– Widzę, że coś się jednak stało – mruknęła, uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego z troską.

Nie odzywał się, dopóki nie westchnęła i nie ułożyła się w śpiworze. Wtedy jeszcze bardziej wykręcił głowę, jak gdyby chciał zniknąć, stać się niewidzialny. Ale i to nie pomogło.

– Podoba ci się Frank? – zapytał w końcu szeptem, na tyle obojętnie, na ile tylko to możliwe w czasie porozumiewania się szeptem.

Jeszcze przez chwilę nie reagowała, wreszcie rozległ się szelest towarzyszący gwałtownemu obróceniu głowy w jego stronę.

– O czym ty mówisz? – Poczul się nagle żaloszny i głupi. – Jesteś zazdrosny?

Wyczuwał w jej głosie zdumienie, ale także odrobinę satysfakcji, gdyż nigdy dotąd nie spotkała się u niego z przejawem zazdrości.

– Nie jestem zazdrosny – odparł. – Dlaczego miałbym być? – Zachichotał, ponieważ nawet jemu ten pomysł wydał się szokujący. – Zauważyłem po prostu, że masz ochotę z nim poflirtować, to wszystko.

– Poflirtować?

– Owszem – mruknął tonem sugerującym, że wszyscy zwrócili uwagę na jej niestosowne zachowanie.

– Wcale nie chciałam flirtować.

Pomyślała, że musiał wszystko zepsuć, całą jej radość i magię, jaką odczuwała przed chwilą na pokładzie. Powoli odwróciła się do niego plecami.

Nie chciał, żeby tak wyszło. To była jego wina. Żałował, że kocha ją aż tak bardzo, bo miał wrażenie, że jest jak wielka otwarta rana, w którą ona może sypać sól. Westchnął ciężko w nadziei, że odebrała jego wszystkie skomplikowane i sprzeczne myśli. Uważał zazdrość za wstrętne, odrażające uczucie, które nie powinno oglądać światła dziennego. Obrócił głowę i poczuł, że równocześnie ona odwraca się przodem do niego, okazując życzliwość, na którą nie zasługiwał.

– Przepraszam, Clem – szepnął.

Od razu mu wybaczyła, przesunęła się trochę niżej i oparła głowę na jego piersi. Po chwili zaczęła wodzić palcami po włosach na jego klatce piersiowej. Zamknął oczy, próbując zatracić się w jej dotyku. Podniosła głowę, sięgnęła dłonią do jego policzka,

przekręciła mu głowę w swoją stronę i pocałowała go najpierw w zagłębienie policzka, w którym lubiła opierać wargi, a następnie w usta, na co nie reagował jeszcze przez kilka sekund, jakby chciał ją w ten sposób ukarać, zanim wreszcie odwzajemnił pocałunek. Ona zaczęła więc całować go żarliwie, chcąc dać mu znak, że jest tylko jego. Wiedziała, czego on pragnie, i zamierzała się z nim kochać.

– Zaczekaj – powiedziała, odsuwając się od niego.

Popatrzył jak wstaje, a jej piękne ciało omywa smuga księżycowego blasku. Zaczęła szperać w drobiazgach wypychających boczną kieszeń torby podróżnej, aż znalazła kasetę, którą podetknęła mu pod nos. To było jej nagranie Otisa.

Uklękała na siedzeniu, żeby sprawdzić, jak uruchamia się odtwarzacz kasetowy stojący na półce, a Johnny’emu jej pośladki wydały się tak kuszące jak dojrzale brzoskwinie. Jego pożądanie już zaczęło tłumić zazdrość. Poprawił sobie poduszkę pod głową, żeby mieć jeszcze lepszy widok na jej krągłości, ostro odgraniczone białe plamy pośladków wyglądające niczym wyrzeźbione z marmuru, biodra falujące lekko w księżycowej poświacie. Po chwili Otis zaczął śpiewać *These Arms of Mine*. Miała obsesję na punkcie tej piosenki, nagrała ją w pętli, całość zapisu trwała czterdzieści pięć minut. Zrobiła na tyle głośno, na ile tylko się odważyła, nie chcąc zakłócać snu innym, i powoli zaczęła kołysać ramionami w rytm prześladowającego ją głosu piosenkarza.

Przez ramię rzuciła Johnny’emu lekko wyzywające spojrzenie wraz z uśmiechem, zdającym się mówić: Usiądź wygodnie i patrz na mnie. Kiedy odchyliła głowę do tyłu i jej włosy opadły na plecy, wydała mu się niezmiernym zjawiskiem, jakby stworzonym według boskiego ideału piękna. Kiedy rozpoczęła taniec do muzyki, mogło się wydawać, że jej ciało reaguje na każdy odcień smutnego głosu Otisa. To był taniec wyłącznie dla niego, mający mu wykazać, że należy do niego cała, i kiedy tak spoglądał na nią, czuł, jak jej miłość przenika jego ciało niczym balsam, antidotum na myśli pełne gorzkości. Czuł, jak resztki zazdrości znikają pod naporem coraz silniejszego pożądania. Miał na nią wielką ochotę. Kochał ją bardziej niż kiedykolwiek dotąd i bardziej, niż jakikolwiek kochanek potrafił kochać.

Czasami odnosił wrażenie, że seks jest aż nazbyt intensywnym przeżyciem. Kiedy był w niej, zdawało mu się, że zaraz eksploduje, gdy ona siedziała na nim okrakiem. Myślał, iż żaden człowiek nie da rady przeżyć aż takich uniesień. Stąd też nie widział możliwości, żeby aż tak bardzo mógł pokochać kogoś innego, nie rozsypując się na milion kawałków.

– Powoli, Clem – szepnął, zaciskając palce na jej brzoskwińowych pośladkach i czując jej zęby wbijające się w ramię oraz przyspieszony oddech tuż przy uchu. Nie był już w stanie dłużej się powstrzymać.

Właśnie wtedy dostrzegł błysk czyjegoś oka w wąskiej szparze między futryną w przepierzeniu a krawędzią drzwi kajuty. Blask księżyca na krótko wyłowił je z mroku. Wstrzymał na chwilę oddech i znieruchomiał, ale oko natychmiast zniknęło, zanim zdążył się przekonać, że naprawdę tam jest.

OSTRO NA WIATR

Drugiego ranka niebo także było zaciągnięte chmurami, podobnie jak wczoraj, ale wiała lekka bryza. Zjedli śniadanie w sterówce, otoczeni tak idealnym pustkowiem, że aż trudno było uwierzyć, że jeszcze kiedykolwiek zetkną się z cywilizacją. Ciszę rozpraszał jedynie delikatny plusk wody uderzającej o burty i monotonne granie świerszczy pośród wzgórz. Znajdowali się około pięćdziesięciu metrów od skalistego brzegu. Wszyscy zachowywali się tak swobodnie, że Johnny zaczął powątpiewać, czy faktycznie dostrzegł kogoś podglądającego ich, gdy się kochali poprzedniego wieczoru. Teraz, w jasnym świetle poranka, wydawało się to po prostu niemożliwe.

Annie przez lornetkę lustrowała uważnie każdą mijaną zatoczkę, jakby wypatrywała czegoś szczególnego. Clem siedziała na swojej macie modlitewnej z żyłką przerzuconą przez burty i słuchała rad Franka, który uczył ją łowić ryby. Razem z Kleks wyprawił się wcześniej łodzią na brzeg po owady na przynętę i wrócił z kubeczkim martwych much i żuków.

Teraz Johnny siedział z Kleks na dachu kajuty, grali w różne gry. Mała znów nie miała na sobie nic poza marynarką kapitana Hooka. On był rozkojarzony, gotów do postawienia żagli i zapatrzenia się w horyzont w poszukiwaniu mocniejszego wiatru. Bryza wiała z zachodu i po kolejnym przyjrzeniu się bezużytecznej mapie chciał płynąć dalej w kierunku wschodnim, bo wyglądało na to, że nie trafią na żadną przystań jeszcze przez kilka dni. Frank był jednak znacznie bardziej nastawiony na łowienie ryb niż żeglowanie, gdyż chyba w ogóle nie interesował go kierunek wiatru ani poszukiwanie najbliższej wioski, jak gdyby był całkiem usatysfakcjonowany tym płynięciem na silniku od jednej zatoczki do drugiej i zwiedzaniem wybrzeża, zbieraniem przynęty na brzegu i wędkowaniem. Jego najbliższe plany nie wykraczały poza to, co się działo w tej chwili, a dalsze, nieokreślone i rozległe, dotyczyły osiągnięcia południowego wybrzeża Turcji przed nastaniem lata.

Johnny opracowywał z Kleks grę w olimpiadę, którą ona nazywała Ślimakami. Grylica Gilla okazała się szczególnie wysportowaną, wszechstronnie uzdolnioną sportsmenką, ponieważ wygrywała prawie w każdej dyscyplinie, a obecnie szykowała się do finału w skokach do wody. Kucał na bomie, w goglach Kleks i jej nadmuchiwanym zabezpieczeniu na przedramiona, szykując się do najważniejszego skoku: potrójnej śruby tyłem z połową salta. Johnny trzymał w rękach linki, na których Gilla wykonywała przedłużoną rozgrzewkę, zginała się i rozciągała, aby uspokoić napięte nerwy. Kleks z entuzjazmem przyjmowała komentarze Johnny'ego, aż popiskiwała ze strachu, ilekroć Gilla zbierała się na odwagę i ruszała na palcach wzdłuż bomu, a potem krzyczała z radości, gdy strach okazywał się silniejszy od niej i musiała wycofywać się rakiem i oddawać pod opiekę sanitariuszy. Tym razem jednak odważnie wybiła się w powietrze, skoczyła z bomu, po czym wykręciła się i przeokoziłkowała, zanim wpadła do morza. Mała powitała to

gromkimi wiwatami i rzuciła się do relingu, żeby pomóc małpce wrócić na pokład, przemoczonej i cięższej.

– I dostała pełne dziesięć punktów od wszystkich sędziów! – zawołał Johnny tonem wytrawnego komentatora, wybierając linki. – Tak, proszę państwa! Grylica Gilla zdobyła złoty medal dla Wielkiej Brytanii!

Oboje z Kleks nagrodzili to gromkimi brawami, po czym mała pobiegła po coś do kajuty.

– Zdobywasz sobie prawdziwą wielbicielkę – powiedział Frank, gdy podszedł bliżej i kucnął, żeby wybrać świeżą przynętę z puszki z owadami. – Obawiam się, że jako pierwszy złamiesz jej serce.

Kleks pojawiła się na szczycie zejściówki i z szerokim uśmiechem pokazała dużą złotą monetę zawieszoną na wstążce.

– Patrz! Mam złoty medal dla Gilli! – zawołała z entuzjazmem.

– Co to jest? – zaciekawił się Johnny, biorąc od niej błyszczący krążek.

– Medal taty – odparła, wdrapując się z powrotem na dach kajuty. – Ale teraz to może być medal za zwycięstwo w Ślimakach.

Johnny obejrzał się na Franka, który grubymi palcami usiłował oczyścić haczyk z resztek poprzedniej przynęty.

– Zdobyłeś medal? – zapytał z niedowierzaniem, spoglądając na złoty krążek.

Były na nim wybite profile jakiegoś króla z królową, ze środka wychodziły cztery liście laurowe pokryte jasnoniebieską emalią. Wzdłuż obrzeża ciągnął się napis, toteż obrócił medal w palcach, żeby odczytać: „Za Boga i Imperium”.

– Co to jest? – zapytał Johnny. – Order Imperium Brytyjskiego?

– Coś w tym rodzaju – odparł Frank, koncentrując się na procesie nadziewania jakiegoś wija na haczyk.

– Sama królowa mu go dała – powiedziała Kleks.

– Wręczyła, Kleks – skorygował Frank z haczykiem w zębach. – Wręczyła.

– Królowa mu go wręczyła – poprawiła się mała. – No, chodź, Johnny. Rozdamy medale.

– O kurde! A za co? – zapytał Johnny, obracając medal w palcach. – Co takiego zrobiłeś?

– Nic specjalnego. Wykonywałem tylko swoje obowiązki – odparł Frank od niechcienia, mocniejszym ruchem przebijając haczykiem pancerzyk wija.

– A co to były za obowiązki?

– Nudne – wtrąciła Kleks, ciągnąc go za rękę. – No, chodź, Johnny!

Frank puścił do niej oko.

– Za służbę w metropolitarnej – wyjaśnił, układając ciało owada na zakrzywionym haczyku. – Służyłem w policji metropolitarnej.

Johnny zapatrzył się na niego z ustami otwartymi w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

– Więc jesteś gliniarzem?

– Byłem nim. Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę po paskudnym zderzeniu z dziesięciotonową ciężarówką na autostradzie M4.

– Żartujesz?

– Nie żartuję – odparł, spoglądając z boku, jak martwy wij prezentuje się na haczyku.

Johnny wpatrywał się w jego twarz w poszukiwaniu klucza do zagadki, choćby najłżejszego uśmiechu, ale Frank miał minę pokerzysty.

– Myślałem, że jesteś przeciwny establishmentowi i wszystkiemu, co reprezentuje.

– A skąd najlepiej jest rozpocząć walkę z ustalonym porządkiem rzeczy... – uważnie odskubał jakiś fragment martwej przynęty i rzucił go w morze, zanim znów z uśmiechem popatrzył na Johnny'ego – ...jeśli nie od środka?

Johnny potarł kark, spoglądając na order.

– Za co konkretnie go dostałeś?

– Powiedzmy, że sprawdziłem się w nakłanianiu ludzi do zwierzeń. – Wstał i ruszył w stronę Clem. – To nic wielkiego, Johnny. Wyraz uznania ze strony establishmentu... o niczym jeszcze nie świadczy.

– Więc dlaczego przyjąłeś ten medal? – zawołał za nim Johnny.

Frank zaśmiał się, przerzucając żyłkę przez burtę.

– Bo zachowałem się po chamsku, gdybym odmówił – rzekł.

– Dlaczego one nie biorą? – zapytała Clem, wychylając się za reling, żeby zajrzeć w głąb przybrzeżnej płytcizny. Johnny usłyszał w jej głosie zaskoczenie i autentyczny podziw dla Franka.

– Cierpliwości, Clem. Najlepsze rzeczy czekają na tych, którzy godzą się czekać – odparł mężczyzna, po czym przytknął palec do warg.

Clem najwyraźniej całkiem zapomniała o zielonej koszuli oraz pechu i z radością korzystała z okazji spędzenia pewnego czasu na jachcie. Johnny zdawał sobie sprawę, że jego obawy są dziecinne, bo przecież faktycznie przytrafiły im się nieoczekiwanie cudowne chwile, nawet jeśli rzeczywiście ciążyło na nich przekleństwo egzystencji w biedzie.

– Tam są jagody!

Błyskawicznie obrócił się w stronę rufy. Zupełnie zapomniał o Annie. Ta opuściła lornetkę i wskazała zbocza pobliskich wzgórz.

– Możemy mieć na lunch placek z jabłkami i jagodami. – Uśmiechnęła się do niego, po czym zakrzyknęła do pozostałych: – Oczywiście po rybie na obiad.

– Nie napalaj się za bardzo... – mruknęła Clem pod nosem, gdy Frank wyrzucił za burtę drugą żyłkę z przynętą i sypnął garść kukurydzy z puszki, po czym rozsiadł się wygodnie ze wzrokiem utkwionym w spławiku.

Zanim wszystko zorganizowali, znaleźli drugi but Kleks, torebki do zbierania jagód i

czystą butlę na źródlaną wodę, Clem zdążyła zerwać kilka ryb. Zrobiło się późne popołudnie, zanim Annie z Kleks i Johnnym zajęli miejsca w łodzi wiosłowej. Był to stary i przeciekający tender, z białą farbą obłazącą płatami z drewnianych burt i większymi dziurami pozatykanymi korkami od wina. Dno łodzi pokrywała cienka warstwa wody, niebudząca jednak większych obaw.

Johnny wsunął dłoń do zimnej wody, gdy Annie powiosłowała w stronę brzegu. Szare niebo powoli się przecierało, między chmurami prześwitywały wąskie pasma rozmytego błękitu, przez co na ich oczach zmieniał się kolor powierzchni morza. Dookoła żerowało mnóstwo małych ryb, toteż Johnny obejrzał się na jacht. „Mała Utopia” z pewnej odległości wcale nie wyglądała aż tak odpychająco, jej sylwetka wręcz wydała mu się elegancka. Frank pokazywał Clem, jak zarzucać przynętę, stał tuż przy niej, obejmował ją ramieniem, z oddali można było odnieść wrażenie, że ją przytula, przywiera do niej całym ciałem, toteż Johnny poczuł gwałtowny przypływ dobrze mu już znanej goryczy. Popatrzył na Annie, ale ona zdawała się niczego nie dostrzegać. Przypomniał sobie, co Frank mówił o życiowych wyborach, i postanowił dokonać właśnie takiego wyboru, dlatego odwrócił się twarzą do dziobu. Annie uniosła wzrok na niego.

– To nie jest Order Imperium Brytyjskiego – powiedziała. – To Order Komandorii. Wyróżnienie za zaszczytną służbę. – Mówiła spokojnym, zrównoważonym tonem, przedstawiając fakty, a nie czcze przechwałki.

– O kurczę...

– „Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj, z nurtem rzeki...” – zanuciła Kleks.

Johnny zasłuchał się w jej słodki dziecięcy głosik. Wychylała się za burtę, żeby z odległości kilku centymetrów nad powierzchnią spoglądać w głąb morza. Dobrze wiedział, co ona robi, mnóstwo czasu musiała poświęcać na wypatrywanie morskich potworów.

– „Wesoło i radośnie, bo życie to jest sen...” – śpiewała, a jej dźwięczny głosik rozchodził się nad wodą i odbijał od nadbrzeżnych skał.

– On nigdy z niczego nie rezygnuje – powiedziała Annie tak samo spokojnym, beznamiętnym tonem. – Powinieneś być tego świadom.

Johnny nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale wierzył jej w ciemno, zdając sobie sprawę, jak bardzo Frank różni się od innych ludzi. Patrzył, jak ona wiosłuje. Była wysoka i silna, toteż w krótkim czasie przybili do skalistego brzegu. Kiedy łódź zahaczyła o dno przed wąskim skrawkiem plaży pokrytej grubym piachem, razem z Annie wyskoczyli za burtę i wspólnie wyciągnęli łódź na brzeg z Kleks siedzącą na ławce. Szybko poczuł się narażony na niebezpieczeństwo na suchym lądzie, z dala od „Małej Utopii”, tylko ich troje z dala od łodzi. Pospiesznie zawiązał linkę wokół głazu, zastanawiając się, czy na pewno jeszcze pamięta, jak się prawidłowo mocuje cumę dziobową. Owszem, pamiętał.

– Cholerny łobuz – rzuciła, wyciągając torby spod ławki łodzi.

Kiedy się pochyliła i obejrzała na niego, zobaczył jej pierś pod odchyłoną połą kraciastej koszuli. Udał, że niczego nie zauważył.

– Albo ma się w sobie to coś, albo nie, skarbie – powiedział, na co zareagowała

śmiechem i cała jej twarz nagle się rozpromieniła. – Gdzie widziałaś te jagody? – zapytał, wodząc wzrokiem po jałowej ziemi.

Na lądzie było zdecydowanie cieplej, czuło się to wyraźnie, jakby rozgrzane powietrze zsuwające się po zboczach wzgórz natarło na nich falą. Zapowiadał się bardzo ciepły dzień.

– Tam, wyżej – powiedziała Annie, biorąc Kleks za rękę i ruszając w górę zbocza.

Johnny poszedł za kapitanem Hookiem, który okazał się równie szybki i zwinny, jak jego matka, gdy pomknął pod górę, tylko jego czerwony strój zabłyszczał w słońcu, a Gilla zakołysała się u boku, zahaczając łapą o wystające pędy kolczastych krzaków. Gleba miała odcień bladopomarańczowy i zdawała się wyjątkowo żyzna, jak gdyby ulewa pobudziła do życia całą roślinność. Wokół nich rozkwiatały setki drobnych kwiatków, nad którymi kręciły się małe ptaszki wylatujące z zarośli. Spod ich stóp czmychnęła jaszczurka i Kleks poświęciła jakiś czas na bezowocne próby jej złapania.

Kiedy wdrapywali się na zbocze, słońce wyszło zza chmur, rozproszyło resztki mgły i ich oczom ukazało się błękitne niebo. Zatrzymali się w połowie drogi, aby napić się wody, i popatrzyli w stronę jachtu z maleńkimi sylwetkami Clem i Franka na dziobie, z których jedna była dużo większa od drugiej, jakby należała do osobnego gatunku. Siedzieli w pewnej odległości od siebie, po obu burtach, toteż Johnny od razu poczuł się lepiej.

– Tato! – zawołała Kleks, wymachując szeroko ręką, lecz ani on, ani Clem, nie spojrzeli w tę stronę.

Na jachcie cicho grała muzyka, jej echo niosło się po wodzie, ale z oddali trudno było powiedzieć, co to za piosenka, tym bardziej że jacht cumował rufą w stronę morza. Woda wokół niego miała odcień turkusowy i była tak klarowna i przejrzysta, że nawet z tej odległości widzieli linę kotwiczną i stertę głazów, o które zaczepiła się kotwica.

– Patrz! – rzekł Johnny, kucając przy małej, żeby ich oczy znalazły się na jednym poziomie. – Dzisiaj nie ma żadnych potworów.

– Bo w dzień się ukrywają – odparła rzeczowym tonem i obejrzała się na niego. – A ty widziałeś kiedyś potwora, Johnny?

Zapatrzył się na morze.

– Nie, nie widziałem. Ale żeglowałem kiedyś z człowiekiem, który na pewno go widział. Był wtedy na środku Pacyfiku, tysiące mil od najbliższego lądu. Opowiadał mi, że stał na wachcie pewnej ciemnej, bezksiężycowej nocy, gdy nagle z morza, tuż przed dziobem, wyłoniły się wielkie błyszczące zielone oczy, każde po przeciwległej burcie. Nagle zaczęły się podnosić coraz wyżej i wyżej, w miarę jak potwór wyłaniał się z morza. Coraz wyżej, aż do poziomu czubka masztu.

Oczy Kleks robiły się coraz większe i większe, gdy słuchała tego z rozdziawioną buzią.

– I co było dalej?

– Nic. Oczy tylko popatrzyły na niego, po czym zanurzyły się z powrotem i zniknęły.

– Złapali tego potwora?

– Nie.

– Ja bym go złapała w swoją sieć – powiedziała, wsuwając dłoń w rękę Johnny’ego i przysuwając się nieco bliżej.

Annie się nie pomyliła, w górze zbocza obficie rosły jagody, wkrótce byli otoczeni setkami krzaczków pełnych owoców. Johnny schylił się i zaczął zrywać owoce pomiędzy spiczastych, szorstkich liści i szybko zapełnił nimi całą torbę. Przez pewien czas Kleks trzymała się blisko niego i pomagała mu zbierać jagody, choć większość z nich trafiała nie do torby, tylko prosto do jej buzi.

– Zostaw sobie coś na lunch, Kleks – upomniał ją Johnny.

– Ja ich wcale nie zjadam – odparła, oglądając się na niego z wargami i brodą poplamionymi czarnym sokiem.

Potargał jej i tak już potargane włosy. Kiedy się najadła, znudziło jej się zbieranie jagód i odeszła parę kroków, kucnęła, żeby pobawić się jakimiś kamykami, i zaczęła nucić piosenkę. Annie była dalej, w wyższej partii zbocza, gdzie zbierała jagody z niezwykłą pasją mimo prażącego słońca.

Wokół Johnny’ego fruwały małe niebieskie motyle, niektóre nawet siadały na jego koszuli, biorąc ją chyba za kwiat. Zwrócił uwagę na jaszczurki pierzchające mu spod stóp i dużego pająka, który uciekł zdecydowanie wolniej od nich. Te zbocza tętniły życiem. Wkrótce miał już torbę wyładowaną jagodami, a ponieważ szybko doszedł do wprawy, zrywał jednorazowo po osiem czy dziewięć owoców. Podobało mu się to poczucie samowystarczalności, bazujące na zbieraniu dóbr z ziemi i morza, bo to był dobry sposób na życie. Oczyma wyobraźni już widział, jak któregoś dnia on i Clem robią to samo, mieszkając na własnym jachcie, podwójnym drewnianym keczu z tekowymi pokładami. Otarł pot z czoła i popatrzył na Annie. Wciąż pieczołowicie zbierała owoce w górze zbocza.

Doleciał go szept z pobliskiej kępy krzaków:

– Johnny!

– Słucham. – Podeszedł do Kleks klęczącej w suchej trawie z marynarką kapitana Hooka pozaczepianą o pędy ciernistego krzewu, zadartą ku górze i odsłaniającą jej gołe pośladki. Coś trzymała w złożonych dłoniach. – Co tam masz? – zapytał.

Rozchyliła dłonie i pokazała mu wspaniałego maleńkiego żółwia. Początkowo myślał, że to zabawka, ale żółwik podniósł łepkę i popatrzył na niego. Musiał dopiero co wykluć się z jajeczka, był niezwykły. Johnny ukląkł przy niej.

– Kapitanie Hook! – szepnął. – To prawdziwy skarb! – Ostrożnie musnął palcem jeszcze miękką skorupkę żółwia. – Gdzie go znalazłaś?

– Tam. Jest tam ich mnóstwo – powiedziała, zadowolona ze swojego sprytu.

– Pokaż! – rzekł.

Poderwała się na nogi, szarpnięciem uwolniła brzeg marynarki od kolczastych pędów, robiąc w niej kilka następnych dziur, i pobiegła przed siebie. Ruszył za nią, omijając zarośla, które przeskakiwała, pocierając tylko palcami podrapane nogi.

– Tutaj! – oznajmiła, zatrzymując się nagle.

Jak można się było spodziewać, duża dorosła żółwica z trudem przedzierała się przez suche zarośla, a z jeszcze większym trudem próbowało za nią nadażyć pięć żółwiątek, robiących po dziesięć kroków na każdy jej jeden. Johnny kucnął, żeby lepiej im się przyjrzeć. Kleks podeszła do niego, objęła go za szyję, podciągnęła się, zawisła na jego plecach i wciąż trzymając w jednej dłoni maleńkie żółwiątko, drugą potargała mu włosy mniej więcej tak samo, jak on zrobił jej to wcześniej. Pachniała jagodami i mydłem dla dzieci. Popatrzył, jak kuca obok niego i próbuje wepchnąć żółwikowi do pyszczka jagodę, mamrocząc pod nosem słowa zachęty. Sama była jeszcze małą istotką, z zadartym piegowatym noskiem, miękką delikatną skórą, ustami poczerniałymi od jagód i wielkimi ciemnymi oczyma, błyszczącymi, jak gdyby wiecznie zdumionymi.

Annie była jeszcze wyżej, odwrócona tyłem do nich zbierała jagody. W dole, na jachcie, Frank i Clem siedzieli wciąż w tych samych pozycjach, łowiąc ryby.

– On chyba tego nie chce – odezwała się w końcu Kleks, zerkając na niego. – Czy żółwie piją mleko?

– Nie – odparł Johnny. – Są gadami.

– A sok pomarańczowy?

– Też nie.

– Potrafią skakać?

– Nie.

– Ten wygląda tak, jakby potrafił.

– Ale jednak nie potrafi.

– To będzie moim zwierzakiem.

– Lepiej zostaw go przy mamusi – poradził Johnny.

– Nie – rzuciła stanowczo, jakby to był bardzo zły pomysł. – Jest mój. Już nadałam mu imię.

– Rozumiem. Jakie?

– Będzie się nazywał Babcia.

– Babcia?

– Tak.

– Urocze. – Johnny musnął palcem skorupkę innego maleńkiego żółwika i usiadł na ziemi. – A ty masz babcie, Kleks?

Pokręciła głową, ale zaraz przytaknęła, po czym zmarszczyła nos, pogrążając się w zadumie.

– No więc mam babcie. Rozmawiałam z nią przez telefon. Ona nas nie lubi.

– Na pewno was lubi.

– Nieprawda, nie lubi. Nazwała moją mamę głupią suką i powiedziała, że tatę powinno

się zamknąć i wyrzucić klucz. – Ostatnią część zdania wyrzuciła z siebie z lekkim irlandzkim akcentem, po czym schyliła się, żeby podetknąć żółwikowi do pyszczka drugą jagodę.

– Dobry żółwik – szepnęła, unosząc go na dłoni do oczu. – Weźmiemy przyjemną kąpiel, a potem napijemy się herbaty.

Johnny podniósł głowę. Annie pomachała do nich ręką, unosząc w górę butelkę z wodą i gestem przyzywając ich do siebie.

– A co z kuzynami? – zapytał Johnny, ale Kleks energicznie pokręciła głową. – Nie masz żadnej rodziny?

Wzruszyła ramionami.

– Chcę mieć braciszka, ale mama się sprzeciwia, chociaż tata też tego chce. – Popatrzyła na niego, marszcząc oczy od jaskrawego słońca. – Ja wiem, skąd się biorą dzieci.

– To dobrze... – odparł Johnny, udając całkowicie pochłoniętego obserwacją maleńkich żółwi.

Wkrótce podeszła do nich Annie z pękatą torbą jagód. Zebrała włosy z tyłu głowy w kucyk i skórę miała pokrytą kropelkami potu. Rozpromieniła się na widok żółwików.

– Och, spójrzcie! – wykrzyknęła, kucając, żeby im się lepiej przyjrzeć.

– To ja je znalazłam – oznajmiła z dumą Kleks.

– Prawda, że są cudowne? Och, Kleks, spryciara z ciebie!

– Ten będzie moim zwierzątkiem. – Otworzyła dłoń i pokazała matce maleńkiego żółwika.

– Nie, skarbie, nie możesz go zabrać. On należy do mamusi.

– Nieprawda.

– No dobrze, możesz się nim poopiekować przez pewien czas – powiedziała Annie.

– To będzie mój prezent urodzinowy – dodała mała, znajdując najbardziej oczywiste rozwiązanie.

Annie cmoknęła ją w czoło.

– Proszę, napij się – rzekła, unosząc butelkę do ust córki.

Kleks upiła kilka łyków wody, po czym wylała jej odrobinę na rączkę dla Babci, która z wdzięczności skłoniła łepkę.

Jeszcze przez jakiś czas obserwowali żółwie, po czym Annie z Johnnym przenieśli się w cień drzewa oliwkowego, gdzie usiedli obok siebie na ziemi i oparli się plecami o pień, a świerszcze wokół nich przerwały kakofonię. Annie wyciągnęła do niego butelkę z wodą.

– Napij się pierwsza – powiedział.

Popatrzył, jak ona łyka łąpczywie, a gdy znów podała mu butelkę, także się napił.

Przed nimi roztaczał się piękny widok. Stąd widać było tylko czubek masztu „Małej Utopii”, która kołysała się nad skałami niczym wahadło metronomu. Woda w zatoce

przypominała patchwork złożony z turkusowych i zielonych plam, a dalej, gdzie przyjmowała ciemnobłękitny odcień, Johnny wypatrzył łódź z podniesionym na podobieństwo białego trójkąta żaglem, sunącą wzdłuż krzywizny Ziemi. Bryza musiała tam być całkiem niezła, od razu zatęsknił za wypłynięciem na głębsze wody. Zamknął oczy i zasłuchał się w granie świerszczy, które dość szybko wszczęły od nowa zgiełk, pogodzone z obecnością ludzi. A z boku dolatywały słowa piosenki układanej na bieżąco przez Kleks, śpiewającej dźwięcznym głosem peany na temat żółwi. Upił jeszcze trochę wody i utkwiał spojrzenie w jednym z dziesiątków niebieskich motyli fruujących wokół nich. Otarł dłonią pot z czoła, ocierając się przy tym ramieniem o Annie.

– Kiedy są urodziny Kleks? – zapytał.

Przysypiała. Gwałtownie otworzyła oczy.

– Za kilka dni.

– Powiedziała, że skończy pięć i pół roku.

Annie uśmiechnęła się i zamknęła z powrotem oczy. Przyglądał się, jak uśmiech powoli gaśnie na jej ustach, rozpląwa jak topniejący wosk, jakby smutek znowu brał górę. Musiała przeżyć wielkie rozczarowanie, zaczął się więc zastanawiać, co to było, czy wydarzyło się nagle, czy niespodziewanie. Znowu gwałtownie otworzyła oczy i prędko odwrócił głowę.

– Chyba myślisz, że kiepska ze mnie matka, Johnny – powiedziała. – Żałosna stara pijaczka.

– Nie, skądże znowu – zaprotestował, prostując się nagle. – Przecież nie znamy się za dobrze.

– Nie, masz rację – odparła, kładąc mu dłoń na rękę i poklepując ją lekko. – Wcale mnie nie znasz.

Wyjęła z jego rąk butelkę, odkręciła ją i pociągnęła łyk wody. Popatrzył w kierunku bawiącej się Kleks, ale nie widział jej stąd, tylko słyszał jej nucenie.

– Pewnie wiesz, że on mnie uratował – powiedziała ze wzrokiem utkwionym w linii horyzontu, ale zaraz zerknęła na niego. – Dla mnie zawsze będzie najważniejszy. Zawsze. Cokolwiek jeszcze w życiu zrobi, dla mnie liczy się tylko to, że mnie uratował.

Nie do końca ją rozumiał. Przeciągnął palcami po włosach.

– Przed czym cię uratował?

Uśmiechnęła się do niego i pokręciła głową, jakby z politowaniem, że on jeszcze nie rozumie.

– Przede mną samą – odrzekła, znowu zapatrzywszy się w rozkołysany maszt. Johnny poczuł się głupio, że wciąż nie rozumie, co ona ma na myśli.

– Cóż, ja także uważam twojego męża za niezwykłego człowieka.

Błyskawicznie odwróciła głowę i znów popatrzyła mu w oczy.

– To prawda, jest niezwykły – przyznała znanym mu już bezbarwnym tonem, toteż przez pewien czas siedzieli w milczeniu.

– Nie mogłabym go zostawić, rozumiesz? Nigdy.

– Jasne – odparł zmieszany. – Czemu miałabyś go zostawiać?

Prychnęła cicho, jakby chciała się zaśmiać, tylko śmiech uwiązał jej w gardle.

– Jestem złą kobietą, Johnny.

Miał wrażenie, że zbiera jej się na płacz, a nie rozumiał, z jakiego powodu.

– Ależ oczywiście, że nie jesteś.

Znów odwróciła głowę i zapatrzyła się na zatokę, uczynił więc podobnie. Chciał jej pomóc, pocieszyć ją jakoś, wyrwać z melancholii, której przyczyn nie pojmował. Wyciągnął woreczek z tytoniem, zwinął sobie skręta, przypalił go i podał Annie.

– Dzięki – rzuciła, najwyraźniej wdzięczna za ten gest.

Był nieco speszony, czując na sobie jej spojrzenie, gdy skręcał drugiego papierosa. Kiedy podniósł głowę, żeby przypalić swojego skręta, ona wciąż wpatrywała się w niego. Tym razem nie odwrócił spojrzenia.

– Widziałam, jak przyglądasz się moim piersiom, Johnny – powiedziała, wydmuchując smugę dymu, lecz gdy obejrzała się na niego, podmuchała już tylko chłodnym powietrzem.

Pstryknął zapalniczką, przypalił i sam zaciągnął się dymem. Nie wiedział, czy ona kpi z niego, czy nie. Nagle zabrakło mu tchu, jakby nie mógł zaczerpnąć powietrza, pomyślał więc, że jeśli teraz się odezwie, głos może mu się załamać.

– Możesz ich dotknąć, jeśli masz ochotę – dodała tak szybko, że aż naszła go ochota, żeby udawać, że tego nie słyszał.

Ale oboje dobrze wiedzieli, że słyszał. Annie zaczęła rozpinać koszulę, powoli i systematycznie, nie spuszczając z niego wzroku, podczas gdy on nie wiedział, czy ma na nią patrzeć, czy odwrócić głowę, nie zrobił więc nic. Uśmiechnęła się lekko, jakby rozbawiona jego reakcją. Kiedy rozpięła koszulę do końca, rozchyliła jej poły, a on, uważając, że niegodne mężczyzny byłoby to zignorować, popatrzył na jej piersi i poczuł, że serce mocniej mu bije. Miała taki biust, za który każdy facet gotów byłby oddać wszystko. Ale kiedy spojrział w jej błękitne oczy, dostrzegł w nich coś całkiem nowego. Frank miał rację. Tylko nadzy ludzie mogli się w pełni obnażyć.

– Dotknij ich, Johnny – powiedziała.

Musiała wyczytać coś w jego twarzy, gdyż szybko sięgnęła po jego zaplamioną jagodowym sokiem dłoń i przytknęła ją sobie do piersi. Poczuł pod palcami ciepło, delikatną wilgoć i wprost niewiarygodny kształt. Wolno przesunął dłoń po jej skórze, po czym lekko ścisnął sutek kciukiem i palcem wskazującym, na co zareagowała uniesieniem głowy i cichym westchnieniem. Nie był w stanie świadomie myśleć, ślina napłynęła mu do ust i niemal w jednej chwili poczuł maksymalny wzwód.

– Mamo! – Głos Kleks doleciał z góry zbocza, nakazując mu błyskawicznie cofnąć rękę.

– Mamo! – pisnęła żałośnie mała. – Przez przypadek niechcący zgmiotłam Babcie...

Johnny poderwał się na nogi, przewracając odkręconą butelkę z wodą, a gdy się schylił, żeby ją podnieść, zauważył, jak Annie spokojnie zapina kolejne guziki koszuli.

Clem złowiła dwie duże ryby, które, jak się przynajmniej wydawało, pływały już śnięte w stojącym za nią wiadrze. Frank złowił pięć. Wszystkie unosiły się w wodzie bez ruchu, lecz gdy dźgnęła je palcem, zatrzepotały ogonami, zanim znowu zaczęły udawać martwe. Siedziała na rufie, mając nadzieję na złowienie trzeciej, zaciskała palce na żyłce i spoglądała na pięknie błyszczącą powierzchnię błękitnego morza, mruczając pod nosem *Space Oddity*, kiedy podszedł Frank z dwoma kubeczkami kawy. Ściągnął koszulę i teraz prezentował swoje zaskakująco muskularne, mocno opalone ramiona. Schylił się, postawił jeden kubeczek na skraju jej maty modlitewnej, po czym usiadł na swoim miejscu na rufie, plecami do niej, i sięgnął po swoją wędkę. Odwróciła wzrok. Do tej pory nie widziała go rozebranego do pasa i ten widok wydał jej się nazbyt intymny.

Zapatrzyła się na morze, słuchając piosenki Davida Bowiego opowiadającej o biednym starym majorze Tomie, który żeglował w swojej metalowej puszce. Pomyślała o ojcu, który lubił nucić właśnie tę piosenkę, a czasami nawet naśladował zachowanie Bowiego albo Jaggera na scenie, rozśmieszając ją do łez.

– Oni nadal są razem, twoi rodzice? – zapytał Frank.

Poczuła się bardzo dziwnie, usłyszawszy to pytanie właśnie teraz, jak gdyby czytał w jej myślach.

– Nie, skądże. Rozwiedli się dawno temu. – Sama wyłowiała nutki nonszalancji w swoim głosie, co przez lata doprowadziła do perfekcji.

– Rodzeństwo? – zapytał.

– Przyrodnie.

Próbowała zachować ten sam beztroski ton, ale teraz już nie przyszło jej to tak łatwo, można było wyczuć w jej głosie ostrzejsze brzmienia. Musiała sobie przypominać, że jest na jachcie, na pokładzie „Małej Utopii”, wobec natrętnych wspomnień wypływających z głębin jej pamięci. To pewnie przez brak zajęć i pusty horyzont jej najbardziej skryte myśli wydostawały się na światło dzienne na podobieństwo bąbelków powietrza wydobywających się z głębin na powierzchnię.

Siedzieli w milczeniu. Obserwowała ptaka kołującego nad wodą i wypatrującego ryb. Frank przysunął się bliżej i sięgnął po papierosa, ona nie mogła oderwać oczu od długiej blizny przecinającej jego plecy, gładkiej i połyskującej w słońcu. Na prawej łopatkę miał głęboki nieregularny ślad, jakby wycięto mu tam część tkanek. Ale ta blizna wydała jej się dziwnie pociągająca, świadcząca o jego wyjątkowości. Miała ochotę jej dotknąć.

– Kiepsko to wygląda, co nie? – zagadnął, nawet na nią nie patrząc, tylko czując na plecach jej spojrzenie. Zmieszana, szybko odwróciła głowę.

– Mam szczęście, że jeszcze żyję – dodał, po czym rozprostował nogi, demonstrując jej w ten sposób bliznę na łydce. – Pół roku spędziłem w hotelu publicznej służby zdrowia.

Nie potrafiła jeszcze odgadnąć, kiedy on żartuje, a kiedy nie. Przez kilka chwil zastanawiała się, dlaczego mieszkał tak długo w hotelu, zanim dotarła do niej ironia tego określenia.

– Pół roku? To straszne – powiedziała.

– Ale w efekcie wcale nie wyszło tak źle – rzekł, sięgnął po swój kubek i upił łyk kawy.
– Miałem czas, żeby przeczytać te wszystkie książki, na których lekturę miałem ochotę przez ostatnie lata.

Odgoniła sprzed twarzy muchę zaciekle bzyzącą w rozgrzanym powietrzu i popatrzyła na swoją żyłkę. Ona dopiero zaczynała czytać. W dzieciństwie zaliczała się do tych, którzy ciągle znajdują sobie różne zajęcia i nie interesują się książkami.

– To znaczy które?

– Och, samą klasykę, Owidiusza, Homera, Ficina. Filozofów.

Nie słyszała o żadnym z nich, ale miała nadzieję, że nie widać tego po jej minie. Żałowała, że tak mało wie z różnych dziedzin, zaczynało do niej docierać, jak słabo jest wykształcona.

– Studiowałeś filozofię, Frank?

– Nieformalnie.

– Też chciałabym studiować filozofię – rzuciła, tknięta nagłą zachcianką. – W ogóle chciałabym przeczytać wiele rzeczy. Mam wrażenie, że do tej pory bardzo mało czytałam.

Podciągnął nieco swoją żyłkę i rozsiadł się wygodniej.

– Z czym przede wszystkim chciałabyś się zapoznać?

– Przede wszystkim... – Miała ochotę powiedzieć: Chciałabym być taka jak ty i wiedzieć to wszystko co ty. – Chyba chciałabym zacząć poszukiwać prawdy o różnych rzeczach.

– Ach, prawdy! – Spojrzał w jej stronę i uśmiechnął się, lecz wciąż nie umiała ocenić, czy nie kpi z niej. – A więc szykujesz się do wyprawy po wiedzę.

– Owszem – odparła ostrożnie. Ale nie powiedział nic więcej, toteż zapytała: – Jak myślisz, od czego powinnam zacząć?

– Jeśli szukasz odpowiedzi, podejrzewam, że najlepiej byłoby zacząć od sformułowania właściwych pytań.

W głowie miała pustkę. Nie umiała sformułować żadnego pytania.

– Oczywiście jeszcze nie teraz, Clem. – Uśmiechnął się, spoglądając na nią tak czule, że pewnie by mu nawet wybaczyła, gdyby zaczął się z niej wyśmiewać.

– Razem z Johnnym chcemy zapracować na podróż do Indii. Myślałam o tym, żeby odwiedzić kilka aśram... – nie odezwał się, więc dodała: – ...i może znaleźć sobie jakiegoś guru. – Co prawda, nie była nawet pewna, czym zajmuje się guru, ale Rob spotkał jednego z nich i był zachwycony.

– Nie potrzebujesz guru, Clem. Sama powinnaś sobie odpowiedzieć na własne pytania. Na tym polega cały urok.

Puścił do niej oko. Przez pewien czas koncentrowali się na łowieniu ryb, co oznaczało zwykłą beczynność.

– Słyszałaś kiedykolwiek o Krishnamurtim? – zapytał.

Postanowiła udać, że słyszała, i strzeliła w ciemno:

– Powinnam go przeczytać?

Wykręcił się i oparł łokciem o reling.

– To był wspaniały człowiek i bardzo oryginalny myśliciel.

Uśmiechnął się szerzej na wspomnienie o Krishnamurtim, przyszło jej więc do głowy, że może go znać osobiście, że mogą być przyjaciółmi, łączą ich wspólne zainteresowania, na przykład razem łowią ryby, prowadząc przy tym dyskusje filozoficzne.

– Gdziekolwiek się udał, ludzie chcieli usłyszeć od niego więcej, zasypywali go pytaniami, aż wreszcie znalazł na to genialny sposób. Któregoś dnia, przemawiając do trzech tysięcy swoich najbardziej zagorzałych zwolenników, oznajmił, że wszystko się skończyło. Powiedział im, żeby się od niego odwalili i zajęli własnym życiem. – Frank musiał uznać to za niezwykle zabawne, gdyż zachichotał. – Ludzie zaczęli płakać i zawodzić... dla nich to było jak koniec świata. Co teraz mieli robić? Za czyimi naukami podążać?

– Byłeś tam?

Obejrzał się na nią i zaśmiał jeszcze głośniej.

– Musiałbym być teraz dużo starszy, Clem, bo to się zdarzyło w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

Ona także się zaśmiała.

– Ale czytałem cały tekst jego przemówienia. To piękny tekst, powinnaś go przeczytać. Mam go gdzieś.

– Chętnie przeczytam – odparła. – Co powiedział?

Mucha, która wcześniej kręciła się wokół jej głowy, teraz zaczęła dokuczać jemu, a kiedy na nim usiadła, Clem na krótko pozazdrościła jej tej śmiałości, ponieważ natychmiast odegnął ją szybkim ruchem ręki.

– Powiedział im, że prawda to wielkie bezdroże, przez które nie da się dojść do żadnej religii ani sekty. Nazwał ją nieograniczoną i bezwarunkową, niedającą się zahamować ani określić, bo w tej samej chwili stanie się skryzalizowana i martwa. Dał jasno do zrozumienia, że wiara jest sprawą indywidualną i jeśli pójdą za wskazówkami kogoś innego, zejną z drogi prawdy.

Zapatrzyła się w wodę, czując współczucie dla jego szlochających i zawodzących wyznawców. Bo jak, do pioruna, ktoś miałby odnaleźć swoją własną prawdę?

– Myślisz, że Jezus przewraca się w grobie, patrząc na te masy podążające drogą nieumyślnie stworzonej przez niego religii? – zapytała, mając nadzieję, że wywrze w ten sposób wrażenie na Franku.

Obejrzał się na nią i uśmiechnął.

– Powinien się nawet kręcić jak bąk, Clem.

Zapanowała pogodna cisza. David Bowie wciąż próbował się połączyć z kontrolą naziemną i chociaż Clem nie chciała, żeby ojciec zawładnął jej myślami – bo na to nie

zasługiwał – rozumiała, że będzie się tam pojawiał.

Frank wystukał sobie papierosa z paczki, chwycił go wargami, przypalił i podał jej.

– Trudno być całkiem szczerym wobec samego siebie. Czasami trzeba ulec przeważającej większości.

Wychyliła się i oparła brodą o reling, ale kątem oka pochwyciła szramę po niedawnym zadrapaniu i wyprostowała się z powrotem, zamyślona nad słowami Franka, zastanawiając się, co może rozumieć pod pojęciem przeważającej większości.

– Rządy i religie dążą do roztoczenia nad nami kontroli. Możesz mi wierzyć, dobrze to znam – powiedział lekkim tonem, niemal z rozbawieniem. – Zatem musimy żyć według narzucanych nam reguł. – Przypalił sobie drugiego papierosa i obrócił się do niej, wydychając dym w powietrze nad rufą. – Ale kto, według ciebie, czerpie w pierwszym rzędzie korzyści z tych reguł?

– Zakładam, że my wszyscy – odparła, strzelając w ciemno przeciwko formułowanej przez niego większości.

– Możliwe – rzekł, odchylając się do tyłu i opierając na rękach, ale było jasne, że wcale tak nie myśli. – Dlaczego jest niezgodne z prawem zabicie człowieka, który rabuje twój dom i gwałci twoją żonę, za to całkowicie zgodne z prawem zabójstwo kogoś zupełnie obcego w wojnie o złoża ropy naftowej bądź cokolwiek innego, co bezpośrednio człowieka nie interesuje?

Miała nadzieję, że nie oczekuje od niej odpowiedzi, gdyż nie przychodziły jej na myśl żadne sensowne opinie.

– Musisz zrozumieć, że społeczeństwo wymaga od nas myślenia w określony sposób, żeby mogło funkcjonować, a w ten sposób nas wykorzystywać. Musi w tym celu wskazywać nam palcem, kto jest „ofiara”, a kto „sprawcą”. – Spojrzał jej prosto w oczy i nagle zrodziły się w niej podejrzenia, że faktycznie potrafi przejrzeć ją na wylot. – Musisz ustalić sobie swój własny kompas, Clem. Nigdy o tym nie zapominaj.

Tak bardzo zapatrzyła się w jego ciemne, utkwione w niej oczy, że przez dłuższą chwilę nie zauważyła, iż coś wciąga jej żyłkę pod wodę.

Clemmie siedziała na przednim fotelu niebieskiej cortiny. Nigdy wcześniej nie była na wycieczce z ojcem, to znaczy tylko z nim. Zazwyczaj wyruszali w drogę we troje, a wtedy mama siadała z przodu, a ona z tyłu, i wstrzymywała oddech, gdy przejeżdżali między latarniami, słuchając, jak matka bez przerwy gada i chichocze. Czasami wychylała się do przodu, żeby lepiej słyszeć jej słowa, zwłaszcza wypowiedane ze śmiechem, ale jakoś nie rozumiała dowcipu, odchyliła się więc z powrotem i wracała do swoich ćwiczeń oddechowych. Jej rodzice zazwyczaj nie zauważali jej, cały czas rozmawiając i żartując między sobą, w ogóle nie uwzględniając jej w tych rozmowach. Jeśli próbowała się do nich włączyć, wtrącała coś w pół słowa, matka zwykle przejmowała inicjatywę rękoma: to rozgarniała palcami jej włosy, to wycierała jej usta swoją poplamioną chusteczką albo wygładzała jej spódniczkę czy też wyciągała kciuk z ust. Ale dzisiaj była sam na sam ze

swoim ojcem, a on nie dbał o takie drobiazgi. Myślał tylko o tym, żeby zdążyć do baru przed zamknięciem i nie przegapić transmisji meczu, dopingować Anglię w mistrzostwach krykieta. Stąpał twardo po ziemi.

Szosa była wąska i biegła między wysokimi żywopłotami, widać było tylko teren z przodu, a w dodatku musiała się zapierać o deskę rozdzielczą, bo ojciec często hamował i zatrzymywał się, żeby spojrzeć na mapę. Nocował już wcześniej w wybranym hotelu, ale bardzo lubił zmieniać trasy dojazdu i czas przybycia na miejsce. Słońce świeciło im prosto w twarze, więc oboje mieli opuszczone przysłony, lecz mimo to Clem wciąż patrzyła na swoje odbicie w szybie. Matka przed wyjazdem ułożyła jej włosy tak, że miała je spłaszczane od góry, toteż teraz martwiła się, że wyglądała jak Violet Elizabeth Bott z dziecięcych książek o Williamie Juscie. Próbowała rozprostować swoje loki.

– Wyglądasz bardzo ładnie – powiedział jej ojciec, puszczając do niej oko, przez co od razu poczuła się lepiej.

Pomijając sprawę włosów, musiała przyznać mu rację. Ubrała się nadzwyczaj starannie. Miała na sobie sukienkę z turkusowego sztruksu, a pod nią ulubione czerwone rajstopy, i jak dotąd nie słyszała jeszcze żadnych kpin na ten temat. I chociaż palce stóp wyraźnie sygnalizowały już ciasnotę obuwia, gdyż gwałtownie wyrastała z każdego butów, nawet tych najlepszych, rozmiaru jedenaście, brązowych, sznurowanych – tych samych, które tak wspaniale postukiwały o chodnik i lekko wyginały jej stopy do wewnątrz, jak buty Sarah. Pantofle były w szkole rekordy popularności.

Ale jej ojciec podśpiewywał piosenkę płynącą z radia:

– *My sweet Lord...*

Miał na sobie błyszczący granatowy garnitur i jasnozieloną koszulę z szerokim kołnierzem, słońce odbijało się w jego złotym łańcuchu. Policzki okrywał mu gęsty zarost. Nie lubiła, kiedy tak drapał, ale wyjaśnił, że nie miał czasu się ogolić, jak gdyby to trwało nie wiadomo jak długo. Miał na nosie ciemne okulary Starsky'ego i kołysał się w rytm muzyki, wręcz tańczył za kierownicą, pobudzając ją do śmiechu.

Bardzo dokładnie naśladował piosenkarza, zwłaszcza błagalne, rozpaczliwe tony, jakby drwił z niego, chociaż zachowywał całkowitą powagę. Na niby podał jej mikrofon, włączyła się więc do wspólnego śpiewania refrenu.

– W porządku. Gotowa? – zapytał po chwili, a ona uśmiechnęła się szeroko. To był najlepszy kawałek, przy którym jej matka wtrącała: „Naprawdę, Jim, uważam, że to nie jest dobry pomysł”, ale on ją ignorował. Robili to od czasu, gdy była jeszcze mała. Clemmie wiedziała, jak postępować. Podniosła się, skulona, pochyliła nad dźwignią biegów i ostrożnie oparła dłonie na kierownicy. Ojciec ją puścił i podniósł ręce w górę.

– Teraz cortina jest twoja. Trochę w lewo! Dobra dziewczyna, Clembo. Przechodź szybko! Zbliżamy się do zakrętu... – Zredukował bieg, nie bacząc, że ona podskakuje na jego kolanie, kurczowo zaciskając palce na kierownicy i obracając ją w prawo. – Teraz prostuj! Doskonale! Brawo!

Tak oto prowadziła cortinę, jego dumę i chlubę, przez dobre dziesięć minut, zdana wyłącznie na siebie z wyjątkiem obsługi pedałów.

Słońce stało już nisko na niebie, gdy zajechali przed hotel. Clemmie zasnęła i teraz obudziła się gwałtownie, zaskoczona, że są już nad morzem. Zaparkowali na tyłach dużego ciemnego budynku, po czym przeszli wkoło do frontowego wejścia, niosąc walizki. Starannie wybierała miejsca na chodniku do postawienia stopy w nowiutkich butach, lawirując między białymi plamami odchodów mew w drodze do szklanych obrotowych drzwi.

Powitał ich stary portier w uniformie, który wydawał się znać jej ojca.

– Witaj, Jim – powiedział. – A kim jest ta piękna młoda dama?

Przez chwilę zastanawiała się, o kogo mu chodzi, ale zaraz jej ojciec wyjaśnił:

– To moja córka, Harry. Najwspanialsza, najmądrzejsza, najlepiej wygimnastykowana młoda dama na półkuli północnej.

Z dumy o mało serce nie wyskoczyło jej z piersi, z trudem przełknęła ślinę, gdyż obawiała się, że wygląda jak przemądrzała smarkula, a przecież nikt nie lubił przemądrzałych smarkul, jak powtarzała jej matka. Uśmiechnęła się mimo woli i szybko odwróciła głowę od starego portiera. Jeszcze nigdy dotąd nie czuła się aż tak bardzo dorosła, podejrzewała, że to może mieć coś wspólnego z jej czerwonymi rajstopami i stukaniem bucików o chodnik.

Staruszek próbował wziąć od niej nakrapianą torbę podróżną, ale trzymała ją mocno, więc niejako pociągnął ją przez cały hol do recepcji. Wysoko nad nimi pod sklepieniem półkoliście sufitem wisiał ogromny żyrandol, po lewej znajdował się przestronny bar, gdzie rzędem przy kontuarze siedziały trzy panie i sączyły jakieś trunki z trójkątnych szklaneczek, a wszystkie miały tak samo przerzucone przez ramiona futrzane szale, chociaż wcale nie było zimno. Jej ojciec powitał je z daleka, gdy już się zameldowali – z reguły tak samo witał wszystkich nieznanymi – ale Clem bardzo się spodobały spojrzenia, jakimi one ją obrzuciły, jakby była najszcześniejszą dziewczyną na świecie. I chyba się nie myliły.

W sypialni stały dwa olbrzymie dwuosobowe łóżka, na które ojciec rzucił ich walizki. Zaczął się szybko rozpakowywać, podczas gdy ona huśtała się na brzegu miękkiego łóżka stojącego pod oknem. Dopiero później otworzyła swoją walizkę i oboje zauważyli, że nie spakowała żadnych ubrań na zmianę. W domu uparła się, że sama spakuje swoje rzeczy. O najważniejszych pamiętała, zabrała łyżworolki, zestaw naklejek samoprzylepnych, kilka pudełeczek na różne okazy, ale zapomniała o nocnej koszuli, szczoteczce do zębów czy bieliźnie na zmianę. Zauważyła, że ojciec jest rozbawiony tą sytuacją, chociaż starał się niczego po sobie nie okazywać.

Poszedł do łazienki, żeby się ogolić, a ona wskoczyła na łóżko i znów zaczęła na nim skakać jak na trampolinie. Wrócił bez koszuli. Zawsze bardzo się troszczył o swoje ubrania, więc i teraz złożył koszulę starannie, zanim ją powiesił na oparciu krzesła. Całą dolną część twarzy pokrywała mu biała piana, jakby przykleił sobie sztuczną brodę Świętego Mikołaja, dlatego zapytał samym kącikiem ust:

– Od czego zaczynamy? Na co masz ochotę? Spacer po plaży?

– Lody – odparła przewrotnie.

- Niezły strzał. Lody na plaży.
- Hura! – Postanowiła zaryzykować i podjąć kolejną próbę. – Dostanę dwie kulki?
- Ile tylko zechcesz.
- Sześć?
- Możesz mieć tyle lodów, ile tylko dusza zapragnie, Clemency Bailey.

Raz i drugi odbiła się wyżej.

Poszli kamienistą plażą, zjadając lody i spoglądając na fale wdzierające się na brzeg. Nawet na nią nie krzyknął, kiedy źle oceniła odległość i większa fala wlała jej się do butów. Powiedział, że to nie ma znaczenia, że osuszy je suszarką do włosów, kiedy wróci do hotelu. Zaczęli zbierać ciekawe kamyki, a te, których ona nie chciała w swoim pudełku, wrzucali z powrotem do morza. Pod nieobecność matki spacer upływał w ciszy. Nikt nie gadał bez przerwy i nie śmiał się hałaśliwie, mogli więc dalej moczyć nogi, zjadać lody i wpatrywać się w morze. Jej matka już nie tęskniła za takimi atrakcjami.

Clemmie pałaszowała swoje lody malinowe, wydmuchując jednocześnie balony z gumy do żucia, gdy nagle spojrzała na ojca. Patrzył w niebo, marszcząc brwi, ze wzrokiem utkwionym w oddali i ustami wykrzywionymi półkolistą do dołu, wyglądał jak rysunek „uśmiechniętej buźki” odwrócony do góry nogami. Poczła nagle, że była w wielkim błędzie, sądząc, że spędzają najwspanialszy dzień ich życia, bo chyba tylko ona tak to odbierała. Szybko doszła do wniosku, że wolałby być gdzie indziej i z kimś innym, choćby z matką. Znowu poczuła nienawiść do niej za to, że jest aż tak zabawna i skora do śmiechu, że jest kochana przez Jima Baileya i zgarnia dla siebie znaczną część uwagi, która należy się jej, Clemmie. Pomyślała gorączkowo o czymś ciekawym, co mogłaby powiedzieć.

– Czy wiesz, że gdy kichasz, powietrze wydostaje się z nosa z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę?

– Nie – odparł, odrywając wzrok od horyzontu, żeby popatrzeć na nią. – Tego nie wiedziałem.

– Ale tak jest. Dowiedziałam się tego od brata Sarah, Johnny’ego.

– I to pewne?

– Tak. Drugi brat Sarah, Rob, ma wyjątkowy tyłek, potrafiłby odpalić odrzutowiec.

– Brzmi interesująco – powiedział, wyjmując swoją cygaretkę. Wiedziała, że odda jej opróżnione pudełko i zapragnęła nagle wiedzieć, ile ich tam jeszcze zostało.

– No właśnie. Też bym chciała mieć dużego, przystojnego brata. Oni przesiadują w szopie na tyłach domu, gdzie śmierzdzi papierosami. Jest tam stół bilardowy i tarcza do rzucania lotkami. Johnny zdobył aż sto osiemdziesiąt punktów. – Powiedziała o tych stu osiemdziesięciu punktach takim samym tonem, jak mówili Rob i Sarah, a więc z dumą i radością. Pamiętała jednak, że zaraz po tym zapadła dość niezręczna, napięta cisza. Łączyły ich ze sobą jakieś rodzinne tajemnice, do których nie została dopuszczona. – Tato, czy my też moglibyśmy mieć stół bilardowy i tarczę do lotek? Johnny powiedział, że można to kupić tanio w markecie Barkersów.

Popatrzył na nią z ukosa.

– Czy mi się wydaje, czy też komuś wpadł w oko ten Johnny? – Trącił ją łokciem, dla zaczepki.

– Nie, to nieprawda – odparła, niemal oburzona. Wcale nie o to jej chodziło. On musiał wszystko sknocić. Johnny’ego traktowała tylko jak sympatycznego brata przyjaciółki, nic więcej. Aż pożałowała, że w ogóle o nim wspomniała. I pożałowała też, że chciała rozweselić ojca.

Znaleźli się w odludnej części nabrzeża, w cieniu wysokich domów z dachami grubo pokrytymi ptasim łajnem.

– Hej, tylko spójrz! – odezwał się ojciec.

Światła wesołego miasteczka w oddali migotały kusząco w porównaniu z purpurowym zachodem słońca za ich plecami. Clemmie w jednej chwili zapomniała o denerwujących słowach ojca. Złapała go za rękę i próbowała nakłonić do przyspieszenia kroku, gdyż jej przemoczone nogi zdążyły już podeschnąć, i ogarniało ją rosące podniecenie podsycane kuszącymi zapachami pieczonych jabłek w polewie toffi i dźwiękami muzyki, jak też stłumionymi okrzykami podekscytowanych ludzi.

Zaliczyli więc diabelskie koło i huśtawkę w kształcie łodzi, rzucanie drewnianymi obręczami i elektryczne samochodziki, występy liliputów i wytatuowanego olbrzyma, walkę na śmieci i pieczone jabłka toffi – wszystko, co najlepsze w wesołym miasteczku. Gruba kobieta w wysokich butach, z piętrowo natapirowanymi włosami, odprowadziła ojca tęsknym spojrzeniem ze swojej budki, w której okienku wisiały zasłonki z napisem „Wróżka” wykonanym literami pełnymi zawijasów. Odezwała się, nie wyjmując papierosa z ust, jak gwiazda filmowa:

– Hej, przystojniaku, nie chciałbyś się dowiedzieć, co cię czeka?

Mówiła męskim głosem, mimo to Clemmie mocniej ścisnęła ojca za rękę, chcąc go zatrzymać.

– Och, proszę, tato! – syknęła błagalnie. – Chciałabym poznać swoją przyszłość.

Lubiła rzeczy tajemne i nieodgadnione. Trzymała kiedyś w ręku czerwoną plastikową rybkę, która zwinęła się w kulkę, co miało oznaczać, że jest namiętna. Poszli za kobietą do jej ciasnej budki i ścisnęli się wokół małego stolika. Ze stojącego na podłodze kosza wychylił łeppek brązowy piesek, obrzucił ją sennym wzrokiem, ale warknął, gdy się pochyliła, żeby go pogłaskać. Gruba kobieta na początku zażądała pieniędzy i w ogóle jej nie przeszkadzało, że popiół z papierosa sypie się na koronkowy obrus. Potem włożyła okulary do czytania, w których nie wyglądała już jak Cyganka, i wzięła Clemmie za rękę, dysząc takim samym oddechem, jak wikariusz w Boże Narodzenie po picciu krwi Chrystusa. Clemmie rozpostarła dłoń, a wróżka zaczęła ją wykręcać to w tę, to w tamtą stronę, mrużąc oczy, bo pewnie nic nie widziała zza chmury dymu, gdyż dotąd ani razu nie wyjęła papierosa z ust.

– Tak, rzeczywiście – oznajmiła męskim głosem. – Widzę młodego przystojnego księcia... gromadkę dzieci...

Clemmie wpatrywała się w nią, pełna wiary.

Ojciec się zaśmiał.

– Bez przesady – mruknął. – Ona ma dopiero osiem lat.

Kobieta obrzuciła go ostrym spojrzeniem znad okularów.

– Jutro jest piątek, trzynastego – powiedziała, kierując przekrwione oczy z powrotem na Clemmie. – Strzeż się piątku, trzynastego! – Nakreśliła rękoma w powietrzu tajemniczy krąg, po czym wstała i westchnęła ciężko, jakby przepowiednie ją zmęczyły.

– To wszystko? – zapytał brutalnie ojciec.

Kręcili się po wesołym miasteczku, zatrzymywali i przyglądali roześmianym hałaśliwym ludziom wędrującym od jednego punktu do drugiego. Przystanęli na krawędzi placyku do jazdy elektrycznymi samochodzikami i popatrzyli, jak te powoli się zatrzymują. Mocniej chwycił ją za rękę i pociągnął przez tłum, który wysypał się na gładkie plastikowe podłoże, po czym usadowił ją w czerwonym samochodziku. Pojechali przez placyk, lawirując i zderzając się z innymi, pokrzykując na ostrych zakrętach. Clemmie zadarła głowę i popatrzyła na koniec tyczki, z której sypały się iskry w zetknięciu z siatką pod sufitem.

– Dokąd teraz? Dokąd teraz? – wykrzyknęła radośnie, gdy ojciec wyciągał ją z autka.

Był tak samo uradowany jak ona. Całkiem zapomniała o swojej matce. Na strzelnicy wygrał dla niej nagrodę, pluszową małpkę. Z dumą trzymała swoją nową ulubioną maskotkę, gdy szli dalej przez hałaśliwy tłum. Tak wiele jeszcze było do zobaczenia. Jaskrawe oświetlenie i kolorowe mrugające neony sprawiały, że niebo nad głową wyglądało jak jednolita czarnogranatowa opoka. Popatrzyła na swoje buty, którymi rozdeptywała śmieci i porozrzucany popcorn, posuwając się w tłumie stu innych osób. Zrobiło jej się zimno, ale nie narzekała. Zatrzymali się przy karuzeli, gdzie patrzyła jak zahipnotyzowana na ludzi w gigantycznych filizankach obracających się na falistym podłożu, oddalających się i przybliżających, wirujących w tę i tamtą stronę, przemykających o włos od zderzenia z innymi, coraz szybciej i szybciej w wirze ekstazy.

– Tu chcę! Tu chcę! – zawołała, oglądając się na ojca.

– Jesteś pewna?

– Tak. Tu chcę!

– Możesz dostać mdłości po trzech lodach.

– Nie dostanę. Naprawdę. Proszę, tatusiu.

Zaczekali więc, aż filizanki na spodkach się zatrzymają i ludzie na miękkich nogach zejść z karuzeli. Mocno trzymając ojca za rękę, Clemmie wybrała miejsca w niebieskiej filizance podobnej do tych, których komplet miała w kredensie jej babcia. Tata wetknął sobie małpkę do kieszeni, zaczęli, aż ludzie zajmą miejsca w pozostałych filizankach, a wytatuowany człowiek z obsługi pozbiera od wszystkich opłatę i dobrze pozamyka zabezpieczenia.

– Proszę się mocno trzymać! – padło przez głośniki, z których zaraz popłynęła głośna

muzyka, a filizanki zaczęły się wolno poruszać. W tę i w tamtą stronę. Rzuciło ich do przodu i o mało nie zderzyli się z filizanką, w której siedziało kilku chłopców. Clemmie aż krzyknęła z radości, spoglądając na ojca z taką miną, jakby chciała powiedzieć: Widzisz! Mówiłam, że będzie fajnie!

Ale karuzela zaczęła przyspieszać, aż Clemmie pojechała na sam brzeg siedzenia i zaczęła żałować, że ma na sobie śliskie czerwone rajstopy. Ale zabawa trwała dalej, wszyscy się cieszyli, pokrzykując z radości. Jej ojciec też się uśmiechnął, pęd powietrza całkiem zwichrzył mu kręcone włosy. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, gdyż filizanka zaczęła jak szalona wirować i podskakiwać.

Poruszali się coraz szybciej i szybciej, twarze innych ludzi przemykały jej przed oczyma, aż pobiełały jej knykcie od kurczowego zaciskania palców na poręczy. Karuzela wciąż przyspieszała. Kręciła się już za szybko. Clemmie nie mogła stopami dotrzeć do podłogi. Ojciec musiał ją puścić, żeby złapać się rury obiema rękami, a ona nie mogła się nawet na niego obejrzeć, ze wszystkich sił próbując utrzymać się na miejscu. Ale śliskie rajstopy i niewielki ciężar ciała sprawiały, że jeździła bezwładnie po całym siedzeniu.

Nagle przestało to być zabawne. W żaden sposób nie mogła się utrzymać na siedzeniu. Znalazła się bliżej krawędzi, więc znów spróbowała dotrzeć stopami do podłogi, ale była za mała i nie mogła się już cofnąć w głąb siedzenia. Poczwała, że ześlizguje się pod poręcz.

– Zatrzymaj to! – krzyknęła. – Tato! Zatrzymaj to!

Ale on jej nie słyszał. A ona była pewna, że za chwilę całkiem zsunie się z miejsca.

– Zatrzymaj to! – krzyczała raz za razem.

Zżerał ją strach, przerażenie paraliżowało wszystkie ruchy. Aż zrobiło jej się niedobrze na myśl, że zaraz umrze, wyleci w powietrze i wyląduje gdzieś w tej piekielnej maszynie, która rozerwie ją na pół.

Karuzela kręciła się coraz szybciej i gdy filizankę rzuciło w drugą stronę, Clemmie wyleciała z miejsca. Nic nie mogła na to poradzić, impet pchnął ją pod zabezpieczenie, ale nie rozwarła palców, tylko wyprostowana jak struna zawisała w powietrzu. Nie wypuszczała poręczy z rąk, mimo że przed oczami miała teraz czerwony dach karuzeli. Walczyła o życie, miotana w powietrzu na wszystkie strony, gdy jej buty obijały się o różne rzeczy. Usłyszała, jak jej ojciec krzyczy i przeklina. Poczwała, że złapał ją za rękę i ciągnie do siebie, ale nagle zmiana kierunku wirowania wyrzuciła ją w przeciwną stronę. Nie utrzymał jej i znalazła się do połowy poza wirującą filizanką.

– Zatrzymajcie tę pieprzoną maszynę! – wrzasnął ojciec.

Nigdy wcześniej nie słyszała przekleństw z jego ust, ale ucieszyło ją, że końcu zrozumiał powód jej krzyków. Bo przecież nie była tchórzliwą smarkulą. Znów złapał ją za rękę, drugą przytrzymując się zabezpieczenia. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła przed sobą jego twarz, w jego oczach malował się strach.

– Trzymam cię, Clemmie! Mam cię! I nie puszcę! – zawołał. – Za nic w świecie cię nie puszcę.

Uwierzyła mu na słowo.

ŚLADEM ZDARZEŃ

Jeszcze płynęli łodzią wiosłową, gdy Johnny już usłyszał basowy głos Franka, który niósł się po wodzie. Żałował, że w ogóle zszedł z jachtu i wybrał się na zbieranie jagód, ale przede wszystkim tego, że na wzgórzu dotknął gołej piersi Annie. Wracał więc na jacht z dodatkowym balastem poczucia winy. Jeszcze kilka godzin temu był przekonany, że to Clem prędzej by go zdradziła, ale teraz karta się odwróciła. Żołądek mu się skręcał od dziwnej mieszanki pożądania i obrzydzenia. Nienawidził siebie za to, że zdał się na łaskę swojego kutasa. Był najwyższy czas, żeby zejść z jachtu na ląd, poszukać najbliższej wioski i pożegnać się z małżeństwem, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Prawda była taka, że przy Annie nie ufał samemu sobie.

Siedziała naprzeciwko niego, gdy wiosłował z powrotem w kierunku „Małej Utopii”, z palcami obu rąk zanurzonymi w wodzie, zamkniętymi oczyma i twarzą wystawioną do słońca, ramionami odchylonymi nieco do tyłu, przez co pod koszulą wyraźnie rysowały się jej hipnotyzujące sutki. Uśmiechała się lekko. Sprawiała wrażenie obojętnej na to, co się stało na lądzie, zachowywała się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku i zwracała na Johnny’ego tylko tyle uwagi, co wcześniej, ani odrobiny więcej. Można było odnieść wrażenie, że nie przekroczyli żadnej granicy.

– Hej, Kleks – odezwał się, żeby skupić swoje myśli na czymś innym. – Jak się miewa Babcia?

Mała siedziała za nim na dziobie i szeptała jakieś nieodgadnione rzeczy do niewidocznych uszu Babci po tym, jak upuściła ją na kamień w trakcie ćwiczeń ze skakania.

– Jedna jej nóżka dziwnie wisi w powietrzu – odparła.

Teraz, gdy perspektywy przeżycia Babci na wolności poważnie zmalowały, Kleks dostała zgodę na to, żeby zabrać żółwika w roli maskotki na pokład „Małej Utopii”.

Johnny wiosłował, przyglądając się, jak pióra wiosel przesuwają się w zielonej morskiej toni. Słyszał śmiech Clem i plusk haczyka z przynętą wrzucanego do wody. Na chwilę zastygł z wiosłami podniesionymi w dulkach, aby posłuchać ciszy, i popatrzył na wybrzeże z lewej strony, gdzie kilometrami ciągnęły się porośnięte krzakami nieużytki, co wzbudziło w nim intensywne poczucie klaustrofobii. Spojrzał na Annie, która mu się przyglądała, toteż szybko odwrócił głowę. Musiał jakimś sposobem sprowadzić Clem z jachtu na ląd, musieli się pożegnać, wrócić do swojego życia, w którym byli tylko we dwoje. Spojrzał jeszcze raz na wybrzeże na północy, które ostatnio minęli, ale tam nawet w zatoczkach były tylko ujścia strumieni. Nie było wyboru, musieli zostać na jachcie jeszcze trochę. Nie było absolutnie gdzie zejść z pokładu, żeby wyruszyć w głąb łądu.

– Hej, mamy lunch! – zawołał Frank, wstając, gdy podpłynęli bliżej.

Był rozebrany do pasa. Podniósł w górę wiadro. Johnny nie mógł mu jeszcze spojrzeć w oczy, więc skupił się na jego piersi, która była znacznie słabiej owłosiona, niż można się było spodziewać. Johnny podał mu torby z jagodami oraz nowego pasażera i pomógł Kleks wdrapać się na pokład, po czym sam się podciągnął na relingu, wciąż nie patrząc Frankowi w oczy.

– Hej, Johnny – szepnął Frank, łapiąc go za rękę, kiedy chciał iść za kobietami pod pokład.

Musiał się odwrócić i popatrzeć mu w twarz. Frank, najwyraźniej lekko zdziwiony, obrzucił go szelmowskim spojrzeniem. Widział wszystko.

– Wyglądasz na stęsknionego za rozrywką. Masz ochotę postawić żagle, jak zjemy lunch? Zobaczmy, ile jesteś wart za sterem – rzekł.

Johnny skinął głową. Dokładnie tego pragnął. Frank rzeczywiście wszystko widział.

– Jak najbardziej – odparł.

Annie oczyściła ryby, a Frank zajął się ich przyrządzaniem. Johnny zajął się nóżką Babci, usztywnił ją patyczkiem od lizaka, podczas gdy Kleks i Clem budowały jej nowy domek z pudełka po płatkach śniadaniowych, którego ścianki miała flamastrem ozdobiła rysunkami pobratymców żółwika wędrujących dziarsko przez zarośla. Wreszcie wsadzili do środka Babcię z usztywnioną łapką. Bez specjalnego zainteresowania popatrzyła na rysunki, bardziej skonsternowana nieoczekiwanym zwrotem, jaki nastąpił w jej życiu.

Przy stole w salonie Johnny wśliznął się pod siadającą Clem, objął ją ramionami i przytulił do siebie jej drobne ciało, zanurzając twarz we włosach. Szepnął jej na ucho, że chciałby powiosłować z nią do brzegu i znaleźć miły zaciszny kącik gdzieś w cieniu. Kleks, która siedziała naprzeciwko nich, od razu podchwyciła ten świetny pomysł, bo mogłaby poszukać następnych małych żółwi, chociaż jemu niespecjalnie o to chodziło. Zamiast tego zajęli się we troje krojeniem jabłek i szykowaniem kruszonki. Johnny całkiem zapomniał o piersiach Annie, dopóki nie podeszła do stołu, żeby obrać jeszcze kilka jabłek, i znów jego uwagę przyciągnęły rozkołysane sutki rysujące się pod jej koszulą.

Nie powinno to trwać za długo, jeszcze tego popołudnia mogli się natknąć na jakąś wioskę.

Kiedy po lunchu naczynia zostały zebrane i umyte, Johnny z ulgą przyjął to, że wypływają z zatoczki. Ochocho podniósł kotwicę, a Frank uruchomił silnik i wyszedł z cichej przystani. Jeszcze przez jakiś czas płynęli wzdłuż wybrzeża i Johnny tylko czekał na znak, żeby się zająć stawianiem żagli. Siedział, oparty plecami o maszt, u boku Clem, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego wiatru i tylko oglądał się od czasu do czasu, czy Frank jest już gotów. Nie mógł postawić żagli bez zgody Franka, to by przypominało dolewanie sobie samemu trunków w cudzym domu. Wreszcie zaczął się głośno zastanawiać, na co czekają.

– On niczego nie robi bez ważnej przyczyny – powiedziała Clem, mlaskając, gdyż ssała gruszkowego dropsa. Kupiła ich cały kartonik jeszcze w Anglii i wydzielała sobie po jednym dziennie, żeby jej wystarczyły na trzy miesiące. Była od nich uzależniona. – Nie zwróciłeś na to uwagi? – zapytała.

– Owszem – odparł, w zamyśleniu wodząc palcami po jej nodze.

Razem obejrzelili się na Franka siedzącego przy sterze. Wiatr targał mu ciemne włosy, z warg zwieszał się papieros. Tego dnia dziwnie przypominał Gregory’ego Pecka.

– Uratował nas, prawda? – zagadnęła, aż Johnny gwałtownie odwrócił się do niej, gdyż użyła dokładnie tego samego sformułowania, co Annie. – Tamtego wieczoru...

– Pewnie masz rację – mruknął, biorąc ją za rękę. – Ale i tak myślę, że powinniśmy zejść na ląd w najbliższej wiosce i nie czekać na port. – Popatrzył na dużego białego cumulusa wyłaniającego się zza horyzontu. – W przeciwnym razie możemy utknąć tu na tydzień.

Clem obejrzała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

– O co ci chodzi? Nie podoba ci się tutaj?

– Owszem, podoba... – burknął defensywnie, szukając słów, żeby rozsądnie wyłożyć swoje racje. – Ale nie chciałbym nadużywać ich gościnności, to wszystko.

– Nie przesadzaj. Frank powtarza, że możemy zostać tak długo, jak chcemy. – Urwała nagle i zmarszczyła czoło, porażona nowym skojarzeniem. – Do czego zmierzasz? Annie coś ci powiedziała? Co tam się stało na lądzie?

– Nic – odparł zdecydowanie za szybko, czując klucie w dołku. Lekko ścisnął jej dłoń. – Nic się nie stało.

– Więc skąd nagle ten pośpiech?

Popatrzyła w stronę brzegu i zauważył, że słońce odbarwiło jej końcówki rzęs. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Pustka. Dziób holowanej łodzi kołysał się na falach, rozcinając je niczym pług. Monotonne kołysanie zdawało się wszystkich przyprawiać o senność.

– Nie chcę jeszcze schodzić na ląd – powiedziała, rozprostowując mu palce. – Wydaje mi się, że jest za wcześnie. Lepiej zaczekajmy, aż dopłyniemy do jakiegoś miasta.

Oboje odebrali te słowa z ulgą przemieszaną z niepokojem. Gdyby nie zajście z Annie, zgodziłby się z nią na sto procent. Właściciele jachtu zdawali się ludźmi niezwykłymi, pociągającymi i atrakcyjnymi. I nie chodziło o atrakcyjność fizyczną, a właściwie to chodziło, ale w dużo głębszym znaczeniu, niż mogłoby się z pozoru wydawać. Nie potrafił jeszcze określić, co się naprawdę za tym kryje. Ale rozmyślał o tym, czując się tak, jakby przez długi czas pływał po powierzchni i nagle ktoś dał mu maskę i fajkę pletwonurka.

– W porządku – rzekł, mając poczucie, że przynajmniej próbował. – Poimprovizujemy jeszcze trochę.

– Dość leniuchowania! – zawołał Frank ze sterówki. – Jacht jest twój!

Johnny poderwał się na nogi i zaczął odwiązywać linki mocujące żagiel.

– Tak jest! – zawołał. – Ustaw go dziobem do wiatru, Frank! – Ale ten go nie słyszał przez warkot silnika. – Clem, obróć łódź, dobrze?

Clem zbiegła po zejściówce. Frank wyłączył silnik i zniknął pod pokładem, pozwalając jej zająć miejsce przy sterze. Szybko wykręciła jacht dziobem do wiatru, a Johnny chwycił

fał i zaczął stawiać grot. Linka się zaklinowała, musiał szarpnąć raz i drugi, a po jej uwolnieniu pociągnął ze wszystkich sił, zapierając się jedną stopą o maszt. Żagiel był solidny i mocny, załopotał gwałtownie na wietrze. Ten zmienił nieco kierunek i czekało ich halsowanie pod wiatr.

Johnny umocował fał na kołkach, wybrał szot grota i odwiązał genuę. Annie i Kleks siedziały ramię w ramię przy prawej burcie i obserwowały każdy jego ruch, gdy chodził tam i z powrotem po pokładzie, kontrolując ułożenie żagli, to spoglądał na maszt, to znów wychylał się przez reling i rzucał Clem krótkie polecenia. Frank stanął w zejściówce, ubrany w swój rybacki sweter, i z szerokim uśmiechem przyglądał się, jak Johnny ustawia jacht względem wiatru, żeby uzyskać maksymalną prędkość.

Wreszcie usiadł przy rumplu i zaczął ostrzyć na wiatr. Łódź przechyliła się na bok. Annie i Kleks jednocześnie aż pisnęły z wrażenia i kurczowo zacisnęły palce na słupkach relingu, jakby z obawy, że jacht się wywróci.

„Mała Utopia” zaczęła nabierać prędkości. Johnny’ego aż zaskoczyło, jak zgrabnie rozcina fale.

– Jest dość szybka jak na tak grubego ptaszka – powiedział, zerkając na Franka i luzując nieco szoty grota.

Kiedy wypłynęli nieco dalej na otwarte morze, Johnny poczuł, że jego wątpliwości i troski ulatują z wiatrem. Tylko tego mu było potrzeba, na to specjalnie czekał. Tęsknił za dreszczem emocji wywołanym szybkością, ale szybkością wynikającą tylko z siły wiatru. Zresztą nie tylko on czuł przypływ adrenaliny do krwi. Gdy popatrzył po twarzach pozostałych, przekonał się, że oni także odczuwają podniecenie. Wręcz trudno było o inną reakcję. Clem usiadła obok niego, objęła go i wsunęła palce za jego szorty na plecach, wreszcie pocałowała go w ulubione zagłębienie policzka. Przez jakiś czas cieszył się w milczeniu, dopóki nie uświadomił sobie, że po drugiej jego stronie siedzi Annie z rozkołysanym biustem. Musiał coś na to zaradzić. Próbował koncentrować się na tym, ile ona ma lat, lecz to niewiele pomagało, gdyż przypominał sobie wieczory spędzane w roli opiekunki do dziecka. Usiłował więc wyobrazić sobie, jak ona się kocha z Frankiem, ale i to nie przynosiło skutku, bo tylko wzbudzało jego zainteresowanie. Odwrócił się do Clem i pocałował ją krótko, po czym przekazał jej ster, a sam wstał, żeby trochę rozprostować nogi. Najwyżej kilka dni, obiecał sobie w duchu, spoglądając w stronę lądu.

Na otwartym morzu, dalej od osłony gór, wiało mocniej. Fale zaczęły się z hukiem rozbijać o burty, aż rozbryzgi leciały im na twarze. Kleks głośnym piskiem witała każdą grzywę, po czym zlizywała słone krople z warg i uśmiechała się do Johnny’ego. Była odważna jak mała dzikuska. A huk fal przybierał na sile.

– Och, mój Boże! – wykrzyknęła w końcu Annie, zerkając na niego z niepokojem i mocniej tuląc małą do siebie. Zmrużył oczy i popatrzył na grot. Pomyślał, że można trochę zrefować żagiel.

– Frank! – zawołał. – Chcesz, żebym zrefował grot?

Ten, wciąż stojąc na zejściówce i spoglądając w morze, odwrócił się tyłem do Johnny’ego, a po chwili spojrział na żagiel.

– Zostawiam to do twojej decyzji – powiedział.

– Zejdę o jeden stopień – zaproponował Johnny, ale Frank nie zareagował. – Słyszałeś, Frank?! Chcę trochę zrefować! – powtórzył głośniej, sądząc, że Frank nie usłyszał.

Ale ten znowu popatrzył na żagiel, przeniósł wzrok na Johnny'ego i zapytał:

– Co to jest refowanie?

Johnny zaśmiał się krótko.

– Co to jest refowanie?

– Pytam poważnie. – Frank wzruszył ramionami. – Co to jest refowanie, do cholery?

Johnny popatrzył na Annie, która odpowiedziała zdumionym spojrzeniem.

– Musisz wiedzieć, co to jest refowanie – odparł Johnny i znów się zaśmiał, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. – Przecież pływałeś wcześniej tym jachtem, prawda? – zapytał, znów przekazując rumpel Clem.

Frank pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Nigdy wcześniej nie pływałem na żadnym jachcie.

Johnny zaśmiał się ponownie, lecz jeszcze bardziej niepewnie, bo wciąż był przekonany, że Frank tylko sprawdza jego wiedzę. Sam szybko zrefował żagiel, po czym zszedł do sterówki i zmienił kurs, kierując jacht ponownie ku brzegowi, zanim dotarło do niego, że to nie żaden test. Powód, dla którego żagle wyglądały na nowiutkie i nieużywane, był taki, że naprawdę były nowiutkie i nieużywane. Frank wcale nie żartował. Kiedy mówił, że od sześciu lat płyną wzdłuż brzegów Morza Śródziemnego, oznaczało to, że płyną na silniku. Nie miał pojęcia, jak się żegluje. Popatrzył więc na Franka ze zdumieniem. Z jakiego powodu, do jasnej cholery, człowiek, który nie ma pojęcia o żeglowaniu, miałby mieszkać z rodziną na jachcie? Musiałby być szalony i rozmiar jego szaleństwa wydawał się naprawdę imponujący.

– Dlaczego kupiłeś jacht, Frank? Nie lepsza byłaby motorówka? – zapytał po pewnym czasie, kiedy zostali sami w sterówce i sączyli piwo.

Frank wystukał sobie papierosa z paczki prosto do ust, wprawnie chwycił go wargami i przypalił, osłaniając dłonią płomień zapalniczki od wiatru. Odchylił się na oparcie, rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się szelmowsko.

– Być może tak jak ty, Johnny, musiałem się ewakuować w pośpiechu.

Odpowiedź była intrygująca, czekał na dalsze informacje, ale Frank zachowywał powściągliwość, on zaś nie chciał pytać, nie chciał naciskać, bo to by oznaczało wahanie, a pragnął zrobić na nim wrażenie, zaimponować mu, żeby nie myślał, że różni się od innych mężczyzn godnych przyjaźni i szacunku. Tak więc tylko odchylił się na oparcie i zapatrzył na rozgwieżdżone niebo nad horyzontem.

– Coś ci powiem, Johnny – zagadnął tajemniczo Frank, wynagradzając jego cierpliwość. – Nie zrobiłem niczego, czego musiałbym się wstydzić.

Odwrócił głowę i popatrzył na żagle. Wiatr osłabł nieco, więc poprawił żagiel główny i wyluzował jeszcze trochę genuę. Spod pokładu doleciały głośne śmiechy Clem i Annie

krzątających się w kambuzie.

– Czy zrobiłeś kiedykolwiek coś, czego musiałbyś się wstydzić? – zapytał Johnny, doszedłszy do wniosku, że takie ogólne pytania w niczym nie szkodzą. Popatrzył, jak wiatr zwiewa słupek popiołu z papierosa.

– Biorę pełną odpowiedzialność za wszystkie swoje czyny – rzekł Frank, a Johnny pragnął, by móc powiedzieć to samo o sobie.

– Przyjmujemy wszystko, co nas spotyka. Nie uciekniemy przed naszą karmą. Właśnie dlatego dobrze jest być świadomym podejmowanych decyzji. Trzeba budować dobrą karmę na własny użytek.

Jakiś czas później, zdaniem Johnny'ego, pstryknął mu w głowie jakiś przełącznik, bo powiedział:

– Wytrzymajcie z nami przynajmniej do Datcy. – W ten sposób ustalił rejs, z nikim nie konsultując swoich planów. Objął Johnny'ego w ramionach i dodał: – Całe to wybrzeże to same nieużytki.

Miał rację. A więc decyzja zapadła. Bez jego udziału. Mieli zostać.

Słońce minęło środek nieba, później daleko na horyzoncie pojawił się inny jacht z postawionymi żaglami, ale poza tym morze należało do nich. Johnny pracowicie spędził resztę popołudnia – wprowadzał drobne korekty w ustawieniu żagli, kierował łódź do wiatru to jednym, to znów drugim halsem, to refował nieco grot, to znowu zwiększał jego powierzchnię, robił zwroty przez rufę, w zależności od zmian kapryśnego wiatru. Frankowi się to podobało, bo nie było wyboru, należało tylko na bieżąco odpowiadać na każdą zmianę kierunku wiatru, a podjęte decyzje były nieodwołalne. Johnny zaczął mu tłumaczyć, jak odczytywać ułożenie żagli i jak polegać na swoich zmysłach, przez co odczuwał satysfakcję, że może się jakoś odwdzięczyć Frankowi za to, co dostawali od niego.

Annie z Kleks zniknęły w kajucie na sjeście, wkrótce dołączył do nich też Frank i tylko Clem została na dziobie, szkicowała w swoim czarnym notesie, podczas gdy Johnny sterował jachtem. Przyglądał się jej, podziwiając metodyczność, i zastanawiał się, co może z takim zapałem rysować, skoro wokół nich nie było niczego oprócz morza. Rozmyślał o tym, że kiedyś będą tak płynąć na własną rękę, swoim jachtem, kierując się tam, gdzie dusza zapragnie, i zwiedzając świat na swoich warunkach.

Przestał już wypatrywać wiosek na brzegu, uznał to za bezcelowe. Uznał swą wcześniejszą reakcję za przesadzoną, bo przecież nic się nie stało, zajście było bez znaczenia, bo najwyraźniej Annie tak je sklasyfikowała, więc i on musiał je traktować tak samo. Mógł poczekać jeszcze kilka dni, aż wpłyną do portu, nie było sensu przebijać się przez jakąś wioskę. I teraz, kiedy już podjął decyzję o pozostaniu, o odpoczynku, zrozumiał, że to słuszna decyzja, czuł to szóstym zmysłem, jak powiedziałaby Frank. Był tak skupiony na żaglach, linii horyzontu i morzu, że nie zauważył, kiedy wróciło uczucie izolacji, odgraniczenia od prawdziwego świata, zredukowania go do rozmiarów tego dziesięciometrowego jachtu z pięcioma osobami na pokładzie, gdzie zasady współżycia wciąż go zaskakiwały.

Jako pierwsza wyłoniła się z kajuty Annie, szeroko ziewając, z odciśniętymi śladami

pościeli na policzku. Miała na sobie koszulę Franka i nic poza tym. Johnny udawał, że tego nie zauważył, ale nie mógł się uwolnić od myśli, że ponieważ Clem drzemała na dziobie, są z Annie w sterówce tylko we dwoje. Podała mu kubeczek herbaty, unikając jego spojrzenia, jak gdyby rozkojarzona, nieszczęśliwa, być może mająca wyrzuty sumienia z powodu porannego zdarzenia. Wróciła pod pokład, zaczął więc śledzić jej krzątanie w kambuzie. Nastawiła muzykę, kasetę Arethy Franklin, i zaczęła szykować jakieś jedzenie, czytając przepis. Wiatr osłabł i Johnny zaczął majstrować przy sekstansie. Przeczyścił lusterka oraz soczewki i był w trakcie mierzenia pozycji słońca względem horyzontu, gdy Annie wyszła na pokład z torbą ziemniaków. Odwiązała wiadro wiszące za rufą, zaczerpnęła w nie morskiej wody, spoglądając na horyzont, po czym wrzuciła do niej ziemniaki i zaczęła je obierać.

– Chyba jeszcze nigdy nie byliśmy tak daleko od lądu – powiedziała, oceniając odległość do widocznego w oddali brzegu.

Johnny przerwał swoje zajęcie i popatrzył na nią, schyloną nad wiadrem.

– Poważnie? – zapytał.

Skinęła głową, podnosząc na niego swe błękitne oczy, po raz pierwszy od czasu, gdy dotykał jej piersi na wzgórzach. Rzuciła ukradkiem szybkie spojrzenie na zejściówkę prowadzącą pod pokład i Johnny pomyślał, że zamierza wrócić do tamtego zdarzenia. Dla bezpieczeństwa pochylił się z powrotem nad sekstansem.

– On nawet nie umie pływać! – powiedziała dziwnie ironicznym, nieprzyjemnym tonem.

Johnny odłożył sekstans i usiadł.

– Nie umie pływać i nie umie żeglować? – powtórzył. Poczł się niezręcznie, rozmawiając o Franku. – Jesteście masochistami? Dlaczego w takim razie, do diabła, nie kupicie sobie domu, żeby się nie męczyć na jachcie?

Spuściła wzrok na swoje dłonie i zaczęła szybciej obierać ziemniaki.

– Nikt nie znajdzie człowieka mieszkającego na jachcie, prawda? – mruknęła. Znowu rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi kajuty, otarła twarz rękawem i wstała, jak gdyby już powiedziała za dużo.

Wkrótce Frank wyszedł z kajuty i w samych szortach zaczął krążyć po salonie, toteż Johnny powiódł spojrzeniem za jego potężną sylwetką, rejestrując rząd kolistych blizn na plecach i złamaną łopatkę. Clem powiedziała, że został potrącony przez ciężarówkę, ale wyglądało to tak, jakby przejechał po nim traktor.

Znacznie później, po tym jak rzucili kotwicę w kolejnej odludnej zatoczce i zjedli kolację, kiedy znieczulające działanie alkoholu pomogło zmienić atmosferę na przyjemniejszą, niebo najpierw się zaróżowiło, a potem ziemia odwróciła się plecami do słońca. Gdy dziewczęta na zmianę poczytały Kleks bajki na dobranoc, posłuchały skocznej muzyki i potańczyły w kambuzie, a Frank i Johnny w sterówce opróżnili butelkę czerwonego wina, nocne niebo odegrało specjalnie dla nich szczególnie spektakularny pokaz. Tam, w górze, musiało się dziać coś ważnego, bo na całym niebie, gdziekolwiek spojrzeć, zapalały się spadające gwiazdy. Trwało to godzinami.

Frank leżał na ławce wzdłuż prawej burty, z nogami na rumplu, spoglądał w niebo i wypytywał Johnny'ego o jego doświadczenia żeglarskie. Ten opowiedział mu więc o tym jedynym wypadku, kiedy przeżył sztorm na otwartym morzu w Zatoce Biskajskiej, gdy wiatr wiejący z prędkością stu kilometrów na godzinę w porywach osiągał sto trzydzieści. Razem z Robem zostali zaskoczeni dziesiątką w skali Beauforta na jedenastometrowym drewnianym jolu. Morze zrobiło się całkiem białe, wiatr zwiewał płaty gęstej piany z grzyw fal. Zwinęli wszystkie żagle i przywiązali się do relingu w nadziei na przetrwanie. Doskonale pamiętał, jak w pewnym momencie znaleźli się pod samą podstawą przerażająco wielkiej fali i gdy spojrzął w górę, ujrzał tylko wąziutki skrawek nieba, resztę zakrywała gigantyczna ściana wody, która za chwilę miała się na nich zwalić.

– Jezu – mruknął Frank, odwracając się w jego stronę. – O czym wtedy myślałeś?

– Kurczowo trzymałem się nadziei, że ta cholerna łajba to wytrzyma.

– Aha! Nie zapominajmy jednak, że jesteś w czepku urodzony – rzekł Frank, kręcąc młynka resztką wina w szklaneczce.

Johnny się zaśmiał.

– Ale chyba czułeś strach?

Przyjmował z satysfakcją, że udało mu się wyrzucić wrażenie na Franku. Mimowolnie promieniał z radości.

– Strach, podniecenie... To prawie to samo, co nie? – odparł. Nawet nie próbował niczego wyolbrzymiać, mówił prawdę: jedynym uczuciem, które pamiętał z tamtej chwili u podstawy wielkiej fali, była bezgraniczna euforia.

Frank skwitował to śmiechem.

– Podobasz mi się, Johnny.

Usiadł, wystukał papierosa z paczki, chwycił go ustami, przypalił, odchylił się na oparcie, zakładając jedną nogę na ławkę, i wydmuchnął dym w niebo. Drugą stopą zaczął wystukiwać rytm muzyki i obrzucił Johnny'ego intymnym, niemal pożądlivym wzrokiem, aż ten poczuł się nieswojo, choć nie do końca było to wrażenie nieprzyjemne. Nawiedziła go ponura, dziwaczna myśl, że gdyby był kobietą, Frank z pewnością zaliczałby się do tych mężczyzn, którzy natychmiast by się w nim zakochali.

– Mam wrażenie, że bardzo długo czekałem na ciebie, Johnny – odezwał się Frank, świdrując go spojrzeniem. – Sądzę, że nasze drogi musiały się kiedyś przeciąć.

Johnny poczuł, że się rumieni. Nigdy dotąd nie szukał u nikogo tego rodzaju aprobaty. Starał się nie pęcznieć z dumy, tylko zachować spokój, ale gdy pociągnął łyk wina i spojrzął w niebo nad głową, odniósł wrażenie, że coś w nim także rozbiły się.

– Nie wierzę w przypadki – dodał Frank, spoglądając na niego dziwnym wzrokiem, jakby ujrzał go po raz pierwszy. – To tylko kwestia zbieżności okazji i przygotowania.

Dla Johnny'ego to była zupełna nowość, cały ten pomysł, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Jego matka nawiązywała kiedyś do tej idei i nawet lubił słuchać, jak mówiła w ten sposób, ale od czasu jej śmierci stał się absolutnym racjonalistą. Człowiek żyje, potem umiera, to wszystko. Wsunął skręta do ust i zaciągnął się, zasłuchany w przyjemny trzask

rozpalających się drobin tytoniu.

– Ale jest też w tobie coś groźnego, prawda, Johnny?

Nie był pewien, jak należy to rozumieć. Odchylił się nieco do tyłu, oparł głowę o krawędź daszka kajuty i zamyślił się nad tym pytaniem. Wysoko nad nimi kolejny meteor wdarł się do ziemskiej atmosfery.

– Chyba tak – odparł.

– I czułeś dzisiaj strach? – zapytał Frank półgłosem.

– Nie, to było najwyżej pięć w skali Beauforta. – Powoli wydmuchnął dym i popatrzył, jak się rozwiewa w nocnym powietrzu.

– Nie chodzi mi o żeglowanie – wyjaśnił Frank, wciąż mówiąc półgłosem. – Mam na myśli to zdarzenie na wzgórzu... kiedy dotykałeś mojej żony.

Johnny zamarł. W ciemności obejrzał się na Franka i mimo głośnej muzyki dobiegającej z salonu usłyszał wyraźnie donośne łomotanie własnego serca i poczuł ucisk w piersi, jakby ktoś ścisnął go obręczą.

– To było podniecające? – zapytał szeptem Frank.

Wyprostował się i pochylił ku niemu.

– Powiedziała ci? – tak samo zapytał szeptem.

– Mówi mi o wszystkim, Johnny.

Zaniemówił. Przełknął ślinę, próbując pokonać ucisk w gardle, i utkwiał spojrzenie w pokładzie. Annie i Clem przestały tańczyć po całym kambuzie i pochyliły się nad jakąś książką. Zaczął się przesuwać po ławce.

– Przepraszam, Frank. Bardzo przepraszam. Nie wiem, jak to się stało... Nie umiem wyjaśnić, co we mnie wstąpiło...

– Hej – mruknął Frank, pochylając się w jego stronę. Położył swoje wielkie łapsko na ramieniu Johnny'ego. – Spokojnie. Nic się nie stało. To bez znaczenia. – Machnął ręką w powietrzu, jakby to rzeczywiście nie miało żadnego znaczenia.

Nic się nie stało. Czuł, jak masywne palce Franka lekko ugniatają mu ramię, rozluźniają go, udzielają rozgrzeszenia. Tyle że to nie miało sensu.

– Mnie interesuje tylko strach – wyjaśnił Frank, po czym wyprostował się i zaciągnął dymem. – Poza tym Annie może robić wszystko, co jej się podoba. Nie wierzę w skuteczność represji. Nie wierzę też w celowość ograniczeń. Powinniśmy zawsze być sobą.

Johnny popatrzył na niego zdumiony.

– Naprawdę?

– Wyrzeczenia kłócą się z moimi zasadami – odparł poważnie, z błyskiem w oczach.

– Niezwykły z ciebie człowiek, Frank.

Tamten poczęstował go papierosem i Johnny skorzystał. Ręce mu się trochę trzęsły.

– Musimy być wolni, żeby móc być sobą, Johnny. Takie jest życie. Inne podejście nie ma

sensu!

– Nie powiesz o niczym Clem? – zapytał Johnny, zerkając na niego z ukosa, pochyliwszy głowę do płomyka zapalniczki, którego blask wyłowił z mroku ciemną, zachmurzoną twarz Franka.

– Nie powiem, jeśli ci na tym zależy.

– Annie też jej nie powie?

– Czego się boisz? – Frank puścił przycisk zapalniczki i jego twarz znów zniknęła w ciemności. – Podobno strach i podniecenie to jedno i to samo? – dodał z uśmiechem, czochrając włosy Johnny’ego, jakby miał do czynienia z małym chłopcem.

Przez chwilę milczał, wreszcie pochylił się ku niemu i rzekł:

– W miłości nie ma miejsca na strach, Johnny.

Ten zapatrzył się na niego, wciąż nie rozumiejąc. Czasami przy Franku odnosił wrażenie, że do tej pory spoglądał na świat do góry nogami.

– Musisz to wiedzieć! – Mężczyzna wolno postukał w bok głowy Johnny’ego swoją wielką pięścią. – Musisz wreszcie zacząć myśleć inaczej.

Johnny chciał myśleć inaczej, chciał patrzeć na świat oczami Franka, chciał spoglądać na wszystko przez to samo okno, przez które i on spoglądał.

– Strach to tylko niewiadome, Johnny. Nic więcej.

Skinął głową, mając wrażenie, że przynajmniej to rozumie.

– Chcesz wiedzieć, jak się uwolnić od strachu? – zapytał szeptem Frank, uśmiechając się.

– Jak?

– Trzeba wziąć niepewność w objęcia.

Tego nie rozumiał. Popatrzył, jak Frank zakłada nogę na nogę i w zadumie drapie się po brodzie.

– Czemu tak bardzo się boisz, że Clem mogłaby poznać prawdę? – Nie spodziewał się odpowiedzi, gdyż zaraz ciągnął dalej, zniżonym głosem, świadom bliskiej obecności dziewcząt w kambuzie. – Martwisz się tym? Dręczy cię jakaś wydumana bzdura w rodzaju zranienia jej albo zasmucenia? W takim razie kłamiesz albo przynajmniej nie mówisz prawdy. Żeby ją chronić. Zgadza się?

Johnny przytaknął ruchem głowy.

– To wspaniale, Johnny, ale wcześniej czy później będziesz musiał zrozumieć, że jedyne wartościowe życie to życie wolne. Życie bez kłamstw, półprawd, cenzury i nieporozumień. Dotknąłeś Annie, ponieważ tego chciałeś. Nie ma w tym nic złego.

– Czyżby? – zapytał Johnny, mając niemal całkowitą pewność, że jednak jest.

– Nie.

– Ale Clem to zaboli, gdy się dowie.

– Tak – przyznał Frank z błyszczącymi oczyma. – Ponieważ w tej chwili życie oboje

w więzieniu waszych dotychczasowych uwarunkowań. Ty wciąż hołdujesz starym procesom myślowym, uznajesz stare wartości. Nie ma w tym żadnej ewolucji, tylko stagnacja i zgnilizna. Musisz wreszcie zacząć ewoluować, Johnny. – W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby mówił o najpiękniejszej rzeczy na świecie. – Prawdziwa miłość nie ma ograniczeń – dodał. – Nie zna granic.

Johnny popatrzył mu prosto w oczy. Czuł, że gdzieś w głębi jego duszy zaczyna buzować coś nowego, dającego przedsmak, jak może wyglądać życie, rozgrzeszającego ze wszystkich mrocznych pragnień. Czuł w sobie potencjał, który tylko czekał na taką okazję. Chciał ewoluować. Musiał osiągnąć punkt zwrotny wszelkich przemian – jeśli tylko taki punkt istniał – choć on co do tego nie miał już wątpliwości. Dla ludzkości jako gatunku ewolucja musiała być nadrzędnym celem.

– Powiem więcej – dodał Frank, w uśmiechu pokazując błyszczące bielą w ciemności zęby. – Jak tylko z otwartym sercem pogodzisz się z niepewnością, jak tylko uczynisz ten pierwszy krok w nieznaną, życie wyda ci się kurewsko magiczne. Jest jak wielki ubaw, i to nie tylko od czasu do czasu, ale bez przerwy.

Annie wytknęła głowę nad zejściówką, unosząc dwa kubeczki.

– Hej, wy dwaj. Nalejcie i nam!

Umyła włosy, wyglądała więc kusząco, jak gdyby otaczał ją blask. Frank odkorkował butelkę i nalał czerwonego wina do obu kubeczków.

– Zmiatajcie stąd – rzucił. – Wszędzie na niebie jest pełno spadających gwiazd. Jeszcze spełnią się wszystkie wasze życzenia.

– Kleks śpi? – zapytał Johnny, zauważywszy, że znowu może śmiało patrzeć Annie w oczy.

– Wreszcie – odparła. – Będę musiała przenieść Babcię, bo zasnęła na jej poduszce. – Popatrzyła w niebo i szybko zamknęła oczy, żeby pomyśleć życzenia. – Poprosiłam o świeże jajka na czwartek – wyjaśniła, otwierając oczy. – Przeglądałyśmy właśnie przepisy na dziewczęcy tort urodzinowy. – Obejrzała się w głąb salonu i zawołała: – Zgaś światło, Clem! I przynieś gitarę!

Clem i Annie wyłoniły się z ciemności w sterówce i usiadły obok siebie naprzeciwko Johnny'ego w mroku rozjaśnianym tylko przez gwiazdy i ogniki papierosów. Annie zaczęła grać równolegle z piosenką Fleetwood Mac płynącą z kasety, tyle że ta zabrzmiała zupełnie inaczej, gdy zaczęła śpiewać. Clem wyciągnęła się na ławce obok niej, oparta o Franka, z nogami na kolanach Annie, i we czwórkę zasłuchali się w śpiewaną przez Annie piosenkę o drożdziej, przyglądając się meteorom wpadającym w ziemską atmosferę. Johnny poczuł się nadzwyczaj szczęśliwy w takiej sytuacji. Uznał, że to magiczna chwila. Osiągnął ten punkt, pokonał siłę niepewności, zdobył autentyczną wolność, która smakowała mu jak prawdziwa miłość. To fakt, że był pijany, ale nie o to chodziło...

Jak zwykle głos Annie poniósł ich gdzie indziej i chętnie mu ulegli, gotowi za nim podążać dokądkolwiek, dopóki ona śpiewała, a gwiazdy świeciły. W końcu Johnny sięgnął po wino i wlał resztkę do szklaneczki Franka. Był dużo bardziej wstawiony, niż myślał, bo pusta butelka wyśliznęła mu się z ręki. Annie chciała zatrzymać ją nogą, lecz tylko kopnęła

ją niechęć i ta zaczęła się obracać na pokładzie sterówki. Zawirowała jak szalona.

– O, tak! – zawołała Annie i schyliła się szybko, ale jej nie dosięgła, tylko stuknęła brodą o pudło gitary. – Zagrajmy w butelkę... – Powiodła spojrzeniem po wszystkich, unosząc jedną brew. – Kogo mam pocałować?

W pierwszej chwili zaśmiali się, ale zaraz spoważniali i ucichli, także się pochylając, żeby lepiej widzieć obracającą się butelkę, ciekawi, na kogo wskaże. Wirowała bardzo długo, rozmywając im się przed oczami w ciemności. Johnny pomyślał, że teraz mógłby pocałować Annie, że bardzo pragnął tego na wzgórzu, że miał ochotę wtulić twarz między jej piersi. Ale tym razem nie miał już wyrzutów sumienia, uwolnił się od nich, w ogóle przestał cokolwiek oceniać i nie miał zamiaru wracać do starego sposobu myślenia. Butelka zaczęła wreszcie zwalniać, z każdym obrotem przenosząc nadzieję na kolejnych siedzących dokoła ludzi. Zapowiadała krok w nieznaną. Ostatecznie zatrzymała się bezdyskusyjnie na wprost Clem.

Ta odchyliła się na ławce.

– Och – powiedziała zaskoczona. – To ja.

Kiedy spojrzała na Johnny'ego, dostrzegł wahanie w jej oczach, chciała, aby jej powiedział, co ma robić. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami, wyrażając w ten sposób zgodę, lecz Annie już wsunęła palec pod brodę Clem i obróciła jej twarz do siebie. Pochyliła się i pocałowała ją żarliwie w usta. Widać było, że Clem odebrała to z zaskoczeniem, nigdy dotąd nie całowała się z kobietą. Ale Johnny zwrócił uwagę, że nie cofnęła głowy i po chwili Annie pocałowała ją po raz drugi, tak delikatnie, że i on odniósł wrażenie, że czuje na swoich ustach miękki dotyk jej warg. Zaczęły się całować żarliwie, z wzajemnością, czule objęte, aż poczuł intensywny wzwód i nabrał ochoty, żeby zdjąć spodnie, jeśli ma to potrwać dłużej. Spostrzegł, że Frank siedzi oparty o rumpel, z szeroko rozrzuconymi rękoma ułożonymi na pawęży, ale było za ciemno, żeby cokolwiek wyczytać z jego miny.

– Twoja kolej! – szepnęła Annie, odsuwając się.

Clem była lekko zadyszana, rozchylone wargi miała wilgotne. Ona także była wstawiona, podobnie jak Johnny i reszta. Przelotnie spojrzała w jego kierunku, schyliła się szybko i zakręciła butelką. Znow wszyscy wpatrywali się w wirujący kształt, wyławiając z ciemności tylko jego zarys na pokładzie. Butelka zahaczyła o nogę ławki i zatrzymała się nagle, wskazując wiadro przywiązane za rufą. Jediną osobą siedzącą na rufie był Frank. Johnny obrzucił go uważnym spojrzeniem z profilu: usta miał rozchylone, koniec języka opierał na dolnej wardze. Łatwo się było domyślić błysków w jego oczach.

– Nie przejmuj się, Clem – powiedział miękko, uspokajającym basem. – Nie musisz w to grać.

Zapatrzyła się na niego znieruchomiła.

– Nie, dlaczego? – rzucił Johnny niejako wbrew sobie. – Pocałuj go, Clem...

Popatrzył, jak jego żona wstaje i schyla się, żeby pocałować Franka. Doleciały go ciche cmoknięcia, dostrzegł, jak jego olbrzymie masywne dłonie obejmują jej twarz z niezwykłą

czułością, jak zaczynają się przesuwać powoli po jej plecach, a ona przytula się do niego, zanurza w objęciach.

CHOROBA NA MORZU

Wiatru nie było prawie wcale i żagle zwisały smętnie. Taka sytuacja trwała już od czterdziestu ośmiu godzin. Od czasu do czasu pojawiała się lekka ciepła bryza z zachodu, popychała nieco jacht, nadawała mu tyle prędkości, że Johnny nabierał przekonania, iż warto postawić spinaker, ale gdy się do tego zabierał, wiatr znowu słabł, toteż upychał z powrotem żagiel w luku dziobowym. Płynęli bardzo wolno, najwyżej z prędkością dwóch węzłów. Otaczał ich mglisty, senny bezruch. Tylko niekiedy zabzyczał jakiś owad albo ptak przeleciał ospale nad jachtem, poza tym wszystko wydawało się zduszone przez skwar i brak wiatru. Frank oświadczył, że woli zachować resztki paliwa do dieslowskiego silnika na wchodzenie do zatoczek i wypływanie z nich.

Clem leżała na swojej macie modlitewnej na pokładzie, czując dotknięcia promieni słonecznych na skórze. Stopy trzymała oparte o bom, pozornie po to, żeby zapobiec jego ruchowi, ale głównie dla własnej wygody. Palcami nóg i biodrami ledwie zauważalnie kołysała w rytm piosenki Steviego Wondera dolatującej zza otwartych drzwi salonu. Rozmyślała o tym, co się wydarzyło dwa dni wcześniej, w głowie miała mętlik wrażeń i uczuć, jej ciało wciąż zdawało się naelektryzowane, a na twarzy jak gdyby nadal czuła kłujący zarost Franka. Nigdy dotąd nie całowała się z mężczyzną noszącym brodę, w pierwszej chwili odebrała to tak, jakby tulił się do niej jaskiniowiec, zwłaszcza w kontraście z miękką i delikatną cerą Annie. Ale przecież z kobietą też nigdy wcześniej się nie całowała. Nigdy nie była w intymnej sytuacji z nikim poza Johnnym. Wahala się, czy może zaliczyć Franka do mężczyzn fizycznie atrakcyjnych, bo był dużo starszy i większy, jak dorosły w porównaniu z nastolatkiem. W każdym razie na pewno nie pociągał jej tak samo, jak Johnny. Niemniej było w nim coś, co budziło w niej pożądanie, kazało postrzegać kontakt seksualny nie tylko w sensie zbliżenia fizycznego. Na samą myśl o tym znowu poczuła podniecenie.

Johnny obserwował Clem, mając wrażenie, że jego myśli są jedynym czynnikiem zaburzającym wszechobecny zastój w otoczeniu. Bolała go głowa. Clem była całkiem naga, jeśli nie liczyć naszyjnika z fajansowym serduszkiem, i trzymała kciuk w ustach, prawą dłońią w zamyśleniu wodząc po wrażliwych punktach ciała. Rozmyślał, że jej dłonie są jak dwa małe ptaszki, z których jeden siedzi w gnieździe, a drugi przemieszcza się w poszukiwaniu jakiegoś nadrzędnego celu. Zazwyczaj gdy była ubrana, ograniczała się do swoich wrażliwych miejsc na twarzy, krawędzi łuku brwiowego, skroni, dołka nad górną wargą czy też tajemniczego zagłębienia pod czubkiem brody, ale skoro była naga, czuła się uwolniona od zakazów i ostrożnie sondowała miękkie krągłości swoich piersi, wewnętrzne części ud czy też miejsca pod pachami. Na takie rzeczy pozwalała sobie dotychczas tylko wtedy, gdy byli razem w łóżku. Sami. Ale w ciągu ostatniej doby najwyraźniej poczuła się uprawniona do czynienia tego w dziennym świetle i na oczach wszystkich znajdujących się

na pokładzie. Johnny'emu się to nie podobało. Jego zdaniem celowo zachowywała się prowokacyjnie, obmacując się w różnych miejscach. Jak gdyby chciała wzbudzić pożądanie we Franku. Ale sprawa zasadzała się na tym, że pewnie nawet nie zauważyła, że ten wcale jej się nie przygląda. Siedział pod genuą z nosem w jakiejś książce historycznej. Zatem robiła tylko z siebie pośmiewisko.

W głowie miał coraz większy zamęt, ewidentnie potrzebował wiatru, żeby uwolnić się od takich myśli.

– Hej, Kleks, nie potrzebujesz pomocy? – zagadnął, ochoczo wkraczając w uproszczone zarysy dziecięcego świata.

Stała w zejściówce do kambuza, obładowana przeróżnymi rzeczami: miseczką z wodą, różnymi kremami i maściami, szmatkami i ściereczkami, jak również Gillą, przymocowaną jakimś sposobem do jej bikini – co samo w sobie zakrawało na ironię, skoro większość dorosłych na pokładzie nie zawracała sobie głowy ubraniem. Na dodatek trzymała na dłoni Babcie, która zasłużyła na kolorową wstążkę opasującą ją w pól. Do tego miała być opięta orderem Franka, jakby to był zwykły pasek.

Ostrożnie strząsnęła Babcie z dłoni na ręcznik, którego używała jako żółwiej toalety. Następnie wcisnęła się w marynarkę kapitana Hooka, która sprawiała wrażenie jeszcze sztywniejszej niż dotychczas.

– Paskudna Babcia zrobiła kupkę – powiedziała, obracając żółwika jasną, brzuszną stroną do słońca. Rozwiązała wstążkę, opłukała ją w wodzie i zaczęła obmywać Babcie, jakby miała do czynienia z niemowlakiem.

Żółwik z nową nadzieją zamachał łapkami w powietrzu i wykręcił szyję, żeby skierować spojrzenie starego człowieka na Johnny'ego.

– Posłuchaj, Babciu – syknęła Kleks tonem starszego sierżanta, obracając żółwika i przenosząc go nad miskę z wodą. – Zaczynaj się wreszcie zachowywać porządnie. Mam już dość twoich humorków. To pora na kąpiel, czy ci się to podoba, czy nie. – Najwyraźniej starała się zrobić wrażenie na Annie, która nadstawiła ucha na tę tyradę.

Babcia nie chciała jej jednak słuchać. Być może Kleks byłaby dla niej bardziej wyrozumiała, gdyby sama nie skarżyła się podczas kąpieli. Podniosła żółwika z ręcznika, wrzuciła go do miski z wodą, po czym wylała sobie na rękę trochę szamponu.

– Lepiej nie używaj szamponu, Kleks – powiedział Johnny, wyjmując jej buteleczkę z dłoni. – Babcia nie ma włosów. Pozwól jej tylko trochę popływać... Kleks? – zagadnął, pochylając się niżej, gdy jego wzrok przyciągnęły nóżki Babcie, ewidentnie upstrzone na końcach plamami czerwonego lakieru do paznokci. – Co ty jej zrobiłaś?

– Nic takiego. Sama chciała się bawić w salon piękności – odparła mała, kręcąc głową, jakby z politowania nad decyzją żółwika, której nie mogła mu wyperswadować.

Usiadł na ławce przy rumplu i popatrzył na Franka pogrążonego w lekturze książki, siedzącego na ręczniku na dziobie. Annie drzemała w salonie, zwinięta w kłębek na łóżku i zakryta prześcieradłem. Pomyślał, że jedno z nich zawsze wydaje się pogrążone we śnie w wolnej chwili. Clem opalała się na pokładzie. Przestała się już głaskać i odwróciła się

tyłem do niego. A on wciąż czuł obrzydzenie po tym, do czego doszło, jak szybko wszystko między nimi się odmieniło, przy czym nikt zdawał się nie zwracać uwagi na fakt, że pieprzyli się nawzajem. Tylko nadzy mogli się w pełni obnażyć, co do tego Frank miał absolutną rację. Ale teraz całą czwórką osiągnęli wyższy poziom. Nie mieli już niczego do ukrycia, bariery zostały usunięte. Bo przecież nic nie mogło być bardziej intymnego od obserwacji orgazmu drugiej osoby. Ale jego zdumiewało, jak szybko nagość stała się między nimi normą, jak szybko wziął górę brak skrępowania, podczas gdy on wciąż klasyfikował różne rzeczy – nie miał nic przeciwko nagości w trakcie opalania, kąpieli czy seksu, a więc tych wszystkich czynności, w których nagość była rzeczą naturalną czy konieczną, wołał jednak, żeby ludzie byli ubrani podczas jedzenia, dyskusji albo gotowania. Owszem, jemu pewne granice się podobały, lubił podział na to, co publiczne i prywatne.

Ale i sam nie umiał do końca rozstrzygnąć, co o tym wszystkim myśli. Miał rację na samym początku, a nawet jeszcze następnego dnia, ale teraz wszystko wydawało się inne. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że został obrabowany albo raczej postąpił lekkomyślnie i spuścił z oczu coś bardzo cennego. Kiedy wszyscy leżeli w różnych miejscach na jachcie, jak teraz, pograżeni we własnych światach oddzielonych od innych, aż trudno było uwierzyć w to, co się stało, że z własnej woli zgodził się na uczestnictwo w grze i oddał swoją żonę innemu mężczyźnie. Zresztą ona specjalnie się nie sprzeciwiała. Widział na własne oczy, jak Frank ułożył ją na ławce sterówki pod rozgwieżdżonym niebem i przywarł ustami do jej warg, a ona sama podciągnęła spódniczkę i ściągnęła majtki, po czym rozłożyła szeroko nogi, jakby tylko czekała na niego, tęskniła za nim, pragnęła go bez pamięci. Wtedy poczuł dumę, że jest taka piękna i taka gotowa. Zależało mu, żeby zrobiła wrażenie na Franku, żeby go zadowoliła, a on odebrał to jak dar od niego, Johnny'ego. W końcu oddawał mu swoją żonę. Ale to oznaczało, rzecz jasna, że on mógł osiąść Annie, że jego wina została wymazana. Sama uklękła przed nim, rozpięła dzinsy i wzięła mu w usta, podczas gdy on patrzył jak urzeczony na Franka szykującego się do wejścia w Clem, wsuwającego dłoń między jej uda i powtarzającego w kółko:

– Mój ty mały, wspaniały skarbie.

I jak ona wyprężała się przed nim, jak pojękiwała pod jego dotykiem. A może sprawiały to jego słowa? Ale chodziło o to, że nawet nie zauważyła – skoro teraz robiła z siebie idiotkę i sama się podniecała w pełnym słońcu, leżąc na tej swojej cholernej macie modlitewnej – że kiedy Frank się z nią pieprzył, to właśnie Johnny uważnie obserwował ich oboje; że gdy obie pary już się połączyły i Frank był bliski orgazmu, a on jeszcze tylko dygotał i trzął się blisko tego punktu, w którym każdy mężczyzna musi wyglądać nieporadnie i żałośnie, to właśnie Frank zapatrzył się na Johnny'ego. A on, też już bliski wytrysku, patrzył z przerażeniem na swoją żonę, chociaż jej reakcja dodatkowo wzmagала jego podniecenie.

– Masz dla mnie prezent urodzinowy? – zapytała Kleks, która osuszyła zrezygnowaną Babcię ręcznikiem i teraz sownie posypywała ją talkiem, zapewne nie wiedząc, że chyba żaden zółw w historii nie był aż tak troskliwie traktowany pudrem dla niemowląt.

Już zapomniał, że zbliżają się jej urodziny.

– Może i mam, a może nie – odparł zagadkowo, robiąc przy tym tajemniczą minę. – Musisz poczekać, to się przekonasz!

– Och, nie wytrzymam – powiedziała, zaszczycając go swoim szczerbatym uśmiechem, po czym przeszła przez sterówkę na czworakach, żeby wdrapać mu się na kolana.

Potargał jej zmierzwiłone włosy.

– Jeszcze tylko jedna noc i obudzisz się jako pięciolatka! Kto by pomyślał! Będiesz dużą dziewczynką!

– Owszem – odparła, wzdrygając się z podniecenia. – Tata mówi, że pięć lat to najważniejszy wiek na świecie. – Zamachała nogami, po czym odwróciła się, żeby ze zmarszczonymi brwiami spojrzeć mu w twarz. – Co mogą duże pięcioletnie dziewczynki, czego wcześniej im nie było wolno?

– No cóż, duże dziewczynki mogą... pływać, prawda? – odparł. W gruncie rzeczy nic nie wiedział o pięcioletnich dziewczynkach.

– To prawda, mogą – odparła z rozszerzonymi oczami. – Będę mogła już jutro popływać sama?

– No, może jeszcze nie jutro, ale już niedługo.

– Co jeszcze mogą duże dziewczynki?

– Och... na pewno mogą czytać i pisać.

Aż oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia nad tymi wszystkimi możliwościami, jakie się przed nią otworzą stosownie do jej wieku.

– Kiedy byłam mała i miałam tylko cztery latka, nie umiałam dobrze pisać, co nie? – powiedziała, jakby odwołując się do zamierzchłych wspomnień. Zgrabnym ruchem zsunęła pasemko włosów za ucho, jakby na dowód swojej dojrzałości. – Umiałam tylko gryzmolić.

Zaśmiał się i popatrzył na Franka, który przyglądał im się z uśmiechem na twarzy. Pomachał mu ręką.

– Gdybyś chciał, mógłbyś dać mi mój prezent przed czasem, nawet już teraz, co nie? – zagadnęła z nadzieją w głosie.

Poprzedniego dnia minęli zatoczkę, która nie była odludna. Stały w niej dwa domy. Johnny przyjrzał się im dokładnie przez lornetkę. Nie zauważył przy nich żadnych samochodów, ale domy były zamieszkane, na sznurkach suszyło się pranie. Dopłynęli łodzią wiosłową do brzegu i z dalszego domu wyszła im na spotkanie starsza kobieta. Powitała ich serdecznie i zaprosiła do swojego skromnego domu. Weszli do pomieszczenia między kamiennymi murami, z paleniskiem pośrodku i dużym kamiennym zlewem. Nie było tu bieżącej wody, ale strumień spływający ze wzgórz zasiliał oba gospodarstwa. Kobieta żyła tu w całkowitej izolacji od świata, w jej obejściu nic nie wskazywało na to, że wśród ludzi pojawił się Chrystus, który potem zmartwychwstał. Na widok kilku monet wymamrotała coś niezrozumiałego przez swoje krzywe szczerbate zęby i przeprowadziła ich przez drugi pokój o kamiennych ścianach do ogrodu na tyłach, gdzie z cienia pod drzewem zagapił się na nich stary, wychudzony osioł. Kobieta pośpiesznie kucnęła i na czworakach wśliznęła się do kurnika, z którego wycofała się rakiem, w jednym ręku

trzymając wymizerowanego kurczaka, a w drugim jajko. Wręczyła im przerażonego ptaka, głośnym śmiechem kwitując ich niepewne miny, coś jeszcze wymamrotała, po czym zabrała kurczaka i wprawnym ruchem ukręciła mu łeb. Kiedy wypatrzyła, że Johnny zwija sobie skręta, poczęstowała się jego tytoniem i uwalanymi krwią kurczaka palcami skręciła sobie papierosa wielkości małej bagietki. Na plaży, gdzie zostawili tender, Johnny znalazł kawałek wyrzuconego na brzeg drewna, a Clem zebrała spory zestaw muszelek, w których jakaś litościwa dusza nawierciła dziurki, i wieczorem, gdy Kleks poszła spać, nanizała te muszelki na kawałek żyłki, robiąc naszyjnik, a Johnny z kawałka drewna wystrugał harpun do polowania na morskie potwory. Wyglądało więc na to, że Kleks nie tylko dostanie na urodziny naszyjnik z muszelek i harpun, ale będzie też miała na obiad pieczonego kurczaka, a potem urodzinowy tort.

Johnny podniósł wzrok i popatrzył na błyszczącą powierzchnię morza.

– Zwrot przez rufę! – ostrzegł.

Kleks zeskoczyła mu z kolan i chwyciła Babcie. Frank ledwie się poruszył, gdy genua z łopotem przeleciała nad nim, a Clem uniosła wzrok, zdjęła nogi z bomu, usiadła i podciągnęła kolana do piersi, chowając głowę w ramiona, gdy bom przeleciał nad nią, a „Mała Utopia” leniwie wykręciła pod wpływem niewyczuwalnego wiatru. Po chwili Clem wstała z maty i narzuciła na siebie sarong. Zrobiła to powoli, demonstracyjnie, żeby Frank mógł jej się dobrze przyjrzeć.

– Przeklęty wietrze, gdzie jesteś? – wymamrotał Johnny pod nosem, czując bolesne pulsowanie w skroniach.

– Przeklęty wiatr – podchwyciła Kleks, ściskając Babcie pod jedną pachą, a Gillę pod drugą, wyprostowana, spoglądając w morze i próbując przybrać ten sam gniewny wyraz twarzy, który zobaczyła u niego.

Nagle zauważyła ojca i potruchtała po pokładzie do niego. Odłożył książkę, uniósł córkę w powietrze, pokręcił lekko na boki i wydmuchnął bąka w jej nagi brzuch.

– A któż to kończy niedługo pięć lat?! – zagrzmiął donośnym basem.

Clem pojawiła się na zejściówce, wkładając ciemne okulary. Włosy miała teraz dość mocno kręcone i wyblakłe od słońca, a skórę tak spaloną, że wyglądała zupełnie inaczej od tej Clem, którą pamiętał z Anglii. Poczł lekłą tęsknotę za tamtą dziewczyną, którą zdążył dobrze poznać i która należała tylko do niego. Wśliznęła się na ocienioną ławkę w sterówce, ułożyła wygodnie i uśmiechnęła do niego. Ale nie był to całkiem szczerý uśmiech, lecz taki, który ma służyć wybadaniu gruntu, sprawdzeniu jego nastawienia. Od czasu, kiedy to się zdarzyło, trwało między nimi napięcie pełne milczenia. Ziewnęła szeroko.

– Nie powinnaś odczuwać zmęczenia, przecież nic nie robisz, tylko śpisz – zauważył. Każde skierowane do niej słowo brzmiało dzisiaj wyzywająco.

– Nie wiedziałam, że jestem aż tak uważnie obserwowana.

– Nie? Myślałem, że dobrze o tym wiesz – odparł. – Myślałem, że właśnie dlatego układasz się na słońcu nago i zaczynasz pieścić.

Znieruchomiała. Po chwili odwróciła głowę do niego i zdjęła ciemne okulary, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– On nawet na ciebie nie spojrział – dodał Johnny, lekko korygując ustawienie rumpla.

Wcale nie był z siebie dumny. Nie był nawet pewien, czy jeszcze odczuwa zazdrość. Zwyczajnie szukał pretekstu do kłótni. Clem usiadła na ławce sterówki i zapatrzyła się na niego. Jeszcze nigdy dotąd nie patrzyła na niego takim wzrokiem. Widział u niej takie spojrzenie tylko wtedy, gdy obrzucała nim ojca.

– A może byś zapytał wprost o to, co tak bardzo nie daje ci spokoju? – powiedziała. – Może byś zapytał, czy wolę uprawiać seks z nim, czy z tobą?

Jeszcze nigdy nie rozmawiali ze sobą w ten sposób, ale przecież znaleźli się tu w wyjątkowych okolicznościach. Johnny pochylił się i sięgnął po paczkę papierosów Franka leżącą obok niego na ławce. Przypalił jednego lekko roztrzęsionymi rękoma, czując obrzydzenie do niej, ale jeszcze bardziej brzydząc się samego siebie.

– No właśnie. Wolisz? – zapytał z całą nonszalancją, na jaką było go stać.

W zamyśleniu sięgnęła po drugiego papierosa dla siebie.

– To było co innego – odparła.

Wybrała złą odpowiedź. Spojrział w górę, żeby sprawdzić, czy żagiel wypełnia się wiatrem, czy zwisa jeszcze luźniej, czy niebo wali im się na głowę albo nie dzieje się coś innego, co by mu pozwoliło nie patrzeć na nią. „On wcale na ciebie nie patrzył, bo patrzył na mnie”. To było straszne, okropne, oznaczało otwartą wojnę z nią...

Westchnęła i odwróciła się do niego plecami, podciągając kolana pod brodę. Nie mógł widzieć jej twarzy, ale spostrzegł, jak ukradkiem ociera oczy, jakby to one ją zdradziły.

– Sam zacząłeś... – mruknęła.

Przyprawił ją o łzy. Miał ochotę podejść, objąć ją i przytulić, ale nie mógł się ruszyć.

– Sam zacząłeś, Johnny. Ty też to zrobiłeś. A teraz zachowujesz się tak, jakbym tylko ja zrobiła coś złego.

Miała rację. Chciał przekazać jej spojrzeniem, jak bardzo mu przykro.

– Lepiej zejźmy z tego pieprzonego jachtu na ląd – powiedziała, schylając się i pośpiesznie ocierając kciukiem łzę spływającą jej po policzku.

Sam miał ochotę już dawno to zrobić, ale ułożyło się inaczej. Wydawało mu się, że nie stać go już na żaden gest czułości. Miała rację, musieli jak najszybciej zejść na ląd.

– Potrzebny nam wiatr – powiedział cicho. – Paliwa zostało naprawdę bardzo mało.

Po południu wiatr całkowicie ucichł, zrobiła się flauta, jak sięgnąć okiem morze przypominało gładką tafłę szkła. Zostali uwięzieni na otwartym morzu. Żagle zwisały luźno, bom nawet się nie kołysał. Jacht ledwie się poruszał i Johnny'ego znów zaczęła boleć głowa. Ze wszystkich stron otoczyły ich delfiny, radośnie wyskakujące nad powierzchnię i nurkujące, jak przystało na szczęściarzy niepotrzebujących wiatru. Później, nie dalej jak sto metrów od nich, pojawiły się pod powierzchnią wielkie szare grzbiety wielorybów o bulwiastych dziobach. Frank przyniósł książkę, żeby sprawdzić, co to za

gatunek, i Johnny zaczął się głośno zastanawiać, dlaczego ludzie muszą wszystko sklasyfikować, poszufladkować i opatrzyć etykietkami, zamiast po prostu podziwiać naturę. Od tej pory Frank zaczął mu się bacznie przyglądać, jakby się o niego martwił.

W sterówce pojawiła się też Annie. Kark miała lekko spalony słońcem, toteż ubrała się starannie, miała na sobie letnią sukienkę w kwiaty, której Johnny jeszcze nie widział. Pewnymi, wprawnymi ruchami oskubywała kurczaka z piór i wyrzucała je za burtę, tworząc za jachtem wyraźny szlak. Znaczna ich część poprzylepiała się do burt tendra, tworząc zarys miękkich rudawych wąsów. Kleks siedziała z Clem na dziobie, śpiewały jakąś prymitywną dziecięcą rymowanąkę i malowały sobie paznokcie na ten sam kolor, który zauważył u Babci, a ponieważ nie żałowały lakieru, nitki schnącej żywicy akrylowej spadały na pokład jachtu.

Frank krzątał się w kambuzie, parzył kawę. Wyniósł dwa kubeczki, podał je Johnny'emu i Annie, po czym dołączył do nich w sterówce z gitarą. Zapatrzył się na błyszczącą tafłę morza i zaczął leniwie trącać struny, jakby się zastanawiał, czy dźwięki niosące się po wodzie z łodzi płynącej donikąd dotrą do kogokolwiek. Johnny obserwował horyzont spod przymrużonych powiek. Cholernie dłużył mu się ten dzień. Zostali uwięzieni przez flautę i mogli tak tkwić w nieskończoność w jednym miejscu.

– Uważam, że nie powinieneś nas opuszczać, Johnny – odezwał się Frank, jakby czytał w jego myślach.

– W obecnej sytuacji byłoby to po prostu niewykonalne – odparł, nie przestając wypatrywać na morzu najłżejszych oznak wiatru.

– Szybko się pogodzicie – rzekł Frank półgłosem, zerkając w kierunku Clem. – Nie można forsować żadnych rozwiązań zaistniałych problemów, Johnny. Rozwiązania muszą się pojawić same z siebie.

Johnny sięgnął po swój woreczek z tytoniem, zerkając na Franka, gdyż ucieszyła go możliwość nawiązania rozmowy. Annie wyrwała kolejną garść piór kurczaka i rzuciła ją za burtę. Popatrzył, jak powoli zostają w tyle, kołysząc się lekko na powierzchni, dryfując razem z nimi.

– Jesteście oboje jeszcze na samym początku waszej podróży – podjął Frank. – A każde narodziny wiążą się z bólem. – Wystukał papierosa z paczki i chwycił go ustami.

– Teraz będziecie już to wiedzieć – skwitowała Annie, unosząc oczy do nieba.

– Nie złość się na nią – ciągnął dalej Frank, ignorując uwagę Annie. Przypalił papierosa. – Ani na nas – dodał.

Johnny spojrzał na niego. Marzyło mu się, żeby Frank nie przestawał mówić.

– Kiedy czujesz się sfrustrowany albo rozzłoszczony jakąś sytuacją czy osobą, musisz się pohamować i uzmysłowić sobie, że to wcale nie ta osoba czy sytuacja jest przyczyną twojego zdenerwowania, ale twoja reakcja na to zdarzenie.

Pochylił się, żeby przypalić Johnny'emu skręta. Ten usiadł i zaciągnął się głęboko dymem.

– Może czasami chodzi o winę kogoś innego, Frank – powiedział.

– Możliwe, ale i tak główną rolę odgrywają twoje uczucia. Nie chodzi o uczucia kogoś innego. To ty jesteś odpowiedzialny za swoje reakcje, Johnny. A odpowiedzialność oznacza, że nie wolno winić nikogo ani niczego za powstałą sytuację. – Uśmiechnął się znowu z oczami pełnymi zrozumienia i życzliwości. – Nawet samego siebie.

Frank wyjątkowo potrafił go uspokoić, jego słowa działały jak kojący balsam na wzburzone myśli Johnny’ego. A martwił się głównie tym, że przestaje nad sobą panować, że to zdarzenia biorą górę nad nim. Obejrzał się na pióra unoszące się na wodzie, tworzące za nimi, jak okiem sięgnąć, prościutki szlak na morzu. Zatem „Mała Utopia” się jednak posuwała. Zostawiała za sobą ten piórowy szlak. Tylko czas umykał za szybko, żeby gołym okiem dało się to zauważyć.

Zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza, a gdy zajrzał w głąb siebie, spostrzegł, że zazdrość utraciła swoje żądło, zastanowił się więc, dlaczego odczuwał aż tak wielki strach. Bo w końcu czego mógł się najbardziej obawiać? Tego, że Clem przestanie go kochać? I że pokocha Franka? Nie, na zawsze była związana z nim. Teraz już świetnie rozumiał, co jego ojciec miał na myśli, kiedy po śmierci matki powiedział, że nie da się zabić miłości. A jeśli nawet kochała także Franka? Przecież on sam go kochał. A i tak wszystko to miało przeminąć. Pomyślał, że gdy kiedyś będą wspominać te chwile, uznają je za tak ulotne, jak pasemka niebieskawego dymu papierosowego w powietrzu nad głową.

Frank znów zaczął brzdąkać na gitarze, ale tym razem coś innego, dobrze znanego – starą piosenkę Beatlesów, którą jego matka często nastawiała na starym gramofonie.

Johnny odchylił się na oparcie i zasłuchał, wciąż wodząc spojrzeniem po wodzie w wypatrywaniu wiatru. Jakim sposobem Frank potrafił przejrzeć sytuację na wylot, żeby zobaczyć, co się za nią kryje i co jest prawdziwe, oddzielić ziarno prawdy od plew? Jego umysł skutecznie pełnił rolę sita odsiewającego śmieci. Annie miała rację, on wszystko widział. Zaciekawilo go, jaki był Frank w jego wieku. Żałował, że nie znał go z tamtych lat.

Frank obserwował go znad gitary. Nagle przestał grać.

– Hej, Kleks! – zawołał w kierunku dziobu.

Obie, mała i Clem, obejrzały się na niego. Istniało między nimi jakieś podobieństwo, niedotyczące tylko włosów i paznokci, ale ich reakcji. Wyglądały na siostry. To pewnie dzięki drobnej posturze Clem różnica wieku wydawała się mniejsza niż w rzeczywistości.

– Może zrobiłybyście dla nas przedstawienie? – zagadnął Frank. Johnny uświadomił sobie, że chce je rozruszać, i uśmiechnął się. A Kleks się rozpromieniła.

– Tak! Tak! – zawołała, podrywając się na nogi.

Przebiegła po pokładzie do sterówki i pochyliła się, by szepnąć coś ojcu na ucho. Odpowiedział też szeptem.

– Tak! O, tak! – zawołała znowu. – Muszę się przygotować! Muszę włożyć kostium! – Pognała zejściówką przez kambuz i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi kajuty.

Frank pochylił się i oparł dłoń na biodrze Johnny’ego.

– Zostań z nami – rzekł cicho. – Chcesz wędrować dalej na wschód? Popłyniemy na

wschód. Pokonamy Kanał Sueski i wypłyniemy na Ocean Indyjski.

Kiedy Frank mówił takie rzeczy, Johnny nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby zejść na ląd. Byłby głupcem, gdyby odrzucił taką ofertę. Ale musiał to zrobić, jeśli chciał kontynuować podróż. Oboje z Clem dobrze o tym wiedzieli i byli zgodni co do tego. Niemniej pokusa zostania była ogromna. Johnny przeczuwał, że znajduje się w trakcie jakiejś metamorfozy, i jeśli teraz odejdą, jego transformacja pozostanie niedokończona. Widział wyraźną granicę między starym życiem, które wiódł w stanie błogiej nieświadomości, a nowym, objawiającym mu jeden cud za drugim. Powrót do stanu niepewności wiązał się z określonym ryzykiem.

– Czasami trzeba podjąć ryzyko, jeśli się chce zdobyć cenną nagrodę – powiedział Frank, jego ciemne przenikliwe spojrzenie zdawało się czytać w duszy Johnny’ego jak w otwartej księdze, a koniec papierosa rozjarzał się jaskrawą czerwienią, gdy z każdym pociągnięciem wysysał z niego życie. Siedząca obok męża Annie też wpatrywała się w niego, bo i ona chciała, żeby zostali, łatwo to było wyczytać z jej miny. Tymczasem Frank dodał niemal szeptem: – Kiedy z każdą chwilą zaczniesz podejmować właściwe decyzje, wszystko się samo ułoży, bez większego trudu. Więc nie forsuj żadnych rozwiązań. Ten moment, dokładnie ten, którego teraz doświadczasz, jest dokładnie taki, jaki powinien być, bo stanowi rezultat wszystkich twoich dotychczasowych decyzji.

Johnny popatrzył w niebo i poczuł ten moment, dokładnie ten, i wydał mu się znakomity. Uśmiechnął się i popatrzył, jak Annie wrzuca oskubanego kurczaka do wiadra z morską wodą i zaczyna go myć. Zapatrzył się na to kurcze truchło o białej i pomarszczonej skórze pozbawionej piór, przypominającej mosznę starego człowieka.

Nagle drzwi sterówki uchyliły się odrobinę, Kleks wysunęła przez szparę nos i zapowiedziała donośnym głosem:

– Szanowni państwo! Proszę zająć miejsca!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Clem zeszła z dziobu, odłożyła książkę i usiadła obok Johnny’ego. Wziął ją za rękę, nie cofnęła dłoni. Wszystko było w porządku. Musiało się między nimi znów ułożyć. Poprzednia noc była po prostu szokiem dla nich obojga.

Drzwi sterówki otworzyły się na oścież i Kleks weszła na zejściówkę. Miała na sobie pożyczone od matki fikuśne różowe majtki z falbankami i stanik do kompletu, wypchany zwiniętymi w kłębek skarpetami, a do tego o wiele za duże ciężkie traperskie buty. Wyglądała szalenie zabawnie, zwłaszcza że kroczyła ze śmiertelnie poważną, teatralną miną. Johnny ledwie mógł się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Frank zaczął brzdąkać na gitarze i zrobiło się jeszcze śmieszniej. Kleks ani trochę nie speszył ich śmiech, zaczęła kołysać biodrami w rytm muzyki, z twarzą nadal kamienną i jedną brwią uniesioną wysoko w górę. Wymyśliła sobie pewien układ i nie zamierzała go przerywać. Szeroko rozrzuconymi rękoma przytrzymała drzwi sterówki i na lekko ugiętych kolanach zataczała biodrami koła, wypchnąwszy pośladki do tyłu, a skarpetowy biust do przodu, z lekko uniesioną głową i wargami wysuniętymi jak do pocałunku.

– Chcę, żebyś mnie kochał... – zaśpiewała ckliwym, doskonale melodramatycznym głosem. Naśladowała Marilyn Monroe i robiła to zaskakująco dobrze. Był to najbardziej

niezwykły występ, jaki Johnny i Clem kiedykolwiek oglądali, zarówno pod względem wyrafinowania, doboru brzmienia, jak i namiętnego wyglądu. Kleks była po prostu urzekająca. Clem aż zasłoniła usta, żeby ukryć rozbawienie i stłumić śmiech.

Mała musiała oglądać film, ponieważ jej ruchy i śpiew wprost niewiarygodnie zgadzały się z oryginałem. Wskazywała palcem na Johnny'ego, wchodząc i schodząc po stopniach zejściówki, kiedy zwinięte skarpety wysunęły jej się z jednej miseczki stanika. Ale niczym zawodowiec, schyliła się niepostrzeżenie, nie przerywając występu, podniosła skarpety i śpiewając swoim słodkim dziecięcym głosem, wsunęła je na miejsce, łomocząc po schodach ciężkimi buciorami. Johnny otarł łzy z oczu i choć starał się zachować poważną minę, nie wytrzymał, gdy w trakcie instrumentalnego zakończenia Kleks niezgrabnie zrobiła kółko, jeszcze głośniejszym łomocząc buciorami, po czym w finale przybrała wyzywającą pozę z rączkami opartymi na biodrach i buzią w ciup. Rozległy się gromkie brawa i wiwaty, a mała pospiesznie zrzuciła buty z nóg, najwyraźniej podekscytowana udanym występem, i zawołała:

– Jeszcze coś zatańczę!

Zniknęła w głębi kajuty.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy! – zawołał za nią Frank.

– O mój Boże... – jęknęła Clem, ledwie mogąc opanować spazmów śmiechu. – Będzie z niej wspaniała aktoreczka. Jest niesamowita!

Frank, uśmiechnięty od ucha do ucha, odwrócił się do nich dwoje, odkładając gitarę.

– Więc jak? Zamierzacie zostać z nami jeszcze trochę czy nie?

Johnny i Clem wymienili spojrzenia, szybko poważniejąc.

– Jeszcze zobaczymy – powiedział Johnny. Ostatecznie jakiegokolwiek decyzje nie miały znaczenia teraz, gdy tkwili w miejscu na nieruchomym jachcie, czekając na wiatr.

Znacznie później, ale już w dużo lepszym nastroju, Johnny uruchomił na krótko silnik, żeby wprowadzić na noc „Małą Utopię” do niewielkiej zatoczki. Przez cały dzień pokonali zaledwie dziesięć mil, ale Johnny spostrzegł na horyzoncie pasma rozmytych chmur i nabrał przekonania, że niedługo zerwie się wiatr, który popchnie ich dalej na wschód. Wzgórza stopniowo robiły się coraz wyższe, z trzech stron otaczały ich już potężne góry, a nad ich stromymi zboczami pojawiły się drapieżne ptaki polujące na króliki lub gryzonie czy też inne zwierzęta, którymi się żywiły o tej porze roku. Słońce zaszło, a oni, racząc się winem w sterówce, nasłuchiwali wycia wilków w dolinach, bezpieczni w swoim pływającym domu.

A nad ranem siedzieli we czworo przy stole w kambuzie, znów wstawieni na wesoło, ale tym razem w pełnej skupienia ciszy grali w odmianę remika zwaną pięćsetką. Grali już od wielu godzin, racząc się winem. Pięćsetka była dość trudną grą, ale Johnny i Clem szybko się w nią wciągnęli, gdyż wymagała współdziałania w parze, blefowania podczas licytacji i umiejętności wykorzystywania dzokerów. Clem dostawała królową wszystkich atutów, dwójkę karo, przez trzy kolejne rozdania, toteż razem z mężem umiejętnie to

wykorzystali, zmuszając Franka i Annie do biegania po pieniądze. Johnny'emu prostota gry w karty wydała się nadzwyczaj relaksująca, obowiązywały w niej jasne zasady, nie trzeba było niczego negocjować, wygrywało się albo przegrywało. A jego zawsze pociągały liczby, precyzja rządząca w matematyce. Teraz jednak grał w parze z Annie przeciwko Clem i Frankowi. We troje doskonale czuli ducha rywalizacji, tylko Annie wydawała się zawsze działać przede wszystkim tak, żeby nie zepsuć gry partnerowi. Johnny zwrócił uwagę, że z jakichś powodów się przebrała, miała na sobie czystą białą koszulę, bez stanika, ale pomalowała tuszem rzęsy i nałożyła coś błyszczącego na wargi, jakby planowała nocny wypad do miasta, co przecież w ogóle nie wchodziło w rachubę, gdyż Bóg jeden raczył wiedzieć, gdzie jest najbliższe miasto.

Frank i Clem wygrali dwie ostatnie partie i teraz on rozdawał. Clem zacięcie ssała kciuk, spoglądając na karty lądujące przed nią, palcem prawej dłoni gładząc się po wrażliwym miejscu za uchem, jakby grała o swoje życie, niemniej całkowicie skupiona na rozdawanych kartach. Johnny w tym czasie rozlał resztę wina z butelki do szklaneczek.

– Wyglądasz, jakbyś była w wieku Kleks, kiedy tak ssiesz palec – zagadnął Frank. – A co równocześnie robisz drugą ręką?

Zatem Johnny był w błędzie, Frank uważnie ją obserwował.

– Pocieram swoje wrażliwe miejsca – przyznała, z ociąganiem wyjmując palec z ust.

Johnny pomyślał, że do tej pory oceniał ją niesprawiedliwie. Wcale nie robiła tego celowo, palec w ustach zapewniał jej komfort niezbędny do osiągnięcia pełnej koncentracji. Alkohol czynił z niego łagodniejszego człowieka, powinien to zapamiętać. Ale przecież bardzo kochał żonę, zwłaszcza w takiej chwili. Wszystko między nimi wracało do normy, potrzebowali tylko trochę czasu.

– Wrażliwe miejsca? – zaintrygowała się Annie.

– Takie miejsca na ciele, które potrafią rozpałcić człowieka do białości – wyjaśniła Clem.

– Jakie miejsca?

Annie była w nastroju do flirtu, to nie ulegało wątpliwości. Clem zerknęła na Johnny'ego, ale on się tylko do niej uśmiechnął, całkiem szczerze. Powoli koniuszkami palców dotknęła skroni Annie.

– Widzisz? Twoja skroń jest ciepła. Nawiasem mówiąc, zawsze jest ciepła. Dlatego należy do wrażliwych punktów człowieka.

– Widzę, że jesteś hedonistką – odezwał się Frank, celowo zwalniając rozdawanie kart.

Johnny od razu się domyślił, o co chodzi. Czuł rosnące napięcie między nimi. Było w tym coś niepokojącego, ale zarazem kuszącego i odurzającego. Pierwsze oznaki odczuwał w dolnej części ciała jako narastające łaskotanie w kroczu. Jego umysł próbował nadążyć za następującymi zmianami. Chwila po chwili.

– To mi się podoba – powiedziała Annie, przykładając swoje palce do skroni Clem.

Od początku uważał ją za inicjatorkę, lecz zanim się zorientował, w głowie pozostała mu tylko jedna myśl. Ale to Clem go zaskoczyła, była tak pełna zapału, tak pewna siebie.

Łatwo można było ją pobudzić. Przyglądał się więc, jak razem z Annie dotykają nawzajem swoich twarzy, delikatnie, z uczuciem, samymi koniuszkami palców. Frank aż odłożył karty, odchylił się i położył rękę na oparciu krzesła Johnny'ego, który z tęsknoty za czymś konkretnym oglądał swoje karty, bo chciał opóźnić nieco tę erotyczną grę, żeby w niej zasmakować, przedłużyć stan pobudzenia. Sięgnął po swoją szklaneczkę, uniósł ją do ust i powoli dopił wino, nie spuszczać oczu z dziewcząt.

– Ale najlepszy... – powiedziała Clem, zaglądając mu w twarz, żeby mieć pewność, że on tego nie przeoczy – ...jest ten.

Bez wahania rozpięła dwa górne guziki koszuli Annie i wsunęła pod nią dłoń, sięgając do zewnętrznej krawędzi piersi pod samą pachą. Znowu miał erekcję.

Równocześnie poczuł, jak dłoń Franka zsuwa się z oparcia, jak jego palce dotykają nasady karku, chociaż nie był pewien, czy jest to umyślny gest, czy tylko przypadkowy. Wolał tego nie rozstrzygać. Siedział ze wzrokiem utkwionym w piersiach Annie, po których przesuwiała się dłoń Clem, świadom tego, że oddycha coraz szybciej i płycej. Ale nie chciał, żeby Frank zabrał rękę. Zerknąwszy ukradkiem w dół, przekonał się, że on także jest podniecony. Czuł, jak powietrze gęstnieje od seksu. Popatrzył na swoje karty, które trzymał w ręku. Cholera, że właśnie teraz on dostał dwójkę karo.

– Spróbuj zamknąć oczy – odezwała się Clem.

– Tak, teraz to czuję – mruknęła Annie.

Johnny widział już jej sutki wystające spod rozpiętej koszuli.

– Pozwól, że ci się odwzajemnię – rzekła Annie, przejmując od Clem inicjatywę prowadzenia tego tańca. Otworzyła oczy i nie czekając na zgodę, zaczęła rozpinać bluzkę Clem. Ta znów obejrzała się na Johnny'ego, gdy Annie wsunęła rękę pod jej bluzkę, ale zaraz odchyliła głowę do tyłu, gdy tamta się pochyliła, sięgnęła jej sutek wargami i zaczęła go delikatnie ssać. Johnny odłożył karty na stół, na dobre żegnając się z myślami o dwójce karo. Patrząc, jak dziewczęta pieszczą się nawzajem, miał coraz większą ochotę, żeby rozpiąć rozporek i wyciągnąć członek, ale jednocześnie nie uwalniać się od dotyku Franka.

Aż podskoczył w miejscu, kiedy usłyszał krzyk – krótki, przenikliwy, dobiegający z dziobowej kajuty. Całkiem zapomniał o Kleks, nie myślał o tym, że za cienką ścianką śpi małe dziecko. Krzyk w jednej chwili zniszczył narastającą atmosferę. Johnny poczuł, jak jego erekcja szybko zanika. Jak mógł zapomnieć o obecności małej dziewczynki? Wyprostował się na siedzeniu i otrząsnął błyskawicznie, zadowolony, że nie zdążył rozpiąć rozporka. Ale wyglądało na to, że nikt więcej nie słyszał tego krzyku, nawet Frank siedzący najbliżej drzwi. Dopiero gdy Kleks krzyknęła po raz drugi, jeszcze głośniejsze, Clem ją usłyszała. Pospiesznie się cofnęła, odepchnęła Annie i zaczęła zapinać bluzkę.

– Frank! Kleks się obudziła – powiedział Johnny, poklepując go po udzie i przypatrując się Annie, która nawet nie starała się zapiąć koszuli. Siedziała z obnażonymi piersiami i wzrokiem utkwionym w mężu. A Frank tylko przekrzywił głowę, nasłuchując głosu córki, lecz powoli cofnął rękę zza pleców Johnny'ego i wyprostował się na ławce. W tej samej chwili Johnny uzmysłowił sobie, że ta ręka spoczęła na jego karku w pełni rozmyślnie.

Nikt jednak nie ruszył do małej. Frank westchnął głośno, odkorkował nową butelkę i

napełnił szklaneczek winem. W końcu popatrzył na Johnny'ego i powiedział:

– Że też właśnie w tej chwili, kiedy zaczynaliśmy.

– Dobrze, że ją usłyszeliśmy – powtórzył Johnny, sięgając po swój woreczek z tytoniem.
– Pewnie musielibyśmy się przed nią tłumaczyć.

– Nie musisz się przejmować Kleks – odparł Frank ze zrezygnowaną miną, sięgając po paczkę papierosów, którą zaczął obracać w palcach. – Jest przyzwyczajona do takich sytuacji – rzekł, szerokim gestem przesuwając rękę nad stołem, jakby chciał za jednym zamachem wskazać karty, alkohol, seks... dosłownie wszystko.

– Mówisz o rozpuszczeniu w każdej postaci? – zapytał Johnny, odchylając się na oparcie.

Zastanawiał się, czy wrócić jeszcze do gry w karty, ale wolał nie nalegać, bo wszyscy by się domyślili, że to on dostał dwójkę karo. Kleks krzyknęła po raz kolejny, ale już ciszej, jakby zasypiała na nowo. Nadal nikt się do niej nie pofatygował.

Frank wystukał z paczki papierosa i chwycił go wargami. Rzucił zapalniczkę na stół, aż pojechała po blacie.

– To mała łódź – powiedział, wpatrując się uważnie w Johnny'ego.

– Aha. Nie za bardzo jest miejsce na intymne bzykanko.

– Zgadza się – przyznał Frank, zaciągając się dymem. – Poza tym ona nie lubi być wyłączona z całej zabawy. – Strząsnął popiół, z uśmiechem postukując papierosem o popielniczkę. – A kto lubi?

Wydmuchiwał dym wąskim strumieniem samym kącikiem ust, Johnny popatrzył, jak unosi się z wolna w kierunku otwartego łuku ponad ich głowami. Annie i Clem sięgnęły po swoje karty. A Frank powoli unióśł rękę, położył na karku Johnny'ego i zaczął go delikatnie masować. Jego miękkie, ciepłe palce powoli przesuwały się po skórze, ich twarze znalazły się blisko siebie. Żrenice Franka, które nie dały się odróżnić od tęczęwek, przypominały dwie czarne dziury.

– Los mi cię zesłał, Johnny. Podobieństwa się przyciągają. To nie przypadek, że przyszedłeś do nas właśnie w tym dokładnie momencie.

W salonie zapadła napięta cisza. Johnny przełknął ślinę. Drapało go w zaschniętym gardle.

– W jakim momencie? – zapytał.

Za plecami Franka drzwi dziobowej kajuty uchyliły się powoli, wszyscy obejrżeli się w tamtym kierunku. W drzwiach stanęła zaspana Kleks, całkiem naga pod marynarką kapitana Hooka, pocierając oczy, z ukośną grzywką sterczącą ku górze, trzymając dyndającą w powietrzu Gillę. Frank zdjął rękę z karku Johnny'ego, schylił się powoli, podniósł córeczkę i posadził ją sobie na kolanach. Przywarła do jego piersi, mamrocząc coś niezrozumiałego. Johnny popatrzył na nich, zwracając uwagę na grube, miękkie palce ojca przesuwające się po skórze małej. Załedwie kilka chwil wcześniej poddawał się z przyjemnością dotykowi tych samych palców na swoim karku.

Coś tu było nie tak. Odniósł wrażenie, że do salonu nagle wdziera się chłód. Wnikał mu

pod skórę i przeszywał całe ciało, aż zaczęły mu się jeżyć wszystkie włoski na skórze.

Popatrzył na Clem. Układała swoje karty, nie zwracając uwagi na nic innego. Przeniósł wzrok na Annie, która popatrzyła na niego, zerknąwszy przelotnie na dłoń Franka. Chyba się domyślała, co on myśli. Mógłby przysiąc, że złowił błyski podniecenia w jej oczach. Chciał coś powiedzieć, ale język zrobił mu się jak kołek, za to reszta ciała jak gdyby utraciła wagę – doznawał dziwnego wrażenia, że unosi się ponad stołem, wypływa z salonu i odlatuje, przenosi się gdzie indziej, a wszystkie połączenia w jego ciele stopniowo przestają istnieć jak światła gasnące wieczorem w budynku, przez co jest zmuszony do poruszania się w ciemności po omacku. Ogarniała go bezprecedensowa klaustrofobia, ścianki działowe jachtu zdawały się zbiegać ku niemu. Poczuł mdłości, jak gdyby spadał bezwładnie z dużej wysokości. Musiał się stąd wynieść. Niezgrabnie podniósł się, strącając przy tym karty ze stołu, popatrzył więc na swoją dwójkę karo lądującą na podłodze. Odwrócił się, mamrocząc coś o świeżym powietrzu, z trudem wdrapał się po schodach i wyszedł w nieprzenikniony mrok nocy. Zatrzasnął za sobą drzwi i kilkakrotnie zaczerpnął zimnego powietrza. Rozejrzał się dokoła, ale niczego nie zobaczył, jakby znajdowali się pośrodku bezbrzeżnej otchłani.

Na miękkich nogach wyszedł ze sterówki i zataczając się, poczłapał wzdłuż burty na dziób. Chwycił się forsztagu, mając wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Zamrugał szybko, usiłując przyzwyczać oczy do ciemności. Zakotwiczyli jakieś dwieście metrów od brzegu pośrodku małej zatoczki otoczonej z trzech stron górami. Wreszcie dostrzegł pasma słabej poświaty gwiazd na wodzie pod linią horyzontu i jak nigdy zapragnął znaleźć się gdzieś tam, byle dalej od tego jachtu. Usiadł, oparł się plecami o maszt i objął dłońmi głowę, starając się poukładać myśli, gdy powietrze wirowało wokół niego. Frank był dobrym człowiekiem, wręcz wyjątkowym, przepełniały go wartościowe pragnienia, duchem przerastał innych mężczyzn, a umysłem sięgał głębiej od nich, był filozofem w poszukiwaniu prawdy, miłośnikiem ludzkości i miał dar, wpłynął na Johnny'ego w taki sposób, w jaki nikt inny tego nie zrobił; nakłonił go do otwarcia się i nastawił go na świat, nauczył, jak na niego patrzeć, akceptować, zamiast stawiać opór. Wdzięczność Johnny'ego nie miała granic, był gotów zrobić dla Franka wszystko – zrobił wszystko, uczynił mu prezent ze swojej ukochanej, Clemency Bailey. Myślał o nim jak o ojcu, nauczycielu, gotów był nawet zostać jego kochankiem. Ale nie mógł odpędzić sprzed oczu widoku tych miękkich, ciepłych palców przesuwających się po skórze Kleks. Wyglądało na to, że jej ojca należałoby zamknąć i wyrzucić klucz.

Mocno przycisnął tył głowy do masztu, aż zabolął go kark, gdyż czuł potrzebę fizycznego bólu, jakby miał mu on pomóc w odegnaniu tych myśli. Potem z całej siły zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w skórę. W brzuchu ścisnęło go, jakby połknął kamień.

Usłyszał, że otwierają się drzwi sterówki i po chwili ujrzał Clem rozglądającą się za nim, osłaniającą oczy przed światłem ze środka. Wszystko się popsuło, zostało zszargane, ich miłość, oni oboje, jakby zażyli truciznę. Ruszyła powoli wzdłuż burty w jego stronę, owijając się połami swetra.

– Nie widzę cię. Wszystko w porządku, Hoodzie? – zagadnęła, kucając przy nim i

kładąc mu rękę na kolanie.

Nie był w stanie wydusić z siebie głosu, nie wiedział, co odpowiedzieć, jak określić swój stan.

– Myślałam, że zależy ci... – mruknęła niepewnie, źle odczytując jego reakcję. – Myślałam, że między nami już wszystko w porządku.

– Musimy wynosić się z tego jachtu – powiedział, ocierając usta.

– Zrobimy to, jak tylko dotrzemy do jakiegoś portu.

– Naprawdę muszę jak najszybciej zejść na ląd – powtórzył głosem pełnym desperacji.

Miał ochotę już teraz wskoczyć do łodzi wiosłowej i odpłynąć. Nie obchodziło go dokąd. Wolał już błąkać się po tutejszym odludziu, niż zostać na jachcie.

– Wiem – odparła, chociaż wcale nie wiedziała. Niczego nie rozumiała. Była niewinna i bardzo chciał, żeby tak zostało. Niby siedziała blisko przy nim i trzymała mu rękę na kolanie, dotykała go, a jednak czuł się tak, jakby był setki kilometrów od niej. Musiał spróbować zmniejszyć ten dystans, jakoś wyrazić swoje uczucia, ale brakowało mu słów.

– Wydaje mi się, że coś się dzieje – szepnął.

Obejrzała się szybko i popatrzyła mu w oczy.

Wolno pokręciła głową, jakby nie potrafiła zrozumieć.

– O co ci chodzi?

O co mu chodziło? Czuł jej świdrujące spojrzenie, chęć poznania wyjaśnień. Musiał się uspokoić. Znowu popatrzył na nieliczne gwiazdy mrugające tam, w oddali, tuż nad linią horyzontu, i w zamyśleniu wytarł usta. Postanowił podejść do tematu z innej strony.

– Co myślisz o dzisiejszym występie Kleks? – zapytał.

Spojrzała mu w oczy, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Jak to co myślę?

– No, co o tym myślisz?

– Był zabawny.

– Owszem. Też mi się tak zdawało – powiedział, wciąż wbijając wzrok w ciemność. – Ale chyba nie powinniśmy byli się z niej śmiać.

– Dlaczego?

Obrócił się do niej.

– Nie ufam Frankowi.

Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, wreszcie westchnęła i syknęła z pogardą.

– Och, na miłość boską, Johnny. Mam już tego dość.

– W nim coś jest, Clem... Nie chcę, żebyś zostawała z nim sam na sam.

– Co?! – rzuciła, uśmiechając się ironicznie. – Dlaczego to robisz? Dlaczego jesteś aż tak zazdrosny? To takie nudne.

Aż strasznie było patrzeć, jak ona mierzy go tym wzrokiem. Nie było w tym ani trochę

uczucia. Owinęła się szczelniej swetrem.

– Myślałam, że wyrosłeś z tego – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Nie sądziłam, że okażesz się taki... taki... – nie mogła dobrać odpowiedniego słowa, ale wiedział z góry, że cokolwiek usłyszy, nie zabrmi dla niego dobrze – ...małostkowy.

Wstała, nawet na niego nie spojrzawszy, zrobiła rękoma taki ruch, jakby chciała go od siebie odpędzić, i poszła z powrotem. Małostkowy. Miał nadzieję, że się nie pomyliła, że jedynym jego problemem jest małostkowość. Zajrzał przez otwarty luk do salonu, gdzie Annie i Frank się krzątali, przestawiali stół. Clem dołączyła do nich, zaczęła zbierać karty, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

Nie ruszył się z miejsca, przez wiele godzin wpatrywał się w niebo, rozmyślając i wsłuchując się w wycie wilków między górami dobiegające z ciemności. Nie spuszczał oczu z linii horyzontu, wyczekując jedynego ich ratunku: wiatru. Wsłuchiwał się w plusk fal. Od czasu do czasu budziła się w nim bezsilna złość, rozpalala się i rozmywała we mgle zamętu. W pewnym momencie dostrzegł na krótko burtowe światła jakiejś jednostki na horyzoncie i zaczął się zastanawiać, jacy ludzie nią płyną, czym się teraz zajmują, o czym myślą. Zazdrościł im codziennych trosk. Noc zdawała się ciągnąć bez końca, jakby słońce nie chciało oświetlić „Małej Utopii”. Ale w końcu ucichło wycie wilków, a na niebie z wolna pojawił się brzask, zabarwiając świat kolorami, a zwłaszcza górzyste, porośnięte zaroślami odludzie. Lecz zarazem wraz ze światłem dnia wszystkie demony nocy umknęły z ciemnością, aż zaczął się zastanawiać, czy nie zaczyna cierpieć na morski obłąd.

Johnny nie sądził, że zaśnie, ale jednak się zdrzemnął. Ktoś nakrył go śpiworem, za co był teraz wdzięczny nieznanemu dobroczyńcy. Trwał jeszcze przez chwilę w spokoju, zanim wstydliwe myśli wtargnęły mu do głowy niczym śmieci wsypywane do morza. Pewniki z poprzedniego wieczoru utraciły wyrazistość, pozostały po nich tylko rozmyte, niewyraźne zarysy. W pełnym świetle dnia wydały się absurdalne. Usiadł i poprawiając śpiwór na ramionach, rozejrzał się po szklanej tafli morza w czasie flauty rozświetlonej białozłotym blaskiem porannego słońca.

Wystarczyło, żeby razem z Clem zeszli z jachtu na ląd, a wszystko powinno się ułożyć. Musieli natknąć się na jakąś wioskę czy miasteczko, może nawet jeszcze dzisiaj, wtedy mogliby się pożegnać i ruszyć w swoją stronę. Ale poczucie panicznej potrzeby, konieczności ucieczki, które ogarnęło go poprzedniego wieczoru, teraz osłabło. Wręcz uznał za śmieszny pomysł, żeby po ciemku ruszać łodzią wiosłową do brzegu, a potem błąkać się po dzikim odludziu. Po prostu zaczynał dostawać obłądu. Clem miała rację. Zazdrość była dla niego nowym uczuciem i wcale mu się nie podobała. Ale jeszcze nigdy nie miał wrażenia, że przestał jej odpowiadać. Zamknął oczy i poczuł na powiekach ciepłe promienie słońca.

To był pierwszy od dawna poranek, kiedy obudził się, nie mając u boku Clem, i bardzo mu jej brakowało. Poczuł się samotny. Nagle pokrywa luku za jego plecami otworzyła się z hukiem i Kleks wytknęła przez nią głowę, uśmiechnięta od ucha do ucha. Miała na sobie czerwoną marynarkę kapitana Hooka, ale oprócz tego nosiła na głowie wyciętą z papieru koronę.

- Dziś są moje urodziny!
- Cześć! – mruknął takim tonem, jakby wcale o tym nie zapomniał.
- Nie budź go! – rozległ się głos Franka z głębi kajuty.
- Wszystko w porządku! – zawołał Johnny. – Już nie śpię!

Nic się nie zmieniło. Wszystko było takie samo. Po prostu Johnny ze swoją zazdrością musiał jak najszybciej zejść z pokładu jachtu. Kiedy popatrzył na rozpromienioną uśmiechem buzię Kleks, zobaczył beztroską duszyczkę. Aż naszła go ochota, żeby ją uściskać i przeprosić.

- Wszystkiego najlepszego! – powiedział, a ona wygramoliła się z luku i skoczyła na niego, przewracając do tyłu. Jej rozczochrane czarne włosy odcięły się kontrastowo na tle błękitu nieba, na niego popatrzyły czarne oczy, równie bezdenne jak u ojca.
- Chcesz kawy, Johnny? – zawołał Frank spod pokładu.
- Poproszę...

– Mama powiedziała, że nie wolno mi się upominać o prezent urodzinowy – oznajmiła mała, przyciskając mu ramiona do pokładu i wbijając w niego wzrok. – To się nie upominam.

– Powinnaś była zapytać Clem...

Przyszło mu do głowy, że miałby okazję przeprosić żonę.

– Dlaczego śpisz tutaj? – zapytała Kleks, usadawiając się wygodniej i wykorzystując jego kolana jak poręczę pod łokcie.

Przeciągnął palcami po włosach.

– Bo wypatruję wiatru – odparł na tyle pogodnie, na ile tylko było go stać, ponieważ nie było nawet najlżejszej bryzy, morze przypominało gładką tafnię szkła.

Kleks także rozejrzała się w poszukiwaniu wiatru, ale po chwili znowu popatrzyła na niego.

– Możemy porozmawiać o piątce? – zagadnęła.

– Tak. Proszę opowiedz mi coś o piątce.

Ciekaw był, czy Clem już wstała. Chciał ją zobaczyć, chciał jej wynagrodzić poprzedni wieczór, chciał, żeby wszystko między nimi wróciło do poprzedniego stanu.

– No więc pięć to cztery i jeden. I jeszcze dwa i trzy. A także pięć i zero... – Urwała, żeby uporządkować sobie w głowie wszystkie fakty. Przyglądał się, jak zagina kolejno drobne paluszki, wyliczając możliwości z mocno zmarszczonym czołem. Była zachwycająca. Pomyślał, że będzie mu jej brakowało, jak zejda na ląd.

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy – powiedziała.

– A sześć minus jeden? – zapytał.

– Ach, tak. I siedem minus dwa.

– Do tego dwa i pół dodać dwa i pół.

Oczy jej zabłyśły.

– Kto by pomyślał, że piątka to taka pracowita liczba? Ile ty masz lat? – zapytała, wykręcając szyję, żeby zajrzeć mu w twarz.

– Dwadzieścia jeden.

– Ile to piątek?

– Cztery i jeszcze plus jeden.

– A ja mam pięć lat – powiedziała, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

Pokiwał głową i cmoknął ją w czubek głowy, zadowolony, że ona nie patrzy mu w oczy i nie widzi tej brzydoty, jaka się za nimi kryje.

– Kawa gotowa! – ogłosił Frank, wychodząc na zejściówkę i stawiając kubeczki na dachu kajuty. Z ust zwisał mu papieros, kręcone czarne włosy miał zmierzwiłone. Słodkawo-gorzki zapach kawy rozszedł się w powietrzu.

– Dzisiaj będzie najwspanialszy ze wszystkich dni. Będziemy odgrywali postacie z

musicali – powiedziała Kleks, ciągnąc Johnny’ego za sobą po pokładzie. – Urządzimy sobie piknik na plaży, a mama zrobi dla mnie tort. – Znowu uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Zjemy pieczonego kurczaka i pobawimy się w chowanego.

Clem była w sterówce. Trzymała w ręku prezent dla małej. Włożyła naszyjnik do jednego ze swoich pudełek na okazy, a harpun na morskie potwory zapakowała w papierową serwetkę. Spojrzała na niego badawczo, niepewna jego nastroju. Johnny pochylił się i pocałował ją, a ona się uśmiechnęła i dotknęła jego dłoni. Uzyskał przebaczenie.

– To ode mnie – powiedziała, wręczając Kleks pudełko. – A to prezent od Johnny’ego.

Mała była tak podniecona, że aż podskakiwała w miejscu, sztywna z przejęcia, przyciskając rączki do piersi. Johnny nie pamiętał, żeby kiedykolwiek odczuwał aż taką radość w dniu urodzin. Zresztą w jego rodzinie nie obchodziło się specjalnie tego święta.

Annie wyszła z kambuza, kiedy Clem wkładała i wiązała naszyjnik jej córce, a Johnny zwrócił uwagę, że unikała jego wzroku, gdy się z nią witał. Była uśmiechnięta, niosła kolejne prezenty, ale kiedy się odezwał, nawet na niego nie spojrzała, tylko wbiła wzrok w stopnie zejściówki pod nogami. Nawet gdy Kleks rozpakowała swój harpun na morskie potwory i Annie zaczęła wyrażać swój zachwyt, rozwodząc się nad jego wykonaniem, robiła to tak, jakby jego przy tym nie było.

Dalej też było podobnie. Gdy odtwarzali postacie z musicali przy jakiejś bzdurnej piosence Abby, Annie też ani razu na niego nie spojrzała. Tak świetnie go ignorowała, że chyba nikt poza nim nie zwrócił na to uwagi. Tylko przez chwilę, gdy zastygli w różnych pozach tańca zaledwie o centymetry od siebie, pochwycił jej spojrzenie, ale natychmiast odwróciła wzrok. Później wróciła do pracy w kuchni, wyjęła kurczaka z lodówki, zapakowała ziemniaki w folię aluminiową, zaczęła szykować ciasto na tort. Jej reakcja była subtelna, lecz wymowna: poczuł się zganiony i odepchnięty. Wciąż spoglądał na odległy horyzont, wypatrując śladów wiatru. Ale najwyraźniej tego dnia nie miał co na niego liczyć. Popatrzył więc tylko, jak torby pełne żywności i naczyń są wynoszone spod pokładu przez sterówkę. Frank stał w tendrze i starannie układał wszystkie bagaże. Nie było odwrotu, czekało ich przyjęcie urodzinowe na plaży.

Annie poprosiła męża, żeby wrócił po nią za dwadzieścia minut, bo nie zdążyła jeszcze udekorować tortu, a poza tym i tak wszyscy nie zmieściliby się w łodzi. Frank usiadł na ławce, balansując ciężar ładunku, i włożył wiosła w dulki. Johnny pomyślał przez chwilę, że zaraz odpłynie w stronę lądu. Jak łatwo byłoby wtedy podnieść kotwicę, uruchomić silnik i odpłynąć, pozostawiając go na skrawku plaży na tym odludnym wybrzeżu, ale z łodzią wyładowaną zapasami żywności.

– Johnny, ty siadaj do wiosel – polecił Frank. – Ale najpierw podaj mi naszą solenizantkę. – Wstał i wyciągnął ręce, żeby wziąć Kleks.

Johnny podniósł małą z pokładu. W jednym ręku trzymała Babcię, w drugim harpun na potwory, a do tego w buzi miała lizaka. Przeniósł ją przez burtę „Małej Utopii” i podał Frankowi. Teraz czuł się już wyjątkowo radośnie, jakby w ciemności na dobre wziął rozbrat ze swoimi myślami.

Zeskoczył do łodzi kołyszącej się dość nisko pod burta, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem korki po winie, którymi były pozatykane dziury w jej kadłubie, i powiosłowali we czwórkę do brzegu, podczas gdy Annie została na jachcie, żeby wykończyć tort. Frank wskazywał Kleks różne rzeczy i tłumaczył, jak drapieżne ptaki wypatrują swoich ofiar, jak gasną drobne zmarszczki na wodzie, gdy tuż pod powierzchnię wypłynie ryba, co można wyczytać z formacji skalnych i dlaczego należy zwracać uwagę na drobne żyjątka, aż Johnny pomyślał, jak szczęśliwe musi być dzieciństwo małej, skoro jest wychowywana w ten alternatywny sposób. Spojrzał na Clem, która uśmiechnęła się do niego, poczuł więc przypływ nowych sił i nowej nadziei dla ich związku. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Naprawdę musieli jak najszybciej zejść z jachtu. I tak byli na nim wystarczająco długo. Popatrzył na południe, w stronę wysokich majestatycznych gór odcinających się na tle błękitu nieba, i na ich odbicie w szklistej powierzchni wody, mączone jedynie kręgami rozchodzącymi się od wiosł. Miał wrażenie, że utknęli we wnętrzu śnieżnej kuli, rozświetlonej słońcem kulce płynącej przez niezmacony ocean czasu.

Kiedy dopłynęli do brzegu, wysiedli z łodzi i wyciągnęli ją na piasek, wziął Kleks za rękę i razem z nią oraz nieodłączną Babcią wyruszyli na poszukiwanie wyrzuconego przez morze drewna, podczas gdy Frank i Clem zaczęli rozpalać ognisko.

– Mam popłynąć po Annie? – zapytał Johnny, rzuciwszy przy nich na piasek spore naręcze patyków i gałęzi.

– Jasne – odparł Frank. – Będę wdzięczny.

Zepchnął niedużą łódkę z powrotem na wodę, wskoczył do środka i zaczął wiosłować w kierunku „Małej Utopii”. Spoglądał w bezchmurne niebo, rozmyślając, że jedyny powiew pochodzi z jego ruchów przy wiosłach. Dlaczego wciąż miał wrażenie, że znaleźli się w pułapce? Przypomniawszy sobie „Old Rangoon” i wszystkie rzeczy, które zrzucali z niej do morza – jak bardzo czuł się wtedy wolny i nieskrępowany. Zasługiwał na więcej takiego eskapizmu. Znów pogрузzył się w marzeniach o tym, jak razem z Clem odpływają tendrem, ale nie wracają na jacht, tylko podejmują ryzyko wędrówki po lądzie. Mogli też popłynąć z powrotem do domu staruszki, chociaż to nie miałyby większego sensu: nie mieli tam czego szukać, kobieta nie miała żadnych środków transportu, tylko osiołka. Mógł też po raz kolejny przyrzeć się beznadziejnej starej mapie i spróbować ustalić, gdzie się znajdują. Wiedział jednak, że to tylko mrzonki. Naprawdę popadał w obłąd. Popatrzył z powrotem na góry, na Franka i Clem rozpalających ognisko i Kleks bawiącą się w płyciźnie przy plaży – powinni w najbliższym czasie dotrzeć do jakiegoś portu. Musiał się tylko uzbroić w cierpliwość.

Clem siedziała na piasku i przyglądała się, jak Frank umieszcza wychudzonego kurczaka na prowizorycznym rożnie, który sam zrobił. Zręcznymi palcami wbijał i ustawiał szpikulec w białawym ciele ptaka. Kleks pluskała się w przybrzeżnej płyciźnie ze swoją siatką na ryby i harpunem na morskie potwory, całkiem naga pod marynarką kapitana Hooka. Obejrzała się na Johnny’ego, który płynął łódką w kierunku „Małej Utopii”. Wciąż tak samo marszczył brwi. Przyglądała się, jak rytmicznie pracuje wiosłami, stopniowo

oddalając się od niej. Nadal czuła powstałą między nimi pustkę, chociaż oboje udawali, że jej nie ma. Nawet się cieszyła, że ostatnią noc przespał na pokładzie, że nie zszedł do salonu i nie chciał się z nią kochać. To wzajemne dystansowanie się było dla niej nowym uczuciem. Zmieniała się, dobrze to czuła. Do tej pory zawsze uważała, że Johnny jest niepokonany, że tylko ona ma wiele wad, a on jest bez skazy. Ale tak nie było. Teraz dostrzegła rysy w jego zbroi i choć wiedziała, że są niewielkie, ich obecność sprawiała, że nie wydawał jej się już tak atrakcyjny. A jego zazdrość budziła w niej odrazę, uwypuklała jego brak dojrzałości. Jakże głupia była, gdy jej na tym zależało, kiedy uważała zazdrość za dowód miłości, podczas gdy naprawdę obnażała jego słabość i niedostatek męskości. Powinien się uczyć od Franka, a nie zazdrościć mu, bo Frank nigdy by się nie zniżył do takiej marności. Jej ojciec powiedział tak kiedyś o jej matce: „Ona jest taka marna”. Wtedy tego nie rozumiała, pomyślała, że jest bezduszny i okrutny, że próbuje tylko uzasadnić swoje odejście. Wtedy już go nie lubiła, matka skutecznie ją tego nauczyła swoimi ciągłymi pełnymi urazy atakami. Ale to prawda, że matka była marna, całkowicie pochłonięta drobiazgami. Przypomniała sobie, z jaką pogardą mówiła o tym, że Liz jest od niej osiem lat starsza, ma żyłaki i brakuje jej klasy. Jakby chodziło jedynie o wygląd. Zaczynała rozumieć, że atrakcyjność człowieka to dużo bardziej złożone pojęcie.

– Grosik za twoje myśli – odezwał się Frank.

Oderwała wzrok od horyzontu i spojrzała na niego, na szerokie ramiona z wklęsniętą łopatką, na wielkie, lecz delikatne palce, którymi wyjmował z pudełka drewniane patyczki na rozpałkę i rozmieszczał je starannie pod stertą patyków ułożoną pod różnem. Przyglądała się, jak energicznie potarł zapałką o draskę. Słońce było tak jaskrawe, a powietrze całkiem stojące, że nieruchomy płomień był prawie niewidoczny. Schylił się i podpalił zrolowaną gazetę leżącą na samym dole sterty. Dmuchięciem zgasił zapałkę, rzucił ją między patyki i usiadł, żeby popatrzeć, jak ogień się rozpała.

– Rozmyślałam o moim ojcu – powiedziała i nawet ją samą to zaskoczyło. Przed wyruszeniem w tę podróż rzadko wracała do niego myślami, w ogóle o nim nie mówiła, nawet z Johnnym. Nie było dla niego miejsca w jej życiu.

– Nie jesteście ze sobą blisko, prawda?

– Nie, skądże. Nie widziałam go od lat.

Frank obejrzał się na nią.

– To wstyd.

Wzruszyła ramionami.

– Nie za bardzo. – Jednak miał rację. Była tego pewna. Nie lubiła jednak wracać myślami do tych wszystkich wstydliwych rzeczy, które kumulowały się przez lata.

– Powiniennem dodać, że dla niego.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Potrzebowała takiego wsparcia. Spoglądała, jak ostrożnie poprawia patyki, które stopniowo zajmują się płomieniem i strzelają iskrami w jego kierunku, a on nawet nie mrugnie, jakby sprawiało mu to przyjemność.

– Nie, mówię poważnie – rzekł, oglądając się, żeby sprawdzić, czy ona go słucha. –

Szkoda, że nie ma pojęcia, na jaką cudowną młodą kobietę wyrosłaś.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła, zmieszana, ale przyjęła jego zdanie z satysfakcją.

– A mnie tak – powiedział. – Jesteś inteligentna, ciekawa świata, wolna od uprzedzeń, miła, rzeczowa, kochająca, dobroduszna. To dokładnie takie cechy, jakie każdy ojciec chciałby widzieć u swojej córki. No i do tego jeszcze całkiem nieźle wyglądasz.

Od tych komplementów aż zakręciło jej się w głowie. Miała ochotę spisać te słowa, żeby zapamiętać je do końca życia, od czasu do czasu wyciągać kartkę i czytać je w razie potrzeby. Mogłaby je pokazać jemu, Jimowi, swojemu ojcu.

Przesiała piasek przez palce, przyglądając się jego ziarnom, maleńkim kolorowym odłamkom muszelek szlifowanym przez fale od wieków, zaraz jednak mimowolnie znów przeniosła wzrok na horyzont, gdzie zdawały się czyhać na nią te wszystkie rzeczy, których nie chciała pamiętać.

– Kiedy byłam w wieku Kleks, uważałam, że jest najwspanialszym człowiekiem na świecie. – Zaśmiała się krótko i szybko spoważniała.

– Rozczarowanie swoimi rodzicami to rzecz całkiem normalna.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Kleks kiedykolwiek rozczarowała się tobą.

Popatrzył na swoją córkę, która stała nieruchomo, jak zaklęta, wbijając wzrok w płyciznę, z harpunem uniesionym nad głową, podobna do polującego na ryby dzikusa.

– Ta mała dzikuska?... Na pewno kiedyś będzie. Muszę się z tym pogodzić.

– Przedemną udawali, że wszystko jest w porządku. Ludzie powinni się kłócić i wymyślać sobie nawzajem, zanim się rozstaną. Inaczej jest nie fair.

Odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi w kostkach.

– Może naprawdę wszystko było w porządku – odparł.

Ta myśl nigdy nie przysła jej do głowy. Wspomnienia z pierwszych ośmiu lat życia zawsze były skażone przez jego odejście, jego ostateczny krok zanegował wszelkie wcześniejsze chwile radości. Nawet teraz, ilekroć ona czy matka wspominały jakieś zdarzenia z tamtego okresu, ich wypowiedzi zawsze zdawały się urywać nagle, jakby grzęzły w pustce.

– Czasami ludzie powinni odejść od tych, których kochają – dodał. – Tak to już jest. Nie da się zmienić tego, co się stało, Clem, niezależnie od tego, co on zrobił, a czego nie. Ale ty możesz zmienić swoje podejście do tego. Naprawdę możesz. – Uśmiechnął się do niej. – To jego strata. Sam się o tym przekona. Powinnaś go raczej żałować, i to w dosłownym znaczeniu tego słowa. Powinnaś mu współczuć.

Miała wrażenie, że zaraz się popłacze. Czuła się tak, jakby dostała pozwolenie, żeby dalej kochać swojego ojca, co było jej zabronione od lat. Wszyscy w jej otoczeniu zdawali się pogardzać Jimem, tym przyjemniejsze było wrażenie powrotu miłości do niego. Ale całkiem ją zaskoczyło, aż wzruszenie ścisnęło ją w gardle, a pod powiekami zakłuły wzbierające łzy. Cieszyła się, że Frank odwrócił głowę, wyczuwając tę chwilę jej

słabości. Pochylił się, poklepał ją po kolanie, po czym wstał, żeby dalej przygotowywać obozowisko. Sięgnął po termos i nalał kawy do dwóch kubeczków. Pomyślała, że jej przyływ łez to wcale nie jest złe uczucie, bo przynosi ulgę. Zresztą minęło tak samo szybko, jak się pojawiło.

Popatrzyła w kierunku jachtu. Johnny już płynął z Annie z powrotem do brzegu, ale chwilowo stanęli, wiosła były nieruchomo uniesione w powietrzu. Bardzo chciała, żeby Johnny znowu był sobą. Lubiła tak siedzieć obok Franka. W ogóle podobało jej się wszystko takie, jak było. Podał jej kubeczek z kawą, usiadł obok niej i także zapatrzył się na łódkę.

– Między tobą a Johnnym wszystko w porządku? – zapytał.

Nie było sensu kłamać. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby go okłamać.

– Jest o ciebie zazdrosny.

Zastygł na chwilę z kubeczkim uniesionym do warg. Odstawił go na piasek, poprawił jeszcze ułożenie kilku patyków w ognisku, po czym wyjął z kieszeni papierosy. Wystukał sobie jednego prosto do ust i obrócił się do niej w zamyśleniu, z niepewną miną.

– Dlaczego miałby być o mnie zazdrosny?

Tylko przez sekundę patrzyła mu w oczy, szybko odwróciła spojrzenie na ognisko, żeby wzrok jej nie zdradził. Podciągnęła kolana pod brodę i zapatrzyła się na trzaskające płomienie pochłaniające drewno. Atmosfera stała się napięta.

– Chyba podejrzewa, że mogę coś do ciebie czuć – powiedziała i choć siedziała ze wzrokiem utkwionym w ognisku, miała wrażenie, jakby jej serce zawisło w powietrzu, obnażone i bezbronne, gotowe do spalenia jak ten kurczak nadziany na rożen.

– Cóż, nie powinien być o mnie zazdrosny. To on będzie ojcem twoich dzieci.

Trochę mocniej ścisnęła rękami kolana i poczuła, że w jej sercu coś pęka głośno tak jak w ognisku. Frank przypalił papierosa i uśmiechnął się do niej w ten swój kojący, niemal intymny sposób.

– Nie ma się czego wstydzić, Clem, jeśli coś do mnie czujesz – rzekł swobodnie rezonującym basem. – To przecież piękne.

Wstał i poszedł po drugą porcję drewna.

– Annie? – zawołał Johnny, podpływając wiosłową łódką do burty „Małej Utopii”. Jedno wiosło oparł w dulce, a drugim lekko korygował ustawienie tendra, sięgając drugą ręką do końca drabinki na rufie. – Jesteś gotowa?

Wyszła na pokład, niosąc blachę z ciastem, która podała mu pod poręczą relingu. Zerknął na nią przelotnie, nawet nie licząc na kontakt wzrokowy, po czym wziął od niej blachę. Wyglądała niechlujnie. Zalatywało od niej alkoholem, wyraźną słodkawą wonią whisky. Nawet nie wiedział, że mają whisky na pokładzie. Ostrożnie postawił blachę z ciastem na dnie łodzi między ławkami. Wyglądało bardziej na dziwną mieszaninę różnych rzeczy niż na tort, ale w końcu musiała sobie poradzić bez piekarnika. Wetknęła w środek

pięć świeczek i całość posypała cukrem pudrem. Z jeszcze jedną torbą na ramieniu zesła ostrożnie po schodkach do łodzi i usiadła naprzeciwko niego. Podniosła tort i postawiła go sobie na kolanach, a on wiosłem odepchnął łódź od „Małej Utopii”. Powoli zaczęli odpływać od jachtu.

Okružając jacht, jeszcze przez pewien czas nie mogli dostrzec swoich najbliższych na brzegu. Johnny przyglądał jej się badawczo, czekając, aż go wreszcie zauważy, ale siedziała ze wzrokiem wbitym w swoje stopy. Wyglądała na starą i zmęczoną, nawet po zdjęciu klipsów w uszach miała brzydkie rozcięcia zamiast małych dziurek. Życie zbierało swoje żniwo. Aż zastanowiło go, co on takiego w niej widział. Na przedramionach miała duże ciemne plamy jak u starych ludzi, suknię poplamioną czekoladą, włosy skołtunione, głębokie zmarszczki zbiegające w dół po obu stronach ust i ciemne popękane żyłki pod skórą na udach. Do tego raczyła się whisky z samego rana, na miłość boską.

Wciąż dryfowali powoli wzdłuż rufy jachtu, z wioseł uniesionych w górę krople wody skapywały na pokrytą drobnymi zmarszczkami powierzchnię morza. Wpatrywała się w blachę z tortem, a kiedy w końcu podniosła wzrok na niego, jej oczy były przepełnione smutkiem.

– Mówiłam ci, że jestem złą osobą... – szepnęła.

Zapatrzył się na nią, zaciskając palce na końcach wioseł, które opuścił na powierzchnię wody.

– Teraz już wiesz – dodała i zerknęła nerwowo w kierunku plaży, na której ognisko i ludzie siedzący przy nim byli jeszcze zasłonięci przez krawędź „Małej Utopii”.

– Co teraz już wiem? – zapytał, odchrząknawszy.

– Widziałam cię. A więc wiesz...

Zagapił się na nią, trzymając wiosła uniesione w powietrzu.

– Mam ci to przeliterować? – syknęła słabym, roztrzęsionym głosem.

W ustach mu zaschło. Przyglądał się, jak kilka dużych łez spływa jej po policzkach i spada na białą powierzchnię tortu.

– Co przeliterować?

Jej milczenie przemówiło do niego, stopniowo rzucając światło na najmroczniejsze rejony jego duszy. Zrobiło mu się niedobrze.

– Proszę, nie pogardzaj mną – szepnęła. Sięgnęła do torebki, pogrzebała w niej i wyciągnęła piersiówkę johnny’ego walkera. Odkręciła ją i łapczywie pociągnęła parę łyków. – Powiedz coś! – jęknęła.

Ale on nie mógł wydusić z siebie słowa.

– Johnny, powiedz coś!

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Kiedyś byłam taka jak ty – szepnęła, jakby się bała, że ktoś z plaży mógłby ją usłyszeć. – Byłam taka jak ty. Pomyślałam, że to okropne, kiedy pierwszy raz

zapropnował...

– Zamknij się! – warknął tak gwałtownie, że natychmiast zamilkła.

Energicznie pokiwała głową, jakby spodobała jej się taka ostrość, jakby chciała jeszcze więcej, żeby na nią nakrzyczał, ukarał ją.

– Ale on mnie nauczył, jak inaczej patrzeć na różne rzeczy...

– O czym ty mówisz, do jasnej cholery?! – wycedził.

Próbował ją uciszyć, bo nie chciał nawet wiedzieć, o czym mówi. Zapragnął nagle znaleźć się w dowolnym miejscu świata, byle tylko nie na tej łodzi, zmuszony jej słuchać. Zanurzył wiosła i pchnął łódź do brzegu jednym silnym pociągnięciem, jakby tym natarczywym ruchem mógł się od niej uwolnić.

– Nigdy jej nie skrzywdziliśmy. I nigdy byśmy jej nie skrzywdzili!

– Na miłość boską, zamknij się!

– Ona to lubi.

W zapadłej ciszy nagle przestał wiosłować, wychylił się za burtę i zwymiotował do wody, a wiosła z pluskiem spadły na powierzchnię morza. Zacharczał, wypluł żółć, wytarł usta i odwrócił się do niej. Jej błękitne oczy zdawały się tak jasne, jak błękit nieba w tle. Aż pokręcił głową w przerażeniu.

– Nie nadajesz się na jej matkę. W ogóle się nie nadajesz – wycedził łamiącym się głosem. – Do cholery, nie zasługujesz na to, żeby być matką.

– Nie... – jęknęła, zwieszając nisko głowę.

Johnny zacisnął palce na burtach łodzi i omiół wzrokiem horyzont, wypatrując sposobu na uwolnienie się od tego koszmaru, ale zewsząd otaczała ich błyszcząca, gładka tafla wody.

– Kiedy cię zobaczyłam, wróciły wspomnienia. Przypomniałam sobie – wyszeptała Annie, zerkając na niego spod ukośnie przyciętej grzywki z twarzą wykrzywioną w błagalnym grymasie. – Uratujesz ją, Johnny? Zabierzesz ją ze sobą?

– Mówisz poważnie? – zapytał, gapiąc się na nią z niedowierzaniem. Po chwili odwrócił się i nabierając wody w złożone dłonie, najpierw wypłukał nią usta, potem ochlapał sobie twarz. – Nie, Annie. To nie mój problem. Clem i ja wynosimy się stąd.

Pokiwała głową, znów odkręciła butelkę i pociągnęła następny łyk. Potem znów sięgnęła do torebki w poszukiwaniu papierosów, pozostając w kręgu uzależnień. Panicznie szarpnęła kilka razy kółkiem zapalniczki, zanim strzelił płomyk. Zapaliła i zaciągnęła się głęboko dymem, jak stara pijaczka.

Johnny wytarł mokrą twarz brzegiem koszuli i obejrzał się w kierunku plaży. Teraz już widział znajdujących się tam ludzi, dostrzegał czerwoną marynarkę kapitana Hooka, turkusową bluzkę Clem, ciemną i dużą sylwetkę Franka.

– Po prostu odejdz od niego – powiedział, chcąc jej pomóc, ale na nic się to zdało, bo prychnęła krótkim ironicznym śmiechem.

– Och, Johnny – mruknęła, jakby o niczym nie miał pojęcia. – Myślisz, że pozwoliby mi

odejść? I zabrać ze sobą jego córkę? – W jej głosie zabrzmiały skrajna desperacja i pustka, jakby nadzieja wypaliła się już do cna. Oparła głowę na kolanach i zapatrzyła się na morze, w zamyśleniu zanurzając palce w wodzie, jak gdyby pogrążona w jakiejś nieprzyjemnej wizji.

Kiedy odezwała się ponownie, zabrzmiało to tak, jakby wcale jej tu nie było. Sprawiała wrażenie spokojnej.

– Poznałam go w pubie w Islington. Przyszedł z sześcioma kumplami, wszyscy byli ubrani po cywilnemu. Zaczęli wrzeszczeć i przewracać stoliki, szukali kogoś. Robili nalot. Wszyscy zaczęli gadać, żeby się stamtąd wynosić, ale ja stałam jak wryta i gapiłam się na tego człowieka. Pewnie wyglądało to tak, jakbym go znała. W końcu przestał rozrabiać z innymi, wyprostował się i popatrzył na mnie, a ja pomyślałam: „Jesteś tym mężczyzną, na którego czekałam”. – Zaśmiała się i obróciła twarzą do Johnny’ego. Jej twarz jak zwykle uległa przemianie, kiedy się śmiała, toteż ujrzał w niej tę młodą dziewczynę w pubie w Islington. – Nie mogę od niego odejść, Johnny. On jest moim przeznaczeniem. Poza tym nigdy nie opuszczę Francisa Goodmana, ponieważ go kocham.

– Bez względu na to, co robi?

Ale ona go nie słuchała.

– Nie przypominał innych emerytowanych gliniarzy. Był błyskotliwy. I wybrał właśnie mnie, Johnny. Francis Goodman wybrał mnie. Potrafił wycisnąć zeznania z każdego, dosłownie z każdego. Dlatego przydzielali go do wszystkich dużych głośnych spraw. Wszyscy twardziele z IRA płakali przed nim jak małe dzieci i robili w gacie w swoich celach. – Wyprostowała się na ławce i zaciągnęła głęboko dymem, podobnie jak on, jakby chciała wyssać życie z papierosa. – Nazywali go Samarytaninem, bo był w stanie zamęczyć każdego swoją dobrocią.

Urwała z tymi swoimi przygnębiająco smutnymi oczami zwróconymi w głąb siebie. Strząsnęła popiół do wody i popatrzył, jak słupek rozsypuje się szybko niczym kolumna budowli w czasie trzęsienia ziemi. Pociągnęła jeszcze trochę whisky i wyciągnęła butelkę w jego stronę. Wziął ją, oparłszy wiośła w dulkach, spoglądając, jak wypływają na powierzchnię, rozkładając się niczym skrzydła ptaka. Potarł czoło zewnętrzną stroną dłoni, jakby masował sobie głowę, żeby poukładać w niej chaotyczne myśli. Znowu obejrzał się na Franka na plaży. Rozpalił ognisko, z którego dym wznosił się pionowo w górę i gromadził nad ich głowami, gdyż nie było wiatru, który mógłby go rozwiać. Ponad gładką taflą wody oddzielającą ich od gór wyskoczyła spłoszona ryba.

– Zrozum, stworzyli między sobą krąg wtajemniczonych – podjęła, a jej słowa zawisły w powietrzu na podobieństwo tego dymu. – W komendzie metropolitarnej. Wszyscy byli tacy sami. Fotografowali się, kręcili filmy z dziećmi, obserwowali siebie nawzajem, zabawiali się we własnym gronie. Ale byli nieostrożni. Ktoś się dowiedział, a miał do wyrównania rachunki. Dwóch z nich zginęło od razu, zrzucili ich z dachów budynków. Ale Franka, przywódcę grupy, ocalili. Przez trzy dni trzymali go w zamkniętym pokoju. Traktowali go elektrodami pod napięciem i cięli nożami, wtykali w niego różne rzeczy i okładali go ołowianymi rurkami, roztrzaskali mu czaszkę, skruszyli łopatkę, połamali nogi.

I zostawili, żeby skonał.

Nie mógł dalej wiosłować, całkiem opadł z sił. Wiedział już, że nie uwolni się od spazmów targających jego wnętrzościami. Ciężar był za ciężki, żeby jakoś dać sobie z nim radę. Znów obejrzał się na brzeg, gdzie Kleks stała po pas w wodzie, z harpunem uniesionym nad głową. Zapatrzył się na Franka, który chodził po brzegu i zbierał drewno. Jego utykanie, ledwie zauważalne na łodzi, teraz było widoczne z daleka. Był człowiekiem zepsutym do szpiku kości. Johnny pożałował, że tamci ludzie go nie wykończyli.

– Byłam wtedy w ciąży z Kleks. Modliłam się o chłopca, wiedząc już, jakie są jego preferencje...

Coś w jej opowieści nie trzymało się kupy. Próbował uporządkować w głowie poznane fakty. Clem powiedziała mu, że Frank spędził w szpitalu pół roku. Jeśli Annie była wtedy w ciąży, jak mogła urodzić pół roku później, już na „Małej Utopii”? Czas się nie zgadzał.

– Jak mogłaś to znieść, Annie? – zapytał. – Jak mogłaś zostać z takim człowiekiem?

– Ktoś taki jak ty, łatwo obdarzający ludzi zaufaniem, nigdy tego nie zrozumie. Mogę się założyć, że dla ciebie życie po prostu się toczy. Ja miałam gówniane życie, gdy go poznałam, byłam nikim. Bardziej ufałam jemu niż sobie. Dał mi wszystko. Nauczył wierzyć w siebie, Johnny. Nauczył myśleć. Pokazał, jak trzeba kochać, jak uzewnętrzniać swą miłość. Musisz zrozumieć, że bez niego jestem nikim. Po prostu nikim.

Znowu zaczęła płakać. Wielkie grube łzy potoczyły jej się po policzkach. Miał ochotę zaprzeczyć, powiedzieć, że to nieprawda, ale nie był tego wcale pewien. Pomyślał o Clem. On bez niej też był nikim. Nie można się szwendać do końca życia, będąc tylko strzępem człowieka.

– Jak zareagowali w policji metropolitarnej? – zapytał. – Przymknęli oko, dali nieźłą emeryturę i kazali się wynosić za granicę?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła w niebo, odchylając głowę daleko do tyłu. Ujrzał białe paski na jej szyi w tych miejscach, gdzie nie dochodziło słońce.

– Wiem, Johnny, że to jest złe, co robimy – powiedziała cicho nieswoim głosem. – Wiem, że jestem godną pożałowania, nic niewartą istotą. Ale on jest inny. Odczuwa dumę z powodu tego, jaki jest. Zawsze taki był, przez co jestem o wiele gorsza od niego.

Mimo straszliwych rzeczy, które czyniła, zrobiło mu się jej żal. Miał ochotę się schylić, wziąć ją za rękę i choć trochę pocieszyć. Ale nie potrafił.

Musiał wytrzymać jeszcze tylko najbliższe dwadzieścia cztery godziny, żeby jutro odejść i zapomnieć o tym wszystkim.

– Annie – zagadnął i zaczekał, aż powoli uniesie głowę i spojrzy na niego. – Nie chcę, żeby Clem się o tym dowiedziała. Rozumiesz? Nie chcę, żeby w ogóle... miała do czynienia z tym... chorym gównem.

Pokiwała głową i zaciągnęła się dymem, po czym wydmuchnęła go długą wąską strużką w stronę swoich bosych stóp. Wyglądało na to, że zrozumiała. Jak gdyby sama wiedziała, że nie należy kłaść wrodzonego poczucia dobra i zaufania do świata Clemmie.

– I nie chcę, żebyś w ogóle jej dotykała – dodał. – Kapujesz?

Znów pokiwała głową i gdy podniosła na niego wzrok, w jej oczach na nowo pojawił się strach.

– Ty nie widzisz, do czego on dąży, Johnny? – syknęła, aż poczuł dreszcz na plecach. – On cię przygotowuje. Chce się podzielić z tobą Kleks.

Zapatrzył się na nią. A później przesunął wzrok na gładką powierzchnię morza, prawie niczym nieróżniącą się od bezchmurnego nieba. Obejrzał się na Clem siedzącą przy ognisku, z którego dym unosił się prosto ku górze. Nigdzie nie było nawet najłżejszej bryzy, od krzywizny krawędzi świata aż po skaliste szczyty odludnych gór. Miał ochotę zatracić się w tym bezruchu.

Energiczniej pociągnął wiosłami i ostatnie dwadzieścia metrów przepłynęli w milczeniu. Oboje wysiedli z łodzi, ona poszła z tortem w blasze i torbą na ramieniu, a on zajął się wyciąganiem tendra na piasek. Annie dołączyła do siedzących na kocu Franka i Clem. Pili kawę z termosu i czytali książki. Johnny ruszył w ich stronę z ociąganiem, nie był głodny. Obserwował Franka, dopasowując nowe informacje do człowieka, którego, jak się okazało, wcale nie znał. Miał wrażenie, że znalazł się na zewnątrz swego ciała i jak gdyby obserwował siebie oczami innej osoby, przyglądał się, jak wykonuje konieczne ruchy, prawi grzeczności, siada na kocu między Frankiem a Clem, wyciąga przed siebie nogi, bierze z rąk Clem kubek z kawą, uśmiecha się do niej, podziwia ognisko i konstrukcję rusztu nad nim, bierze łyk pozbawionego smaku gorącego płynu. Wcale nie zachowywał się tak, jak powinien, nie było w nim gniewu ani wściekłości, nie zamierzał wszczynać kłótni, bo w środku był wrakiem człowieka. Usłyszał, jak się śmieje z dowcipu Franka, poczuł idiotycznie szeroki uśmiech przyklejony na twarzy. Kiedy naszała go potrzeba przypomnienia sobie, że nie jest samą skorupą, ale człowiekiem z krwi i kości, wstał, podszedł na skraj plaży i wszedł po kostki w zimną wodę. Aż zastanowiło go, jaka to pora roku, bo chwilowo zapomniał, a ciepłe powietrze kontrastowało z zimnym morzem. Nie miał jednak pojęcia, czy to jeszcze marzec, czy już kwiecień. Próbował nawet zliczyć dni ich pobytu na jachcie, bo ten okres wydawał mu się wiecznością. Czuł się całkowitym przeciwieństwem dawnego Johnny'ego. Ale woda robiła miłe wrażenie, łagodnie pieściła mu skórę nóg. Poczuł pragnienie, żeby pochłonęła go całego. Mimowolnie zaczął wchodzić głębiej, najpierw do kolan, potem do pachwin, do pasa, piersi, i wcale nie zamierzał się zatrzymać. Clem musiała się zdziwić, jeśli na niego patrzyła, ale to wydawało się mało prawdopodobne, bo niewiele razy spojrzała na niego tego dnia. Szedł, dopóki nie stracił gruntu pod nogami i nie zniknął całkiem pod wodą, odnajdując wreszcie swoisty azyl pod powierzchnią, w głębi chłodnego morza. Zrobił wymach nogami, wypłynął na powierzchnię i ułożył się płasko, twarzą do dołu. Kiedy otworzył oczy i zamrugał szybko, żeby wyostrzyć wzrok na piasek i kamienie na dnie, po raz kolejny powędrował myślami do tych wszystkich rzeczy, które zepchnęli do morza i teraz leżały gdzieś głęboko na dnie, i ta myśl o bogactwach spoczywających w morskiej ciszy przyniosła mu ukojenie. Dobrze było spojrzeć na świat z innej perspektywy, odciąć się od głosów z zewnątrz, zapomnieć o istnieniu tych ludzi. Przekręcił się na wznak, zaczerpnął powietrza i popatrzył w niebo, na przelatującą nad nim gromadkę małych ptaszków odcinających się czarnymi plamkami na tle nieba, cieszących się swobodą, mogących lecieć, gdzie dusza zapagnie.

Nie za długo było mu dane odpoczywać w samotności. Nagle rozległy się krzyki i nawoływania, gdy Kleks znalazła okazję, żeby się zabawić, i zaczęła płynąć ku niemu. Potrzaskała głową, chcąc pozbyć się nadmiaru wody z włosów i uszu.

– Johnneeee! – zawołała mała. – Zaczekaj na mnieeee!...

Wyglądała na taką małą i bezbronną, gdy płynęła do niego niezgrabnym, niesynchronizowanym, chaotycznym pieskiem. Podpłynął w jej stronę i chwycił ją w objęcia. Tak daleko od brzegu nie mogła już mieć gruntu, musiała więc polegać na innych. Dostrzegł, że Frank także się jej przygląda z brzegu i przyszło mu na myśl, że to może być element jego perwersyjnego planu działania, jeśli rzeczywiście zaplanował sobie, że będzie przechodziła z rąk do rąk. Rzecz jasna Johnny mógłby uratować Kleks, gdyby naprawdę tego chciał, mógł ją zabrać razem z Clem i Annie do łodzi, zostawiając Franka pod byle pretekstem, byle tylko wsiąść do łodzi i rozstać się z nim. Ale Kleks nie była jego problemem. O nią musiała się martwić Annie. Jego priorytetem była Clem.

Kleks ze śmiechem rzuciła mu się w ramiona, mokra, śliska i naga, aż nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu ktoś tak szczęśliwy mógł potrzebować pomocy.

– Znalazłam potwora, Johnny! – zawołała.

Ja też, przemknęło mu przez myśl.

– I przeszyłaś go harpunem? – zapytał.

– Nie, pozwoliłam mu uciec. – Obie jej powieki równocześnie opadły ciężko, jak u lalki, przez co zrobiła na nim wrażenie jeszcze bardziej niewinnej. – Teraz ty bądź moim potworem, Johnny! Bądź nim!

Dał nura pod wodę, odczekał parę sekund, po czym złapał ją wpół, wyprostował się i uniósł ją wysoko w powietrze, wydając z siebie warkot potwora. Aż pisnęła głośno z rozkosznego przerażenia. Na tyle go było stać. Mógł jeszcze poudawać przez jeden dzień.

Johnny leżał na ręczniku obok Clem, która czytała książkę – dostała ją od Franka, napisał ją jakiś Krishna. Wypełniająca go pustka skurczyła się nieco, powoli wracał do siebie. Zwinął sobie skręta i przyglądał się, jak Kleks leżąca na piasku w płytkiej wodzie nuci pod nosem jakąś piosenkę. Ale kątem oka obserwował też Franka, który obracał kurczaka na rożnie – jego wielkie dłonie o tępo ściętych palcach i rzędy blizn na plecach przypominały o popełnionych przez niego zbrodniach. Annie starała się za wszelką cenę ukryć, że sobie popiła, ale przesadzała z powagą. Siedziała w mało wytwornej pozie na kocu i nalewała kawę do kubeczków niczym wstawiona Mary Poppins, nucąc coś pod nosem. Podała Frankowi dolewkę kawy. Starła się go zadowolić. Aż żal było na to patrzeć. Chryste, koniecznie musieli jak najszybciej się rozstać.

Znowu przeniósł wzrok na horyzont, wypatrując możliwości ucieczki. Na granicy widoczności zbierały się pasma rozwianych chmur. Kleks przybiegła, skoczyła ojcu na barana i przywarła mokrym ciałem do jego pleców. Z zupełnie różnych powodów Frank i Johnny skrzywili się jednocześnie. Frank odruchowo sięgnął za siebie, żeby ją przytrzymać.

– Auu! Jesteś mokra i zimna! – zawołał. – Zeskakuj!

Johnny odwrócił wzrok.

– Czy to ten kurczak, który zniósł jajka na mój tort? – zapytała Kleks, zsuwając mu się z pleców i spoglądając na rożen zawieszona głową w dół.

– Tak – odparł.

– Ten sam, którego zabiła starsza pani?

– Zgadza się.

– Ten, co był w wiadrze?

– Dokładnie ten sam.

– Ale ja chcę, żeby znów był żywy.

– Na to jest za późno. Nie żyje i mniej więcej za godzinę go zjemy – powiedział.

Zsunęła się z jego pleców, usiadła na piasku, obróciła się i z brodą opartą na rączkach popatrzyła na piekącego się kurczaka.

– Więc wyciągnęliśmy z niego wszystko, maleńkie jajeczka, powyrywaliśmy piórka, obcieliśmy mu głowę, potem utopiliśmy i teraz go zjemy? – zapytała rzeczowo, chcąc utrwalić sobie w pamięci właściwą sekwencję wydarzeń. Ale w jej głosie nie było nagany, pod tym względem ojciec dobrze ją wyszkolił.

– Życie bywa okrutne – wtrącił Johnny, strzepując z nóg mokry piasek. Nie zdołał się powstrzymać, zimna woda wyzwoliła go z otępienia.

Annie obrzuciła go nerwowym spojrzeniem. Clem ziewnęła, odłożyła książkę i się przeciągnęła.

– Chyba pójde popływać – rzekła.

Wstała, a on obrzucił zadumany wzrokiem jej piękne złociste ciało. Nie chciał, żeby się rozbierała na oczach Franka i pozwalała mu podsysać wzrokiem jego brudne żądze. Ale mógł winić wyłącznie siebie za to, że mu ją podał na tacy. Podejrzewał teraz, że cała ich eskapada została starannie zaplanowana, a uwodzenie go przez Annie na wzgórzu miało na celu wzbudzenie w nim poczucia winy, żeby nabrał ochoty wynagrodzenia im swojego czynu. Dawał się bezczelnie wodzić za nos. Postępował jak ostatni idiota.

– Idziesz, Kleks? – zapytała Clem, wyciągając rękę. – Możemy poskakać do wody ze skał?

Johnny odprowadził je wzrokiem, gdy ruszyły wzdłuż plaży. Clem raz i drugi zrobiła gwiazdę, obracając się idealnie w pionie, a mała próbowała ją naśladować. Obie były nieświadome zła i beztroskie. Bardzo chciał, żeby tak zostało. Zwrócił uwagę, że kiedy zostali tylko we troje, Annie zaczęła się denerwować, ręce jej się trzęsły. Ale mógł to być również efekt wypitego alkoholu.

– Wydajesz się dzisiaj wyjątkowo oddalony, Johnny – odezwał się Frank po dłuższym milczeniu, odchylając się do tyłu i krzyżując wyprostowane nogi w kostkach, jakby chciał przyjąć dokładnie taką samą pozę jak on, siedzący ze wzrokiem utkwionym w horyzoncie. Obojętność wydała mu się najlepszym rozwiązaniem w tej sytuacji, najlepszym sposobem

na przetrzymanie przymusowego uczestnictwa w tej małej, odrażającej szaradzie. Nie odpowiedział.

– To nawet nie jest takie złe – dodał Frank. – Wręcz przeciwnie. Bez tego bylibyśmy zakładnikami bezradności i beznadziei, ofiarami przyziemnych pragnień...

– Czy mógłbyś chociaż raz się zamknąć? – syknął Johnny. Jego zdaniem zabrzmiało to całkiem dobrze. Wcale nie był zły, po prostu nie mógł już dłużej udawać. Miał dosyć całego tego gówna.

Frank aż się obrócił, zaskoczony, a Johnny wyprostował się i zaczął wodzić palcem po starej bliźnie na łydce. Czuł się swobodnie pod nieobecność Clem. Nie musiał dłużej uczestniczyć w tej grze.

– Możesz z tym skończyć już teraz – powiedział, odwrócił się do niego i śmiało spojrzał mu w oczy. – Ja wiem.

– Co wiesz? – zapytał Frank swobodnym tonem, zaintrygowany.

– Wiem, kim jesteś – odparł Johnny, przypalił papierosa lekko roztrzęsionymi rękoma i popatrzył w kierunku oddalających się dziewcząt. Zauważył, że Annie sięga po swoją czarną torebkę, w której miała piersiówkę z whisky.

– No więc kim jestem? – zapytał Frank. Na jego wargach błąkał się tajemniczy uśmieszek.

Johnny powoli wydmuchnął dym.

– Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. I nie obchodzi mnie, jak będziesz to usprawiedliwiał, bo wiem, że spróbujesz. Ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nic.

Frank zaczerpnął głębiej powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Z powrotem zapatrzył się na morze, raz i drugi przełożył nogi skrzyżowane w kostkach.

– Nawiasem mówiąc, trzymaj swoje brudne łapska z dala od mojej żony – dodał Johnny. – To już skończone.

Frank uniósł obie dłonie w obronnym geście.

– Jak sobie życzysz, Johnny. – Oparł się z powrotem na rękach i pokiwał głową do swoich myśli, jakby próbował się w tym wszystkim rozeznać. Annie siedziała skulona ze strachu. Torebkę trzymała na kolanach, zastygła z ręką wsuniętą do środka.

– Annie, kochanie – odezwał się Frank łagodnym tonem. Annie skuliła się jeszcze bardziej, ukryła twarz za włosami, a rozmiar jej przerażenia dało się poznać tylko po przelotnym spojrzeniu, jakie posłała mężowi. – Co ty nagadałaś Johnny’emu?

– Nic – odparła, ale zdecydowanie za szybko.

– Nie obwiniaj jej – wtrącił Johnny.

– Na pewno nic, skarbie? – rzekł Frank, ignorując go.

– Tylko prawdę – szepnęła Annie. Johnny nie miał wątpliwości, że musiała zebrać całą swoją odwagę, żeby to z siebie wyrzucić. – Powiedziałam mu prawdę – powtórzyła nieco głośniejszym, piskliwym głosem.

– Och, Annie – mruknął Frank, zwiesiwszy głowę. Potarł dłonią brwi i westchnął ciężko, jakby usłyszał doskonały żart. – Co ona ci opowiadała? – Popatrzył na Johnny’ego z miną pełną rezygnacji i rozbawienia, jakby przerabiał to już wielokrotnie, przez co tylko wprowadził go w zakłopotanie. – No, co? Że byłem jakimś superwywiadowcą policyjnym? Że kierowałem kręgiem nadzwyczaj wpływowych pedofilów?

Johnny zaciągnął się skrzętem i popatrzył, jak Clem z Kleks, trzymając się za ręce, skaczą ze skały do wody.

– Zgadza się, panie Samarytaninie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Samarytaninie? – Frank zaśmiał się krótko. – Tego jeszcze nie słyszałem. To miało pochodzić z IRA? – zwrócił się do Annie. – A może z Legii Cudzoziemskiej, skarbie? Albo z SAS? A może z SO19? Jest tyle różnych wersji, że już zapomniałem, która ostatnio obowiązuje.

– Przestań, proszę – szepnęła, odkręcając piersiówkę z whisky.

– Powinienem był to przewidzieć – odezwał się do Johnny’ego. – Przepraszam. Jej się to ciągle zdarza od czasu do czasu. Powinienem był zwrócić uwagę na objawy. To część jej... stanu – mruknął, machając ręką, jakby chciał przekazać, że on powinien wiedzieć, o co mu chodzi.

– Kochanie – powiedział miękko, odwracając się do żony. – Powinnaś była mnie uprzedzić. Przestałaś brać swoje żółte pigułki?

Pokiwała głową. Popatrzyła na Franka z oczami pełnymi nowej udręki.

– Przestań, proszę – powtórzyła szeptem, ale nadal patrzyła mu prosto w oczy, jakby podejmując jakiś dawny spór. – Nie masz prawa, Frank.

– Muszę mu powiedzieć prawdę, Annie – odparł tak samo łagodnie, po czym odwrócił się od swojej zdruzgotanej żony, która natychmiast podniosła do ust piersiówkę. – Nic ci nie powiedziała o sobie, Johnny? Naprawdę? Nie przyznała się, że więcej czasu spędziła w zakładach zamkniętych niż na wolności? Że lądowała w szpitalu psychiatrycznym tyle razy, że aż trudno zliczyć? Że musieliśmy po kryjomu uciekać z kraju, bo znów groziło jej zamknięcie w zakładzie? Że życie na tym jachcie to jedyny sposób, abyśmy mogli być razem? Masz pojęcie, iloma określeniami została do tej pory opisana? Psychopatka, fantastka żyjąca iluzjami, schizofreniczka, patologiczna kłamczucha, szalona kryminalistka, mitomanka... Mógłbym wymieniać bez końca.

Cedził poszczególne słowa, jakby wymieniał składniki złożonego przepisu.

Annie zaczęła szlochać.

– Czy to prawda, Annie? – zapytał Johnny, bezgranicznie zaskoczony obrotem spraw.

Posłała mu spojrzenie pełne nieukojonej żalości. Ale zaraz z powrotem zwiesiła głowę, skrywając twarz za włosami, a ramiona zaczęły jej dygotać.

– Matka odeszła od nich, kiedy była jeszcze mała. Jej ojciec był lekarzem. – Frank pochylił się w stronę Johnny’ego i ciągnął ciszej, w zaufaniu. – Obie z siostrą miały z nim

kontakty seksualne przez wiele lat. Pewnie dlatego teraz jej się wszystko miesza. Prawda, skarbie? – rzucił, kładąc rękę na jej karku.

Skuliła się jeszcze bardziej, wciskając głowę między kolana, a jej ciałem wstrząsnęły spazmy tłumionego szlochu.

– Annie? Spójrz na mnie! – rzucił błagalnie Johnny. – Czy to prawda?

Wymamrotała piskliwie:

– Tak...

Frank wyglądał na całkiem zrezygnowanego. Westchnął cicho.

– Tak podejrzewałem, że nic z tego ci nie powiedziała. Przykro mi, Johnny, to moja wina. Powiniennem być to przewidzieć. Muszę ją znów przypilnować, żeby brała swoje leki. Proszę, nie bądź dla niej zbyt surowy.

Johnny zapatrzył się na nich oboje, nie potrafiąc rozstrzygnąć, co się u diabła dzieje. Zaciągnął się dymem i spojrzał na horyzont. Proszę, przyjdź wietrze. Zabierz nas od tych koszmarnych ludzi. Kiedy Clem wróciła znad brzegu zatoczki, Kleks wysforowała się przodem, ale zaskoczył ją widok Annie skulonej na kocu i zapłakanej, podczas gdy Johnny i Frank siedzieli przy niej, w ogóle nie zwracając uwagi na jej łzy. Pospiesznie przytuliła się do matki i zaczęła cicho nucić jakąś melodię. Clem popatrzyła na Johnny'ego w oczekiwaniu wyjaśnień, ale nawet na nią nie spojrzał, ciągle patrzył na morze i obsesyjnie wypatrywał wiatru. Odwróciła się więc do Franka, który siedział na kocu obok żony i czytał książkę, jakby na pocieszenie trzymając rękę na jej kolanie. Podniósł wzrok na nią.

– Jest po prostu zmęczona i przewrażliwiona – powiedział.

Clem przeniosła wzrok z powrotem na Johnny'ego, który obojętnie wzruszył ramionami, jakby nic go nie obchodziło, co jej się stało, i znowu zapatrzył się na horyzont.

Clem kucnęła przy Annie.

– Wszystko w porządku? – zapytała, głaszcząc ją po ramieniu, jakby rozmasowywała bolące miejsce. – Może pójdziesz ze mną do wody?

Annie nie odpowiedziała. Kiedy w końcu zareagowała i powoli obróciła głowę do Clem, popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby nie miała pojęcia, kim ona jest. Była bez reszty pogrążona we własnym smutku.

– Chodź, odświeżysz się trochę – powiedziała Clem, pomagając jej się podnieść.

Wolno poprowadziła ją nad morze, posadziła na płyciźnie i zaczęła delikatnie omywać – ochlapywać chłodną wodą jej nogi, pryskać na twarz. Podziałało, dzięki wodzie Annie zaczęła się ożywiać. Wkrótce przestała płakać.

– Co się stało, Annie? – zapytała Clem, lecz tamta tylko pokręciła głową.

Przez chwilę siedziały obok siebie w milczeniu. W końcu Annie coś wymamrotała i Clem poprosiła, żeby powtórzyła, nachylając się ku niej. Ta tylko powtórzyła szeptem słowa Franka:

– Jestem zmęczona i przewrażliwiona.

– Rozumiem. Chcesz się przespać? – zapytała Clem.

Annie pokiwała głową i podniosła się z piasku.

– Lepiej wróć już na jacht.

Była świetną pływaczką. Clemmie popatrzyła, jak wchodzi do wody w ubraniu i silnymi, wprawnymi ruchami zaczyna płynąć w kierunku „Małej Utopii”, zostawiając za sobą tylko zmarszczki na powierzchni i dość szczególny smutek. Obserwowała ją z brzegu, dopóki Annie nie dopłynęła do jachtu. Podciągnęła się na drabince, wyszła z wody i po chwili zniknęła pod pokładem, nie obejrzawszy się ani razu. Chwilę później nad wodą rozniósł się melodyjny głos Roberty Flack i Clem zawróciła do ogniska.

Od tej chwili na plaży zaległo milczenie, jakby wszystkie niewypowiedziane słowa zagęściły atmosferę między nimi, aż w końcu stopniowo poukładali się na piasku i zasnęli.

Ze snu wyrwało ją bzyczenie muchy. Leżała jeszcze, pogrążona w półśnie na kocu, czując ciepło słońca na tylnej stronie nóg, ramionach i rękach. Dopiero po chwili otworzyła oczy. Johnny spał obok, zwrócony do niej plecami, a jego opalone na brąz ramiona lekko unosiły się i opadały w rytm oddechu. Clem poruszała palcami, jakby przeżywała jeszcze coś we śnie, z ulgą odebrawszy jego obecność. W końcu знаła go tak dobrze jak własne ciało. Sen przynajmniej na jakiś czas stłumił rozdźwięk między nimi. Wkrótce znów zamknęła oczy, nie chcąc myśleć ani o porywach własnego zdradzieckiego serca, ani o dziwnych zdarzeniach tego popołudnia.

Oświetlenie się zmieniło, słońce stało niżej na niebie, plażą zawładnęły wydłużone cienie. Jedynymi dźwiękami był cichy plusk fal omywających brzeg zatoczki, rozlegający się od czasu do czasu odległy krzyk jakiegoś drapieżnego ptaka i dobiegające gdzieś z tyłu donośne chrapanie. Zaspana wykręciła głowę w tamtym kierunku. Frank siedział w cieniu drzewa, oparty plecami o jego pień, z otwartą książką na kolanach, pogrążony we śnie. Sprawiał wrażenie bezbronny, otaczała go aura wrażliwości, której dotąd nie widziała. Wyglądał staro i obco, ale mimo to jej zdradliwe serce zabiło mocniej na jego widok. Kleks także posapywała przez sen, leżała na wznak przy nim, w połowie na słońcu, a do połowy w cieniu, z rozrzuconymi rączkami i nóżkami przypominała rozgwiazdę wyrzuconą na brzeg. Mogłoby się здаwać, że zostali wszyscy pokonani przez senność w tej zatoczce niezwykłego spokoju. Clem zamknęła z powrotem oczy, przysunęła się nieco bliżej Johnny'ego i wróciła w bezpieczne objęcia snu.

Johnny poczuł to przez sen: delikatny ruch na skórze ręki, jakby omywanej czyimś oddechem. Kiedy poczuł to samo po raz drugi, obudził się w jednej chwili. Usiadł i rozejrzał się dokoła. Od razu spostrzegł to na wodzie i w chmurach, poczuł na twarzy i we włosach. O mój Boże! Jego modlitwy zostały wysłuchane. Nadciągnął wiatr! Tak! Wzdłuż horyzontu wędrowały po niebie białe kłębki obłoków, rozwiane pasma wędrowały już nad ich głowami. Poderwał się na nogi, żeby poczuć bryzę na piersi. Owszem, była, lekka i ciepła. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek cieszył się tak bardzo z wiatru. Byli uratowani. Powinni wkrótce odzyskać wolność, oderwać się od całego tego koszmaru. Już czuł, jak

powoli uwalnia się od niego. Razem z Clem mogli ruszać w swoją drogę.

– Clem! Clem! – zawołał, kucnął obok niej, potrząsnął za ramię i szepnął do ucha: – Och, Clem, moja Clem. Wynosimy się stąd! Odchodzimy! Spadamy. Jest wiatr!

Raz za razem zaczął całować ją w policzek. Poruszyła się ospale. Otworzyła oczy, usiadła na kocu i uśmiechnęła się do niego. Ale nie poderwała się i nie zatańczyła z radości, jak zapewne zrobiłaby to jeszcze tydzień temu. Wszystko się zmieniło przez ten tydzień, aż przez chwilę naszyły go obawy, że może wcale nie chce ruszać z nim w dalszą drogę.

– Frank! – zawołał, podbiegając do drzewa, pod którym tamten leżał. – Mamy wiatr! Zbierajmy się stąd!

Frank i Kleks wybudzili się powoli. Nikt nie skakał z radości, był osamotniony w swoim szampańskim nastroju.

– Nie zjedliśmy jeszcze tortu! – zaprotestowała Kleks, ani trochę niezainteresowana wiatrem, przecierając zaspane oczy.

Podeszła do koca, żeby popatrzeć na blachę z tortem, a Johnny podbiegł na brzeg, spoglądając na horyzont. Wiatr odmienił tafłę morza, nie była już szklista i nie odbijała błękitu nieba, tworzyła pomarszczony granatowy przestwór, ponownie obudzona do życia, a fale z głośnym szumem wlewały się na brzeg. Morze znowu miało postać i siłę. Kiedy oni spali, przyroda się obudziła. „Mała Utopia” przestała się leniwie kręcić w kółko i teraz stała z napiętą liną kotwiczną dziobem do wiatru, lekko podskakiwała na falach, gotowa do działania. Podobnie jak on.

– Musimy przywieźć mamę na tort! – powiedziała Kleks, ciągnąc go za rękę i wskazując jacht.

Obejrzał się na tort stojący na kocu, już roztopiony, przypominający bezkształtną brązową masę, w której krzywo sterczące świece przypominały zęby staruchy.

– Możemy go teraz zjeść – odparł – a mamie zawieziemy kawałek.

– Nie – odparła stanowczo. W końcu to były jej urodziny. Wiatr odmienił tylko jego punkt widzenia.

– W porządku – rzekł, targając jej zmierzwiłone włosy. Ruszył do łódki, żeby nie tracić czasu. – Już po nią płynę.

Pomyślał, że powinna już wytrzeźwieć, jeśli się przespała. Mogli zjeść tort, podnieść kotwicę i popłynąć dalej przez noc. Do rana mogą się natknąć na jakąś wioskę.

– Przy okazji zabierz nóż! – zawołała za nim Clem.

Ściągnął łódź na wodę, wskoczył do środka i odepchnął się wiosłem od dna. Powiosłował prosto na „Małą Utopię”, słuchając podnieconych okrzyków Kleks rozstawiającej talerzyki na kocu. Wiatr napełnił mu serce otuchą, był teraz w stanie znieść prawie wszystko, gdy wiedział, że wkrótce odpłyną, zostawią za sobą tę przeklętą zatoczkę, pożegnają się z tymi ludźmi. Aż zamknął oczy, wystawiając twarz na jednostajną bryzę, i poczuł jej ciepłe tchnienie na powiekach. Znowu był zdolny do miłości. Wszystko musiało wrócić do poprzedniego stanu, był tego pewien. Nie mogło się stać inaczej.

Musieli o tym wszystkim zapomnieć, także o szkodach, jakie poczynili. Wszystko można było jeszcze naprawić.

Odpychał łódź długimi, mocnymi pociągnięciami, ustawiając pióra wiosła pod takim kątem, żeby uzyskać maksymalną prędkość. Uzmysłowił sobie, że zawsze był miłośnikiem prędkości. Mrużył oczy od jaskrawych odbłasków słońca skrzących się na falach. Wkrótce dopłynął do „Małej Utopii” i pociągnął tylko jednym wiosłem, żeby opłynąć jacht od strony rufy. Wyraźnie słyszał już głośny szum i trzaski czystej taśmy odtwarzanej w magnetofonie kasetowym. Przywiązał cumę dziobową tendra do drabinki rufowej i wszedł na pokład. Zostawiła szeroko otwarte drzwi sterówki, zajrzał więc do salonu. Nie było jej tam, a drzwi kajuty dziobowej były zamknięte. Pewnie padła nieprzytomna na łóżko. Zbiegł po stopniach zejściówki.

– Annie?! – zawołał, zwijając sobie skręta. – Pora na tort. Mamy wiatr. Niedługo będziemy odpływali, więc trzeba go teraz rozkroić.

Nie odpowiedziała, przeszedł więc przez salon i zapukał do drzwi kajuty.

– Annie? – powtórzył, śliniąc krawędź bibułki papierosowej. – Chcemy zapalić świece na torcie.

Sięgnął do klamki, ale drzwi musiały się zaklinować, natarł więc na nie ramieniem i wtedy uchyliły się nieco. Spostrzegł skrawek nagiego ciała. Leżała zwinięta w kłębek obok toalety.

– Annie?! – zawołał, rozzłoszczony na to, że nie potrafiła się przez ten czas pozbierać, choćby dla dobra własnej córki. Co z niej była za matka? Czy cokolwiek ją jeszcze obchodziło? I dlaczego on miałby się tym jeszcze przejmować? Pojawił się wiatr, razem z Clem chcieli jak najszybciej ruszać w dalszą drogę.

Wrócił przez salon i wyszedł na pokład. Popatrzył na resztę krzątającą się na plaży i na góry, nad którymi powoli zataczał kręgi orzeł, wykorzystujący wstępujący prąd powietrza, czując się równie szczęśliwy jak on z powodu wiatru. Przeszedł na dziób, uniósł pokrywę luku i zajrzał do środka.

– Annie?! – zawołał. – Wstawaj! Pora na tort!

Nawet się nie poruszyła, skulona tyłem do niego, naga i mokra. I wtedy zobaczył krew.

Dał nura do środka przez otwarty luk na łóżko, przeszedł po nim na czworakach, zsunął się na podłogę, chwycił kobietę za ramię i obrócił twarzą do siebie.

– Annie?

Przetoczyła się ciężko na wznak. Szeroka krwawa smuga ciągnęła się od jej lewej ręki do nóg, twarz miała bladą i wymizerowaną, oczy obrócone białkami ku górze. W prawym ręku trzymała duży kuchenny nóż, a w lewym nadgarstku było brzydkie głębokie rozcięcie. Krew wypływała z rany ciągłym strumieniem i spływała na podłogę, tworząc wielką kałużę wokół jej ciała.

– Jezus, Maria! Annie! Jezu Chryste!

Jęknęła. Żyła jeszcze i była przytomna. Chwycił jej bluzkę i ślizgając się w lepkiej krwi, podciągnął ją ku górze, oparł na swoich kolanach i bluzką zaczął owijać nadgarstek,

żeby zatamować krwawienie.

– To przecież jej cholerne urodziny – mamrotał pod nosem. – Jej cholerne urodziny.

Podniósł ją z podłogi i ułożył na łóżku, spiętrzając poduszki pod głową. Znowu jęknęła, otworzyła oczy i zamruwała, chcąc odzyskać ostrość widzenia. Kiedy go ujrzała, wokół jej ust pojawiły się drobniutkie zmarszczki, jak gdyby znowu chciała zacząć płakać, lecz nie starczało jej sił. Poruszyła wargami, usiłując coś wymówić, ale nic nie usłyszał.

– Nie rozumiem, Annie – powiedział, coraz bardziej przerażony, przyciskając czoło do jej głowy i zaglądając w jej mętniejące oczy. Poczł na wargach intensywny rdzawy smak jej krwi. – Wytrzymaj jeszcze trochę, Annie. Wytrzymaj.

– Kingston... – wyszeptała. – Szafka...

Zeskoczył z łóżka, precyzyjnie się obok sedesu i otworzył drzwi szafki.

– Tutaj? – zapytał, ale nie odpowiedziała.

W szafce znajdowały się dwie apteczki, jedna zamknięta na klucz. W drugiej zobaczył rzeczy, których używali, żeby opatrzyć ich zadrapania tamtej pierwszej nocy. Wyciągnął ją i postawił na łóżku. Jęknęła głośniej, potrząsnęła głową, wbiła w niego trochę przytomniejsze spojrzenie.

– Trzymaj się, Annie – powiedział, podtrzymując jej głowę, bezgranicznie przerażony tym, że mogłaby umrzeć w jego ramionach. – Tylko nie zasypiaj, proszę. Nie poddawaj się... Nie jesteś złym człowiekiem... Pomyśl o Kleks... Nie jesteś złym człowiekiem...

Nagle coś się w nim przestawiło. Panika przeskoczyła na tylne siedzenie. Odzyskał klarowność myślenia praktycznego. Zaczł działać szybko i systematycznie w celu jej ratowania. Najpierw zabandażował jej nadgarstek. Potem okrył ją szczelnie kocem i usadził opartą o wysoko spiętrzone poduszki. Przez cały czas jęczała i pokrzykiwała z bólu. Rozkruszył cztery tabletki aspiryny i zmusił ją, by je połknęła i popiła wodą. Potem zaczął sprzątać. Nawet nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego chce zamaskować jej czyn, w końcu próbę samobójstwa trudno jest skutecznie ukryć. Czł jednak, że musi to zrobić dla Kleks. Żadne dziecko nie powinno nigdy widzieć matki w takim stanie.

Umył nóż i rzucił go do sterówki. Ręcznikami powycierał krew z podłogi i poupychał je w szafce na brudy. Na koniec sam się umył, pospłukiwał krew z całego ciała i starannie wyszorował ręce nad zlewem. Kiedy wrócił do kajuty dziobowej, leżała wyprostowana na wznak ze wzrokiem utkwionym w otwartym łuku, przez który widać było skrawek błękitnego nieba.

– Annie? – zagadnął, ale nie zareagowała. Odplynęła myślami w stronę tego nieba, może także wiatru, który miał niedługo zabrać ich stąd.

Nakazał jej, żeby się nie ruszała, ale było całkiem oczywiste, że nigdzie się nie wybiera.

– Muszę teraz popłynąć po resztę, rozumiesz? – Nadal nie odpowiadała. – Niedługo wrócę.

Zamknął drzwi i przeszedł przez salon do sterówki, podniósł nóż, wrzucił go do tendra, zszedł po drabinie i zajął miejsce na ławce przy wiosłach. Dopiero wtedy zauważył, że

jest rozdygotany, ręce i nogi tak mu się trzęsą, że ledwie może utrzymać wiosła.

Popłynął do brzegu, wpatrując się w nóż, i zauważył, że przeoczył małą plamkę krwi na drewnianej rączce. Obejrzał się na brzeg. Cała trójka stała na granicy zasięgu fal i osłaniając oczy od słońca, patrzyła, jak on wiosłuje, zastanawiając się na pewno, dlaczego nie ma z nim Annie. Pociągnął mocniej i wkrótce dno łodzi zaszurało o piasek. Kolana wciąż tak mu dygotały, że ledwie zdołał przeskoczyć burtę łodzi. Nie odwracając się do nich, zaczął wyciągać łódź na brzeg.

– Gdzie jest mamusia do tortu? – zapytała Kleks, podbiegając do niego.

– Nie czuje się dobrze. Musiała się położyć – odparł, nie oglądając się na nikogo. Najwyraźniej mu uwierzyli i przeoczyli to, że jest tak bardzo roztrzęsiony.

– Przywiozłeś nóż? – zapytała Clem, a on spojrzał szybko na nią, gdyż w pierwszej chwili nie skojarzył, o co jej chodzi. Ale sama zauważyła go na dnie łodzi, schyliła się i podniosła, aż słońce odbiło się w gładkiej powierzchni noża od podcinania żył.

Poszedł za nią w kierunku rozłożonego koca i wkrótce stanęli kołem nad blachą z tortem z zapalonymi pięcioma świeczkami i zaintonowali:

– Happy Birthday...

Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wciąż wstrząsały nim dreszcze. Nie mógł też przełknąć ciasta. Musiał powiedzieć Frankowi, co się stało. Wysoko na niebie rozwiane białe pasma przesuwwały się z wolna nad ich głowami. Wiatr wiał nadal, ale był słaby, statyczny.

– Musimy wracać – powiedział. – I płynąć dalej.

Naszły go wątpliwości, czy naprawdę powiedział to na głos, ponieważ nikt nie zwrócił na niego uwagi. Powstało drobne zamieszanie: Kleks zaczęła płakać, Clem i Frank patrzyli zatroskani. Wiedzieli. Albo się domyślali. Nie, okazało się, że Kleks zgubiła Babcie. Proszę, tylko nie płacz. Tamci dwoje rozbiegli się w poszukiwaniu żółwika, podczas gdy Annie na jachcie wykrwawiała się na śmierć. Miał ochotę złapać Franka za rękę i odciągnąć na bok, lecz nadal nie mógł się ruszyć. Popatrzył na Clem, która z Kleks pobiegła do skał na skraju plaży, a potem na Franka rozglądającego się po piasku wokół drzewa, pod którym zasnął, podczas gdy on stał na brzegu morza, patrzył na „Małą Utopię”. Roztrzęsionymi palcami usiłował zwinąć sobie skręta i zastanawiał się, jak, do diabła, wszystko mogło pójść aż tak źle, jak to się stało, że nie przewidział takiego biegu wypadków. To nie miało sensu. Annie była notoryczną kłamczuchą. Z jego pamięci wypłynęły kolejne określenia Franka: psychopatka, fantastka żyjąca iluzjami, schizofreniczka, szalona kryminalistka, mitomanka...

Nagle uświadomił sobie, że Frank stoi tuż obok.

– Masz krew na rękę, Johnny.

Odwrócił szybko głowę i wykręcił rękę, żeby to sprawdzić. Rzeczywiście na tylnej stronie lewego przedramienia ciągnęła się szeroka purpurowa smuga.

– Musimy wracać na łódź – powiedział. – Ona się pocięła, Frank. Trzeba ją zawieźć do lekarza.

Nie zaskoczyło go to i nie rozzłościł się.

– Gdzie się pocięła? – zapytał spokojnie.

– Nic jej nie jest – dodał szybko Johnny, chociaż Frank o to nie pytał. – Podcięła sobie żyły. Na lewym nadgarstku.

Od razu poczuł się lepiej, gdy zrzucił z barków to brzemię. W gardle tak bardzo mu zaschło, że ledwie mógł artykułować słowa. Miał ochotę zacząć płakać albo krzyczeć z wściekłości.

Frank zmarszczył brwi i rozdrażniony popatrzył na „Małą Utopię”.

– Akurat w jej urodziny? Przecież dziś są jej cholerne urodziny, na miłość boską!

Johnny nawet się ucieszył, że to usłyszał, że Franka jednak ogarnęła złość. Odczuwał tak samo.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytał, przeciągając wilgotną od potu ręką po włosach. On też nie spuszczał wzroku z jachtu.

– W poprzek czy wzdłuż?

– Słucham?

– Jak rozcięła nadgarstek?

– Kurwa, nie pamiętam. Zabandażowałem jej ranę. – Kolana znów zaczęły mu silnie dygotać, jakby chciały same rzucić się do ucieczki. – Chyba ukośnie.

– Przykro mi, Johnny. Powinienem być cię uprzedzić – rzekł i westchnął głośno.

– Całkiem jej odwaliło... – wysapał Johnny, jakby się zapowietrzył i stracił panowanie nad oddechem.

Frank czule objął go ramieniem i przytulił do siebie. Johnny nie zaprotestował, nie próbował się odsunąć, bo potrzebna mu była ta pociecha. Oparł głowę na szerokiej piersi Franka, jak gdyby potrzebował również tak solidnego podparcia. Stali tak, w objęciach, w których Frank go delikatnie kołysał.

– Przykro mi, że musiałeś to oglądać. To ja powinienem być po nią popłynąć. Zdarza się to nie pierwszy raz, Johnny. Nie martw się. Ona dobrze wie, jak głębokie cięcie może zrobić.

Johnny odsunął się i pokiwał głową, mając wielką ochotę pozbiierać się do kupy. Zaciągnął się dymem.

– Myślę, że trzeba by ją zabrać do lekarza. Zresztą sam nie wiem. Zahamowałem krwawienie.

– Dobry z ciebie chłopak. Ja się nią zajmę. – Sięgnął do kieszeni spodni po papierosy, jakby w rzeczywistości donikąd się nie wybierał.

– Posprzątałem bałagan, ale lepiej trzymać Kleks z dala od kajuty.

– Dzięki, Johnny. – Frank wystukał papierosaz paczki i chwycił go ustami na swój sposób. Wyglądało to trochę nie na miejscu. – Podejrzewam, iż powiedziała ci, że te liczne blizny na udach ma od upadku na szklany dach.

Johnny zapatrzył się na horyzont, zza którego wyłaniało się coraz więcej chmur. Wiatr trzymał się dobrze i bez jego modlitw. Ale opadły go złe przecucia, że nie zdąży go wykorzystać. Wciągnął głęboko w nozdrza delikatny sosnowy zapach – był jak obietnica innych wrażeń i innych czasów. Zamknął oczy, wystawiając twarz na bryzę. Annie rzeczywiście opowiadała mu o upadku przez szklany dach. Wtedy nie miał podstaw, żeby to kwestionować.

– Zawsze taka była – powiedział Frank, poklepując się po wszystkich kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Johnny wyjął swoją i podał mu ją, wciąż odczuwając lekkie drżenie palców. Ale Frank chwycił go za rękę i objął ją mocno obiema dłońmi, jakby chciał w ten sposób uwolnić go od strachu. – Nic jej nie będzie – dodał.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na jacht, aż roztrzęsienie Johnny’ego minęło i Frank puścił jego rękę. Fale zaczynały z głośnym pluskiem łamać się na skałach. Zasłuchał się w odgłosy morza, bo przynajmniej ten język rozumiał. Napełniał go spokojem.

– A co z waszym pierwszym spotkaniem? – zapytał. – Już wtedy taka była?

Frank uniósł brwi i potarł kark, a jego oczy wypełniły się smutkiem i czułością.

– Najpierw ją usłyszałem, dopiero potem zobaczyłem – odparł. – Usłyszałem jej śpiew, prawdziwie anielski, niebiański głos, który po prostu wbił mnie w ziemię. Ale rozbrzmiewający w nim smutek mnie poraził. Wtedy otworzyli drzwi i ją zobaczyłem, to piękne, umęczone stworzenie leżące na podłodze i ciasno skrępowane obszernym białym kaftanem bezpieczeństwa.

Johnny popatrzył na niego.

– Myślałem, że się poznaliście w pubie w Islington.

Frank spojrzał na niego z ukosa i zmarszczył brwi.

– W pubie w Islington? Nie, była podejrzana o dokonanie zabójstwa, aresztowali ją, gdy kręciła się nago po ruchliwej ulicy. Poznałem ją w ośrodku dla umyślowo chorych w Colney Hatch – odparł, po czym pstryknięciem posłał niedopałek daleko w morze.

RZECZY NIEPROSZONE

Następnego dnia, w drodze powrotnej znad morza do domu, ojciec Clemmie postukiwał pięścią w deskę rozdzielczą. Wydawało się, że jest w zupełnie innym nastroju niż wczoraj. Był wyciszony, poważny, reagował rozdrażnieniem na różne rzeczy, a zwłaszcza na innych kierowców i właśnie na tę deskę rozdzielczą. Poprosił ją, żeby nie mówiła matce, że o mało nie wypadła z filizanki na karuzeli, i obiecała, że nie powie – chociaż wydawało jej się to nie w porządku, że prosi ją o przemilczenie najbardziej niebezpiecznej przygody, jaka jej się dotąd w życiu przytrafiła. Ale jego nastrój skłaniał do wniosku, że nie warto się z nim spierać. Starła się nie robić niczego, co mogłoby go zirytować. Dlatego powoli wgrzyzała się w słupek dropsów gruszkowych, które trzymała w schowku przed sobą, i wpatrywała się przez przednią szybę na korony drzew chłostane wiatrem i okoliczne pola, starając się nie zwracać uwagi na latające w powietrzu śmieci i przesypujące się kontenery z odpadkami, spotykane w Londynie na każdym kroku. Nie minęła nawet godzina ich podróży, gdy samochodem zaczęło dziwnie szarpać, a ojciec zaczął rzucać w powietrze najgorsze przekleństwa, nim wreszcie zjechał na pobocze i stanął pośrodku długiego prostego odcinka drogi tak wąskiej, że ledwie się na niej mogły minąć dwa pojazdy. Kilka razy tak silnie walnął pięścią w kierownicę, że aż krowy pasące się wokół pobliskiego drzewa odeszły w głąb łąki, a jego ręka od zewnątrz zrobiła się czerwona od krwi. Wiedziała, że w takich chwilach lepiej w ogóle się nie odzywać.

Wysiadł z samochodu i tak trzasnął drzwiami, że aż zapachowa paprotka drzewiasta wisząca pod wstecznym lusterkiem zaczęła wirować jak bąk. Popatrzyła, jak ściąga ciemne okulary Starsky'ego oraz marynarkę i otwiera jeszcze drzwi, żeby ułożyć je na siedzeniu. Nawet na nią nie spojrzął. Przeszedł od przodu i podniósł maskę. Wyjęła z opakowania kilka dropsów, wrzuciła je do ust i popatrzyła na granatową błyszczącą powierzchnię maski zasłaniającej widok za przednią szybą. Po krótkim czasie wyłonił się zza niej ojciec, przeszedł na tył samochodu, otworzył bagażnik, przez chwilę przerzucał w nim jakieś graty, wreszcie zamknął go, podszedł do drzwi od strony kierowcy i otworzył je. W ręku trzymał plastikową czerwoną bańkę na benzynę.

– Załatwił nas wskaźnik paliwa. Potrzebujemy benzyny. Będziemy musieli jakoś wrócić do tego warsztatu samochodowego przy głównej drodze. – Rozejrzył się wzdłuż szosy.

Poszła za jego przykładem, żeby okazać swoje poparcie.

Był piękny pogodny dzień, czuła się jak na pieszej wycieczce, gdy maszerowali środkiem pustej bocznej drogi. W jednym ręku trzymała swoją małą bańkę, w drugim bańkę na paliwo. Ojciec wciąż prychał i wzdychał, oglądał się przez ramię, wypatrując jakiegoś samochodu, i spoglądał na zegarek. Od czasu do czasu podbiegała trochę, żeby dorównać mu kroku, ale głównie przyglądała się kolbom kukurydzy rosnącej po obu stronach oraz jej zielonym liściom trzepoczącym w porywach wiatru. Kiedy zamykała oczy, zamieniały się

w ryczące potwory. Ojciec powiedział, że to słodka kukurydza. Jej się wydawało do tej pory, że słodką kukurydzę w fabryce słodkiej kukurydzy produkuje ho-ho-ho Jolly Green Giant. Ale to by się zgadzało. Taki gigant z łatwością mógł się ukryć wśród wysokich roślin. Na chwilę zapatrzyła się w ciemność między masywnymi grubymi łodygami, po czym szybko podbiegła do ojca, włożyła małą do bańki na benzynę i wzięła go za rękę.

Po pewnym czasie ojciec rozpogodził się trochę, zrobił się rozmowny i zaczął się rozglądać po okolicy. Bardzo dużo wiedział. Gdyby rozgrywano jakiś okręgowy konkurs na najmądrzejszego mieszkańca, na pewno by go wygrał. Kiedy natknęli się na rozjechanego zająca na asfalcie, zaczął jej wskazywać różne części jego ciała oraz wnętrza i tłumaczyć, do czego służą poszczególne narządy, jak pracowało małe serduszko, po czym można by poznać, czy zając był palaczem, i mnóstwo innych rzeczy. Potem zaczął tłumaczyć, jak po drutach rozciągniętych między słupami wędrują rozmowy telefoniczne z całego kraju, jak układa się asfalt na drogach, jak ptaki niekiedy wykorzystują ludzkie włosy do budowy gniazd. Tak pochłonęła ich rozmowa, że przegapili przejeżdżający samochód i ojciec ruszył za nim biegiem. Był zły na siebie i gdy go w końcu dogoniła, także okazała swoją irytację, choć ani trochę nie była rozdrażniona. W końcu tworzyli zgrany zespół.

– Chyba mogę ci teraz coś wyznać, Clemmie – odezwał się po długiej radosnej ciszy. – Chciałem zatrzymać się po drodze w jakimś ładnym miejscu na herbatę i tam ci powiedzieć...

Przystanął, żeby wyjąć z kieszeni papierośnicę z cygaretkami, a kiedy ją otworzył, zobaczyła, że zostały mu tylko dwie. Zwróciła też uwagę, jak trzęsą mu się ręce, kiedy wyjmował jedną i przypalał, trzymając zapałkę w skulonych dłoniach. Lubiła patrzeć, jak strużki dymu wydobywają mu się z nosa niczym dwa śliskie niebieskawe wężyki. Przyszło jej na myśl, że chce jej powiedzieć o swoich planach hodowania kucyka w ogródku. Znów wzięła go za rękę i lekko ścisnęła mu palce, kiedy ruszyli dalej.

– Zamierzam na jakiś czas zamieszkać gdzie indziej.

Popatrzyła na niego i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Przyglądał się jakimś ptakom, które leciały w formacji o kształcie litery V i o których panna Bradley opowiadała im w szkole.

– Dokąd się przeprowadzamy? – zapytała.

– Tylko ja się wyprowadzam, skarbie. – Zerknął w dół na nią.

– Ale ze mną? – zagadnęła, całkiem pewna, że tylko zapomniał to dodać.

– Nie. Ty zostaniesz z mamusią w naszym domu.

– Aha. A mama o tym wie? – zapytała, zdumiona takim dziwnym układem.

Pokiwał głową.

– Wyjeżdżam do Somerset.

– Co to jest Somerset?

– Takie miejsce.

- Co tam jest takiego dobrego?
- Mieszka tam moja przyjaciółka.
- To dlaczego nie mogę jechać razem z tobą?

Zaciągnął się dymem.

- Bo po prostu nie możesz.

Zatrzymała się nagle, więc i on zatrzymał się krok dalej.

- Ale chcę pojechać. Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem.

- Cały weekend?

- Posłuchaj, twoja mama i ja... Nie będziemy już nigdy razem.

– Ale gdybyś został w domu, to mógłbyś być. – Uśmiechnęła się do niego, lecz nie odpowiedział uśmiechem. Odwrócił wzrok, potem zerknął przez ramię na drogę i ciężko westchnął.

- Rozwodzimy się, Clemmie – powiedział.

- Co to znaczy?

– Na miłość boską, chyba wiesz, co to jest rozwód – rzucił, jakby to ona była przyczyną jego irytacji. – Jak wujek Tim z Sandy. Rozstajemy się.

Zaczął palić nerwowo, gwałtownie zaciągać się dymem i wydmuchiwać go energicznie. Zapatrzyła się na niego, skonsternowana. Musiało mu się coś pomylić.

– Ale wujek Tim i Sandy już się nie lubią. Sandy wyrzuciła Marka szkicownik Etch-a-Sketch przez okno. Ty i mamusia niczym nie rzucacie.

Oczekiwała, że przyzna jej rację, że powie: „Tak, zgadza się, po prostu cię nabieram”. Ale nie zrobił tego. Tylko dalej wpatrywał się w drogę, to w jedną, to w drugą stronę.

– Nadal będziemy się widywać – powiedział i uśmiechnął się, ale to był wymuszony uśmiech, za szybki.

Poza tym, oczywiście, mieli się dalej widywać, przecież był jej tatą. Ale jego słowa zmartwiły Clemmie, do tego nie podobało jej się, że unikał jej wzroku, w ten smutny nerwowy sposób odwracał spojrzenie. Gdzieś w głębi jej duszy zrodziło się straszliwe poczucie, że zaczyna spadać, jakby nie mogła się już dłużej utrzymać na miejscu, jak wczoraj na karuzeli. Pomyślała, że musi się trzymać ze wszystkich sił. Nie mogła go puścić! W nagłym przypływie paniki chwyciła jego dłoń oburącz.

– To przeze mnie? Dlatego, że ciągle robię bałagan? Rozrzucam moje pudełka na okazy? Nie wyjeżdżaj do Somerset! Przeszanę zbierać różne rzeczy...

Oczy wypełniły mu się łzami od wiatru i odpowiedział zmienionym głosem:

- Nie, kochanie. To nie o to chodzi. Możesz dalej zbierać swoje skarby.

Ale jego dłoń nie reagowała na jej uścisk, była spocona i bez życia, a wiatr porywał mu smutki dymu spomiędzy rozdygotanych warg. Wreszcie spojrzął na nią i bardzo jej się to nie spodobało, bo w jego oczach wyczytała koniec wszystkiego. Wreszcie zrozumiała.

Linie łączące punkty zeszyły się, tworząc potworny nierozpoznawalny zarys.

– Odchodzisz od nas – powiedziała.

Nie zaprzeczył. Stał nieruchomo, spoglądając na drogę, i bezwładnie trzymał ją za rękę. Ale gdy znów na nią popatrzył, przelotnie dostrzegła w jego oczach, że się jej boi. A więc podziałało. To była jedyna jej broń. Wszystko inne, cokolwiek by powiedziała albo zrobiła, nie miało znaczenia, nie wywarłoby żadnego skutku. Jej opinie, potrzeby, uczucia były nieistotne. Oni już podjęli decyzję. Puściła rękę ojca.

– Wszystko będzie dobrze, Clemmie – powiedział i przyklęknął na jedno kolano, jakby był księciem z bajki i zamierzał ją prosić o rękę.

Odsunęła się od niego. Nie był żadnym księciem.

– Nienawidzę cię! – rzuciła ze złością, zawróciła na pięcie i ruszyła biegiem, ile tylko sił, wystukując obcasami szybki nerwowy rytm na asfalcie.

Usłyszała, że rusza za nią, najpierw tylko szybkim krokiem, ale potem biegiem, toteż skręciła w bok, na pole kukurydzy po prawej, pod osłonę szorstkich zielonych liści stłoczonych wysoko nad jej głową, nie troszcząc się, czy mieszkają między nimi jakieś giganty, czy nie. Czuła wilgoć łez spływających jej po twarzy. Zanurzała się coraz głębiej i głębiej w wilgotną ciemność, kurczowo trzymając w ręku bańkę z małpką, przemykała między łodygami ze zwinnością małego ptaszka i tylko błoto oblepiające jej buty wyraźnie ją spowalniało. Za sobą słyszała jego nawoływania:

– Clemmie! Clemmie! Wracaj!

Technik z warsztatu samochodowego całe wieki oglądał silnik, poruszał różnymi rzeczami, zdejmował jakieś osłony, po czym zakładał je z powrotem, wreszcie oznajmił, że nie da rady naprawić auta i musi ich odholować do Londynu. Clemmie od razu odgadła, że nie chce ich widzieć w swojej furgonetce, bo bez przerwy gapił się na ich ubrania. Sama nie wiedziała, jakim sposobem udało jej się rozmazać rude błoto z pola kukurydzy na wszystkich ubraniach, swoich i ojca. Technik tylko litościwie dał im stare gazety, żeby je sobie rozłożyli na siedzeniach i podłodze cortiny, dzięki czemu Clemmie przez całą drogę do domu miała pod adidasami obnażony biust jakiejś kobiety.

Ojciec siedział za kierownicą, na której cały czas trzymał rękę, chociaż nie prowadził. Wyglądało na to, iż tylko udawał, że prowadzi. Tak samo, jak udawał, że jest szczęśliwy w małżeństwie z jej matką, i jak udawał, że wspaniale się bawił, spędzając z nią czas nad morzem, podczas gdy bez przerwy marzył o tym, żeby się już przenieść do Somerset.

Siedziała na tylnej kanapie i spoglądała przez okno, wpatrując się w krople deszczu, które spływały w dół jedną albo drugą drogą, a kiedy indziej łączyły się, tworząc większe krople, gdy nagle poraziła ją pewna myśl: A jeśli to wszystko to zwykła podpucha? Jeśli ktoś jej robi straszny kawał, a wszyscy inni chętnie odgrywają w nim swoje role? Aż przycisnęła czoło do zimnej szyby, próbując dojrzeć przez krople deszczu ciemniejące niebo. Potem zaczęła się przyglądać ludziom w wyprzedzających ich samochodach. Owszem, wszyscy kierowcy patrzyli na nią dziwnym wzrokiem. Widziała, jak poruszają

wargami, najwyraźniej wygłaszając komentarze na jej temat. Jakby wszyscy coś o niej wiedzieli. Siedzący z tyłu czerwonego auta chłopak pokazał jej język i wybuchnął gromkim śmiechem. On też wiedział. Wszyscy uczestniczyli w tej znowie. Więc może nawet drzewa nie były prawdziwe i nawet ta droga nie była prawdziwa, a wszystko powstało wyłącznie dla niej, w celu realizacji tego gigantycznego kawału? Zamknęła oczy i otworzyła je szybko, jakby chciała przyłapać świat na zmianie jej otoczenia. Zamrugnęła szybko, ale otoczenie wydawało się takie jak poprzednio. To była bardzo dobra sztuczka. Jej pomysłodawcy musieli wszystko dobrze rozplanować – pomyślała, że najlepszą porą na sprawdzenie mistyfikacji będzie środek nocy, kiedy organizatorzy zdejmą dekoracje, żeby naprawić szkody.

Kiedy mijali budynek z umieszczoną na dachu wielką reklamą przedstawiającą butelkę cytrynowej lemoniady, uderzyło ją kolejne skojarzenie: w drodze nad morze zapomniała o swoich ćwiczeniach oddechowych w trakcie przejazdu między latarniami, więc zapewne przez to stało się coś strasznego, a co gorsza, był właśnie piątek, trzynastego, dokładnie tak, jak przepowiedziała jej wróżka o męskim głosie.

– Obudź się, Clemmie. Dojeżdżamy do domu.

– Wcale nie śpię – odparła, zapomniawszy o złożonej sobie obietnicy nieodzywania się do niego. Ale jednak zdrzemnęła się nieco. Zmęczyły ją płacz i zdenerwowanie.

Poniósł ją z powrotem do samochodu przez pole kukurydzy na barana. Jakże inaczej wszystko wyglądało z góry, o ile świeższe było powietrze, a świat dużo większy. Widziała sąsiednie pola i wzory, które wiatr rysował w kukurydzy. Mogła nawet dostrzec błyszczący niebieski dach ich cortiny znajdujący się żałośnie blisko, choć wydawało jej się, że przebiegła kawał drogi. Za to musiało minąć sporo czasu, zanim ją odnalazł, gdyż przebiegła przez dwa sąsiadujące pola i aż wydostała się na wznoszącą się stromo polną drogę. Dopiero tam przestała płakać, zaniepokojona tym, że się zgubiła. Poczucie zagubienia było dla niej zaskoczeniem. Naprawdę po raz pierwszy mogła zasmakować wolności i to jej się bardzo spodobało. Popatrzyła na skłębione białe chmury wędrujące po niebie, na szeleszczące drzewa z rozdygotanymi gałęziami rosnące dokoła, poczuła dreszcz emocji wywołany zetknięciem z dziką przyrodą i zaczęła się zastanawiać, w którą stronę powinna iść. Próbowwała sobie wyobrazić, co Jezus by zrobił w jej sytuacji, i pomyślała, że pewnie skreśliłby w prawo, ponieważ był praworęczny. Oczywiście nie była tego pewna, ale tak jej się wydawało, gdyż na obrazie w kościele niebo z aniołami znajdowało się po jego prawej stronie, pewnie po to, żeby mógł im podać rękę na powitanie i dawać znaki gestami, a piekło z diabłami było po stronie lewej. Pomyślała, że Jezus pewnie poszedłby do tamtej wioski, którą widać było u stóp wzgórza, gdzie mili ludzie obmyliby mu stopy i podziękowali za dary boże. Sama nie spodziewała się niczego takiego, ale może jakaś kulturalna starsza pani zabrałaby ją do tajemniczego sierocińca. Nie sądziła, żeby Józef chciał wyjechać do Somerset. Józef zapewne wolał przebywać z Jezusem i Marią, kiedy wracał do domu po całym dniu ciężkiej pracy ciesielskiej. Może grali razem w scrabble drewnianymi kostkami, które specjalnie wykonał. Ale właśnie wtedy ojciec zniweczył jej szanse dostania się do sierocińca, głośno nawołując ją z kukurydzianego pola. I zanim się obejrzała, wyszedł za nią na drogę i zaczął gwałtownie machać rękoma. Popędziła w dół

zobocza najszybciej, jak umiała, ale była bez szans, bo on naprawdę szybko biegał, kiedyś wygrał bieg ojców podczas festynu sportowego. Dogonił ją i złapał, chwycił od tyłu i podniósł w powietrze, nie bacząc, czy jej się to podoba, czy nie. Naprężyła wszystkie mięśnie, ale to nic nie pomogło, trzymał ją mocno, mimo że brudziła mu błotem całą marynarkę i okładała go pięściami.

Kiedy dotarli do Putney, Clemmie bez słowa poszła w głąb domu, mijając matkę stojącą na środku holu ze zdziwioną miną.

– Jak ona wygląda, Jim! – Usłyszała za sobą, wbiegając po schodach.

Wpadła do łazienki i zamknęła drzwi na zasuwkę. To było jedyne bezpieczne miejsce, jedyne pomieszczenie w całym domu, w którym drzwi można było zamknąć od środka.

Słuchała ich rozmowy. Mama powiedziała, że śmiertelnie się o nich martwiła. Ojciec zaczął opowiadać o podróży i awarii cortiny. Wtedy ona zapytała:

– Domyślam się więc, że jej powiedziałaś? – I, co dziwne, zaśmiała się krótko.

A więc oboje byli zdrajcami, oboje to ustalili. Tylko ona okazała się idiotką.

Nie zrozumiała, co dalej powiedział ojciec. Usłyszała, że weszli do kuchni i zamknęli drzwi, musiała się więc wdrapać na sedes, otworzyć małe okienko i wytknąć głowę na dwór. Matka dopytywała się, czy po drodze pili herbatę i jakie było jedzenie w hotelu. Zaczęli rozmawiać na temat awokado i krewetek, jakby to był zwykły dzień. Być może ona coś źle zrozumiała i na tym polegała sztuczka. Ale została w łazience, wołała nie ryzykować, że ktoś zobaczy jej głupią minę. W końcu usłyszała, że ojciec się śmieje.

Chwilę później zaczął ją nawoływać z dołu. Nie zrobiła nawet kroku. Usiadła tylko na sedesie, po ciemku w łazience. Zapaliło się światło w holu, usłyszała kroki ojca na schodach, minął jednak łazienkę i zajrzał do jej pokoju.

– Clemmie? – zawołał.

Domyśliła się, że zagląda do wszystkich szafek. Potem usłyszała, że przeszedł do ich sypialni, odsunął drzwi szafy wnękowej i znowu ją zawołał. Kiedy wracał do schodów, zatrzymał się przed łazienką. Zobaczyła granatowy materiał jego spodni przez wielką dziurę w drzwiach, którą wyciął pod klamką, kiedy dwa lata wcześniej zamknęła się w środku i nie mogła wyjść.

Nacisnął klamkę, potem delikatnie zapukał.

– Clemmie? – odezwał się zmęczonym głosem. Może to oznaczało, że się rozmyślił. – Muszę już iść, kochanie. Nie pożegnasz się ze mną?

Pokręciła głową.

Znowu zapukał.

– Clembo? Wyjdiesz?

Jeszcze raz pokręciła głową. Miała ochotę, żeby wyważył te drzwi i zaczął ją błagać o przebaczenie.

– W porządku, skarbie. Niedługo się zobaczymy.

Zapatrzyła się w dziurę w drzwiach, mając nadzieję, że nie odejdzie. Ale granatowy

materiał jego spodni od garnituru zniknął jej sprzed oczu.

Tej nocy Clemmie obudził dziwny odgłos. Wyteżyła słuch, leżąc w łóżku i wpatrując się w sufit. Rozlegało się szczególne urywane skrzypienie, jakby ktoś coś przeciągał po podłodze krótkimi szarpnięciami. Usiadła w pościeli. Domyśliła się, co to jest. Ten odgłos musiał towarzyszyć zmianom dokonywanym w świecie na niby. Najciszej, jak tylko mogła, odsunęła kołdrę, zsunęła się z łóżka i na palcach podkradła się do zasłoniętego okna, przed którym znieruchomiała. Ostrożnie wyciągnęła rękę i czubkami palców dotknęła tkaniny. A po chwili gwałtownym ruchem odsunęła zasłonę, mając głęboką nadzieję, że wreszcie przyłapie ich na gorącym uczynku, jak ustawiają dekoracje. Liczyła na to, że ujrzy zdumione i zawstydzone miny ludzi w roboczych kombinezonach, pośpiesznie schodzących ze swoich drabin. Ale zobaczyła tylko pomarańczowe londyńskie niebo i ogródki na tyłach szeregu domów, wszystko na swoim miejscu. Padał nawet deszcz, w blasku odległych ulicznych latarni dostrzegła jego strugi. Wtedy znów usłyszała tajemniczy dźwięk i odwróciła się na pięcie. Dobiegał z sypialni rodziców.

Przeszła przez swój pokój i zatrzymała się przed drzwiami, otworzyła je w ten swój specjalny sposób, żeby nikt nie słyszał. Wyjrzała na korytarz, drzwi od sypialni rodziców były otwarte. Kiedy znów rozległ się ten odgłos, był głośniejszy i wyraźniejszy. Wyszła i na palcach ruszyła po wykładzinie korytarza, ominęła skrzypiącą deskę. Przystanęła przed drzwiami i po chwili uchyliła je nieco szerzej. Dostrzegła zarys człowieka leżącego w łóżku po stronie matki. Po drugiej stronie nikogo nie było. Ojciec odszedł. Źródłem dziwnych odgłosów była jej mama, brzmiało to tak, jakby poduszką usiłowała stłumić czkawkę.

Clemmie po cichu weszła na palcach w głąb pokoju i podeszła do łóżka od strony matki, która leżała obrócona przodem do niej, ale nie mogła jej widzieć, ponieważ z całej siły przyciskała do twarzy poduszkę i dygotała na całym ciele, jakby się śmiała. Ale to nie był śmiech, Clemmie od razu się zorientowała. Lecz jeszcze nigdy dotąd nie widziała matki płaczącej, więc przez chwilę stała, przyglądając jej się. Powoli zaczynało do niej docierać, że to nie jest żaden kawał, wszystko dzieje się naprawdę. Podniosła brzeg kołdry i wsunęła się do łóżka, wciskając się pod poduszkę, przez co szloch jej matki stał się głośniejszy, a ona poczuła na szyi wilgoć łez. Objęła matkę rękoma tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć, a mama przytuliła ją do siebie, i to tak mocno, że w innej sytuacji pewnie by ją zabołało.

– Damy sobie radę. Damy sobie radę – powtórzyła Clemmie, choć sama się zastanawiała, czy to prawda.

Wsunęła więc kciuk do ust, zaskoczona, że tym razem matka nawet nie próbuje go jej wyciągnąć.

Wiatr z północnego wschodu wiał ze stałą siłą sześciu stopni i jacht szybko mknął po wodzie. Płynęli z wiatrem, fale doganiały ich od rufy, a sunąc po nich, nabierali dodatkowej prędkości, na pełnych żaglach z odchylonymi na boki żaglami, z grotem na prawej burcie, a genuą z lewej. Johnny wcześniej postawił spinaker, który teraz nad dziobem utworzył olbrzymią, wypełnioną wiatrem czerwono-zieloną czaszę. Ale teraz słońce ześliznęło się po niebie i dało nura pod fale, zostawiając niebo pod nadzorem gwiazd. Chmury gnały po nim, nisko i szybko, przesłaniając je okresowo. Johnny stał przy sterze, wyprostowany, balansując na lekko ugiętych nogach, niemalże tańcząc, jakby jechał na koniu, podczas gdy łódź kołysała się i podskakiwała na falach. Spoglądał to na kompas, to na żagle, bo nic innego nie było widać poza gęstą ciemnością, rozcinaną jedynie smugą księżycowego blasku, umożliwiającą żeglowanie. Wystarczyło więc, że trzymał kierunek, zachowując maksymalną prędkość. Stał tak już od czterech godzin. Trwał w milczeniu, skoncentrowany, skupiony wyłącznie na wietrze i na Clem, która cały czas siedziała przy nim. Wiedziała już o wszystkim. To znaczy wiedziała to, co on wiedział.

Stała oparta plecami o drzwi kajuty, gdy próbował jej tłumaczyć to, czego sam nie rozumiał, że Annie wcale nie jest taka, jak mogłoby się wydawać, lecz niezrównoważona psychicznie, sądząc po wszystkich jej oskarżeniach wobec Franka. Przytoczył jego określenia: patologiczna kłamczucha, szalona kryminalistka. Powiedział o branych przez nią lekach i pobytach w ośrodkach zamkniętych. Powtarzał przy tym, że nie ma się czym martwić, bo niedługo zejda na ląd i rozstaną się z tymi ludźmi. A ona słuchała tego wszystkiego, pobladła i zaszokowana, aż odniósł wrażenie, że coś z niej uleciało, coś subtelnego, czego nawet nie umiał bliżej określić. Jakby trwała dotąd w półmroku, bo ktoś przesłonił jej światło.

Mniej więcej godzinę zajęło jej, żeby się otrząsnąć i usiąść na dziobie, popatrzeć na zachód słońca, próbując dojść z tym wszystkim do ładu. Ale sama widziała błyski obłędu w oczach Annie, kiedy popatrzyła jej prosto w twarz. Potem w salonie poczytała Kleks książkę, jak o to prosił Frank, chcąc zatrzymać małą z dala od kajuty dziobowej, w której spała jej matka. Clem ją uczesała, na różne sposoby próbując pocieszyć po stracie Babci gdzieś między skałami, ale gdy sięgała przez stół po następną książkę, drzwi salonu otworzyły się nagle i to, co zobaczyła, na dobre wryło jej się w pamięć – półnaga, oteplona lekami Annie leżała z rozrzuconymi nogami na łóżku, ze spojrzeniem wielkich zmętniałych oczu utkwionych w niej, ale nawet jej nie widziała, pogrążona w jakimś odległym prywatnym świecie, z czerwoną od krwi głęboką raną na lewym nadgarstku, połyskującą w ohydny półmroku nocnej lampki. Ten widok zmroził Clem do szpiku kości. Frank stał przy żonie, rozcinał bandaż, w zębach trzymał fiolkę z jakimiś tabletkami. Obejrzał się w jej kierunku i pospiesznie zamknął drzwi.

Clem stała jeszcze przez jakiś czas, zachodząc w głowę, jakim sposobem mogło się zdarzyć coś takiego, z jakich powodów wszystko się popsuło, co działo się w umyśle Annie, co pchnęło ją do takiego czynu. Ale przede wszystkim nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt jej o niczym nie powiedział, dlaczego nikt nawet nie próbował jej pomóc, dlaczego jak zawsze to właśnie ona dowiadywała się prawdy na końcu.

Dlatego siedziała w milczeniu z Johnnym w sterówce, szczelnie opatulona pledem nocy. Jedynymi towarzyszącymi im dźwiękami był łomot fal rozbijających się o burty i jednostajny szum, z jakim rozcinali powierzchnię morza. Patrzyła, jak on steruje, bez przerwy zerkając w ciemność za lewą burtą. Wiedziała, że wypatruje oznak cywilizacji, których i ona szukała wzrokiem.

– To nie nasz problem, Clem – powtórzył po raz kolejny, jakby go ciągle o to pytała, po czym usiadł obok niej i przypalił papierosa. Zdawała sobie sprawę, jak trudne musiał przeżyć chwile, gdy zastał Annie leżącą w kałuży krwi.

– Wynosimy się stąd. Spadamy z tego jachtu, gdy tylko będzie to możliwe. Jak tylko zobaczą światła jakichś zabudowań, skręcam do brzegu. – Nawet mówiąc to, spoglądał w stronę niewidocznego brzegu, ale tam nie było żadnych świateł, tylko ciemny niewyraźny zarys lądu i pojawiającego się nad nim księżyc.

– Czy na pewno powinniśmy właśnie tak zrobić, Johnny?

– Do czego zmierzasz, pytając, czy powinniśmy?

– Czy na pewno musimy ich zostawić właśnie teraz?

– Bo co?

Przez dziurę w chmurach wyłonił się księżyc i zalał jego twarz srebrzystym blaskiem, oświetlając głęboką bruzdę między jego zmarszczonymi brwiami. Wyglądał inaczej, starzej.

– Nie powinniśmy zaczekać, aż Annie poczuje się lepiej? To byłoby nie fair wobec Franka i Kleks.

– Clem – rzekł, patrząc jej w oczy. – Schodzimy na ląd.

To było bezdyskusyjne. Nawet jej nie zapytał, czy ona tego chce, co o tym myśli. Jej zdanie się nie liczyło. Odwróciła głowę i popatrzyła na księżyc.

Niedługo później Frank wyszedł na pokład. Otworzył drzwi sterówki i stanął w nich, ubrany w gruby sweter i sztormiak. Wyglądał na zmęczonego. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Sama włożyła sztormiak na sweter. A on usiadł naprzeciwko niej i zamrugał szybko, żeby oswoić wzrok z ciemnością.

– Zasnęła – powiedział.

Po chwili Johnny poprosił Clem, żeby przejęła ster, utrzymała obecny kurs i nie oddalała się od wybrzeża, bo on musi spojrzeć na mapę. Poczuła, że ma lodowate palce, kiedy brała rumpel z jego rąk. Był zziębnięty, dzwonił zębami. Popatrzyła za nim, jak schodzi pod pokład, balansując kołysanie jachtu, i zamyka za sobą drzwi sterówki.

Nie była sam na sam z Frankiem od czasu pobytu na plaży i zastanawiała się, co

mogłaby powiedzieć człowiekowi, którego żona właśnie próbowała popełnić samobójstwo.

– Tak mi przykro, Frank – wydusiła w końcu z siebie, choć i tak nie była pewna, czy ją usłyszał. Nawet się nie poruszył, zapatrzony w horyzont.

– Tak... – odezwał się po dłuższej przerwie, jakby sam próbował się w tym wszystkim pobbierać. – Do tej pory nigdy nie rozcinała się aż tak głęboko.

Clem chciała zapytać, jak wyglądały wcześniejsze samookaleczenia Annie, ale uznała, że to makabryczne pytanie. Nic nie przychodziło jej do głowy. Przed oczami wciąż miała to straszliwe rozcięcie na rękę, krew połyskującą w świetle nocnej lampki i te zamglone oczy wpatrzone w głąb innego świata.

– Ciągłe nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiła...

Kiedy odwrócił się i spojrzał na nią, od razu poczuła się lepiej, jakby wiele rzeczy nabierało sensu, gdy na nią patrzył.

– Ironia losu polega na tym, że kiedy się potnie, czuje się bliżej życia.

Próbowała to pojąć, ale uznała, że to bzdura.

– Przecież jest tak pełna życia, taka szczęśliwa... Ma wszystko, za co inni ludzie gotowi byliby umrzeć... – Urwała nagle, gdy uświadomiła sobie, jak niefortunnie zabrzmiało to ostatnie stwierdzenie.

Zapatrzył się na wodę, na rozkołysaną srebrzystą smugę wskazującą kierunek do księżyca.

– Tyle że nie chodzi o to, jakimi pozorami się człowiek otacza – odparł, rozprostowując nieco nogi.

Clem spojrzała na żagle. Chciała mu wierzyć.

– To musi być trudne – powiedziała, gdyż to nie ulegało wątpliwości. Uśmiechnął się lekko, a w jej serce wstąpiła nadzieja. – Jeśli naprawdę uznała, że ty i Kleks dacie sobie lepiej radę bez niej, to naprawdę musi być szalona.

– No cóż... Wszyscy tak mówią.

– Ale jest w błędzie.

Znow się uśmiechnął, ale trochę sztucznie.

– Znowu to samo, Clem, z podziałem na rzeczy słuszne i niesłuszne.

Wybrała trochę grotu, choć nie wiedziała, czy to konieczne, bo w rzeczywistości tylko naśladowała Johnny'ego, ale był to dobry sposób na ukrycie swoich uczuć. Annie myliła się. Kleks i Frank nie mogli sobie lepiej poradzić bez niej. Powinien to otwarcie przyznać. Niekiedy takie kategoryczne osądy były konieczne.

Płynęli w milczeniu, monotonicznie przeskakując z jednej fali na drugą. Frank usadowił się wygodnie, rozłożył szeroko ręce, żeby się przytrzymać, a rozstawione nogi oparł na przeciwległej ławce i zamyślił się głęboko.

– Czy wiesz, że w najstarszych kulturach uważano samobójstwo za całkowicie

honorowy sposób zakończenia nieznośnej egzystencji?

Tego nie wiedziała, ale ucieszyła się, że przemówił. Jego głos normował sytuację. Czasami miała ochotę posłuchać tylko jego brzmienia, gdy tłumaczył jej różne rzeczy, uczył ją, nakazywał inaczej patrzeć na wiele spraw, koncentrować się na celowości działań.

– Wtedy nikt nie próbował w żaden sposób oceniać tego typu śmierci – rzekł, znów zapatrzony w morze. Było jasne, że czuje się znacznie lepiej, mówiąc o etyce samobójstwa niż o rozpacz, która pchnęła Annie do tego czynu. – Przed Sokratesem nikt nie kwestionował moralnych podstaw samobójstwa.

– Nie twierdzę, że samobójstwo samo w sobie jest złe – powiedziała, chcąc się włączyć w jego tok rozumowania, żeby mu pomóc. – Zawarliśmy kiedyś z Johnnym pakt, że gdy u któregoś z nas zostanie zdiagnozowana nieuleczalna choroba, wsiądziemy do samochodu i rozwalimy się razem. – Teraz ten pomysł wydawał jej się trochę śmieszny, już nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Podejrzewała, że Frank uzna to za dziecinadę.

– Czemu nie? – zapytał, jakby było mu wszystko jedno w tej kwestii. – Samobójstwo jest całkiem szlachetną alternatywą cierpienia.

Zapatrzyła się na niego. Nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego po tym, co się stało na jachcie.

– A co by było, gdyby jej się udało? Nadal byś tak twierdził?

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Nie sądzę, aby chciała, żeby jej się udało.

– Lecz gdyby Johnny nie podpłynął do jachtu...

– Wiedziała, że ktoś po nią przyplynie. To było swoiste wołanie o pomoc.

Czasami jego obiektywizm graniczył z bezdusnością.

– Tylko dlaczego wołała o pomoc?

– A dlaczego każdy z nas oczekuje pomocy? Bo szukamy pocieszenia.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby on oczekiwał pomocy. Mógłby szukać pocieszenia wyłącznie u kogoś naprawdę niezwykłego, chciałaby być tego świadkiem. Dobrze byłoby go zobaczyć w chwili słabości, kiedy będzie kogoś potrzebował. Na przykład jej. Sięgnął do kieszeni i wystukał z paczki papierosa. Pochylił się, żeby go przypalić, osłaniając dłońmi płomyk od wiatru. Następnie wyciągnął zapalony papierosa w jej kierunku. Podobał jej się ten gest. Wzięła od niego papierosa, zwracając uwagę, że ma ciepłe dłonie. Obrócił się na ławce twarzą do niej. Aż poczuła gęsią skórkę na ręku od tego przelotnego dotyku.

– Podejrzewam, że teraz szybko zejdziecie na ląd – powiedział miękko, takim tonem, że serce od razu zabiło jej mocniej, a w głowie zaświtała myśl, że może właśnie ma do czynienia z jego wołaniem o pomoc. Zaciągnęła się dymem.

– Johnny'emu na tym zależy.

Pokiwał głową ze wzrokiem utkwionym w swoich dłoniach. Dobrze wiedziała, że to niestosowne, gdy jego żona leży pod pokładem z rozciętym nadgarstkiem, nie mogła jednak

zapomnieć wrażenia z kontaktu z jego ręką, wspomnienia tych grubych, delikatnych palców wewnątrz niej, jego dotyku, dopasowania się do jej rytmu, głębokiej penetracji. Aż poprawiła się na siedzeniu przy rumplu. Poczwała, że krew zaczyna jej szybciej krążyć, a sutki nabrzmiwiają.

– A ty, Clemency? Na czym tobie zależy?

Nikt nie nazywał jej pełnym imieniem. Odebrała to jako przejaw bliskości. Kiedy przeszył ją wzrokiem, poczuła się jak rażona prądem, który spłynął po jej ciele między nogi.

– No więc? – zagadnął.

– Chyba wolałabym zostać dłużej.

Otworzyły się drzwi sterówki. Johnny przyniósł kubeczki z kawą i małą butelkę brandy. W jednej chwili stał się uczestnikiem odczuwanej przez nią bliskości.

– Johnny – odezwał się Frank, patrząc, jak on od razu spojrział w kierunku brzegu, wypatrując drogi ucieczki. – Będzie mi was bardzo brakowało, gdy zejdziecie na ląd.

– Znajdziesz sobie inną parę do swoich rozrywek – odparł Johnny, przejmując z powrotem ster od Clem i spoglądając na kompas.

Pożałowała, że to powiedział. Mierziła ją myśl, że tak łatwo mógłby ich zastąpić ktoś inny.

– Nie sądzę, żebyśmy w najbliższym czasie szukali rozrywek – odrzekł Frank. – Zwłaszcza po tym, co się stało. A przecież nawet wam nie mówiłem o tej parze z Australii, którą gościliśmy na pokładzie...

– Co to była za para? – zacięła się Clem, która już nie lubiła tych ludzi.

– Kiedy byliśmy u wybrzeży dawnej Jugosławii, gdzieś w okolicy Dubrownika, zaprosiliśmy bardzo miłą parę na grilla. Zszedłem do kajuty po kolejną butelkę, a gdy wróciłem, Annie stała przy grillu ze szpikulcem i nożem w ręku, a nasi goście siedzieli ściśnięci przy relingu, oboje bladzi jak ściana... – Zaśmiał się krótko. – Okazało się, że im powiedziała, że zabiłem jej matkę, poćwiartowałem zwłoki i wepchnąłem do zamrażarki.

Johnny i Clem także zareagowali śmiechem, biorąc z niego przykład, ale ich śmiech nie był całkiem naturalny. Bo opowieść nie była zabawna. Tylko całkiem popieprzona. Butelka brandy w milczeniu przechodziła z rąk do rąk, co nabrało charakteru rytuału, jakby próbowali sobie nawzajem przyjść z pomocą. Wkrótce nieregularne kołysanie łodzi przyprawiło wszystkich o senność niosącą w końcu wytchnienie po burzliwych wydarzeniach dnia, zmuszając do skoncentrowania się na bieżącej chwili, na unoszeniu się i opadaniu wraz z nieprzewidywalnym rytmem uderzeń fal, do obecności w powietrzu rozbryzgów słonej wody i jednostajnego wiatru wiejącego od rufy.

Z czasem atmosfera na pokładzie zaczęła się zmieniać. Blask księżyca jak gdyby rozegnał chmury i teraz zalewał ich srebrzystą bielą, w której wszystkie koszmary dnia zaczynały się odsuwać dalej od świadomości i gromadziły w jakimś mrocznym zakamarku w miarę pokonywania dystansu. Fale stawały się coraz wyższe, więc dziób jachtu wznosił się coraz wyżej ku niebu i z coraz głośniejszym hukiem opadał między fale, jeszcze

bardziej je rozdzielając i posyłając na pokład kropelki wody strzelające w górę pióropuszcami niczym sztuczne ognie. Tak więc „Mała Utopia” podskakiwała niczym żrebak pędzący na nowe pastwiska, a jej załoga zaczynała już pokrzykiwać z każdym mocniejszym upadkiem między srebrzyste bruzdy morza, ale pędziła przed siebie jak na grzbiecie tego żrebaka, czy raczej oszalałej bestii, podskakując i opadając razem z nią, wiwatując wraz ze wzrostem prędkości, z głowami odchylonymi do tyłu, śmiejąc się gromko po każdej porcji słonej wody pryskającej im na twarze. Wkrótce tylko absurdalność ich krótkich żywotów stała się jedynym znaczącym elementem w tym rejsie.

Niemniej powietrze było przesycone elektrycznością, wręcz brzęczało z podniecenia wokół nich. Johnny czuł, jak rozładowuje się z trzaskami w jego sąsiedztwie. Nawet woda połyskiwała fosforescencyjnie, rozświetlała noc dziwnym poblaskiem i aż syczała w pobliżu łodzi. Doskonale czuł, jak ta napięta chwila, przesycona tym ułamkiem sekundy i całkiem niewrażliwa na przeszłość i przyszłość, zsyła na niego wyjątkową empatię dla Franka i Annie za wszystko, przez co przeszli. Całe szaleństwo tego dnia dobiegło końca, Kleks spała bezpiecznie pod pokładem i choć Johnny martwił się cierpieniami Annie naszprycowanej jakimiś środkami i śpiącej pod pokładem, to również cieszył się, że we trójkę mogą siedzieć na pokładzie i cieszyć się życiem. Był nim wręcz upojony. Widział Annie balansującą na tej cienkiej granicy między życiem a śmiercią i uważał, że wspólnie zdołali odegnąć śmierć. A to należało uczcić. Kiedy czuł krew krążącą szybciej w jego żyłach i wiatr wiejący mu stale w plecy, sam sobie wydawał się chwilowo niezwykcieżony.

Ale później, gdy szaleństwo przycichło, a nikt nie był jeszcze zmęczony, nikt się też nie spieszył do zejścia pod pokład. Dużo lepiej było tu, na świeżym, rześkim powietrzu. Clem wodziła wzrokiem po różniących się tylko odcieniem ciemności morzu, wybrzeżu oraz niebie i próbowała zwalczyć w sobie niechęć wywołaną myślą, że miałyby zejść na ląd, opuścić „Małą Utopię”. Wcale nie była pewna, czy jest na to gotowa, nie była pewna, czy da sobie radę, gdy znów zostaną tylko we dwoje. W końcu przypominali już rodzinę, tworzyli zgrany zespół. Kiedy pomyślała, że Frank, Annie i Kleks będą musieli popłynąć dalej bez nich, zastanowiła się, czy dadzą radę znaleźć sobie innych ludzi do końca rejsu. Nie wyobrażała tego sobie. Zupełnie zapomniała o innych ludziach, o całym świecie, tak jakby poza ich piątką nikt inny w ogóle nie istniał. Musieli poczekać, aż Annie poczuje się lepiej; Johnny powinien to zrozumieć.

– Co się przydarzyło Annie, Frank? – zapytała.

– Niedługo wstanie świt – wtrącił Johnny, który nie chciał rozmawiać o Annie.

Czy ten temat nie mógł chwilowo poczekać, rozmyślał, choćby przez parę dni, przez tydzień, kiedy on i Clem znajdą się już na drugim końcu Turcji? Wtedy będzie można o tym rozmawiać. Ale na razie nie mogli po prostu zachować milczenia?

Frank westchnął ciężko, jakby głęboko się zastanawiał, co odpowiedzieć.

– Niektórzy ludzie muszą po prostu dźwigać cięższy krzyż od pozostałych.

– Biedna Annie – odrzekła Clem. – Żeby mieć takiego potwora za ojca...

– To był zagubiony człowiek – wyjaśnił ze smutkiem Frank. – Co miałbym jeszcze dodać? Ona go jednak uwielbiała. Twierdziła stanowczo, że przez lata, jeszcze w

dzieciństwie, uważała, że ma idealne życie.

– Jak, do pioruna, mogła mówić coś takiego? – zapytała Clem.

– Tak, wiem, że to coś niezwykłego, ale używała dokładnie tego określenia: idealne. Z jej punktu widzenia problemy zaczęły się dopiero wtedy, gdy miała około ośmiu lat i jej siostra nieopatrznie powiedziała coś w szkole, przez co zaczęli ich nachodzić ludzie z opieki społecznej. Wtedy po raz pierwszy dotarło do Annie, że nie powinna żywić względem ojca takich uczuć, jakie żywiła. Powinna się uznać za ofiarę, a jego postępowanie zakwalifikować jako molestowanie. Wszyscy dokoła powtarzali: to zły człowiek.

– Bo przecież był złym człowiekiem. Poddał ją zwykłemu praniu mózgu – odezwała się Clem.

– Ale ją najbardziej martwiło słowo „molestowanie” – powiedział Frank jak zwykle obojętnym tonem – ze wszystkimi jego konotacjami wiążącymi się z bólem i cierpieniem, podczas gdy ona odczuwała jedynie miłość i rozkosz.

– To jest pokręcone – mruknęła Clem.

Uśmiechnął się do niej i skinął głową.

– Niezależnie od wszystkiego, ona tak to właśnie odbierała. Ale miała świadomość, mimo młodego wieku, że pod względem moralnym i społecznym nie przysługuje jej prawo wypowiedania się w tych sprawach. Uznawano je za niedopuszczalne. Nauczyła się więc zachowywać milczenie i odczuwać winę z powodu swoich uczuć. Czuliła się inna, jak ktoś z marginesu. Co gorsza, zaliczyła się do zboczonych. Ale opieka społeczna rozdzieliła ją z siostrą i umieściła obie w różnych sierocińcach z dala od człowieka, którego kochały. Oczywiście wszystko dla ich dobra, chociaż one nie odbierały tego w ten sposób.

– Biedna Annie – wtrąciła Clem.

– Podejrzewam, że właśnie wtedy rozbudziła w sobie nienawiść do całego świata.

– Swoją drogą, to ciekawe – podjęła Clem. – Nigdy nie pomyślałabym w ten sposób. Wiem, że w niektórych społecznościach kazirodztwo jest jak najbardziej akceptowalne. Na przykład starożytni Egipcjanie zazwyczaj wchodzili w związki ze swoimi braćmi lub siostrami...

Johnny spojrzał na nią. Ta jej nowa, afektowana maniera zaczynała go drażnić, zwłaszcza że jej celem było wyłącznie zrobienie wrażenia na Franku.

– Masz absolutną rację – przyznał, chyba faktycznie zaskoczony. – W rzeczy samej, w kręgach arystokratycznych był to niekwestionowany wymóg.

– Sądziś więc, że wszystko sprowadza się do pytania, co jest modne? – zapytała.

Johnny odniósł wrażenie, że w jego głowie rodzi się zielonooki potwór, bo coraz bardziej brzydziła go ta rozmowa. Odbierał to jako pretensjonalną odmianę gry wstępnej.

– Ojciec Annie ją molestował, niezależnie od jej mieszanych uczuć w tej sprawie – powiedział. – A prawo jest od tego, żeby chronić dzieci. To wszystko.

Odniósł jednak wrażenie, że go nie słuchają.

– Rzeczywiście w naszym społeczeństwie jest niemodne, żeby się nawet odnosić do faktu seksualnego molestowania dzieci – rzekł Frank, jak zwykle z pełną pogardą dla społeczeństwa. – I to nawet bardziej niż jeszcze pięćdziesiąt lat temu. Już Huxley nawiązywał do tego w swoim *Nowym wspaniałym świecie*. Bo jego nieletnie dzieci brały udział w specjalnie rozpisanych na role zabawach erotycznych. Czytałaś o tym?

Clem zdjęła z wargi okruch tytoniu i położyła prawą stopę na ławce z lewej burty. Johnny wiedział, że nigdy nie słyszała o *Nowym wspaniałym świecie*.

– Opisał istotę zagadnienia. Temat seksualności dzieci jest współczesnym tabu. Jesteśmy nim absolutnie przerażeni. Zawsze podziwiałem szczerość, z jaką Annie mówiła o swoich doświadczeniach. Czy na pewno musimy sprawiać, żeby dzieci czuły się w dwójnasób winne czerpania przyjemności z tych doświadczeń? Uważam, że nie. Moim zdaniem to społeczeństwo wymusza na dzieciach, żeby reagowały w ten sposób.

– Społeczeństwo nie obarcza winą dzieci, tylko zwyrodnialców, którzy je wykorzystują – powiedział Johnny, wpatrując się w brzeg, kiedy mijali kolejną tonącą w ciemności zatoczkę. I tu nie było żadnych świateł, czuł się coraz bardziej rozzarowany.

– To prawda, ale ignoruje dziecko. Freud był przekonany, że każde dziecko jest zakochane w rodzicu przeciwnej płci i zazdrości seksualnych rozkoszy rodzicowi tej samej płci – odrzekł Frank, wystukując z paczki kolejnego papierosa.

– Wątpię, żeby tak było – wtrąciła Clem, a Johnny’emu nie spodobało się, jak żywo okazuje zainteresowanie tematem, energicznie gestykulując, jakby miała dużo więcej do powiedzenia w tej sprawie.

– Ty nigdy w dzieciństwie nie czułeś seksualnej zazdrości, Johnny? – zapytał Frank.

– Nie – odparł, wodząc wzrokiem po górach, które teraz wyglądały jak zębata czarna ściana w szarawym blasku wstającego za nimi świtu. Nie miał ochoty uwzględniać w tej rozmowie ani teże zazdrości, ani swojej matki.

– Takie uczucia są całkowicie naturalne – ciągnął Frank. – Mamy na to nawet specjalne określenia. Mówimy o małych księżniczkach, córeczkach tatusia...

Zapatrzył się na Clem, która odruchowo uciekła spojrzeniem w stronę gór, zaskoczona niespodziewanym zażenowaniem z tego powodu, że sama kiedyś była córeczką tatusia. Co gorsza, oceniając z perspektywy czasu tabu kazirodztwa, musiała przyznać, że odczuwa podniecenie na myśl o możliwości uprawiania seksu przez rodzeństwo. Zawsze chciała mieć przystojnego starszego brata, oczywiście nie po to, żeby się z nim kochać, tylko po to, żeby jej koleżanki o tym marzyły, co nie było tak całkiem innym uczuciem. Przez Franka nie mogła się opędzić od myśli, że dotąd nie była do końca szczerą ze sobą i w pełni akceptuje proces badania ciemniejszej strony ludzkiej natury. Frank z lekkim uśmiechem podał jej butelkę brandy.

– Możesz nam powiedzieć, co ci się podoba na tej łodzi, Clem. Nie zamierzamy cię oceniać.

Zerknęła na Johnny’ego, bo jeszcze przez chwilę się wahała.

– Od strony czysto technicznej ty także padłeś ofiarą molestowania – rzekła, odwracając

się do niego, przede wszystkim dlatego, że nie chciała jako jedyna czuć się winna.

Spojrzał na nią zdumiony.

– O czym ty mówisz?

– Byłeś molestowany – powtórzyła. – Jako czternastolatek miałeś kontakty seksualne z trzydziestopięciolatką.

Johnny zaśmiał się i popatrzył na żagle.

– To nie było molestowanie, tylko czysta przyjemność!

– Otóż to! – wtrącił Frank, unosząc palec. Czubek jego papierosa zajaśniał tak, jakby chciał wyssać z niego całe życie. – Dotykamy mrocznej sprawy wyznaczania granic: przyjemność czy molestowanie?

Jacht podskoczył na większej fali i wszystkich zmoczyła wielka fontanna wody, której grube krople wylądowały na pokładzie jak szrapnele, ale nikt nie zaklął, nikt się nawet nie wzdrygnął.

Clemmie znalazła zwykłą białą kopertę na wycieracze, kiedy wróciła ze szkoły do domu. List był zaadresowany ukośnym, nierównym pismem do panny Clemency Bailey. Serce zabiło jej mocniej, gdyż nigdy wcześniej nie dostawała listów, nie licząc kartek z życzeniami urodzinowymi. Schyliła się i podniosła kopertę z nienagannie czystej wycieraczki. Obejrzała ją dokładnie. Autor poprawił swój błąd, przepisał e na y na końcu imienia Clemency. Było to dość oczywiste dla kogoś, kto jej nie znał, więc tym bardziej poczuła się podekscytowana. Powąchała kopertę, mając nadzieję znaleźć jakiś klucz. Pachniał ważnymi rzeczami.

Weszła z nim do kuchni, usiadła przy stole i zapatrzyła się nań, chcąc się jak najdłużej nacieszyć tą cudowną niepewnością. Przyszło jej do głowy, żeby zaczekać na powrót matki z pracy, co powinno nastąpić mniej więcej za godzinę, uznała więc, że za żadne skarby nie wytrzyma aż tak długo. Poszła do pokoju, wzięła z matki biurka nóż do otwierania listów, który kiedyś należał do jej dziadka, ostrożnie rozcięła kopertę i zajrzała do środka. Była w niej gruba lakierowana karta ze złoceniami na brzegach. Powoli wysunęła ją z koperty.

Na szczycie karty jej imię i nazwisko było wypisane tym samym zamaszystym ukośnym charakterem, ale tu już z niepoprawionym błędem w imieniu. Pośrodku piękną ozdobną czcionką był wydrukowany tekst: James i Elizabeth zapraszają cię w sobotę, 27 lipca, do kościoła Świętego Michała na chrzciny Petera Arthura Stevena Todd-Baileya, po których odbędzie się przyjęcie w domu.

W pierwszej chwili pomyślała, że to pomyłka, bo nie znała żadnego Jamesa ani Elizabeth, a tym bardziej Petera Arthura. Ale zaraz sobie przypomniała i ucieszyła się, że Peter zostanie pobłogosławiony i oddany pod opiekę Boga, czego ona nie zaznała. Ale poza tym wszystko na tej karcie wprawiło ją w rozterkę. James powinien występować jako Jim, Elizabeth powinna być jej mamą, Jackie, a Petera w ogóle nie powinno być na tym świecie. Ale najbardziej podziałało na nią określenie „w domu”. Bo wynikało stąd, że on miał już nowy dom, a ona jeszcze nawet go nie widziała, nawet nie była w jego pobliżu.

Mogła więc uznać, że została zepchnięta na lodowaty margines jego życia, podczas gdy jeszcze niedawno była w samym jego przytulnym sercu.

Przejęła się myślą, że miałyby pokazać to zaproszenie matce. Nie chciała, żeby ona spostrzegła, że on już zapomniał, jak się pisze jej imię. Nie chciała pogłębiać jej rozczarowania, toteż przez dwa dni trzymała list pod poduszką i zaglądała do koperty tylko po nocach. Szybko nauczyła się treści zaproszenia na pamięć, łącznie z adresem oraz wszystkimi imionami przyrodniego braciszka. Ale trzeciego dnia specjalnie zostawiła kopertę na wierzchu, żeby matka ją zauważyła. Wiedziała, że tak się stało, bo szykowała pranie, czyniąc mnóstwo hałasu, a potem zapadła cisza i wreszcie matka krzyknęła z wściekłością, roztrzaskując szklanekę o podłogę, że Peter jest już za duży, żeby go ochrzcić. Siedziała wtedy nad pracą domową z matematyki. Ale od razu skojarzyła, że Liz była w ciąży, kiedy ojciec od nich odchodził. I dobrze wiedziała, że zostawił ją dla małego synka, którego wcześniej nawet nie widział na oczy.

Z lojalności wobec matki zaczęła udawać, że wcale nie chce iść na ten chrzest. Ale w rzeczywistości chciała. Zależało jej, żeby zobaczyć, jak ojciec teraz mieszka. No i chciała zobaczyć Petera, którego dotąd widziała tylko raz, jako niemowlę w szpitalu, które zabrudziło na czarno całą pieluchę. Poza tym, chociaż nie mogła się do tego przyznać przed matką, chciała się spotkać z Liz. Miała nadzieję, że Liz ją polubi i uwzględni w swoich planach życiowych. Odczuwała wyrzuty sumienia z powodu skrytych marzeń o tym, że któregoś dnia przeprowadzi się do nich i dalej będą szczęśliwi jako rodzina, a ona przyda się w ich domu i stanie się powszechnie lubiana. Ale jedna rzecz ją martwiła: zaczynała już zapominać, jak wygląda jej ojciec, gdyż z powodu nawału obowiązków w nowej pracy oraz przyjscia na świat synka nie widział się z nią już od półtora roku. Przysyłał jej kartki świąteczne i urodzinowe, rozmawiała z nim przez telefon, ale jakoś nie mogli znaleźć terminu spotkania dogodnego dla obu stron z powodu jej zajęć w szkole i ich wakacyjnych wyjazdów za granicę. Pamiętała tylko jego oczy i usta, ale reszta sylwetki była dla niej niewyraźna, pewnie dlatego, że na jedynym zdjęciu, jakie jej po nim zostało, zasłaniał sobie ręką pół twarzy.

Poza tym wszystkim był jeszcze jeden ważny powód, dla którego chciała pojechać na chrzciny: mama Sarah, pani Love, powiedziała, że może zabrać Clemmie w drodze do Kornwalii, więc jeśli Jackie chce, Clemmie będzie mogła pojechać z nimi, żeby ona zyskała trochę czasu dla siebie. Dokładnie takie zdanie padło w rozmowie telefonicznej, którą Clemmie podsłuchiwała przez drugi aparat na piętrze. W dodatku matki organizowały się na przyjęcie urodzinowe Donny, kiedy padła ta propozycja. Clemmie o mało nie pisnęła z radości, aż musiała dłonią zakryć usta. Ponad wszystko pragnęła pojechać do Kornwalii z rodziną Sarah, tym bardziej, że nie zmoczyła już łóżka prawie od miesiąca. No i kochała wszystko u państwa Love. Byli bardzo źle zorganizowani, ale szczęśliwi. Potrafili poświęcić cały dzień na rozstrzygnięcie, co należy kupić w sklepie, siedząc sobie nawzajem na kolanach, popijając herbatę i żartując. I nikt nigdy nie ośmielił się tego nazwać stratą czasu. Ojciec Sarah po całych dniach kręcił się po okolicy z chłopcami na motocyklach albo łodziach – pozwalał im robić, co dusza zapagnie, i kiedyś, gdy Johnny miał dopiero osiem lat, sami przepłynęli jachtem z Newquay wokół Padstow. A mama

Sarah była najfajniejszą mamą w całej szkole, ubierała się na czarno, nosiła pobrzękującą biżuterię i używała w kuchni czosnku. Do tego powiedzonka w rodzaju: „Im więcej, tym weselej” albo „Nie odchodź, nocy!” bądź „Myślę, że możemy tu wcisnąć jeszcze jednego”. Mama Clemmie nosiła zaś wzorzyste suknie w kwiaty, bez przerwy wszystko liczyła i zawsze decydowała, że już wystarczy.

Clemmie sama wsiadła do pociągu jadącego do Bridgwater. Ruszyła dumnym krokiem przez wagony, czując się swobodna i dorosła, z nadzieją, że inne dzieci zauważą jej niezależność. Wtedy po raz pierwszy miała ze sobą torbę podróżną, którą dostała w prezencie od babci, z ukrytym w wewnętrznej kieszeni banknotem jednofuntowym na czarną godzinę. Największą frajdę sprawiło jej stanie w kolejce do bufetu w wagonie restauracyjnym, który odwiedziła czterokrotnie w ciągu pierwszej godziny podróży i wydała całego funta na chipsy, z którymi nie rozstawała się już do końca podróży w tejże kolejce, dzięki której mogła nabierać tyle zestawów plastikowych sztuczków, ile tylko się dało. Dla niej to były pamiątki z wyprawy. Wtedy też uznała, że pociągi są tak doskonałym środkiem transportu, że któregoś dnia będzie musiała się wybrać w podróż dokoła świata wyłącznie pociągami i samolotami. Bo wtedy jeszcze pragnęła zdobyć te torebki z serwetkami nasączonymi perfumami, które ludzie dostawali w samolotach.

Zobaczyła go, zanim on zobaczył ją. Stał na peronie stacji w Bridgwater i przenosił wzrok z jednego wagonu na drugi, jakby miał nadzieję zobaczyć ją za oknem. Na jego widok serce zabiło jej mocniej, bo troska malująca się na jego twarzy świadczyła wyraźnie, że się o nią martwił. Ale kiedy pociąg zwolnił i ujrzała Liz z Peterem u jego boku, od razu poczuła się lekko zawiedziona, miała bowiem nadzieję, że chociaż krótki czas będzie mogła spędzić z ojcem sam na sam.

Wysiadła z pociągu i zobaczyła ulgę na jego twarzy, gdy ją rozpoznał. Wyciągnął do niej rękę i w jednej chwili zapomniała o Liz i Peterze, podbiegła peronem i rzuciła się w jego objęcia. A on poderwał ją w powietrze i uściskał serdecznie, przez co poczuła się tak szczęśliwa, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Zaraz jednak postawił ją z powrotem na ziemi i zaczął operować sloganami w rodzaju: „Ależ z ciebie duża dziewczynka” albo „Strasznie wyrosłaś”, co było sympatyczne, lecz szybko przypomniało im oboje, gdzie się znajdują. Za jego plecami stanęła Liz z małym Peterem w ramionach. Pochyliła się, żeby ją cmoknąć w policzek, obróciła ku niej niemowlę i przemówiła za nie: „Witaj, Clemency. Jak minęła podróż?”, co było na równi zbędne, jak i nierealne.

Kiedy ruszyli do samochodu, przez chwilę miała nadzieję, że ojciec weźmie ją za rękę, ale w jednej trzymał Petera, a w drugiej jej torbę podróżną, toteż musiała iść sama za Todd-Baileysami. Ojciec się zmienił. Już nie przypominał Starsky’ego z filmu. Miał na sobie zwykłe codzienne ciuchy, sportową marynarkę z rodzaju tych, na które da się patrzeć, dopóki wiszą w sklepie na wieszaku, i zabłocone wellingtony. A w samochodzie Liz zaczęła się do niego zwracać per James, a on nawet nie próbował tego korygować, podobnie jak innych rzeczy, toteż w najmniejszym już stopniu nie przypominał dawnego Jima.

Niemniej Clemmie szybko zrozumiała, czemu ojcu spodobała się Liz: nosiła ciężkie traperskie buty, miała proste włosy i uwielbiała nad wszystkim panować. Sama zrobiła

dekoracje w domu na przyjęcie po chrzcie, które składały się z małych białych aniołków przyklejonych do papierowych łańcuchów. Ani trochę nie przejmowała się plamami, które goście robili na dywanie, ani bałaganem, jaki królował na kuchennym stole. Peter przez cały dzień miał buzię umazaną czekoladą, co też za bardzo jej nie ruszało. Próbowwała być przymilna i zadawała Clem mnóstwo pytań, ale nie miała czasu na słuchanie odpowiedzi, bo ciągle musiała wstawać, żeby zabrać Petera do łazienki albo go nakarmić czy też ułożyć wygodnie, jeśli się przekręcił, bądź pomachać mu czymś przed oczami, gdy zaczynał płakać. A kiedy wracała, oczywiście już nie pamiętała, o czym rozmawiała z Clemmie, ta zaś nie czuła się na tyle pewna siebie, żeby na własną rękę podejmować temat. Tak więc ostatecznie zaczęła odpowiadać pojedynczymi słowami.

Później zrobiło się przyjemniej, kiedy poszła ułożyć Petera do snu i Clemmie została w kuchni sama z ojcem szykującym kolację. James gotował dużo lepiej niż Jim. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie widziała Jima przy pracy w kuchni. Jednakże Liz zaczęła nawoływać z podestu schodów o to czy o tamto, toteż on ciągle powtarzał: „Zaczekaj chwilę, Clemmie”, zmuszony do tego, żeby pobiec z butelką mleka, ze śliniakiem albo ze smoczkiem do holu. „O czym to mówiłaś?” – pytał po powrocie, przez co czuła się odrobinę urażona, że nie pamiętał wcześniejszej rozmowy. Zdecydowanie lepiej zrobiło się po kolacji, kiedy Peter zasnął, a oni we trójkę mogli usiąść w saloniku przed włączonym telewizorem, żeby porozmawiać.

Jej ojciec siedział obok Liz na sofie i oboje popijali czerwone wino, a ona siedziała w fotelu naprzeciwko i nie miała nic do picia. Żałowała, że wcześniej od niego nie usiadła obok niej na sofie, bo teraz nie trzymałby jej tak czule za rękę. A jeszcze bardziej wolałaby się przytulić do niego, zwinięta w kłębek. Podejrzewała, że jest już za duża, żeby usiąść mu na kolanach, chociaż uchodziła za najmniejszą dziewczynę w klasie. Po prostu miała nadzieję choćby na jedną chwilę intymności z nim. Tak więc z miejsca na fotelu mogła tylko udawać, że ogląda telewizję, bo naprawdę zerknęła na nich. A on dotykał i głaskał Liz, patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem, który Clemmie jeszcze pamiętała. Czasami w ten sam sposób patrzył kiedyś na nią, więc gdy teraz złowiła to samo spojrzenie utkwione w kims innym, poczuła się zdradzona i odstawiona na boczny tor. Teraz Liz tworzyła mu dom, to było jasne. I chociaż Clemmie była gotowa z pełnym przekonaniem powiedzieć matce, że Liz w najmniejszym stopniu nie jest tak ładna jak ona, świetnie rozumiała, że z punktu widzenia Jima wcale nie chodzi o urodę, tym bardziej więc zrobiło jej się żal matki, która chyba nie miała już nic do powiedzenia w tym układzie. Zwróciła uwagę, że ilekroć wspomniała o matce, ojciec półgłosem wymieniał jakieś uwagi z Liz albo kwitował to uśmiechem czy znaczącym spojrzeniem, przez co odeszła ją całkiem ochota do rozmowy o niej. Zdarzyło się więc kilka razy, że zaczynała coś mówić, ale zaraz urywała w pół zdania, ponieważ większość z jej wypowiedzi musiała dotyczyć także matki.

Liz zaczęła ziewać i Clemmie zyskała nadzieję, że pójdzie do łóżka, a ona będzie wtedy mogła usiąść na sofie obok Jamesa, żeby wziął ją za rękę w ten swój specjalny sposób, pogłaskał po ramieniu i popatrzył jej prosto w oczy z tym samym wyrazem, co kiedyś. Ale Liz nie poszła do łóżka, tylko zamknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu, co Clemmie także chętnie by uczyniła, a on objął ją i zaczął głaskać po ramieniu. Nawet gdy

przedstawiała ojcu najbardziej ekscytujące nowiny o finałach zawodów gimnastycznych, on nadal głaskał ją po ramieniu. Tylko patrzył na Clemmie, lecz kochał Liz.

Dlatego ją znienawidziła.

– Jak wypadły chrzciny? – zapytała mama Sarah następnego dnia, kiedy wyjeżdżali krętą drogą ze wsi ich dużym rodzinnym samochodem.

Clemmie popatrzyła na odbicie jej uśmiechniętej twarzy we wstecznym lusterku, na palce z pierścionkami ułożone na kierownicy i blad różowy lakier na paznokciach. Siedziała z tyłu, na środku, ściśnięta między Sarah i Robem. Nikt inny nie chciał zająć tego miejsca, ale jej ono odpowiadało, bo symbolicznie czuła się w samym środku wszystkiego. Kilka ostatnich godzin przesiedziała przy kuchennym oknie, wypatrując ich, ponieważ się spóźniali, aż naszyły ją obawy, że o niej zapomnieli.

– W porządku – odparła, spoglądając na drogę przed nimi. – Peterowi się nie spodobało, gdy pastor zanurzył go w wodzie.

Był uroczy słoneczny wieczór, ale wcześniej, gdy byli w kościele, padało i teraz spod auta dolatywały syczące odgłosy, gdy przejeżdżali przez kałuże. Sarah wychylała się przez okno, trąc palcami mijane żywopłoty, a Johnny siedział z przodu, ponieważ tata Sarah był już w Kornwalii. Ledwie poznała siedzącego obok niej Roba, który ufarbował sobie włosy na blond i mówił innym głosem.

– Och, to normalka, jaja mu się ścisnęły od zimnej wody – powiedziała Sarah, co nikogo za bardzo nie zdziwiło.

– Dobrze to znam – wtrącił Rob, zaglądając Clemmie w twarz. – A ty zawsze będziesz dziewczyną – dodał takim tonem, jakby to była zniewaga, jakby podobna myśl nawet nie mogła zaświtać jej w głowie.

– A co masz przeciwko dziewczynom, pedziu?

Największe wrażenie na Clemmie zrobiła szybkość reakcji Sarah. Ale w końcu ona miała olbrzymią praktykę. Nawet Johnny wyglądający przez boczne okno zaśmiał się z tej odpowiedzi. Pomyślała, że może któregoś dnia ona i Peter też będą mogli tak żartować. Ale to trudno było sobie wyobrazić.

– Jaka jest ta nowa żona twojego taty? – zapytała ją Sarah.

– Sympatyczna.

– Naprawdę? – zdziwiła się mama Sarah, jakby podejrzewała ją o kłamstwo. Patrzyła na jej odbicie we wstecznym lusterku i uśmiechała się ironicznie. – Możesz śmiało powiedzieć, że jest okropna. Nikomu nie powtórzymy.

Clemmie zachichotała.

– Nie, naprawdę jest sympatyczna.

– Jesteś taka słodziutka, lizaczku.

Mama Sarah zawsze ją tak nazywała. A ona czuła się zaszczycona, że ma przezwisko, bo przez to miała wrażenie, że należy do tej rodziny.

– Jonts, zapomniałam ci powiedzieć – odezwała się mama Sarah. – Dzwoniła Sally.

Pytała, czy mógłbyś posiedzieć z jej dzieckiem w piątek wieczorem, jak wrócimy. Obiecałam jej, że cię zapytam.

– Pewnie, że może – odparł Rob, na co Johnny za siedzeniem wyciągnął rękę do tyłu i rozłożył dwa palce na kształt litery V. Dla Clemmie bracia Sarah byli nieco przerażający przez ten swój chłopięcy, wyzywający sposób bycia.

– Ja mogę posiedzieć – odezwała się Sarah. – Potrzebuję pieniędzy.

Dorastała gładko i bez wysiłku, aż Clemmie pomyślała, że ona też będzie niedługo potrzebować pieniędzy.

– Ja ci dam pięć pensów – powiedział Rob.

– To daj – odrzekła Sarah.

– Najpierw pokaż nam swoje cycuszki.

– Zboczeniec.

– Dam ci sześć pensów – poprawił się Rob.

– Nie.

– Siedem.

– Nie.

Siedząca między nimi Clemmie spoglądała to na jedno, to na drugie, jakby oglądała mecz tenisowy.

– Osiem.

– Rob, nie bądź natrętny – odezwała się mama Sarah, lecz wcale nie była zła ani urażona. Clemmie spojrzała we wsteczne lustro, cały czas się uśmiechała.

– Dziewięć.

– Nie.

– Ostatnia oferta. Dziesięć.

– Dobra, niech będzie – mruknęła Sarah i szybko podniosła brzeg bluzki, odsłaniając jedną niedużą, ledwie zaokrągloną pierś.

Rob spojrział na nią bez zainteresowania.

– prostytutka – skwitował.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Sarah. Clemmie też się śmiała, wciągnięta w ciepłą atmosferę szczęśliwej rodziny.

– A kto to jest prostytutka? – zapytała.

Na chwilę zapadła cisza, po czym wszyscy wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem, tylko ona nie była pewna, z jakiego powodu. Johnny spowaźniał jako pierwszy. Popatrzył na nią z przyjaznym uśmiechem i radosnymi błyskami w tych pogodnych zielonych oczach.

– Zamknijcie się – rzucił swojemu rodzeństwu, nie spuszczając z niej wzroku. – To nieważne, Clemmie. Nie zwracaj uwagi na tego durnia.

Wyprostował się na fotelu i zapatrzył w krajobraz.

Nie było żadnych świateł. Żadnych wiosek. Nastał świt, potem przedpołudnie, a oni wciąż płynęli wzdłuż odludnego pustkowiecia. Tak więc minął cały dzień na żeglowaniu i spaniu, podczas gdy Annie leżała w dziobowej kajucie z szeroko otwartymi oczami, jakby pogrążona w transie. Mogła być w całkiem innym świecie. Johnny schodził od czasu do czasu pod pokład, doglądając jej, ale nawet się do niego nie odzywała. Leżała nieruchomo na wznak, wpatrzona w skrawek nieba widoczny przez otwarty luk. Próbował do niej dotrzeć, siadał na krawędzi łóżka i opowiadał o wietrze, o tym, że chcą z Clem niedługo zejść na ląd, więc musi odzyskiwać siły, żeby zaopiekować się Kleks, że on nie żywi do niej żadnej urazy, tylko jest mu przykro z powodu jej trudności, ale ona przyjmowała to wszystko bez reakcji, jakby nie obchodziło jej, co się dzieje dokoła. Jedynie kołysanie jachtu obracało ją lekko w jedną albo drugą stronę, ale i to przyjmowała biernie, nawet nie próbując balansować ciałem. Mogłoby się wydawać, że jej dusza odleciała i pozostawiła samo ciało. Była tak obojętna, że nie miał nawet pewności, czy ona go słyszy. Kilka razy po prostu siedział przy niej w milczeniu.

Przesiadywał tak samo godzinami przy łóżku matki pod koniec jej życia. A w końcu nikogo z nich nie było w pokoju, gdy umarła. Jakby specjalnie czekała na tę chwilę, kiedy zostanie sama. Co rozumiałe, cały czas się zastanawiał, czy w ostatnich minutach poczuła lęk, czy przyjęła śmierć ze spokojem. Pocieszał się tym, że były przy niej koty. Siedziały i mruzczały przy jej zimnych zwłokach przez całe dwa dni, dopóki ciała nie zabrali ludzie z zakładu pogrzebowego. Jeden z nich chciał zdjąć kota z łóżka i jego ojciec zareagował tak nietypowo, że aż Johnny się zmieszał. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby ojciec na kogoś krzyknął. Ale mężczyzna musiał być oswojony z podobnymi reakcjami, bo nawet się nie skrzywił. A Johnny z Robem musieli chwycić ojca pod ramiona, bo nogi się pod nim ugięły i zaczął wyc jak dzikie zwierzę, kiedy wynosili ciało matki z pokoju.

Annie chciała umrzeć i to była zasadnicza różnica. W dodatku miała otwarte oczy, szeroko otwarte i wpatrzone w niebo. Za którymś razem ujrzał ze zdumieniem łzę spływającą jej po boku twarzy. Otarł ją i powiedział:

– Wszystko będzie dobrze, Annie.

Wcale nie był tego pewien, ale powiedział tak, bo sama myśl, że mogłoby być inaczej, wydała mu się nie do zniesienia. Kiedy indziej brał ją za rękę i delikatnie ścisnął, lecz ani razu nie poczuł, żeby zareagowała. Frank musiał ją mocno naszprycować jakimiś lekami.

Okazało się, że Kleks jest całkiem oswojona z widokiem matki w takim stanie. Przychodziła i kładła się przy niej, przytulała, śpiewała piosenki albo grała w karty na jej brzuchu, ale szybko się nudziła bądź zaczynała interesować czym innym, wychodziła na pokład, żeby się pobawić w samotności albo posiedzieć przy Johnnym i potrzymać go za rękę. Szczególne wrażenie robił na nim dotyk jej małych paluszków. Jak gdyby wiedziała, że i on niedługo od niej odejdzie. Po części już był nieobecny, jego ratunek leżał na lądzie. W pewnym momencie cmoknęła go w rękę i szepnęła:

– Kocham cię, Johnny.

A jemu aż serce się ścisnęło, lecz szybko odwrócił wzrok, bo przecież naprawdę miał zamiar ją zostawić przy pierwszej okazji.

Zdarzyło się to po południu następnego dnia, kiedy Johnny zobaczył wioskę. Pozostała trójka wpatrywała się właśnie w leżącą na pokładzie i patroszoną dużą rybę. To Frank złowił tuńczyka i zdołał go wyciągnąć na pokład. Oczywiście był to młody tuńczyk, z zaokrąglonym srebrzystym brzuchem i pięknie połyskującymi łuskami. Zaczął się rzucać po całej sterówce i Frank zdzielił go mocno po łbie grubym kijem, toteż wszyscy zebrali się nad nim, spoglądając, jak wykrwawia się, ogłuszony, a jego czerwony ból spływa przez otwór w pawęży do morza. Zabił tuńczyka z wprawą, rozciął brzuch i tymi swoimi wielkimi, niedźwiedziowatymi łapami szybko wyciągnął wnętrzności.

Johnny patrzył w bok i najpierw ujrzał dym nad wzgórzami. Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom, jakby gdzieś w głębi duszy naprawdę podejrzewał, że nic nie pozostało, cywilizacja upadła i zniknęła. Wstał powoli z ławki, sięgnął po lornetkę i skierował na brzeg, gdy dopływali do skraju zatoki. Chwilę później wyszedł na pokład, żeby lepiej widzieć.

– Tak! – zawołał i wszyscy obejrzeni się na niego. – Tam jest wioska!

Aż podskoczył z radości. Zaczął biegać po pokładzie, podskakiwać i krzyżeć. Kleks podbiegła i zaczęła truchtać za nim, niezbyt pewna przyczyny tej radości, ale pragnąca uczestniczyć w zabawie. Także zaczęła podskakiwać. Frank wstał i powoli ruszył w ich kierunku, trzymając się liny sztormowej i podążając za wzrokiem Johnny'ego. Ten wpadł do sterówki, wyszarpnął rumpel z ręki Clem i zmienił kurs, skręcając w głąb zatoki. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Żywi! – zawołał. – O mój Boże! Tam są żywi ludzie!

Brzemie, które tak długo spoczywało na jego ramionach, teraz nagle zniknęło. Poczul się wolnym człowiekiem. Tam był jego ratunek. Clem pozwoliła, żeby wziął ją na ręce, śmiejąc się z jego szaleńczej reakcji. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej euforii.

– Żywi ludzie! – powtórzyła Kleks, wskakując za nim do sterówki. Przytuliła się do Clem. – Dokąd płyniemy, Johnny?

Umilkł i popatrzył na nią, a uśmiech wyraźnie zbladł mu na wargach.

– Clem i ja musimy jechać dalej, Kleks. Musimy jechać dalej.

– Dokąd? – zapytała, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Musimy kontynuować naszą podróż poślubną – odpowiedział, spoglądając na Clem. Wszystko tak się potoczyło, iż oboje zapomnieli, że przecież trwa ich miesiąc miodowy.

Znowu chwycił lornetkę i skierował ją na to ich nowe życie, a po chwili zniknął pod pokładem, żeby po raz kolejny spróbować się rozeznaczyć na starej i niedokładnej mapie, sprawdzić, czy jest na niej zaznaczona ta wioska. Rozpierała go radość, odczuwał przemożną lekkość. Gdyby nie sytuacja na jachcie, pewnie by zagwizdał ze szczęścia. Zamiast tego zaśpiewał gromko tę starą piosenkę Beatlesów mówiącą o zawieszonych w powietrzu słowach przyjaźni, ale zaraz urwał, nie mogąc sobie przypomnieć dalszych słów.

Z przyzwyczajenia nastawił wodę w czajniku. Chciał wypić pożegnalną herbatę. Tak, zamierzał zrobić dla wszystkich słodką herbatę. Chciał wielkodusznie im wybaczyć, skoro odzyskiwał wolność. Rozejrzał się po salonie, odnotowując w myślach wszystkie rzeczy

należące do nich. Wystarczyły dwie minuty, żeby je spakować. Zanucił radośnie, wodząc palcem wskazującym po linii brzegowej na mapie. I wtedy usłyszał cichutki śpiew dochodzący z kajuty. Znieruchomiał jak rażony gromem, dokładnie tak samo, jak tamtej pierwszej nocy między skałami, gdy usłyszał ten niesamowity głos. Podjęła tę samą piosenkę, którą on śpiewał przed chwilą. Tamci na górze tego nie słyszeli, pogrążeni w rozmowie. Kleks się na coś skarżyła.

Johnny powoli wstał i odsunął mapę. Chciał lepiej ją słyszeć. Na palcach przeszedł przez salon i stanął pod drzwiami. Nawet pogrążona we mgle swej rozpaczycy potrafiła śpiewać jak anioł, powoli, wysokim głosem, niemal rozkładając linię melodyczną na czynniki pierwsze i czyniąc ją słabo rozpoznawalną, chociaż perfekcyjnie wybierała poszczególne dźwięki.

Przycisnął ucho do drzwi. Chciał usłyszeć więcej. Nie przeszkodził jej nawet donośny gwizd czajnika stojącego na kuchence. Śpiewała o martwej miłości i oczach pozbawionych wszelkiego wyrazu.

Postanowił jej też zrobić słodką herbatę. Przeszedł do kambuza, nalał wrzątku do aluminiowego dzbanka i zamieszał wrzucone wcześniej torebki herbaty oraz cukier. Nalał dla niej kubeczek i wrócił pod drzwi kajuty. Przekręcił gałkę, pchnął je i wszedł do środka. Wciąż leżała na wznak, nieco ukośnie, ale odwrotnie, głową w stronę dziobu, nadal zapatrzona w luk nad sobą, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ją widział ostatnio, jak gdyby przygotowana do komunii w niebie, nieświadoma jego obecności. Zamknął drzwi za sobą.

– Annie – powiedział cicho i odniósł wrażenie, że zrobiła krótką pauzę w śpiewie. – Przyniosłem ci herbatę. Dopływamy do wioski.

Teraz urwała na dobre, zamrugwała bardzo powoli, odwróciła głowę i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby nie wiedziała, kim jest. Była chorobliwie blada, jej oczy przypominały przezroczyste duże krople wody, blade wargi wypowiadały słowa piosenki...

– Proszę. – Wyciągnął do niej herbatę, ale nie wzięła kubeczka. – Pomogę ci.

Wstawił kubeczek w uchwyt, ostrożnie podciągnął ją ku górze i oparł na spiętrzonych poduszkach. Nie stawiała oporu. Usiadł obok niej i podsunął jej kubeczek do ust.

– Clem i ja schodzimy na ląd, Annie. Musisz wydobrzeć, żeby się zająć Kleks. Musisz.

Zsunął jej pasemko włosów za ucho w czczej próbie przywołania jej do normalności. Przełknęła jednak kilka łyków herbaty, której słodycz i ciepło coś w niej przełamały. Znowu łzy popłynęły jej po twarzy. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nie otarła łez. Tylko odwróciła głowę od niego i wbiła wzrok w ściankę kajuty. Nie wiedział, na co liczył, ale opadły go wyrzuty sumienia, że zostawia ją w takim stanie. Poczł się jak zdrajca. Ale musieli się rozstać. Siedział jeszcze przez chwilę, trzymając rękę na jej ramieniu, w końcu wstał i wyszedł.

Wioska była mała, złożona mniej więcej z dwudziestu domów. Ale na brzegu zatoczki

stał barek o drewnianych ścianach pomalowanych na czerwono, osłoniętych winoroślą zwieszającą się spod dachu. Dla Johnny'ego, który patrzył przez lornetkę, było to najwspanialsze miejsce na ziemi. Wypatrzył też drogę prowadzącą w góry. Wśród mieszkańców ktoś musiał mieć samochód, mógł ich podwieźć. Nad morzem zgromadziła się niewielka grupka mężczyzn przyglądających się „Małej Utopii” wpływającej do zatoki.

Rzucili kotwicę pięćdziesiąt metrów od brzegu i zaczęli się szykować do zejścia na ląd. Dziwnie się czuli w trakcie tych przygotowań do kontaktu z cywilizacją, kiedy się myli i ubierali, szczotkowali włosy i zęby, wkładali buty. Wyglądali i czuli się jak obcy sobie ludzie. Nawet Kleks się ubrała, jakby miała jechać z nimi. Pod czerwoną marynarką kapitana Hooka miała sukienkę i włożyła ciepłe skarpety, ponieważ nie mogła znaleźć swoich butów. Siedziała w salonie i patrzyła, jak pakują torbę podróżną, a gdy zaczęła płakać, Frank zabrał ją na pokład.

Johnny wrzucił kilka swoich rzeczy osobistych na dno torby, Clem starannie zrolowała matę modlitewną, ciasno poskładała śpiwory i upchnęła je w torbie. Kiedy schyliła się po spinkę do włosów, przypomniała sobie o flanelowej myjce. Potem zaczęła zbierać i upychać w bocznych kieszeniach swoje pudełka z różnymi plażowymi skarbami oraz wciskać kamyki do różnych przegródek, wreszcie poszła się pożegnać z Annie. W powietrzu wisiał smutek pełen napięcia. Teraz, gdy nadeszła chwila rozstania, Johnny wzbudził w sobie nawet sympatię do tej starej topornej łajby i dość szczególnej podróży, jaką na niej odbyli, bo w głębi duszy i tak odczuwał nieopisany zachwyt.

Zostawili Annie na jachcie i zasiedli we czwórkę w tendrze, który pomimo korków zatykających dziury powoli nabierał wody. Johnny powiosłował w kierunku brzegu, odczuwając tak wielki przypływ dodatkowych sił, że mógłby wiosłować bez końca. Przed oczyma miał zostającą w tyle „Małą Utopię”, ale i tak wszystkimi zmysłami koncentrował się na lądzie widocznym ponad ramieniem. Clem siedziała na wprost niego. Była tak mocno opalona i włosy miała tak bardzo wyblakłe od słońca, że sprawiała wrażenie, jakby ją ktoś zanurzył w słonecznym blasku. Na kolanach miała czerwoną torbę podróżną i trzymała Kleks za rękę, starając się ją pocieszyć. Obiecywała, że kiedyś się jeszcze spotkają, może w Afryce. Ale małej nie dało się rozbawić, nie chciała płynąć do Afryki, chciała zostać razem z nimi. Nie mogła pogodzić się z myślą o ich odjeździe i Clem, która tuliła ją do siebie, także zaczęła płakać, aż Johnny poczuł wyrzuty sumienia, że nie załatwił tego delikatniej.

Barek stał na skalnej bazie nad plażą, w cieniu kępy drzew. W środku rozstawiono pięć lub sześć drewnianych stołów z ławkami, wzdłuż jednej ściany ciągnął się kontuar, a nad nim obowiązkowo wisiał portret Atatürka. Przed wejściem duży właściciel powitał ich gorąco, z mnóstwem obszernej gestykulacji, serdecznym ściskaniem dłoni i podszczypywaniem policzków Kleks. Dolatujący z kuchni zapach czosnku i smażonej ryby niemalże gryzł w gardle. Turek pomógł im wejść po kamiennych schodkach i doprowadził do stolika. Frank zapowiedział z góry, że nie zostaje we wsi, ale musi uzupełnić zapasy, natomiast Johnny poszedł prosto do baru, żeby znaleźć kierowcę, który by ich podwiózł. Barman bez pytania wystawił kilka wysokich szklaneczek i butelkę raki, po czym na migi pokazał Johnny'emu, żeby wracał do stolika i usiadł razem z Clem i Kleks. Ten jednak

rozejrzał się dokoła. Mężczyźni zdawali się wychodzić z każdej szczeliny, miejsca przy pozostałych stolikach szybko się zapełniały, jakby ich przyjazd był czymś niezwykłym, okazją do świętowania. Dwóch małych chłopców zapatrzyło się na Kleks. Johnny jeszcze nie widział jej w kontakcie z innymi dziećmi, okazała się nadzwyczaj wstydliwa, tuliła Gillę do piersi tak kurczowo, jakby się bała, że zabiorą jej maskotkę. Zaczął rozglądać się dalej ciekawie, zdumiony nadmiarem wrażeń na łądzie – z kuchni dolatywało pobrzękiwanie naczyń, w powietrzu unosił się smakowity aromat pieczeni, ze wszystkich stron otaczali go zaciekawieni ludzie. A wszystkie doznania były bardzo intensywne. Jego zmysły potrzebowały czasu, żeby się dostosować do warunków panujących na łądzie.

Podszedł bliżej, żeby porozmawiać z chłopakiem o twarzy pokrytej trądzikiem, ubranego w T-shirt z napisem „Banana Cool”. Odniósł przy tym wrażenie, że budynek chwieje się na boki, gdyż jego zmysł równowagi także nie mógł się pogodzić z warunkami na łądzie. Chłopak był mniej więcej w jego wieku, choć wyglądał dużo młodziej. Johnny zaczął pokazywać na migi, naśladować ruchy kierownicą samochodu i powtarzać nazwę Datça, starając się ze wszystkich sił wynegocjować podwiezienie do tego najbliższego miasta. Na co chłopak wskazał „Małą Utopię” i kilkakrotnie coś powtórzył, aż Johnny w końcu pojął, że próbuje go przekonać, iż podróż jachtem będzie szybsza i łatwiejsza. Johnny zaśmiał się i pokręcił głową. Nie ma mowy, Banana Cool. Chłopak wzruszył więc ramionami i powiedział, że jego brat po południu może ich zawieźć do Datcy, jeśli naprawdę im na tym zależy, i nie chciał nawet wziąć od Johnny’ego jednej liry. Ten uściśnął mu więc serdecznie dłoń i potrząsnął nią energicznie, jakby dobijał targu. Mogli się rozdzielić, mogli jechać dalej! Przybyli do właściwego miejsca.

Wrócił energicznym krokiem do stolika, przy którym Frank siedział tyłem, pogrążony w rozmowie z Turkami zebranymi przy sąsiednim stole. Barman przyniósł raki i rozlewał do szklaneczek szczodre porcje alkoholu. Clem przyglądała się temu z oczami ukrytymi za ciemnymi okularami, a Kleks tuląca się do niej nie spuszczała wzroku z dwóch chłopców.

– Chodź tu, Johnny – zakomenderował Frank. – Wypijemy po jednym na pożegnanie!

Dwaj chłopcy nagle wybiegli z baru, toteż Kleks ostrożnie zsunęła się z ławki i poszła sprawdzić, dokąd pobiegli.

Johnny nie planował świętować ich rozstania, ale nie miał nic przeciwko wzniesieniu pożegnalnego toastu jako stosownego zakończenia ich wspólnej przygody. I pasowało mu, że wzniosą ten toast raki, symbolicznie zamykając w ten sposób koło ich podróży na pokładzie „Małej Utopii”. Miał wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu od tamtej pierwszej nocy w szalejącej burzy, kiedy oboje z Clem drżeli o swoje życie, ukrywając się między skałami. Usiadł więc, sięgnął po szklaneczkę i stuknął się z Frankiem.

– Za burze z piorunami – rzucił.

– Za burze – odpowiedział Frank razem z Clem.

Raki popłynęła przyjemnie grzejącym strumykiem przez gardło.

– Mówią, że droga przez góry jest kręta i długa – rzekł Frank. – Podróż morzem to tylko jakieś sto mil po minięciu przylądka...

Johnny już to wiedział. Ale nie dbał o to. Uśmiechnął się i uniósł szklaneczkę w

kierunku Banana Cool siedzącego przy barze.

– Cóż, i tak się tu pożegnamy.

Wyciągnął przed siebie nogi i pozwolił, żeby w jego głowie zapanowały niepodzielnie tutejsze hałasy, odgłosy talerzy rozstawianych na stołach, głośnego mieszania w szklankach miętowej herbaty, gwaru rozmów po turecku. W jego uszach wszystkie brzmiały niebiańsko, bo właśnie zaczynał się nowy etap ich podróży. Pociągnął tęgi łyk miejscowej wody ognistej.

Ponad ramieniem Franka pochwycił widok jachtu kołyszącego się na falach i powędrował myślami do leżącej w łóżku Annie, śpiącej czy też gapiącej się w niebo. Zastanawiał się, czy już na zawsze będzie ją miał przed oczami w takim stanie, otumanioną prochami, ze szklistymi oczyma, czy może raczej wróci do wspomnienia tamtego dnia w cieniu drzewa na zboczu wzgórza, wypełnionego graniem cykad, kiedy to pili chłodną wodę z butelki, a on delikatnie położył dłoń na jej obnażonej piersi. Popatrzył na Kleks ubraną w śmieszny sukienkę, w samych skarpetkach. Bawiła się z chłopcami przed barem, właśnie wisiała głową w dół, zaczepiona nogami o drewnianą żerdź. Wiedział, że będzie za nią tęsknił. Podziwiał jej fascynujące życie, które przecież musiało się toczyć dalej, gdy tylko Annie wydobreje i wróci do regularnego zażywania leków. Zapragnął, żeby i jego dzieci miały kiedyś takie dzieciństwo jak ona. Wreszcie spojrzał na Clem, która także wpatrywała się w rozkołysany jacht z wyraźną tęsknotą w oczach.

Gdy wstał i ruszył przez salę do toalety, odniósł wrażenie, że budynek zakołysał się mocniej, i tym razem nie był to tylko efekt długiego pobytu na jachcie. Był nieźle wstawiony. Podobnie jak Frank. Kiedy wrócił do stolika, Frank już wodził rej przy stoliku. Opowiadał, dokąd to chce popłynąć „Małą Utopią” po minięciu Turcji, do Syrii, Libanu i wzdłuż wybrzeża afrykańskiego do Egiptu, bo chciał pokazać Kleks imperium Aleksandra Wielkiego, największego wodza w historii ludzkości. Jeden z mężczyzn wtrącił coś na temat Atatürka i cała sala ryknęła śmiechem. Ale Frank mówił dalej, o Libii i Maroku, o zawinięciu do Tangeru i dalszej podróży do Hiszpanii, aż Johnny pomyślał, że faktycznie któregoś dnia ich drogi znów się przetną, jeśli nie w Afryce, to na jakimś innym kontynencie. Kiedy w butelce raki zaczynało być widać dno, przy ich stoliku pojawił się Banana Cool w towarzystwie nieco starszej i jeszcze bardziej obsypanej trądzikiem wersji samego siebie. Johnny poderwał się z miejsca i serdecznie uścisnął dłoń jego bratu. Mogli zaraz wyruszać do Datcy. Nadeszła wyczekiwana chwila.

– Pora się żegnać! – oznajmił, sięgając do kieszeni po pieniądze. – Clem, odjeżdżamy.

Ale nawet się nie ruszyła, dalej siedziała ze wzrokiem utkwionym w czerwonej torbie podróżnej, którą trzymała na kolanach.

– Daj spokój, Johnny – mruknęła. – Skoro szybciej i łatwiej jest się dostać do miasta przez morze, powinniśmy jednak wrócić na jacht.

Spojrzał jej w oczy.

– Przecież nie tak to zaplanowaliśmy, Clem.

– Ale teraz mamy wiatr – powiedziała, wyraźnie podenerwowana.

Kleks pojawiła się u jej boku i zaczęła ją ciągnąć za rękaw.

– Tak, tak, proszę, zostańcie z nami, proszę, zostańcie...

Johnny nawet nie spojrział na nikogo innego, tylko wpatrywał się w Clem, nie mogąc pojąć, jak mogła go tak zdradzić, kiedy wiedziała, jak bardzo mu zależy na zejściu na ląd, jak zaczął reagować klaustrofobicznie, jak ich podróż zmieniła się w koszmar.

– Wszystko już załatwione. Pojedziemy dalej samochodem – rzekł, sięgając po torbę podróżną.

To on zawsze decydował, co będą robić i dokąd się udadzą, a ona tylko posłusznie podążała za nim. Po prostu tak musiało być.

– Nie chcę jechać samochodem – odparła. – To może spotkamy się w Dacie?

Oniemiał, usłyszawszy to, co przed chwilą padło z jej ust, bo nie wyobrażał sobie, że mogliby się rozstać choćby na jeden dzień. Uświadomił sobie nagle, że wszyscy w barze im się przyglądają, a szczególnie Banana Cool z bratem stojącym u jego boku. Wstał i zaczekał, żeby zrobiła to samo, ale tylko tak długo, na ile pozwalała mu duma. Odwrócił się na pięcie, wyszedł z baru i zbiegł po schodkach. Ruszył wzdłuż plaży tak szybko, jak tylko potrafił, zakopując się w sypkim piasku popiskującym pod jego stopami. Ani razu się nie obejrzał. Kiedy dotarł do skał, dał nura w ich cień, mamrocząc pod nosem najgorsze przekleństwa. Wszystko przez Franka. Przez tego pieprzonego Franka. Nie chciała odjechać z nim. Wolała zostać z Frankiem. Nienawidził jej za to. I nienawidził Franka, który do reszty zniszczył ich związek. Zwinął sobie skręta, mimo że ręce bardzo mu się trzęsły ze złości. Jak zawsze oderwał go od reszty bibulek pozostałych w paczce Rizli, przypalił, zaciągnął się dymem i wydmuchnął go niczym pocisk w kierunku jachtu kołyszącego się w zatoce. Zwiesił głowę i wbił wzrok w piasek, jakby w nim szukał odpowiedzi na dręczące go pytania. Dopiero gdy padł na ziemię czyjś cień, podniósł głowę.

Clem stanęła nad nim, trzymając buty w ręku. Była zadyszana. Najwyraźniej biegła. Johnny odwrócił wzrok, zadowolony, że wyglądała na zdenerwowaną. Bo powinna się denerwować, postąpiła wbrew niemu.

– Przepraszam, Johnny – powiedziała, powoli osunęła się po skale i usiadła przy nim.

Mieli przed sobą tylko morze, niebo i jacht w zatoce, toteż zapatrzili się na niego oboje, czekając, aż ona złapie oddech. Nawet w takiej chwili, kiedy jej nienawidził, mimowolnie jej pożądał. Był całkowicie od niej uzależniony.

– Co się z nami stało, Clem? – zapytał.

– Nie wiem – odparła, kręcąc głową na potwierdzenie tego faktu.

– Chodzi ci o niego?

Zapatrzyła się na słoneczne odbłaski tańczące na falach.

– Nie, nie chodzi tylko o niego – odrzekła ze smutkiem, nienawykła do tego, aby być przyczyną takiego okrucieństwa. – Także o Kleks i Annie...

Ale jego nie interesowały Kleks czy Annie.

– Zakochałaś się w nim? – zapytał, a ona zareagowała wystarczająco długim milczeniem, żeby stało się dla niego wymowne i żołądek skurczył mu się gwałtownie.

– Och, Johnny, naprawdę nie o to chodzi – odezwała się w końcu, poirytowana tym, że on zawsze usiłował wszystko poszufladkować, podczas gdy dla niej najważniejszą nauką wypływającą z tego rejsu było to, że należy wszystko powyciągać z szufladek.

– W takim razie o co?

Pokręciła głową, usiłując znaleźć właściwe słowa. Bo chodziło jej o to, że nie wolno nikogo zawodzić, nie wolno porzucać ludzi, kiedy najbardziej nas potrzebują, zwłaszcza gdy ich matka albo żona leży półprzytomna w sypialni. Według niej nie wolno było w takiej chwili po prostu zniknąć. Bez ostrzeżenia. To byłoby nie fair. Nie należało w ten sposób porzucać ludzi. Musieli jakoś przestrzec Kleks przed tym, co ją czeka. Oczywiście chodziło jej też o Franka. Być może zakochała się w nim, ale nie w taki sposób, w jaki odbierał to Johnny, nie na drodze zwykłej odrażającej zdrady. Przecież jemu też byli winni odrobinę lojalności za okazaną im uprzejmość. Tyle że nie mogła tego powiedzieć Johnny’emu. A nie wiedziała, jak inaczej mogła wyjaśnić swoje stanowisko. On by tego nie zrozumiał. Ostatnio nauczyła się wbrew sobie uważać na jego uczucia, cenzurować swoje zachowania i swoje wypowiedzi. Musiała zachowywać swoje myśli wyłącznie dla siebie. Czasami, jak choćby teraz, czuła się po prostu dławiona jego obecnością. Podciągnęła kolana do piersi i mocno objęła je rękoma.

Johnny wciąż spoglądał na morze, jakby specjalnie chciał się oślepić skrzyżowaniem diamentów w odbiciach słonecznego blasku na falach. Zdawał sobie sprawę, że to jedna z tych rzadkich chwil wymagających pokonania pewnych barier, mających kluczowe znaczenie, jakby od jego decyzji zależały losy całego świata.

– W porządku, wygrałaś – powiedział. – Ale rozstaniemy się w Dancji.

Kiedy wrócili na jacht, w dziobowej kajucie panowała cisza. Johnny zszedł pod pokład, rzucił torbę podróżną na siedzenie w salonie i jednym spojrzeniem ogarnął panujący tu bałagan, rozrzucone książki, sekstans, szczotkę do włosów i spinki walające się na półce, kubeczki po kawie w zlewie, chłonąc dobrze sobie znane otoczenie. Czuł się jak kryminalista wracający na miejsce zbrodni. Ten drugi Johnny – ten, który podejmował właściwe decyzje i którego Clem uwielbiała, który nie wątpił w siebie, był teraz razem z Banana Cool w samochodzie podskakującym na wyboistej górskiej drodze. Raz na zawsze wyniósł się stąd, gdzie ten Johnny musiał działać w rytm innych bębnow, perkusji Franka, w której rytm już tańczyła Clem. Ten Johnny był jeszcze przez jakiś czas zdany na łaskę Franka, ugrzązł na pokładzie „Małej Utopii” zapewne na jeszcze jeden dzień.

Kiedy otworzył drzwi łazienki i spojrzał na Annie, w jego serce wstąpiła nadzieja. Siedziała na łóżku wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami i otwartymi oczyma, które na jego widok lekko się rozszerzyły ze zdziwienia. Odniósł nawet wrażenie, że kąciki jej ust drgnęły nieco ku górze, jakby próbowała się uśmiechnąć. W końcu nie porzucił jej na pastwę losu, tak przynajmniej świadczyła jej mina. Przypomniał sobie nagle, z jakim uczuciem witał zmiany na jej twarzy pod wpływem radości, tworzenie się drobnych

zmarszczek w kącikach oczu i emanowanie wewnętrznym blaskiem. Teraz złowił tylko cień tych przemian, ale i tak się ucieszył, że wciąż ma kontakt z ich źródłem. Odwrócił spojrzenie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Przyjdę do ciebie, Annie, ale jeszcze nie dzisiaj.

Stanął w kambuzie i rozejrzał się dokoła. Przez szyby z pleksiglasu dojrzał na górze Franka, który na kolanach szorował pokład, pogwizdując przy tym. Clem już to nie przeszkadzało, jakby zapomniała o wszystkich złych znakach i przesądach i chyba niczym już Frank nie mógł zasłużyć sobie na jej dezaprobatę. Razem z Kleks także czyściły pokład, jakby wszystko było całkiem normalnie. Clem zachowywała się wręcz tak, jakby płynęli na swoim jachcie i w ogóle nie zamierzali z niego zejść na ląd. Kleks zupełnie niepotrzebnie zwijała liny, śpiewając przy pracy. Tak więc tylko Johnny i Annie cierpieli w przygnębieniu, cała reszta gwizdała lub śpiewała radośnie przy swoich zajęciach, niczym się nie przejmując. Wziął głębszy oddech, usiadł na ławie w salonie i podrapał się po głowie. Nie miał wyboru, musiał się z tym pogodzić. Sam dostrzegał sens rezygnacji z podróży samochodem i przepłynięcia tego ostatniego etapu. Był uparty, ale przegrał bitwę. Oczywiście mógł wytrzymać z Frankiem jeszcze jeden dzień, mając świadomość, że z Datcy będą mogli pojechać autobusem na wschód, do Kapadocji albo do Göreme, a tam złapać okazję w dalszą drogę w głąb Azji. W końcu chodziło tylko o jedną dobę.

Wyruszyli późnym popołudniem, korzystając z dobrego lekkiego wiatru... Johnny się nie odzywał, nie miał nic do powiedzenia. Zajął się sterowaniem, szczęśliwy, że wszyscy pozamykali się we własnych światach, drzemali, czytali albo pili kawę, podczas gdy jacht spokojnie rozcinał fale. Nikt niczego nie oczekiwał od niego poza tym, żeby bezpiecznie żeglował. Słuchał, jak Frank rozmawia z Clem o Annie i decyduje się na zmniejszenie dawek jej leków, a potem jak zamawia dla niej kolejne środki z prośbą o ich wysłanie na kolejne poste restante wzdłuż trasy podróży. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jej stan się poprawia, gdyż dotąd podobne napady trwały około dwóch tygodni. Kiedy oni rozmawiali, Johnny sterował łodzią, starał się wycisnąć jak najwięcej z każdego podmuchu wiatru, nawet przez chwilę nie dopuszczając do łopotu żagli, i sterował jak najbliżej brzegu, koncentrując się wyłącznie na tym, żeby dotrzeć do Datcy. Powtarzał sobie, że to nie potrwa długo. Na pewnym etapie Clem wyszła na pokład ze swoim blokiem rysunkowym i rozsiadła się na dziobie, a Frank pogрузzył się w lekturze.

Pięćdziesiąt mil dalej, kiedy wszedł księżyc i rozświetlił powierzchnię morza srebrzystymi smugami, a jacht płynął ze stałą prędkością czterech węzłów, pchany lekkim wiatrem, Johnny zostawił go na chwilę pod nadzorem Franka i Clem, a sam wszedł pod pokład, żeby spróbować poprawić spinaker, który zaklinował się w luku schowka na dziobie. Zapukał delikatnie, zanim wszedł do kajuty. Miał nadzieję, że Annie śpi, jak mówił Frank. Ale siedziała w łóżku ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi splecionymi pod brzuchem, wciąż patrząc w górę przez otwarty luk, przez który wpadały do środka drobne rozbryzgi wody. Otaczał ją jakiś mglisty eteryczny blask.

– Przepraszam, Annie, myślałem, że śpisz. Muszę się dostać do schowka.

Powoli oderwała wzrok od luku i popatrzyła na niego. Pod licznymi warstwami nieszczęścia była zdecydowanie bardziej przytomna niż do tej pory. Nawet przesunęła się

niec na łóżku, żeby mógł się na nim wyciągnąć i otworzyć drzwiczki schowka. Zaczął więc do niej mówić, nie bardzo oczekując odpowiedzi.

– Pewnie nie będziemy mieć okazji, żeby skorzystać ze spinakera, lecz wolę być przygotowany. Gdy minie przyładek, powinniśmy równie gładko pożegłować z wiatrem do Danii...

Kiedy siadał z powrotem, trafił kolanem na coś twardego. Sięgnął pod pościel i wyjął garść żółtych i czerwonych tabletek. Wyciągnął je na dłoń w jej kierunku i wzięła pigułki od niego. Wsunęła rękę za siebie i ukryła lekarstwa pod materacem, zerkając trwożliwie w stronę drzwi.

– Po co je zbierasz? – zapytał zdziwiony.

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby odkrył jej tajemnicę. Po chwili otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie dożyła z siebie głosu, jakby to był za duży wysiłek. Johnny przysunął się bliżej.

– Co mówisz? – zapytał.

– Ja... chcę... – wycodziła słabym, ledwie słyszalnym głosem. Jeszcze bardziej pochylił się ku niej, aż poczuł jej oddech na policzku, ale nie powiedziała nic więcej.

– Czego chcesz, Annie?

– Chcę umrzeć – wyszeptała.

Odwróciła głowę, znowu kierując spojrzenie w otwarty luk, a w jej oczach pojawił się nieopisany smutek. Wziął ją za rękę i lekko kciukiem potarł palce.

– Nie mów tak, Annie. Pomyśl o Kleks.

Mój Boże, pomyślał samolubnie. Proszę, wydobrzej wreszcie. My odchodzimy. Musisz poczuć się lepiej.

– Kleks... – Na jej wargach pojawił się niewyraźny uśmiech, ale zdecydowanie wymuszony. Bez przerwy wpatrywała się w księżyc. – Nie myślę o niczym innym.

W jej głosie było coś przerażającego.

– Annie – mruknął. Przesunął się nieco do przodu, ujął ją za brodę i obrócił jej głowę twarzą do siebie. – Co ty kombinujesz? Chcesz osierocić Kleks?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nawet nie zajrzałeś do szafki, jak prosiłam... – szepnęła.

Nie zabrzmiało to oskarżycielsko, raczej z głęboką troską. Osunęła się na poduszkach, ułożyła na boku, tyłem do niego, i podciągnęła kolana do piersi.

Zawahał się na chwilę, spoglądając na miękkie włoski u nasady jej karku, po czym zsunął się z łóżka i zapalił lampkę. Klęknął i otworzył drzwi szafki. Nie miał najmniejszego pojęcia, na co zwrócić uwagę. Nie widział dobrze, więc dodatkowo zapalił światło nad umywalką. W szafce pełno było lekarstw i plastikowych buteleczek z szamponem do włosów, olejkiem do opalania, różnymi płynami i środkami czyszczącymi.

Wyjął apteczkę i drugą skrzynkę, zamkniętą na klucz. Sądził, że są w niej specyfiki Annie, które Frank trzymał pod kluczem, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Pomacał tylną ściankę, ale nic tam nie było. Pochylił się najniżej, jak tylko mógł, i zajrzał do środka. W samym kącie zauważył skrawek czerwonego materiału wystający zza sklejki stanowiącej plecy szafki. Sięgnął do niego i pomacał. Wyglądało to na jakąś książkę. Specjalnie została wciśnięta w najdalszy kąt. Wymacał jej krawędź, pociągnął, wysunął zza płyty i wyprostował się, unosząc ją do światła nad umywalką.

To była zwykła stara książka z wybitym na grzbiecie wyblakłymi literami tytułem: *Podróże Guliwera*. Otworzył ją, przerzucił parę kartek, ale nie znalazł niczego ciekawego.

Dopiero pod tylną okładką ujrzał to, co Annie chciała mu pokazać. A kiedy walczył z rosnącym obrzydzeniem, uderzyła go myśl, że byli dzisiaj już tak blisko przeoczenia czegoś tak przerażającego. Naprawdę niewiele brakowało, żeby razem z Clem odeszli i zapomnieli o wszystkim.

Johnny lubił, kiedy pozostali gdzieś wychodzili i zostawał sam w domu. Tym razem tata z Robem pojechali na przedstawienie teatralne w szkole Sarah, żeby robić wrażenie, że życie toczy się normalnym torem, nawet gdy ich mama umiera w pokoju na piętrze.

Siedział na dole i oglądał transmisję z rozgrywek bilardowych, podczas gdy świnki morskie szalały w swoim pomieszczeniu, jakby się znajdowały na lodowisku. Były jedynymi stworzeniami w domu, które niczego nie udawały, tylko zajmowały się tym, co zawsze, to znaczy bieganiem i robieniem kolejnych świnek morskich. Mimowolnie zapatrzył się przez okno na ogród. Pożyczył od ojca kilkaset funtów i kupił od szkółki żeglarskiej w Datchet kilka starych łajb klasy laser i wędrowiec, które teraz leżały tam w trawie i czekały na naprawę. Powinien był od razu przystąpić do ich piaskowania i remontowania, ale ostatnio nie mógł się zmusić do żadnej pracy. Całą czwórką tylko kręcili się w kółko w półmroku świata pogrążonego w śmiertelnej chorobie.

Po chwili nalał dwa kubki herbaty i poszedł z nimi na górę. Dobrze wiedział, że herbata dla niej ma tylko znaczenie symboliczne, bo rzadko kiedy upijała choćby jeden łyk, ale gdy pytał, zawsze mówiła: „Tak, poproszę”, jakby i to był element udawanego świata, w którym tkwiła. Nikt nie chciał nawiązywać do tego, co się naprawdę dzieje, wszyscy mówili tylko o chwilowej poprawie, o doborze leków czy pogodzie. Uważał, że cierpienie jest tylko przyczyną rozkładu rodziny, a nie jej jednoczenia. Może taki efekt wywoływało to, że cierpienie jest rzeczą bardzo osobistą.

Otworzył drzwi sypialni, starając się nie zwracać uwagi na znany już dobrze zapach choroby. Wydawało się, że już wszystko jest skażone tym swoistym odorem stęchlizny, mieszaniną zapachu szafki z lekarstwami i starych ubrań za długo niewyjmowanych z szafy.

Leżała nieruchomo i jak zawsze, gdy spała, serce mu się lekko ścisnęło. Podśluchał, jak pielęgniarka mówiła ojcu, że został jej jakiś miesiąc życia, ale nikt nie wiedział tego na pewno. Wszystko było niewiadome. Całkowicie utracili kontrolę nad sytuacją i tylko udawali, że to nieprawda. Podeszedł bliżej i znieruchomiał, dopóki nie dostrzegł, że jej pierś lekko się unosi i opada w rytm oddechu. A skoro ona oddychała, on także mógł odetchnąć. Wyglądała na spokojną, z twarzą nieco zwróconą od okna, wychudzoną i bladą, z rękoma wyciągniętymi wzdłuż ciała i obróconymi dłońmi ku górze.

Był piękny słoneczny dzień, ale okno w pokoju było zawsze częściowo zasłonięte. Zasłonki poruszały się, ponieważ przez uchylone okno do środka wpadał lekki wiatr, a przez szczelinę między nimi widać było poruszające się liście na drzewie. Była piękna żeglarska pogoda. W innych okolicznościach na pewno by jej się podobała.

Postawił jej kubeczek na nocnym stoliku obok budzika, który strasznie głośno tykał. Usiadł na starym, obitym skórą fotelu stojącym przy łóżku, który także głośno wypuścił

powietrze, jakby czekał na ten moment. Było to bardzo dobre miejsce do siedzenia. Widział stąd drzewa za oknem, a jednocześnie ją, mógł się pocieszać świadomością, że nic nie umknie jego uwagi, cokolwiek się wydarzy. Nie miał tylko pewności, czy chce tu być w chwili, gdy ona w końcu odejdzie. Bo nie był pewien, czy da radę to znieść. Leżała na wysokim łóżku, jej ciało znajdowało się na wysokości jego oczu, toteż świetnie widział to unoszenie się i opadanie jej wyniszczonych chorobą piersi. Łóżko miało solidne, podwyższone drewniane boki i wysoką płytę w wezłowie. Wyglądało jak grobowiec, w którym spoczywała. Należało niegdyś do jego babci, a po matce z pewnością miała je odziedziczyć Sarah – na nim pokolenia kobiet w ich rodzinie przychodziły na świat, płodziły, a potem rodziły dzieci i w końcu umierały. Dlaczego to łóżko miało przetrwać, a nie ona?

Nie mógł dłużej znieść donośnego tykania budzika, jakby ten odliczał sekundy upływające do tego, co nieuchronne. Wstał i schował go do szuflady. W końcu matce to jego tykanie do niczego nie było potrzebne, czas nie miał dla niej żadnego znaczenia. Rozejrzał się po pokoju, po szeregu fiolek z lekami stojących na gzymsie kominka, opróżnionymi do połowy szklankami wody, wacikami, flanelowymi myjkami, normalnymi rzeczami chorej osoby. Owoce w wazie na małym stoliku stopniowo się rozkładały, z dnia na dzień ulegały zmianom, roztaczając dokoła subtelny smród zgnilizny, aż nasuwało się skojarzenie, że los matki i tych owoców są ze sobą nierozzerwalnie powiązane. Już dawno powinien był je wszystkie wyrzucić, skoro nie zrobił tego nikt inny, ale byłoby to działanie bezduszne, zmierzające do pozbycia się czegoś tylko z tego powodu, że utraciło świeżość i jędrność. Ona by je z pewnością wyrzuciła, nie była aż tak sentymentalna. Tak wiele rzeczy pozostawało niezrobionych, od kiedy matka przestała wstawać z łóżka; te wszystkie drobiazgi, których nawet nie umiałby wymienić, a których zaniedbanie dawało taki efekt, że dom zaczynał przypominać obce miejsce. Zaniknął wszelki porządek. Nie było już żadnej struktury ani klarowności czy niespodzianek. I miały już nigdy nie wrócić.

Patrząc na liście za oknem, poczuł się strasznie bezradny. Czuł, że odkładające się w nim pokłady smutku przyrastają w takim tempie i wypełniają go tak bezgranicznie, jakby chciały go rozerwać od środka. Poczuł, że oczy zaczynają go szczypać od łez.

– Cześć – szepnęła gardłowo, suchym głosem.

– Obudziłaś się, mamó – odparł, pospieszenie wycierając oczy.

Pochylił się ku niej. Wargi znów miała wyschnięte. Teraz już zawsze były suche. Wziął z tacy wacik, zmoczył go wodą i delikatnie nawilżył jej usta, jak robiła to pielęgniarka. Matka szybko oblizwała wargi, ale zaraz odchyliła głowę na poduszkę, jakby wysiłek zlizywania wilgoci ją wyczerpał.

– Nie smuć się, kochanie – powiedziała.

– Wcale się nie smucę – odparł, przybierając tę głupią fałszywą pozę, jaką wszyscy przyjmowali w tym pokoju.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, nie mogąc znaleźć słów adekwatnych do tego, o czym oboje wiedzieli.

– Zaopiekujesz się ojcem, prawda?

– Nie mów tak.

W jednej chwili nie zdołał nad sobą zapanować i łzy rześście popłynęły mu po twarzy.

– Och, skarbie... – mruknęła ze współczuciem, próbując mu pomóc i lekko ściskając palcami jego dłoni.

Zaczerpnął głęboko powietrza, próbując nad sobą zapanować, ale nie było to łatwe.

– Nie wierzę, że dam sobie ze wszystkim radę, mamó, bez ciebie...

– Jonts – szepnęła, ze wszystkich sił zaciskając palce na jego dłoni. – Mój dzielny, wspaniały chłopaku, masz przed sobą całe życie! Musisz je przeżyć na maksa! – Mówienie przychodziło jej z trudem, usta znowu jej wyschły. Ciężkie powieki opadły, a spod nich wytoczyła się i spłynęła po skroni pojedyncza łza. – Musisz być mężczyzną, skarbie.

– Tak – odparł, starając się zachowywać po męsku. Ale wciąż nie mógł nad sobą zapanować i zaszlochał jak mały chłopiec. – Nie umieraj, mamó!

Zwiesił głowę na piersi i zaniósł się płaczem, po czym wtulił twarz w jej szyję, ściskając jej dłoń.

– Jeszcze cię przeżyję, kochanie – szepnęła.

– Nie umieraj, mamó. Proszę, nie umieraj.

Przywarł czołem do jej piersi, a łzy popłynęły mu strumieniami i szybko utworzyły mokrą plamę na jej cienkiej bawełnianej koszuli nocnej.

– Mój kochany – odparła, gładząc po głowie w oczekiwaniu, aż przestanie płakać. – Któregoś dnia znów się spotkamy. Obiecuję.

– Nie spotkamy się.

Próbował się pozbierać, bo przecież musiał być silny. Wziął kilka głębszych oddechów i wyprostował się w fotelu. Za oknem śpiewały ptaki, z głębi osiedla dolatywał sygnał obwoźnego sprzedawcy lodów. Życie toczyło się swoim torem. Poczuł, jak smutek opuszcza go z wolna, jak gdyby wyczerpał już zapas łez. Popatrzył na wychudzoną, wymęczoną twarz matki i po raz kolejny zwilżył wodą jej wargi, uradowany, że chociaż tak może jej pomóc. Przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy, do tego wzrokiem, którego nie widział u niej od dawna, powoli mrugając ciężkimi powiekami.

– Chcesz czegoś? – zapytał. Ociężała pokręciła głową, wciąż leżąc nieruchomo. Najwyraźniej chciała mu coś powiedzieć. – O co chodzi, mamó?

Nie odpowiedziała jednak. Pochylił się w jej stronę.

– Boisz się? – zapytał szeptem.

Przygryzła dolną wargę, a po chwili lekko skinęła głową.

– Owszem, Jonts. Boję się.

Ucałował jej dłoń z pobrzękującymi na wychudzonych palcach pierścionkami i nie wyszedł z pokoju, dopóki znowu nie zapadła w sen.

Clem leżała na łóżku w salonie obok śpiącej przy niej Kleks. Słyszała krzątanie

Johnny'ego na pokładzie podczas zmiany położenia żagli, jak również wszelkie poskrzypywania i łopot żagli. Ale sam ją prosił, żeby położyła się do łóżka z małą. Nie mogła jednak zasnąć, w głowie miała mętlik, jej myśli zdawały się identyfikować poszczególne zdarzenia z wcześniejszych doznań, ale sama już nie wiedziała, co naprawdę czuje. Późnym popołudniem, kiedy wyszła na pokład ze szkicownikiem i usiadła na dziobie, przelotnie rzuciła okiem przez otwarty luk w głąb kajuty i zobaczyła, że Annie śpi spokojnie, wyciągnięta na swoim łóżku, z obandażowanymi nadgarstkami przy twarzy, pokrytymi szarym nalotem i fragmentami kruszącej się, zakrzepłej na brązowo krwi. Poszła dalej, usiadła przy luku przedziału kotwicznego i popatrzyła w kierunku lądu, nie mając pewności, co powinna uwiecznić na rysunku: maszt z postawionym żaglem, wypełnionym przez wiatr, czy też Annie śpiącą w kajucie dziobowej albo Johnny'ego lub Franka w sterówce. Johnny jak zwykle patrzył albo na żagle, albo na horyzont, a Frank siedział z nosem w książce. Postanowiła skupić się na żaglach, które miała bezpośrednio nad głową, więc otworzyła szkicownik i zaczęła temperować ołówki, odprowadzając obojętnym wzrokiem drewniane wiórki spadające za pokład dziobowy. Chwilę później Frank wyjrzał z otwartego luku forpiku, trzymając w rękach kubeczki z gorącą słodką herbatą, z których jeden podał jej.

– Cześć – powiedział. – Pokaż nam swój rysunek

Posłusznie odwróciła wzrok i pokazała blok. Była raczej zadowolona z tego szkicu przedstawiającego błękit nieba, niżej duży biały żagiel i ciemne sylwetki krzątających się pod nim ludzi – Johnny powinien być z niego bardzo zadowolony, gdyż ukazywała za jego pomocą, że niedoskonałość jest nieodłącznym elementem ich życia. Frank popatrzył na niego, uśmiechnął się i pokiwał głową, zadowolony z wyników jej pracy.

– Naprawdę świetnie rysujesz, Clem. Myślałaś kiedykolwiek o studiach artystycznych?

Zaśmiała się, lecz nie odpowiedziała, bo w rzeczywistości myślała o studiach w akademii sztuk pięknych, ale jeszcze przed ślubem, zanim uświadomiła sobie, że u boku Johnny'ego nie będzie możliwe życie według klasycznych kanonów. On musiał być w ciągłym ruchu. Ale gdy Frank oddawał jej szkicownik, mimowolnie musnął palcami jej dłoń i poczuła, jakby tym samym wykradał jej tożsamość.

– O mało cię nie straciłem, Clemency – powiedział cicho, a jej serce się ścisnęło, jakby tylko jego bliska obecność pozbawiła ją tchu.

Obejrzała się na Johnny'ego siedzącego przy rumplu, ale on wpatrywał się w żagle. Miała nadzieję, że Annie wciąż śpi i nie słyszy swojego męża.

– Nie chcę, żeby to się zdarzyło po raz drugi – powiedział, wbijając spojrzenie w jej oczy, tak napięte i poważne, że w jednej chwili przestało ją obchodzić, czy Annie to słyszy, czy nie. – Pragnę cię, Clem. Ale ty przecież i tak o tym wiesz.

Jego słowa ją podniecały. Poczuła, jak ślina napływa jej do ust, oddech przyspiesza, a całe ciało przeszywa elektryzujący dreszcz. Wyczuła jednak, że to zdradzieckie uczucia, zwłaszcza pod okiem Johnny'ego, który bacznie się jej przyglądał, toteż zaczęła udawać, że jest całkowicie pochłonięta rysowaniem.

– Obiecałam mu, że w Dacie zejdziemy na ląd – szepnęła, rzucając mu przelotne

spojrzenie.

Skinął głową i powoli odwrócił się od niej, zapatrzył na morze, oparty na łokciach, z dłońmi ułożonymi płasko na pokładzie. Po chwili westchnął i uśmiechnął się do niej.

– To twoja decyzja, Clem. Musisz podejmować takie decyzje, które będą najlepsze dla ciebie i osób z twojego najbliższego otoczenia. Zdaj się na swój instynkt. On ci podpowie, jak powinnaś postąpić.

Dlatego też ułożyła się na pokładzie, zasłuchana w swój instynkt, próbując podjąć decyzję, która będzie najlepsza dla niej i osób jej najbliższych. Ale z którejkolwiek strony oceniała tę sytuację i starała się podjąć taką decyzję, ta wcale nie okazywała się najlepsza dla wszystkich. Tak więc jej instynkt szarpał się to w jedną, to w drugą stronę. Wiedziała, że Johnny nie da się przekonać, żeby zostali na jachcie, więc zdawała sobie sprawę, że ostatecznie będzie musiała wybierać między Johnnym a Frankiem. Johnny był jej mężem, ale wszystkie jej myśli sterowały w jednym kierunku: „Pragnę cię, Clem” – ku temu gorącemu uczuciu, tym elementom seksualnego pożądania, które Frank potrafił w niej rozbudzić jednym spojrzeniem czy krótką uwagą. Czuła, że w głębi duszy mięknie, odczuwa tak silne pożądanie względem niego, że trudno było je ignorować. Mimo że od tamtej nocy, kiedy wszyscy uprawiali seks w sterówce, nie miała z nim żadnego bliższego kontaktu fizycznego, wiedziała, że wszystko będzie wyglądało inaczej, jeśli zdecyduje się na współżycie z Frankiem. Jej stosunki z Johnnym także musiały ulec zmianie, gdyż żywiła poważne uczucia wobec Franka, naprawdę poważne, czemu nie mogła zaprzeczyć, a ponieważ wychodziła z założenia, że uczuć nie można skrywać, uważała je za dobre i oczyszczające. Johnny nie mógłby tego zrozumieć. Ledwie odezwał się do niej jednym słowem od czasu powrotu na jacht, a raczej od czasu powrotu z kajuty, gdzie próbował ułożyć zaklinowany spinaker. Wrócił do sterówki z taką miną, jakby już nic go nie obchodziło, nawet ustawienie żagli względem wiatru, i jeszcze powiedział im, żeby poszli na dół przespać się trochę, jakby zależało mu na tym, aby pokierować łodzią w samotności. Ale kiedy ruszyła już w dół zejściówki, chwycił ją za ramię i szepnął na ucho:

– Połóż się spać z Kleks.

Zabrzmiało to jak rozkaz, jakby się obawiał, że pójdzie spać z Frankiem. Naprawdę miała dość jego zazdrości. Bardzo by chciała, żeby kochankowie żywili wobec siebie bezgraniczne zaufanie, żeby mówili sobie tylko prawdę, nie skrywając zarówno wątpliwości, jak też obaw, nie mówiąc o bezkresie miłości. Frankowi była gotowa powiedzieć wszystko, absolutnie wszystko, bez obaw i zahamowań. Może właśnie na tym polegała prawdziwa miłość. Może za wcześnie zdecydowała się wyjść za Johnny'ego. Wszyscy uważali, że są za młodzi, żeby się pobierać, za młodzi na to, żeby dzielić się prawdziwie dojrzałym uczuciem, i może mieli rację. Marzyło jej się, żeby wszyscy w czwórkę mogli zamieszkać razem. Teraz, gdy dojrzewała i uczyła się, wiedziała już, że można kochać dwie osoby naraz; wspólne życie z kilkoma kochankami powinno być czymś absolutnie normalnym. Do tej pory wiodła życie pod kloszem, była tak samo uzależniona od społeczeństwa, jak wszyscy inni.

Niemniej takie rozważania wciąż przyprawiały ją o ból głowy. Ale i tak uznała, że musiała na pewnym etapie zapaść w drzemkę, bo gdy się ocknęła, odniosła wrażenie, że

stoją w miejscu, fale przestały rozbijać się o burty jachtu, a żagle zwisły z powodu braku wiatru. Johnny musiał za długo zwlekać ze zmianą ustawienia względem wiatru albo weszli w linię wiatru. Nagle jacht, szarpnięty powiewem od lądu, skręcił gwałtownie na nowy kurs, przez co śpiąca Kleks o mało nie wylądowała na niej, toteż Clem usiadła na koi i popatrzyła na mroczne niebo widoczne za okienkiem luku. Ostrożnie zsunęła z siebie rękę mając, spuściła nogi na pokład salonu, wstała i przeszła do kambuza. Przygrzała kawę w dzbanku, otworzyła drzwi sterówki i wyszła na zewnątrz.

– Johnny? – zagadnęła, mrugając szybko, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. – Przyniosłam ci kawę.

Ujrzała nagle jego sylwetkę tuż przed sobą. Stał tak nieruchomo, że trudno go było wyłowić z ciemności, gdyby nie srebrzysta poświata księżyca. Ale ujrzała go nagle wyraźnie i spostrzegła, że patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Naprawdę coś się w nim odmieniło. A może to ona widział go inaczej.

– Mogę przejąć ster, jeśli chcesz trochę odpocząć – powiedziała. – Pewnie jesteś bardzo zmęczony.

– Dam sobie radę.

Chyba wciąż nie mógł jej wybaczyć, że zmusiła go do powrotu na jacht. Tak dobrze ją znał. Wiedział, że zakochała się we Franku, zanim ona sama to sobie uświadomiła. Jego zazdrość była w pełni uzasadniona.

– Johnny? – zagadnęła, przysuwając się bliżej niego i spoglądając na jego włosy, które były mokre i błyszczące. – Padało ostatnio?

Odsunął się nieco od niej i przeciągnął dłonią po włosach.

– Sam je zmoczyłem – powiedział. – Miałem w nich okruchy farby.

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem, zanim podała kubeczek z kawą, i usiadła na suchej ławce na lewo od dziobu, mając wrażenie, że dystans między nimi jeszcze rośnie. Kłamał. Woląca jednak wstrzymać się z oskarżeniami, skoro jej własne poczucie winy było tak ogromne. Czym innym było zachowanie pewnych rzeczy w tajemnicy przed nim, bo nad tym panowała, chociaż jej się to nie podobało, a czym innym nieświadomość, co się dzieje w jego głowie. Być może odczuwał to samo względem Annie, co ona do Franka. Na tę myśl aż zakręciło jej się w głowie. Popatrzyła na horyzont. Albo wiatr się zmienił, albo oni zmienili kurs. Pochyliła się i zerknęła na kompas.

– Zmieniliśmy kurs? – zapytała, rozglądając się na wszystkie strony, bo nigdzie nie było widać lądu.

– Tak – odparł.

– Ale wciąż płyniemy do Danii?

– Tak. Chcę tylko wykorzystać słabnący wiatr, dlatego skręciłem na otwarte morze, żeby zawrócić pod ostrzejszym kątem – wyjaśnił cicho, nie patrząc na nią. – Po prostu potrwa to trochę dłużej.

To ją ucieszyło. Nie musiała na razie podejmować żadnych decyzji. I chwilowo nie musiała też poznać decyzji Johnny'ego, jak to zwykle bywało. Nie powiedział nic więcej,

ale wiedziała już, że nie o wszystkim jej mówi. Zastanawiała się, od kiedy zaczęli nawzajem mieć przed sobą tajemnice i czy to oznaczało początek końca. Ta myśl ją przerażała: Koniec. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez Johnny'ego. Ta perspektywa napełniała ją strachem. Do tej pory byli nierozłączni, jak wyrosłe razem drzewa o splecionych korzeniach. Zamarzyła nagle, żeby wszystko znów było takie jak przed ich wejściem na pokład tego jachtu. Pragnęła, by wszystko było ułożone i bezpieczne. Chciała mieć pewność. Wyciągnęła rękę do jego dłoni spoczywającej na rumplu. Była zimna. Wziął ją za rękę, zaciskając na niej palce. Nawet jeśli w sercach i umysłach coś przed sobą ukrywali, ich dłonie zdawały się mówić innym językiem. Jej palce garnęły się do jego dotyku ze wszystkich sił, a jego przyciskały jej dłoń do ciepłego drewna rumpla i zapragnęła, żeby tak zostało na zawsze, jakby w uwięzieniu między drewnem a nim. Przez długi czas siedzieli w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, słuchając plusku fal o burty łodzi i szumu wiatru w żaglach oraz szmeru rozbryzgów wody o pokład.

– Nawiasem mówiąc, miałaś rację – odezwał się w końcu.

– Co do czego?

– Znaków.

– Jakich znaków?

– Powiniennem być cię posłuchać – rzekł. – Nawet ta piosenka o wschodzie złego księżycyca... Zielona koszula, wyjście z portu w piątek, gwizdanie... Pod żadnym pozorem nie powinniśmy wchodzić na ten jacht.

Popatrzyła na niego. Wydawało jej się, że od tamtej pory minęło dużo czasu. Tak wiele się przez ten czas zdarzyło, że całkiem zapomniała o wszystkich znakach. Chciała teraz powiedzieć: „Przecież nie wierzysz w takie zabobony”, ale uderzyło ją, że mogła się mylić. Może niepostrzeżenie zmienił poglądy. A może oboje zmienili punkt widzenia.

Po pewnym czasie wstała i zeszła pod pokład, żeby położyć się spać, a Johnny odprowadził ją wzrokiem. Zwrócił zwłaszcza uwagę, że się odwróciła, zamykając drzwi sterówki, i popatrzyła na niego, jakby wszystko było w porządku. Stała mu się obca. Pod jej oczami pojawiły się półkoliste cienie wielkości spodków od filiżanek. Dostrzegając teraz, jak bardzo była nieszczęśliwa. Ale nic już nie mógł na to poradzić. Wszyscy byli nieszczęśliwi.

Lecz ucieszył się, że został sam, choć było to sam na sam z bolesnym ściskaniem w dołku. Nie chciało mu się spać. Miał wrażenie, że już nigdy nie zdoła zasnąć. Żeglował przez noc, spoglądając w gwiazdy i na pusty horyzont, na księżycową poświatę na żaglach. Tylko od czasu do czasu zerkał na kompas. Wiatr mieli już prawie od dziobu, wciąż lekki i delikatny, ale pod tym kątem wydawał się mocniejszy. Oszacował, że płynęli ze stałą prędkością trzech węzłów. Spojrzał na mapę, lecz postanowił płynąć dalej kursem na otwarte morze, mając wiatr za przewodnika. Zdawał się na naturę. Księżycyca ubywało, ale stał wysoko na niebie i to go cieszyło, lubił jego srebrzysty blask. Wcześniej, kiedy siedział sam przy sterze i obserwował jego wyłanianie się z ciemności, uznał to za omen. Patrzył z podziwem, jak nad horyzont wyłania się wielka czerwona kula, podobna do planety na kursie kolizyjnym względem Ziemi, przypominająca oko jakiegoś gigantycznego

potwora, który obserwował go od tyłu. Miał wrażenie, że to on do niego przemówił, ten wielki, zły, podbiegły krwią księżyc – to on mu powiedział, że pora przystąpić do działania.

Kiedy Clem się obudziła, wstawał pierwszy brzask. Leżała na ławie w salonie, mając przy twarzy stopy Kleks. Nie poruszając się, popatrzyła, jak niebo nad sterówką szybko się zmienia: wstawał dzień. Ale jego ziewnięcie zdawało się trwać wiecznie, odstęp między pierwszym brzaskiem a wschodem trzeba było mierzyć raczej w godzinach, a nie minutach. Słońca nie obchodziło, co tu się dzieje, jakie decyzje muszą podjąć i do którego miasta dopłynąć. Nie spieszyło mu się. Patrzyła, jak gwiazdy gasną, a księżyc zsuwa się po niebie. Widziała stąd ramię Johnny'ego, chwilowo nawet więcej, gdy wstawał i odchodził, żeby sprawdzić żagle. Później zszedł na dół, żeby zrobić sobie kawy. Oczywiście miał przekrwione, siedział przy sterze całą noc. Udała, że śpi, ale nie było to konieczne, ponieważ nawet nie spojrział w jej stronę.

Nieco później, kiedy noc skończyła się na dobre, a czerwony blask słońca stał się różowy, ujrzała ze zdumieniem, jak Annie wychodzi z kajuty dziobowej ubrana w gruby wełniany sweter, blada i osłabiona, po czym kieruje się do zejściówki i znika w sterówce. Widziała, jak Johnny wziął ją za rękę i pomógł pokonać ostatnie stopnie. Doleciał ją cichy szmer ich głosów. Zwróciła uwagę, jak troskliwie zmienił jej opatrunek na nadgarstku. Potem Annie wróciła na dół, nalała sobie wody do szklanki, popiła nią jakieś leki, po czym ściągnęła z koi za stołem mapowym śpiwór dla siebie i wyszła z powrotem do sterówki, ani razu nie obejrzawszy się na nią. Clem, która wciąż udawała, że śpi, poczuła falę przygnębiającej zazdrości na myśl, że teraz całą miłość skierował ku Annie. Pomyślała o Franku śpiącym w dziobowej kajucie. On nie mógł być zazdrosny. Powiedziałaby, że Annie potrzebuje teraz czułości Johnny'ego bardziej niż ona. W jej głowie zapanował mętlik, ale wszystko to wynikało z jej postępowania.

Jako następna obudziła się Kleks. W ciągu paru sekund odzyskała wigor. Zsunęła się z łóżka, wbiegła po schodkach do kambuza i wśliznęła się pod śpiwór matki niczym szczenię spragnione jej mleka. Clem także usiadła i spuściła nogi na pokład. Obejrzała się w głąb dziobowej kajuty. Annie zostawiła otwarte drzwi, widać więc było śpiącego Franka, który leżał na wznak, jego pierś unosiła się i opadała. Naszła ją ochota, żeby tam przejść, zamknąć drzwi i wsunąć się do łóżka obok niego, żeby jej powiedział, co ma robić. Zamiast tego wstała, zrobiła sobie kawę i dołączyła do pozostałych siedzących w sterówce.

Płynęli na południowy zachód z wiatrem od rufy. W zasięgu wzroku nie było lądu. Kleks rozczesywała włosy matki, pocierała jej ramiona, łaskotała w kark, na niby podawała filiżankę z herbatą i było oczywiste, że taki stan matki nie jest dla niej niczym obcym. Jej czułość i gorliwość przyniosły rezultat, coś w Annie musiało się przełamać wobec takich przejawów dziecięcej miłości, gdyż po pewnym czasie utuliła córkę w ramionach i zaczęła ją całować w czubek głowy.

Kiedy pojawił się Frank, czysty i wyspany, z jakąś książką historyczną w ręku, na

horyzoncie wciąż nie było widać brzegu. Clem odebrała ze zdziwieniem, że nawet nie zapytał, dokąd płyną, nawet nie spojrzął na mapę, jakby miał pełne zaufanie do Johnny'ego. Ale ten wydawał się dzisiaj inny, traktował ją na dystans, nie miała więc najmniejszego pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Z jego miny nie dało się nic wyczytać. Ona sama wyciszona i zamknięta w sobie, usiadła na dziobie ze swoją książką, napisaną przez Krishnamurtiego, przez którą przegryzała się z mozołem, bo choć na początku była zainteresowana, teraz nie mogła się skupić i każde zdanie musiała czytać dwa razy. Od czasu do czasu podnosiła spojrzenie, ciekawa, kiedy wreszcie ujrzą ląd, jak długo będą płynąć do Datcy, a więc do miejsca, gdzie trzeba będzie podjąć decyzję.

Wszyscy pozostawali zamknięci w swoich światach przez większą część dnia, czytali i drzemali, robili kanapki, spali i bawili się z Kleks. Później, po południu, Clem zmieniła Johnny'ego przy sterze, przy czym był tak pogrążony we własnych myślach, że musiała powtórzyć swoją propozycję, zanim zrozumiał, o co jej chodzi. Wstał, kazał jej trzymać kurs, ściągnął sweter, położył się na brzuchu na pokładzie i niemal od razu zasnął. Wpatrywała się w jego mocno opalone plecy, w znamię na prawym ramieniu, rozmyślając, że jeszcze do niedawna traktowała to ciało jak swoje własne, ale teraz należało tylko do niego. Nie potrafiła już wyciągnąć ręki i położyć mu dłoni na ramieniu. Tak więc sterowała łodzią, pochłonięta burzliwymi myślami, i patrzyła na słońce zsuwające się z nieba. W pewnej chwili wydało jej się, że dostrzega ląd na horyzoncie, ale to mogły być chmury. Nie mijali żadnych wysp ani innych jachtów, w ogóle nie było niczego, odbierała więc morze jak nieskończoną dziką pustkę. Annie siedziała przy niej, milcząca, ale przytomna. Naprawiała ubrania, powoli przekopując się przez stertę rzeczy, jak gdyby chciała pozaszywać wszystkie dziury w przyszłości.

Na dziobie Kleks bawiła się z Frankiem w klaskanie i śpiewanie.

– Żeglarz wypłynął w morze, morze, morze... – intonowała swoim cienkim słodkim głosem.

A on podejmował dudniącym basem:

– Żeby zobaczyć, co tam widać, widać, widać...

– Ale jedyne, co tam, ujrzał, ujrzał, ujrzał...

Klap, klap, klap, salut, salut, salut...

– To dno głębokiego błękitnego morza, morza, morza...

Słuchając takich rymowanek, Clem wybiegła myślą w przyszłość i spróbowała sobie wyobrazić swoje dzieci. Zawsze sądziła, że będą wysokie i szczupłe, z zielonymi oczami Johnny'ego i jej miedzianymi włosami, ale teraz przyszło jej na myśl, że mogłyby być ciemne i barczyste, z tajemniczymi piwnymi oczami. Niczego nie była już pewna.

Później spojrziała na Johnny'ego, który obudził się gwałtownie, jak gdyby dręczony złym snem. Najpierw popatrzył na żagle, żeby sprawdzić wiatr, a następnie na kompas. Dopiero później rozejrzał się dokoła i ogarnął szybkim spojrzeniem całe otoczenie. Wreszcie powiódł wzrokiem po pokładzie, popatrzył na Annie, potem na Kleks z Frankiem, a w końcu na nią. Uśmiechnęła się do niego, ale wypadło to sztucznie. Odpowiedział uśmiechem, równie wymuszonym. Dzielił ich już cały ocean i z coraz większą

nerwowością myślała o jego pokonaniu. Wstał, przeszedł do sterówki i bez słowa zniknął pod pokładem. Nastawił wodę w czajniku i stanął w przejściu, jedząc banana. Obie z Annie obserwowały go uważnie, bo obie czegoś od niego chciały.

Zwróciła uwagę, że Annie natychmiast przerwała szycie, gdy Johnny się obudził, jakim wzrokiem na niego popatrzyła, jakimi smutnymi i zamglonymi oczami, i jak Johnny spojrzął na nią z dziwną determinacją na twarzy, jak oparł się dłonią o jej ramię, kiedy wybierał genuę. Uświadomiła sobie, że coś się dzieje między nimi, w czym ona nie uczestniczy. Odwrócił się, stojąc na zejściówce, i popatrzył na Franka, który czytał Kleks na głos. Długo im się przyglądał, co rusz zerkając na żagle, aż Clem podążyła za jego wzrokiem.

Błyszczały jak dwie wielkie złote chusteczki, lekko wydęte ku prawej burcie. Słońce za nimi ześlizgiwało się po ciemnozielonym niebie, wzeszedł już księżyc. Minał kolejny dzień. Gdzie, do diabła, była ta Datça? Zwróciła uwagę, że Johnny tak się wpatruje w linię horyzontu, jakby oczekiwał pojawienia się czegoś. Po tym, jak wychylił się za rufę, jak rozłożył siedzenie w sterówce i rzucił na nie okiem, przyszło jej do głowy, że sprawdza jacht. Pod siedzeniem mignęła jej mata modlitewna, ktoś musiał ją tam upchnąć. I nie uszło jej uwagi, jak Annie nie spuszcza oczu z Johnny'ego, obserwując każdy jego ruch. Tak, ewidentnie coś było między nimi, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

– Mam wrażenie, że Kleks chce się pić – powiedział.

Annie obejrzała się w stronę dziobu, skinęła głową i odłożyła szycie.

– Kleks – zawołał Johnny. – Mama cię prosi.

Annie posłusznie ruszyła po stopniach zejściówki. Clem odprowadziła ją wzrokiem aż do łazienki. Kiedy Kleks wysłuchiwała do końca rozdziału, przybiegła w podskokach, chwytając po drodze swój harpun na morskie potwory, i zbiegła do kambuza, zostawiając Franka samego.

Johnny przejął ster od Clem, która przesunęła się na lewą burtę i oparła plecami o krawędź daszku kajuty. Sięgnęła po swoją książkę i wróciła do przerwanej lektury, od czasu do czasu zerkając na Johnny'ego, który ponapinał mocniej żagle. Wiatr osłabł nieco, co zazwyczaj wprawiało go w złość, lecz teraz zdawał się nie zwracać na to uwagi. Najwyraźniej wędrował myślami gdzieś daleko i to jej się nie podobało, zdecydowanie wolała, kiedy był myślą przy niej.

Kiedy nieco później wstała, żeby skorzystać z toalety, z zaskoczeniem ujrzała, że w kajucie dziobowej Annie układa do snu bardzo senną Kleks. Nawet nie było jeszcze całkiem ciemno. Kołysała córeczkę w ramionach, raz za razem całowała ją po głowie i płakała, szepcząc jej do ucha jakieś czułe słówka. Clem przyglądała się temu przez chwilę, po czym zawróciła, zrobiła dla wszystkich herbatę i wyniosła ją do sterówki. Annie dołączyła do nich, blada, z zaczerwienionymi oczami, i bez słowa wróciła do szycia. Johnny siedział przy sterze i palił skręta, wodząc spojrzeniem po horyzoncie. Podebrał grot jeszcze bardziej, bo wiatr słabł coraz szybciej. Usiadła obok niego, upiła parę łyków herbaty i zamknęła oczy. Musiała mieć pewność, że podejmie właściwą decyzję, kiedy nadejdzie ta chwila. Gdy sama poczuła, że wiatr prawie całkiem ustał, otworzyła oczy. Johnny pstryknął niedopałkiem w morze. Zerknęła na kompas, który miała tuż przed sobą.

Zmienił kurs o dwadzieścia stopni i ustawił jacht bardziej pod wiatr.

– Straciliśmy wiatr! Frank? – zawołał w stronę dziobu. – Straciliśmy wiatr!

Frank podniósł wzrok znad książki i rozejrzał się po pustym morzu. Po chwili wstał i z książką w ręku podszedł do zejściówki, żeby popatrzeć na żagle. Zachodzące słońce oblało go złotym blaskiem. Wydawał jej się tak bardzo bliski: jego ciało, sposób poruszania się, utykanie, charakterystyczne drapanie się po brodzie, sposób mówienia czy to, jak na nią patrzył. Kochała dwóch mężczyzn, była tego pewna.

– Robi się późno. Nie powinniśmy już płynąć w stronę lądu? – zapytał.

Kiedy pochwycił jej wzrok, uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach. Popatrzyła na Johnny'ego.

– Myślę, że stąd powinniśmy już dopłynąć do Datcy na silniku – odparł. – To nie powinno być daleko. Ale z przyjemnością poześluję jeszcze jedną noc w samotności.

– Nie, popłyniemy na silniku – zdecydował Frank.

Dał nura pod bomem, usiadł przy rumplu naprzeciwko niej i sięgnął po papierosy. Jego bliskość podziałała na nią, była już wyczulona na jego wielkość i zapach. Przy nim Johnny wyglądał na podrostka. Zmienił jeszcze trochę kurs, poprawił ustawienie grota i genui, sprawdził mocowanie szotów na knagach, zanim przekazał ster w ręce Franka. Ten lubił siedzieć przy rumplu, kiedy płynęli na silniku. Wszyscy troje popatrzyli na wskazania kompasu. Płynęli teraz prosto na wschód, mieli słońce za plecami.

– Trzymaj ten kurs – powiedział Johnny, stukając palcem w szklaną kopułę.

Stanął na szczycie zejściówki, oparł się o krawędź daszku kajuty i zapatrzył prosto przed siebie, wzdłuż linii masztu i dziobu. Clem po raz kolejny odniosła wrażenie, że specjalnie zostawia ją sam na sam z Frankiem, jakby mu zależało na tym, żeby była z nim. Frank przypalił papierosa i pochylił się w jej stronę. Początkowo myślała, że chce położyć rękę na jej kolanie, ale sięgnął do rozrusznika. Warkot silnika wydał jej się odrażający i natrętny po ciszy, w jakiej dotąd żeglowali. Annie odłożyła szycie i popatrzyła na męża.

Nagle silnik zadławił się, parsknął i umilkł. Przez chwilę Clem sądziła, że o coś zawadzili. Zawsze się bała, że z dala od lądu mogą trafić na jakąś podwodną skałę i szybko zatonać. Nerwowo zacisnęła palce na relingu.

– Co to było, do pioruna? – wycedziła.

– Cholera! – zaklął Frank. Jeszcze raz przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik tylko fuknął i znów nastała cisza. – To dziwne.

Johnny odwrócił się i wszedł do sterówki.

– Spróbuj jeszcze raz – rzekł.

Frank ponownie przekręcił kluczyk, ale tym razem nic się nie zadziało, silnik nawet nie parsknął.

– Wygląda na to, że coś blokuje śrubę – powiedział, wychylając się za rufę.

Johnny poszedł w jego ślady, próbując dojrzeć śrubę pod skąpaną w złotym blasku powierzchnią wody.

– To może być sieć – odparł.

– Możliwe. To może być cokolwiek, do diabła.

Frank jeszcze raz przekręcił kluczyk, jakby nie mógł uwierzyć, że coś się stało. I tym razem bez rezultatu.

– Ewidentnie coś blokuje śrubę – orzekł.

– Ja się tym zajmę – odezwał się Johnny, zdejmując koszulę. – Clem, przejmij ster.

Clem przesunęła się i ustawiła „Małą Utopię” dziobem do wiatru, aż oba żagle głośno załopotwały.

– Bądź ostrożny, Johnny – powiedziała.

Sięgnął pod siedzenie sterówki w poszukiwaniu maski. Bardzo nie lubiła, kiedy schodził pod wodę na pełnym morzu, bała się, że porwie go prąd albo jakieś morskie stworzenie. Poza tym woda była zimna i głęboka.

– Pewnie będziesz potrzebował noża – rzekł Frank. – Podejrzewam, że to sieć albo jakaś stara lina.

Annie wstała, zeszła do kambuza i po chwili wróciła z tym samym nożem, którym podcięła sobie żyły. Wszyscy zwrócili na to uwagę, kiedy podawała nóż Johnny’emu. Ten włożył maskę, zacisnął nóż w prawej ręce, zszedł po drabince i z ostatniego stopnia spojrzął jeszcze w oczy Clem. Oboje byli tak samo zatroskani.

Z lękiem popatrzyła na różowe ciemniejące niebo i nurkującą do morza pomarańczową kulę słońca. Niedługo miało się zrobić ciemno. Między smugami słonecznego blasku woda wydawała się czarna i gęsta jak ropa.

– Tylko pod żadnym pozorem nie próbuj uruchomić silnika – zwrócił się Johnny do Franka, uśmiechając się pod maską i zaciskając opalone na brąz palce na krawędzi rufy. – Clem, trzymaj łódź pod wiatr.

Skinęła głową.

Johnny przykucnął na najniższym stopniu drabinki, dla równowagi oparł się prawą ręką o burtę tendra i zsunął się do wody. Aż syknął, zanurzywszy się w zimnym morzu. Pozostał jeszcze na powierzchni, trzymając się burty tendra, tylko zanurzył twarz pod wodę, próbując dojrzeć śrubę, podczas gdy wszyscy troje wychylili się za rufę i patrzyli na niego.

Kiedy po chwili zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował pod jacht na dobre dziesięć sekund, czekali w milczeniu, wpatrując się w ciemność za burtą. Nic nie było widać, nie licząc ich rozmytych odbić i tylko nieco jaśniejszego zarysu jego sylwetki. Johnny wypłynął, dysząc głośno, złapał się najniższego stopnia drabinki i powiódł wzrokiem po ich twarzach. Poprawił ułożenie maski i rzucił:

– Jeszcze chwila.

Zanurkował ponownie. Dla Clem upływające sekundy wydłużyły się w minuty. Ale gdy tym razem wypłynął, zawołał radośnie:

– To kawałek liny, która się owinęła na śrubie. Nie widzę jej dobrze, pod wodą jest za ciemno. Czy ktoś mógłby usiąść w łodzi i poświecić mi latarką? Poza tym będę

potrzebował śrubokręta.

Frank pogrzebał pod siedzenie sterówki, wyjął stamtąd dużą latarkę i śrubokręt, po czym przyciągnął tender i przesiadł się do niego, żeby stamtąd poświecić Johnny'emu. Zapalił latarkę, wsunął ją pod powierzchnię i skierował strumień światła na śrubę. Johnny zanurkował ponownie i zniknął im z oczu, ale zaraz się wynurzył i chwycił drabinki, odwrócony plecami do Franka. Annie wychylała się za rufę, podobnie jak Clem, która jedną ręką ścisnęła rumpel i utrzymywała jacht dziobem do wiatru.

– No, dobra, Frank – zawołał Johnny, przekrzykując łopot zwisających luźno żagli. Obejrzał się w kierunku tendra. – Świeć na śrubę od tej strony, jeśli możesz.

Clem ponownie zajrzała w mroczną toń, gdy zanurkował po raz kolejny. I zauważyła w pewnej chwili wypływający koniec grubej liny odciętej przez niego.

– Udało mu się! – zawołała, wciąż wpatrując się w smugę światła latarki pod wodą. – Dalej, Johnny!

Był pod wodą niemal całe wieki, z pewnością brakowało mu powietrza. Ale gdy wypłynął, dysząc ciężko, trzymał w ręku krótki odcinek liny.

– Udało się? – zapytał Frank. Clem spojrzała na tender. Słońce za plecami mężczyzny zrobiło się purpurowe, w tym blasku jego włosy zdawały się płonąć. Klęczał na dnie, starając się utrzymać właściwy kąt strumienia światła pod wodą. – Potrzebujesz jeszcze śrubokręta? – zapytał, wyciągając go do Johnny'ego.

Ale ten całkowicie zignorował Franka, ociężale podciągnął się na drabince, stanął na najniższym szczeblu, mokry i ociekający wodą, wyprostował się w krwistym blasku i z kamiennym wyrazem twarzy ściągnął maskę.

– A więc udało ci się? – zagadnął ponownie Frank.

Ale Johnny i tym razem nie odpowiedział.

– Udało się? – zapytała Clem.

Spojrzała na Franka. Tender oddalił się jakieś trzy metry od „Małej Utopii” i Frank zaczął wybierać luźną cumę. Okazało się jednak, że nie jest luźna, tylko odcięta, nie była już przywiązana do drabinki. Wyprostował się, zmieszany, trzymając w ręku mokry koniec odciętej liny. Łódź oddalała się od jachtu z każdą sekundą, kołysząc się z wolna na niewielkiej fali.

– Cuma się odwiązała! – powiedział, rzucając jej koniec w kierunku drabinki.

Ale Johnny nawet nie wyciągnął ręki, żeby ją złapać, tylko popatrzył obojętnie, jak z pluskiem wpadła do wody jakiś metr od niego.

– Johnny! – zawołała Clem. – Złap linę!

Uzmysłowiła sobie z przerażeniem, że jest za późno, koniec liny był poza jego zasięgiem. Frank zaczął energicznie wyciągać ją z powrotem. Popatrzyła na Johnny'ego w skrajnym osłupieniu.

– Johnny! Złap linę! – zawołał Frank, rzucając ją po raz drugi.

Ale ten nadal się nie poruszył, tylko stał nieruchomo na ostatnim szczeblu drabinki i

spoglądał na oddalający się tender, oddalony już o dobre osiem metrów.

– Zawróć jacht, Johnny! – wykrzyknęła Clem, ale i na to nie zareagował. – Zawróć, słyszysz?!

Podерwała się od rumpla i zaczęła rozglądać gwałtownie za czymś, co mogłaby rzucić Frankowi, ale Annie tkwiła jak wmurowana na siedzeniu w sterówce, pod którym były zapasowe liny, i zamiast się odsunąć, też tylko patrzyła na Franka, z całej siły zaciskając dłonie na brzegu siedzenia.

– Przesuń się! – zawołała Clem, lecz Annie ją zignorowała, nawet nie podniosła na nią wzroku.

– Wstawaj! Trzeba mu rzucić linę! – wrzasnęła Clem, usiłując ją ściągnąć z siedzenia.

Dopiero wtedy Annie zareagowała. Puściła trzymaną kurczowo krawędź siedzenia i zacisnęła palce na ramionach Clem, wbijając jej paznokcie w skórę. Uścisk był tak silny, że Clem od razu spostrzegła krople swojej krwi pod jej paznokciami.

– Musimy mu pomóc, Annie – powiedziała, przerażona błyskami szaleństwa w jej oczach.

Annie pochyliła się i szepnęła jej na ucho:

– Nie zdołasz mu pomóc. Ludzie tacy jak my nie pasują do tego świata.

W jej głosie było coś przerażającego. Powoli rozluźniła uścisk i gdy Clem odsunęła się na krok, obie popatrzyły na Franka w tendrze. Ogarniała go panika, zaczął się gorączkowo rozglądać po łodzi.

– Gdzie są wiosła? Gdzie są te pieprzone wiosła?!

Clem obróciła się do Johnny'ego, gdy dotarło do niej, że w łodzi na pewno nie ma żadnych pieprzonych wiosł.

Dopiero wtedy zrozumiała, co się naprawdę dzieje. To nie był wypadek, cuma została celowo odcięta. Była świadkiem spisku.

Frank był dobre dziesięć metrów od nich, może nawet więcej, i jego głos już dobiegał stłumiony. Widziała, jak się przymierza, żeby skoczyć do wody. Ale nie umiał pływać i mógłby liczyć wyłącznie na jej pomoc, której zapewne nie byłaby mu w stanie udzielić. Patrzyła, jak uklęknął na dziobie i zaczął energicznie wiosłować rękoma, jednakże łódź najwyżej przestała się oddalać.

– Śmiało, Clem, weź bosak! – zawołał.

Był bezradny i potrzebował jej tak, jak tego pragnęła, tyle że nie mogła mu pomóc. Podbiegła do koła ratunkowego wiszącego w uchwycie za relingiem, chcąc je odwiązać, ale Johnny wychylił się szybko w jej kierunku.

– Siadaj! – wrzasnął, odpychając ją.

– Wracajcie tutaj! – krzyknął Frank. Nikt się jednak nie poruszył. – Jak mnie tutaj zostawisz, Johnny, to cię odnajdę! Jak zabierzesz moją córkę, też cię odnajdę, do cholery!

Przysięgam na Boga, że cię odnajdę i zabiję!

Clem stała jak rażona gromem. Jeszcze ani razu nie słyszała, żeby podnosił na kogoś głos. A teraz ryczał jak rozwścieczony niedźwiedź.

– Wiem, kim jesteś! – odezwał się w końcu Johnny, wychylając się za rufę nad szczytem drabinki. – Nie zasługujesz na to, żeby mieć córkę, ty potworze!

– Nic nie wiesz!

– Wiem, kim jesteś, Frank! Jak mogłeś to robić? Nie zasługujesz na żadną z nich! – Johnny odwrócił się plecami do niego, przestąpił nad relingiem i zeskoczył na pokład, niby od niechcenie trącając kolanem rumpel.

Żagle szybko wypełniły się wiatrem i „Mała Utopia” zaczęła się oddalać od tendra.

– Annie! – wrzasnął Frank, prostując się, ale jego głos ugrzązł w szumie wiatru wiejącego w przeciwną stronę. – Annie! Ciebie też odnajdę! Wiesz, że cię odnajdę!

Podniosła się powoli z nienawiścią i smutkiem wypisanym na twarzy.

– Jesteśmy zepsutymi ludźmi, Frank! – zawołała w jego kierunku chrapliwym, łamiącym się głosem. – Jesteśmy zepsuci do szpiku kości!

Clem złapała Johnny’ego za rękę.

– Nie możesz na to pozwolić! – zawołała. – Zostałeś wprowadzony w błąd!

– Mylisz się, Clem. Lepiej ty mnie posłuchaj! – krzyknął na nią, nie mniej rozwścieczony niż Frank, strząsając z siebie jej dłoń. – To ty zostałeś wprowadzona w błąd. Kurwa, przejrzyj wreszcie na oczy!

Clem dostrzegła za jego plecami poruszenie, gdy Annie wzięła rozbieg i skoczyła do wody.

– Nie! – krzyknęła Clem.

Kiedy Johnny się obejrzał, zobaczył tylko, jak Annie ląduje z pluskiem w falach za rufą. Błyskawicznie szarpnął rumpel i zahamował nabierający prędkości jacht, który szybko zatrzymał się w linii wiatru.

– Ona skoczyła do morza! – zawołała przerażona Clem. – Skoczyła do morza!

– Annie?! – zawołał Johnny, przechodząc z powrotem na drabinkę.

Ale ona nawet nie spróbowała podплыnąć z powrotem do jachtu, utrzymywała się na powierzchni i powoli oddalała od nich.

– Musi tak być, Johnny! – krzyknęła. – Kleks będzie z wami bezpieczna.

– Annie, co ty wyprawiasz? Wracaj – odparł, wychylając się i wyciągając do niej rękę, a drugą trzymając się relingu. – No, dalej! Złap mnie za rękę!

Nie zrobiła tego. Pozostała w jednym miejscu, tuż poza jego zasięgiem, utrzymując się pieskiem na powierzchni skąpanej w czerwonym blasku i spoglądając na niego ze smutkiem w tych dużych oczach, podczas gdy jacht oddalał się coraz bardziej.

– Złap mnie za rękę! Zrób to!

Gdyby wychylił się jeszcze trochę, sam wpadłby do wody. Clem, roztrzęsiona i

przerażona zachowaniem całej trójki, otworzyła schowek pod siedzeniem w sterówce, wyjęła z niego bosak i podała go Johnny'emu, który wyciągnął go w kierunku Annie.

– Złap się! – krzyknął.

Clem usłyszała desperację w jego głosie i to przeraziło ją jeszcze bardziej. Machnął bosakiem, żeby zaczepić jego koniec o ubranie Annie, ale była już za daleko.

– Podpłyn do mnie, Annie!

Z drugiej strony zaczął ją nawoływać Frank i oboje popatrzyli w osłupieniu, jak zaczęła płynąć w jego kierunku.

– Nie płyn do niego! – zawołał Johnny. – Tender nie wytrzyma zbyt długo. Wracaj do nas!

Obejrzała się na niego i na jego wyciągniętą rękę, na hak skierowanego ku niej bosaka i na przerażenie malujące się w jego oczach.

– Annie, wracaj! Co ty robisz?

Ale nie zareagowała. Patrzyła tylko na niego tymi swoimi dużymi błękitnymi oczyma pełnymi rezygnacji, strasliwego pogodzenia się z własnym losem, i oboje zrozumieli, że nie wróci do nich.

Sierp księżycyca błyszczał jasno, krążące wokół niego chmury rozpraszały jego srebrzystą poświatę, która tańcząc na falach, rozsiewała na boki setki odblasków. Z prawej burty Johnny spostrzegł stadko delfinów baraszkujących w przyboju i przyglądał się, jak skręcają i lawirują, wyskakują nad wodę i nurkują w swojej rozkosznej głupiutkiej ignorancji. Fosforescencja była bardzo silna, a odblaski księżycowej poświaty tak liczne, że gdy delfiny wyskakiwały z wody, ich sylwetki ukazywały się jak gdyby w otoczeniu milionów płynnych diamentów. Przyglądał im się, ale rozdźwięk między tym, co widział, i tym, co odczuwał, był tak olbrzymi, że ledwie rejestrował te widoki.

Oddalali się od tendra, dopóki krzyki Franka nie utonęły w szumie wiatru, i Johnny zdawał sobie sprawę, że choć zrobił to świadomie, już do końca życia miał słyszeć jego wrzaski niesione wiatrem. W dodatku ręce mu się wciąż trzęsły i ledwie mógł utrzymać szot. Cały był rozdygotany od szoku, niezależnie od tego, ile wciągnął na siebie swetrów. Nie przewidział, że Annie skoczy do morza i popłynie za Frankiem, więc teraz nie mógł się uwolnić od wspomnień, wciąż miał przed oczyma, jak ona odpływa w kierunku tendra ku pewnej śmierci. Nawet się nie obejrzała. A przecież zrobił to dla niej, dla niej i dla Kleks. Rozmyślał teraz, jakim był głupcem, bo przecież musiała to zaplanować zaraz po tym, jak powiedział, że jej pomoże, wciąż trzymając w ręku bulwersujące zdjęcia. Rozpogodziła się wtedy od razu, jej oczy wypełniły się łzami ulgi i szczęścia. Chodzi o Kleks, powtarzała, Kleks nie może się nic stać. I teraz ogarniała go niepoohamowana, ukierunkowana wściekłość, bo wtedy przyrzekł jej, że Kleks będzie z nimi bezpieczna, a on nie dopuści, żeby Frank pozostał z nią sam na sam choćby na minutę. Wyjście z tej sytuacji wydało mu się oczywiste, musiał wypłynąć na otwarte morze i zostawić Franka w łodzi z dala od wszelkich żywych stworzeń. Musiał go przekazać w ręce jego pieprzonego najwyższego boga, Karmy. Frank był złym człowiekiem. Pozostał do rozwiązania tylko problem nakłonienia go, żeby wszedł do łodzi. Ale teraz w jego głowie kołatała się tylko ta myśl, że ratując Kleks przed jej straszliwym losem, uczynił z niej sierotę. Skończył dopiero dwadzieścia jeden lat, a już miał na sumieniu życie nie jednego, ale dwojga ludzi. Spuścił wzrok na swoje roztrzęsione ręce. Serce mu się tak ścisnęło, że miał wrażenie, jakby na piersi spoczął mu jakiś gigantyczny ciężar, i nie sądził, aby kiedykolwiek udało mu się od niego uwolnić. Stąd nie było już powrotu do dawnego życia.

Słońce szybko zaszło i ciemność pożerała resztki dziennego światła. Pomyślał, że tamci może jednak nie zginą. Istniała pewna szansa, że wyjdą z tego cało, że ktoś ich uratuje albo znajdą jakiś sposób wiosłowania do brzegu czy też trafią na sprzyjający prąd, ale wolał się nie oszukiwać. Gdyby jednak nawet przeżyli, a „Mała Utopia” płynęła ciągle na zachód, szanse odnalezienia ich przez Franka były niewielkie. Co do tego nie miał większych wątpliwości. Nie istniała żadna łączność między Grekami i Turkami. I chociaż szukał

pocieszenia w takich rozważaniach, w głębi duszy był przeświadczony, że tender pójdzie na dno, podobnie jak setki innych rzeczy, które wcześniej spychali za burtę. Jak tylko zmienił kurs i postawił żagle, starał się nie patrzeć w kierunku, z którego przybyli. Płynęli teraz na północny zachód, w kierunku Wysp Jońskich, jak najdalej od tych wzburzonych wód. Ilekroć spoglądał za rufę, nachodziły go obawy, że zobaczy majaczącą w oddali postać Franka stojącego w łodzi, ale za każdym razem dostrzegał tylko układający się zygakiem ślad spienionej wody, która za rufą jachtu wskazywała kierunek do księżycy.

Clem nie odezwała się do niego ani słowem. Siedziała odwrócona tyłem, nie chcąc nawet na niego spojrzeć, ze wzrokiem utkwionym w tym punkcie horyzontu, w którym zniknął im z oczu tender, tak samo roztrzęsiona, unikająca dotyku jego dłoni. Patrzyła, jak łódź roztapia się w mroku, a krzyki Franka milkną w szumie wiatru, dopóki nie było już na co patrzeć i czego słuchać. Jeszcze przez jakiś czas prostowała się nagle, sięgała po lornetkę i lustrowała horyzont, ale jedynym wyróżniającym się elementem w pobliżu było stadko baraszkujących delfinów, a jedynym dźwiękiem – odgłos fal uderzających w burty jachtu. Ani razu się nie odwróciła i nie popatrzyła w kierunku dziobu, jej wzrok przyciągał jedynie majak tendra kołyszącego się na wodzie za nimi.

– Gdzie jest tata?

Oboje aż podskoczyli na miejscu. Kleks, nieświadoma ofiara wszystkich tych wydarzeń, stanęła tuż przed świtem na szczycie zejściówki, ubrana w marynarkę kapitana Hooka i opatulona kocem, trzymając w jednym ręku Gille, w której szklistych oczach odbijał się blask księżycy. Oboje zaskoczył jej widok w sercu rozgrywającego się dramatu, jakby zapomnieli, że jest jego mimowolnym bohaterem.

Kiedy tak stała, posturą podobna do ojca, ale z twarzą matki, dodatkowo przypomniała im o tym, czego i tak mieli nigdy nie zapomnieć. Otumaniona lekami, przespała całe dramatyczne zejście rodziców ze sceny, lecz teraz była całkiem przytomna i przecierając oczy, rozglądając się za nimi, ani trochę nie zdawała sobie sprawy, że wstaje kluczowy dla niej dzień. Jej życie już na zawsze musiało się dzielić na to przed i na to po tym dniu.

– Podejdź tu i usiądź, Kleks – odezwał się Johnny.

Jeszcze raz przetarła zaspane oczy i przedreptała przez sterówkę, rozglądając się dokoła.

– Gdzie mamusia? – zapytała, gdy powiodła wzrokiem po pokładzie i spojrzała znów na Johnny’ego. – Gdzie jest mój tata?

Clem spojrzała na Johnny’ego. Nie myśleli jeszcze o takiej rozmowie. W ogóle ze sobą nie rozmawiali. Clem podniosła rozpinany sweter Annie, który został na ławce w sterówce, i opatuliła nim małą.

– Proszę, włóż to – powiedziała. – Jest dosyć zimno.

Kleks pozwoliła, żeby Clem narzuciła jej sweter na ramiona osłonięte kocem, po czym klęknęła przy siedzeniu w sterówce i zapatrzyła się na morze za burtą, nieświadoma spojrzeń, jakimi ją obrzucali.

– Odpłynęli łódką – rzekła Clem.

– Zgadza się – dodał Johnny. – Na jakiś czas wybrali się na ląd.

Zapatrzyła się na morze.

– Beze mnie? – zapytała zdziwiona. – Kiedy wrócą?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Popłynęli, żeby poszukać Babci?

Całkiem już zapomniał o żółwiku.

– Nie wiem, Kleks. Po prostu odpłynęli.

– Myślę, że chyba odpłynęli, żeby poszukać Babci – oznajmiła stanowczo, siadając przy nim i zakładając nogę na nogę. – A może... – dodała radośnie, podniecona nową myślą – ...postanowili znaleźć mi nowe zwierzątko?

Johnny objął ją ramieniem i delikatnie przytulił do siebie.

– Możliwe – odparł cicho, nie mając bladego pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Spojrzała mu w oczy.

– Myślisz, że to mógłby być kucyk? – zapytała.

Na chwilę go zatkało.

– Nie jestem pewien, czy kucyki lubią pływać na jachcie – odrzekł.

– Kucyki lubią jachty – odparła stanowczo.

Clem przygryzła dolną wargę i popatrzyła przez ramię, chcąc uniknąć wzroku małej.

– Niedawno mieliśmy tuż za prawą burtą stado delfinów – powiedział. – Idź i przyjrzyj się.

Odprowadził ją wzrokiem, jak podreptała wzdłuż burty, na dziobie ułożyła się na brzuchu i zapatrzyła w morze, wypatrując delfinów.

Popatrzył na Clem i dostrzegł, że ukradkiem ociera łzy z policzków. Nadal była roztrzęsiona. Na pokładzie zrobiło się bardzo zimno. Nie zdziwił się więc, gdy wkrótce zeszła razem z Kleks pod pokład, do salonu, i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Johnny'ego samemu sobie przy sterze. Ten zachodził w głowę, jak, do diabła, mogło się to wszystko stać. Popełnił straszliwy czyn. Ktoś musiał to zrobić, doskonale wiedział, że nie było innego wyjścia, lecz i tak dręczyła go świadomość, że dopuścił się czegoś straszliwego. Ale musiał jakoś z tym żyć. A teraz w dodatku miał na głowie dziecko, którym musiał się opiekować, czego nie przewidział w najśmielszych marzeniach. Dlatego musiał oddychać pełną piersią. I to bez przerwy.

Daleko na horyzoncie dostrzegł statek pasażerski, przypominający z tej odległości szereg maleńkich lampek rozciągniętych na murze. Wyobraził sobie, że na pokładzie ludzie tańczą, popijają koktajle, zasłuchani w jakiś stary przebój, albo układają się do snu w czystej pościeli, i zapragnął znaleźć się między nimi, w ciele człowieka niepodobnego do siebie.

Później zapatrzył się na wschód Gwiazdy Porannej. Była tak jasna i początkowo tak czerwona, że wziął ją za światło pozycyjne lewej burty jakiegoś dużego statku, lecz z

upływem czasu zaczęła się wznosić ponad maszt i wyraźnie odróżniać się blaskiem od innych gwiazd. Kiedy w końcu stanęła ponad topem masztu, zszedł pod pokład, żeby zaparzyć sobie kawy. Oczy go piekły z przemęczenia. Ale nie było już sensu układać się do snu. Dobrze wiedział, że nie zaśnie.

Clem leżała bez ruchu od lewej strony, odwrócona tyłem do salonu, skąpana w blasku lampki do czytania świecącej się nad jej głową. Stanął nad koją i popatrzył na nią. Skórę na skroniach miała już całkiem spaloną od słońca, nawet po wewnętrznej stronie dłoni skóra miała ten sam odcień, co reszta ciała. Słońce odmieniło ją dokumentnie aż po linię włosów. Jeszcze niedawno w takiej sytuacji nie mógł się powstrzymać, żeby się nie pochylić i nie pocałować jej, ale teraz nie był do tego zdolny, tak bardzo pogłębiła się przepaść między nimi. Wiedział już, że czeka ich rozstanie, nie miał tylko pojęcia, jak temu zaradzić, bo to zadanie znajdowało się daleko na liście jego priorytetów w danej chwili. Przeszedł więc obok niej i uchylił drzwi kajuty dziobowej. Kleks spała na miejscu matki. Clem opatuliła ją śpiworem i ułożyła jej pod głową poduszki od strony lewej burty. Wyglądała na skrajnie bezbronną i kruchą, gdy tak spała z otwartymi ustami i głośno oddychała przez zaschnięte gardło. Poczł ogrom swojej odpowiedzialności za nią, która uderzyła go niczym bom gwałtownie przechodzący z jednej burty na drugą w trakcie zwrotu. Teraz była ich dzieckiem. Jego córką. Musiał zrobić dla niej wszystko. Ostrożnie zacisnął palce na jej małej dłoni i obiecał jej w myślach, że zawsze będzie dla niego najważniejsza, przy czym odniósł wrażenie, że zareagowała lekkim uściskiem palców na dotyk jego dłoni i poczuł, że w głębię jego zlodowaciałego serca nadchodzi odwilż. Schylił się i pocałował ją w policzek.

Kiedy wyszedł z powrotem do salonu, Clem siedziała na koi z kocem narzuconym na ramiona i przyglądała mu się uważnie.

– Myślałem, że śpisz – powiedział, przechodząc do kambuza, żeby wstawić czajnik na kuchence.

– Jak w ogóle możesz spojrzeć jej w oczy? – zagadnęła szeptem, który wydał mu się obcy, jakby specjalnie chciała się odciąć od niego.

Odczekał chwilę, zanim zaczął wystukiwać stopą rytm, po czym spojrział ponad jej ramieniem i postanowił ją lekceważyć. Nalał do dzbanka tylko tyle wody, żeby wystarczyło na dwa kubki. Przyszło mu do głowy, że nie ma pojęcia, jak pojemny jest zbiornik na słodką wodę, której zapasy musiały się przecież kiedyś skończyć. Powinni dopłynąć do jakiegoś portu w celu ich uzupełnienia.

– Zabiłeś jej rodziców – dodała gardłowym, płaskim głosem, stwierdzając niezbity fakt.

– Dostali szansę, żeby wyjść z tego cało. – Kucnął, żeby zapalić kuchenkę gazową. – Poza tym Annie skoczyła z własnej woli.

– Ale jego świadomie zabiłeś.

– Zostawiłem go w łodzi, jeśli tego nie zauważyłaś.

– To prawie to samo i świetnie o tym wiesz.

Z trzaskiem postawił czajnik na palniku.

– A jaki miałem wybór? – zapytał.

– Na pewno nie musiałeś go zabijać. Nikt cię nie upoważnił, żebyś bawił się w Boga.

– Czyżby? – Popatrzył z dołu na nią. – Pozwól, że coś ci powiem. – Zrobił krok w jej kierunku i oparł się o zlew. Starając się zachować spokój, zapytał: – Masz pojęcie, jak bardzo Annie chciała się uwolnić od męża?... Do czego była gotowa się posunąć? Ukryła garść swoich pigułek i tym razem chciała zabrać ze sobą Kleks.

Clem przez chwilę patrzyła mu w oczy, wreszcie pokręciła głową.

– Nie wierzę ci – rzuciła, ale w jej oczach pojawiły się błyski strachu.

– Więc spróbuj mi wytłumaczyć, dlaczego kobieta była gotowa na taki krok? Od jakich koszmarnych rzeczy próbowała uciec?

– Była szalona, Johnny.

– No to powiedz, co powinienem być zrobić w takim razie. – Zamilkł i wbił spojrzenie w jej twarz.

– Powinieneś być po prostu zawieźć nas wszystkich do Dacę.

– Próbowałem, ale ty nie chciałaś jechać ze mną.

– Chodzi mi o ten drugi raz.

– Aha, i wtedy miałabyś czyste sumienie, prawda? Odeszłabyś od niego? I zostawiła Kleks w jego rękach?

– Tak. Oczywiście, że zrobiłabym to z czystym sumieniem.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Gotowa była wyprzeć się wszystkiego, celowo nie chciała mu wierzyć.

– Ten człowiek uprawiał seks ze swoją pięcioletnią córką. Nie rozumiesz tego?

Milczała przez chwilę.

– Ona była pomyłona, Johnny. To nieprawda! – krzyknęła, zapominając, że Kleks śpi w sąsiedniej kajucie.

– Mój Boże, Clem! – syknął, pocierając palcami czoło. – Przejrzyj wreszcie na oczy, do cholery!

– Była szaloną, porąbaną suką! Dobrze o tym wiesz!

Nie chciał jej w to wciągać, wolał nie tłumaczyć, do jakiego stopnia Frank był zdeprawowany. Chciał ją chronić przed nim tak długo, jak tylko się da. Pochylił się nad zlewem i znowu spojrzał jej w twarz.

– W szafce jest ukryta książka z plikiem zdjęć przedstawiających sceny, których pewnie wolałabyś nie oglądać. Sądzę jednak, że w tej sytuacji powinnaś je zobaczyć.

Odruchowo cofnęła się o krok z lekko otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami, zbladła też wyraźnie, gdy jego odrażające słowa wyparły z jej głowy wszystkie inne myśli. W jednej chwili straciła wszelkie argumenty.

– To są na pewno jego zdjęcia? – zapytała w końcu półgłosem.

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Pytam, czy to na pewno jego zdjęcia? – powtórzyła. A po chwili uśmiechnęła się. – Na żadnym go nie widać, prawda? Oczywiście, że tak. Więc te zdjęcia niczego nie dowodzą, Johnny. Annie cię wystawiła, a ty jak głupi dałeś się nabrać.

Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Jezu Chryste – mruknął. – Zwariowałaś na jego punkcie.

– A ty nie? Myślisz, że jesteś księciem w błyszczącej zbroi, który przybył jej na ratunek?

– Przecież próbowała podciąć sobie żyły.

– To było tylko wołanie o pomoc.

– W każdym razie do mnie dotarło, jasne? Do cholery, Annie naprawdę potrzebowała pomocy! – Tym razem to on na nią wrzasnął, a nigdy dotąd nie podnosił głosu.

– Tylko Annie i Annie... O niczym innym nie mówisz. Jedno jest pewne, nie wolno ci było rozprawiać się z jej mężem.

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu? No? Słucham! Zgłosiła to na policji?

– To nieprawda!

Zatkała sobie dłońmi uszy, żeby go więcej nie słuchać.

Johnny poczuł, że krew mu się zaczyna gotować. Krzyczał już na cały głos: – To kogo miałem o tym zawiadomić? Kogo by to obchodziło? Tu nie obowiązuje żadne prawo! Nie rozumiesz? Mógł robić, co mu się żywnie podobało. To dlatego, do kurwy, nazwał ten jacht „Małą Utopią”!

Z wściekłością grzmotnął pięścią w sklejkowy panel tak mocno, że powstało w nim pęknięcie i zagłębienie, a jego knykcie podbiegły krwią. Pochwycił jej spojrzenie i zapatrzili się na siebie nawzajem, przerażeni świadomością, co się z nimi stało, jak wszystko się popsuło w tak krótkim czasie. Odwrócił się, oparł łokciami na stopniach zejściówki i ukrył twarz w dłoniach, próbując powstrzymać łzy i zapanować nad sobą. Żadne nie odważyło się nic powiedzieć. Kiedy podniósł wzrok na nocne niebo, poczuł, że otacza go bezkresna bolesna pustka.

Zagwizdał czajnik. Johnny wyprostował się i powoli, z niezwykłą pedanterią, zaparzył dwie kawy, odmierzając granulki z taką precyzją, jakby całe życie zależało od tych dwóch porcji czarnego napoju. Rozmieszał cukier i przeniósł kubeczki na stół. Clem wciąż siedziała przy nim bez ruchu, zapatrzona gdzieś w dal, z twarzą pozbawioną wyrazu. Usiadł obok niej i postawił jeden kubeczek przed nią, po czym oboje zapatrzili się w rozkołysane kolisty czarne wiry. Siedzieli tak przez dłuższy czas.

– Chcę wracać do domu – odezwała się w końcu cicho.

Dom. W ogóle o nim nie myślał. Podniósł na nią wzrok. Przypomniał ją sobie nagle z wcześniejszego okresu, z pobytu w domu, kiedy byli jeszcze razem. Miał wrażenie, że znaleźli się w innym świecie. Przypomniał ją sobie z dzieciństwa, gdy kręciła salta, skacząc z wydmy, a potem ich pierwszą randkę w Blue Anchor, kiedy ubrana w białą

bluzkę i dzinsy nastawiała piosenki w szafie grającej. Tak bardzo ją kochał, nadal ją kochał. Ale nie mógł już sięgnąć do tych pokładów miłości. Wszystko już było poza jego zasięgiem. W duszy stał się obojętny, jak z kamienia, a na zewnątrz był potrzaskany i poobijany.

– Dobrze – odpowiedział, jak gdyby na pytanie, które nie padło. – Zabiorę cię do domu.

– Jak, Johnny? – odparła. – Przecież mamy teraz Kleks.

– Zabierzemy ją ze sobą.

Zawahała się i popatrzyła na niego podkrążonymi, zapuchniętymi oczami.

– Jak zdołamy to wyjaśnić?

Miała rację. Nie mogli wracać do domu.

– W takim razie zamieszkamy gdzie indziej – powiedział, śmiało patrząc jej w twarz.

Skinęła głową, lecz z oczu popłynęły jej łzy.

– Ale ja chcę wracać do domu, gdzie wszystko jest mi znane – odparła.

– Proszę – mruknął, z głośnym westchnieniem zwiesił głowę i potarł palcami czoło. Był skrajnie wyczerpany. – Nie poradzę sobie sam.

Przez pewien czas wsłuchiwali się w plusk fal o burty łodzi, znowu utkwivszy spojrzenia w teraz już gładkiej powierzchni kawy w kubeczkach.

W końcu Johnny rozejrzał się dokoła takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zobaczył, gdzie się znajdują. Popatrzył na wgniecioną ściankę, brzydki, tandetny dywan zakrywający pokład, historyczne książki Franka, kieszonkowe romansidła Annie, jego kredki i różne gadżety, jej kamyki i plażowe skarby, drzwi kajuty, za którymi spała pięcioletnia dziewczynka. Jej rodzice odeszli, a Johnny i Clem ukradli ich życie.

Ślub w najmniejszym stopniu nie przebiegł zgodnie z planem, choć była to mała skromna uroczystość, zaledwie dwanaście osób zgromadziło się w kościele w St Mawgan – tym samym, w którym dwadzieścia pięć lat wcześniej brali ślub rodzice Johnny’ego. Rob przywiózł Clem na tylnym siedzeniu starego triumpha tiger cuba, ponieważ uparła się, że mają dotrzeć do kościoła oddzielnie. Wierzyła w mnóstwo rozmaitych zabobonów, toteż bez przerwy zmieniała decyzje. Niektóre były absurdalne, jak choćby ten, że w ogóle nie powinni się widzieć od rana w dzień ślubu, kiedy nic nie było w stanie ich rozdzielić na noc. Oczywiście zastosowała się do reguły „coś pożyczonego i coś niebieskiego”. Sukienkę w pewnym sensie pożyczyła, bo zamierzała ją oddać do sklepu charytatywnego. Sarah ją znalazła w salonie Barnardo w Newquay, w dziale z koszulami nocnymi. Całkiem nieźle udawała suknię ślubną, tyle że była w błękitne kwiatki, za to miała mocno wciętą talię i długie kloszowe rękawy. Ponadto znalazła Johnny’emu trzyczęściowy garnitur, byli więc elegancko ubrani. Nikt jednak nie miał pojęcia, jak powinny przebiegać ceremonie ślubne, a Clem nie dopuściła matki do przygotowań na żadnym etapie. Ta bardzo chciała, żeby wszystko przebiegało tradycyjnie: nieznanymi dalsi krewni i kompozycje kwiatowe, rozmowy z pastorem i dostawcami potraw, tabliczki na stołach i wynajęte limuzyny, dopóki Clem jej nie wyjaśniła, że dla państwa Love te rzeczy nie mają większego znaczenia. Tak więc jej matka przyglądała się speszona, jak wybierają bluszcz i ostrokrzew do ślubnego wianka Clem czy zamawiają beczki piwa w pubie Riv. Niemniej trudno jej było ukryć rozczarowanie, zwłaszcza po tym, jak zastała Sarah w trakcie przyozdabiania starego motocykla białą farbą emulsyjną.

Brali ślub w listopadzie, kiedy to jednego dnia przytrafiają się wszystkie możliwe rodzaje pogody. Przed południem nad wzgórzami pojawiła się nawet tęcza, co Clem uznała za dobry znak, tylko nie wiedziała dokładnie czego. Mocno obejmowała Roba w pól, przyciskając kolana do siedzenia motocykla, impet powietrza wysoko podrywał jej długą suknię, spod kasku wystawały pasma zakręconych włosów, a ona starała się balansować na zakrętach naśladowując ruchy Roba, który przechylał się to w jedną, to w drugą stronę na wąskich, krętych wiejskich drogach. Był niższy i szerszy w ramionach od brata, ale poza tym mieli wiele cech wspólnych. Na przykład pachnieli podobnie. Kiedy więc wtuliła policzek w jego plecy, jej serce tak się wypełniło radością, że o mało nie pękło. Była tak szczęśliwa, że cały świat zdawał się dla niej błyszczeć. Kiedy wyruszali spod domu u podnóża zbocza, rozmyślała, że jeszcze nigdy nie widziała równie błękitnego morza i białych grzyw fal, równie czystych nabrzeżnych klifów i zielonych łąk. Wszystko było intensywniejsze w ten dzień ich ślubu, jakby natura przygotowała specjalnie dla niej niezwykły pokaz – bo nigdy do końca nie uwolniła się od dziecięcych podejrzeń, że świat został skonstruowany wyłącznie na jej użytek.

Ale słoneczna pogoda nie utrzymała się długo, kiedy podjeżdżali w górę zbocza, niebo gwałtownie pociemniało, po czym zaczęło lać jak z cebra. Świetnie czuła, jak krople deszczu spływają jej po karku, gdzie krawędź kasku nie sięgała kołnierzyka sukni. Deszcz z głośnym mlaskaniem atakował skórzaną kurtkę Roba, a za nimi na asfalcie zostawały smugi zmytej białej farby emulsyjnej, która po krótkim czasie była już wszędzie, na jej nogach i na garniturze Roba.

Ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy dojechali do kościoła i stało się jasne, że na ten sam dzień inna para zaplanowała ślub, na który przyszły setki znajomych nowożeńców. Clem z Robem zeskoczyli z motocykla i pobiegli ścieżką pod sklepiony portyk przed głównym wejściem, gdzie Johnny z całą gromadką ich gości chronili się przed deszczem. I tak, ku swemu osłupieniu, Clem usłyszała dobiegające ze środka gromkie śpiewy, pokastywania i inne odgłosy trwającej ceremonii ślubnej. Zaczekali, aż dobiegnie końca i tłum gości przeniesie się na drugą stronę kościoła, by tam pozować do zdjęć – podczas gdy oni całkiem o fotografii zapomnieli – i wyszli na spotkanie pastorowi. Był bardzo zdziwiony, że druga młoda para przyszła na ślub w jego kościele. Orzekł, że nie może im go udzielić, bo pomijając inne sprawy, nie potwierdzili terminu, a więc zapowiedzi nie zostały odczytane podczas nabożeństwa. Byli zaskoczeni, tym bardziej że nie mieli pojęcia, czym są owe zapowiedzi. Clem zaproponowała, żeby pastor wygłosił je właśnie teraz, w tej minucie. Ale mimo powstałego zamętu i błagalnych próśb pastor pozostał nieugięty: nie było zapowiedzi, nie będzie ślubu. Okazało się ponadto, że nie przyjechał ojciec Clem. A Rob zostawił obrączki na stole w kuchni. Tak więc ostatecznie, zamiast do kościoła na ślub, cała gromadka przeszła na drugą stronę ulicy do Falcon Inn na jednego głębszego, zanim wreszcie ojciec Johnny'ego doznał olśnienia.

Pogoda znów się zmieniła. Zanim dotarli do portu w Padstow, ciemny wał chmur zsunął się w stronę horyzontu i zostawił za sobą czysty klarowny błękit nieba. Wiatr był słaby, ale zimny, a nisko stojące zimowe słońce rzucało wydłużone cienie na pokrytą tłustymi plamami ropy wodę w porcie. Odświętne stroje szybko zniknęły w cholewach wysokich kaloszy i pod wełnianymi swetrami, szalami i niedobranymi sztormiakami, jakie znaleźli w szopie na przystani. W piątkę zajęli pozycje na stromo opadającym nabrzeżu, gotowi do spuszczenia w fale przyływu stojącego na przyczepie starego fireballa, którego stalowe olinowanie podzwaniało nerwowo na wietrze. Sarah i Rob stanęli po jednej stronie w lodowatej płyciźnie, a Johnny z Clem po drugiej, podczas gdy jego ojciec zajął się wyprowadzaniem przyczepy z jachtem przed szopę. Clem jako pierwsza wskoczyła do łodzi, z brzegiem białej sukni wyłażącym z kaloszy i makijażem rozmazanym na twarzy od łez, których nie zdołała powstrzymać jeszcze w pubie. Nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy udawali, że nie zauważyli jej łez, gdyż zbytnim okrucieństwem byłoby nawiązywanie do ich przyczyny – bo wszyscy doskonale ją znali. I wcale nie chodziło o to, że ślub w kościele się nie odbył – ostatecznie mogli się pobrać w dowolnym terminie – ale o to, że ojciec Clem się nie pojawił. Chociaż ten raz mógłby odłożyć wszystkie inne sprawy na bok. Johnny był tak wściekły na niego, że wolał nawet nie wymawiać jego imienia. Bo Clem była tak bardzo podniecona, gdy Jim zgodził się przyjechać, powiedział nawet, że z przyjemnością poprowadzi ją do ołtarza, a Peter i Tim wspaniale by wypadli w roli paziów. Aż skakała wtedy nago po całym mieszkaniu z radości. Ale teraz łajdak nawet

się nie pokazał. Johnny rozumiał, dlaczego Clem nie chce się pogodzić z prawdą, nawet dwie godziny po terminie próbowała go jeszcze tłumaczyć, mówiąc, że pewnie zgubił drogę, a później zaczęła opowiadać, jak to strasznie jest teraz zajęty w nowej pracy. Ale Johnny widział, że ilekroć otwierały się drzwi pubu, obracała się z nadzieją, a potem udawała, że coś jej wpadło do oka, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, że on nie przyjedzie.

Usadowiła się pod masztem fireballa z sercem mocno bijącym z podniecenia. Zapięła suwak kurtki aż pod samą brodę i odwinęła za długie rękawy, żeby schować w nich dłonie. Na wodzie było jeszcze zimniej. Johnny ściągnął swoją wełnianą czapkę i rzucił jej przez burzę. Włożyła ją i popatrzyła w kierunku szopy. Stała tam jej matka i machała ręką, wyglądała dość osobliwie w szpilkach i obszernej niebieskiej sukni, na którą narzuciła żółty sztormiak, który dał jej tata Johnny'ego, żeby nie zmarzła. Była zbyt uprzejma, żeby odmówić, ale uważała, że to zepsuło jej kreację. W sumie wyglądała nieźle, można było odnieść wrażenie, że należy do ich gromadki. A Clem bardzo zależało, żeby matka zobaczyła, jak wspaniałe jest życie z rodziną Love'ów. Uzmysłowała sobie z całą mocą po południu, gdy jej ojciec się nie pojawił, że do tej pory przyjmowała za pewnik obecność matki w swoim życiu. Posłała jej całusa dokładnie w tej samej chwili, kiedy Sarah ze śmiechem przetoczyła się przez burzę jachtu, a zaraz po niej stanął na pokładzie ojciec Johnny'ego. Obaj bracia zepchnęli ostatecznie łódź na wodę i sami wskoczyli do środka, przy czym Johnny zrobił to tak sprytnie, że nawet nie zamoczył kaloszy. Po dość długim okresie trzymowania, ustawiania masztów, naciągania lin, manewrowania, balansowania przechyłów, nurkowania pod bomami, uskakiwania i halsowania, fireball wypłynął wreszcie gładko na morze, wyszedł z za portowej kei na lekki południowo-zachodni wiatr na otwartych wodach skąpanych w słońcu poślaczającym żagle. Clem obejrzała się na matkę, która wciąż stała pod szopą i machała ręką. Też jej pomachała.

Zaczęli nabierać prędkości, kierując się ku widocznej na horyzoncie wyspie Puffin, a gdy minęli samotną chatę na szczycie szarego skalistego przylądka, słońce schowało się za wzgórze. Mimo tłoku na pokładzie i nadmiarowego obciążenia fireball z dużą swobodą rozcinał mroźne listopadowe powietrze. Johnny tulił Clem w ramionach przy prawej burcie, całował ją w policzek, ale jednym okiem bez przerwy zerkał na żagle, mimo że przy sterze siedział jego ojciec. Sarah dygotała z zimna, z lękiem spoglądając w niebo, a Rob siedział obok niej w pozycji półleżącej. Kiedy przeszli na przeciwny hals, Sarah spojrzała na ojca.

– Możemy już zacząć, tato? Zaraz zamarzniemy.

– Och, tak, przepraszam. Dałem się ponieść. Taki piękny dzień! Przygotować się do zwrotu... – Płynęli prawie równolegle do cypla, częściowo osłonięci przez pasmo wzgórze. – Balast na nawietrzną! – Skręcił w przeciwną stronę, wszyscy zanurkowali pod bomem, a żagle wypełniły się z łopotem wiatrem na nowym halsie. Zaczęli się oddalać od lądu, wiatr gładko popychał jacht po spokojnym morzu.

– Jako kapitan tej jednostki... – zaczął ojciec Johnny'ego tubalnym głosem, który obaj synowie po nim odziedziczyli, po czym rozejrzał się po morzu pod żaglami, jakby z obawy, że jeszcze jakiś inny szaleniec żegluje dziś po tych wodach – ...zamierzam poprowadzić

ceremonię ślubną.

– Czy to w ogóle legalne? – zapytała Sarah.

– Oczywiście, że legalne – odparł, zerkając na czubek masztu. – Nie tylko legalne, lecz elementarne. Ty, Sarah, i Rob będziecie świadkami. Clem, Johnny, stańcie po obu moich stronach. Czy tym razem zabrałeś obrączki, Rob?

Okazał się ekscentrycznym mistrzem ceremonii. Wszyscy wpatrzyli się w niego. A on milczał przez chwilę – często mu się zdarzało, że całkowicie zapominał, o czym toczy się rozmowa, toteż wszyscy się zastanawiali, o czym myśli, kiedy podniósł wzrok do nieba.

– Żałuję, że nie ma tu twojej matki – rzekł. – Już ona by wiedziała, jak należy to załatwić właściwie. Ja nawet nie pamiętam tekstu przysięgi małżeńskiej. Będę musiał improwizować.

Powoli obrócił łódź rufą do wiatru i postawił kliwer, żeby łatwiej było manewrować. Odchrząknął.

– No to zaczynamy. Jonathanie Love – zagrzmiał, żeby przekrzyczeć łopotanie grota. – Czy oszalałeś na punkcie tej kobiety?

Johnny uśmiechnął się, wyglądając zza ojca w kierunku Clem.

– Tak.

– Głośniej! Żeby wszyscy słyszeli. Niebo, morze i my wszyscy, twoi świadkowie.

– Tak! – powtórzył Johnny głośno.

– I kochasz ją bardziej niż cokolwiek na świecie?

Johnny zachichotał.

– Bardziej niż cały świat – odpowiedział i wyciągnął rękę, żeby zacisnąć palce na jej dłoni.

– I obiecujesz troszczyć się o nią, ochraniać ją i wielbić?

– Obiecuję.

– W chorobie i zdrowiu?

– Kategorycznie.

– W gładkiej żegludze i pogodzie sztormowej?

– Tak.

– Bo życie jest trudne, Johnny. A wytrwanie w związku kurewsko trudne. Łatwo jest odejść.

– Tak, tato – powiedział Johnny, rzucając ojcu tylko przelotne spojrzenie i patrząc prosto w ciemne błyszczące oczy Clem. – Nigdy nie odejdę, przysięgam na moje życie.

– Gdzie twoja poezja, chłopcze. Kobieta wymaga poezji.

Johnny się uśmiechnął.

– Kocham ją. Czego jeszcze ci potrzeba?

– W takim razie przejdę do następnego punktu – rzekł ojciec. – Czy bierzesz sobie tę

wspaniałą kobietę za żonę?

– Tak.

– Doskonale. A ty, Clemency Bailey?

– Och, tak – powiedziała, schyliła się i pocałowała Johnny’ego.

Makijaż znów zaczął jej spływać ciemnymi strumieniami po policzkach, ale tym razem z powodu łez szczęścia.

– Nie, zaczekajcie – wtrącił ojciec. – Jeszcze się nie całujcie. Najpierw muszę zapytać. Czy kochasz mojego syna, Jonathana Davida Love’a?

– Tak.

– Bardzo?

– Tato... Idź dalej – wtrącił Johnny.

– Kocham go bardziej, niż mogę wytrzymać. Cierpię z powodu miłości do niego.

– To teraz tak mówisz, Clem, ale czy będziesz go nadal kochać, gdy przyszłość przestanie wyglądać tak różowo? Czy będziesz go kochać, gdy życie zacznie miotać w ciebie kamieniami i strzałami?

Odniosła wrażenie, że zawisł nad nią jakiś cień, bo nigdy wcześniej nie rozważała takiej możliwości. Nie wyobrażała sobie, aby cokolwiek, czym życie mogło w nich cisnąć, byłoby w stanie zniszczyć ich miłość. Ona była niezniszczalna.

– Tak. Och, tak, oczywiście – odpowiedziała i z poważną miną podniosła wzrok na ojca Johnny’ego. – Będę kochać pańskiego syna aż do końca świata, dopóki czas się nie zatrzyma, słońce nie zajdzie na zawsze i nie pogasną wszystkie gwiazdy na niebie. Przekona się pan!

Johnny mocniej ścisnął jej rękę. Czuł wyraźnie klucie w sercu, a wzruszenie ścisnęło go za gardło.

– No, to mi się podoba – oznajmił ojciec. – To mi się bardzo podoba. Dopóki nie pogasną wszystkie gwiazdy... Clemency Bailey, czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża?

– Tak.

– Rob, obrączki. – Rob pochylił się, podał Johnny’emu obrączkę, a ten wsunął ją na przemarznięty palec Clem. – Ogłaszam was mężem i żoną! Niech niebiosa będą wam przychylnie teraz i na wieki!

Były przychylnie, bo w tym momencie złote słońce wyłoniło się w siodle między wzgórzami i oświetliło jacht. Rozległy się krótkie brawa i wiwaty, po czym Sarah zapytała:

– No, dobra, czy możemy już wracać? Zmarzłam na kość.

A Rob pospiesznie chwycił szot kliwra.

Lecz ani Johnny, ani Clem nawet się nie ruszyli. Wcale nie było im zimno, rozgrzewał ich ten sam ogień płonący w duszy. Wpatrywali się w siebie nawzajem. Teraz byli

małżeństwem.

Kiedy wrócili na przystań i wyciągali ciężkiego fireballa z wody, wszyscy trzęsący się z zimna, ale i przepelnieni nowym ciepłem, Johnny ze zdumieniem spostrzegł przed szopą ojca Clem, który stał oparty o drzwi samochodu i palił papierosa, czekając na nich. Miał na sobie brązowy garnitur z watowanymi ramionami. Johnny trzymał jedną rączkę bloczka wyciągu, a Rob drugą, pozostali popychali jacht od tyłu. Jim się przyglądał. Johnny obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Clem już go zauważyła, ale nie, była za rufą i z nisko spuszczoną głową z całej siły popychała łódź pod górę. Zaczerpnął głęboko powietrza. Nic nie mogło mu zepsuć takiego dnia. I nie zamierzał dopuścić, żeby ktokolwiek jeszcze unieszczęśliwił jego żonę. Wyczuł, że Jim podchodzi bliżej, ale nie odwrócił się do niego. Dopiero gdy obracali przyczepę równolegle do nabrzeża, właśnie w kierunku Jima, żeby ją przetoczyć dalej, Johnny zerknął na niego i zapytał:

– Co ci zajęło tak długo?

– Tak, no właśnie, przepraszam – mruknął, nerwowo przyglądził włosy, zawahał się i zaciągnął dymem z papierosa. – Peter spadł z drabinek i musieliśmy go zawieźć na urazówkę, a potem...

Nie miał okazji dokończyć zdania, bo pięść Johnny'ego wystrzeliła zniemacka i trafiła go dokładnie między oczy, zanim zdążył zrobić choć jeden krok. Precyzja i gwałtowność tego uderzenia zdumiały nawet samego Johnny'ego. Stało się to tak szybko, że nikt poza Robem nie miał nawet szansy, żeby cokolwiek zauważyć. Zresztą wszyscy byli zajęci, pochyleni przetaczali przyczepę z ciężkim fireballem na parking przy szopie. Nikt więc nie zwrócił uwagi na człowieka w błyszczącym garniturze leżącego na bruku z krwawiącym nosem.

O świcie zaczęło padać i Johnny włożył sztormiak Franka. Znowu zerwał się wiatr, i to tak mocny, jakby się mścił i chciał mu zwiać wszystkie włosy z głowy. Dziób podskakiwał na falach jak patelnia ciągnięta po bruku. Kleks, która i tak mocno spała mimo łomotów w kajucie, obudziła się wcześniej, wyszła do sterówki i zaczęła opowiadać o swoich snach. Przyśniło jej się, że ma sprężyny zamiast nóg i może na nich skakać setki metrów w górę, nawet na morzu, odbijając się od fal. Przyznała, że jest bardzo dobra w skakaniu na falach i zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby dokonać tego samego na jawie. A później pochyliła się i zwymiotowała.

Johnny wyciągnął wiadro wody zza burty, zmył pokład, po czym ubrał ją w sztormiak i przypiął pasem bezpieczeństwa na ławce na rufie. Siedziała tam i od czasu do czasu odpluwała jeszcze wymiociny za burtę, ale nie była nawet zbyt nieszczęśliwa z tego powodu. Nie zapytała o Franka i Annie, ale nimi wszystko było przesiąknięte, byli wszędzie, w każdym zakamarku jachtu. A im mocniej wiał wiatr i morze robiło się bardziej wzburzone, tym mniej było miejsca na myślenie o nich. Żeglowanie w takich warunkach wymagało ciągłej napiętej uwagi, a choroba morska zanadto wyczerpywała, żeby myśleć o czym innym poza nią, wszystko ograniczało się więc do kwestii przeżycia i Johnny był za to wdzięczny naturze. Zdecydował, że nie będą ryzykować zawijania do portu, dopóki jest

jeszcze słodka woda w zbiorniku. Zamierzał płynąć na Sycylię lub na Korsykę, jak najdalej stąd, żeby tam przemałować jacht, zatopić go albo sprzedać i zacząć od początku.

Clem wyczołgała się spod pokładu w takim samym stanie i również zwymiotowała. Zgodziła się jednak przejąć od niego ster, żeby mógł się troszkę zdrzemnąć na koi za stołem nawigacyjnym. Nie zdjął nawet sztormiaka ani kaloszy, tylko wcisnął się w najdalszy kąt koi, zamknął oczy i trwał tak na granicy snu i jawy, dopóki trzaski i łoskoty miotanej wiatrem łodzi nie zamieniły się w okrzyki i nawoływania Franka. Zaczynał już rozumieć, że Frank nigdy nie zostawi go w spokoju. Nawet gdy w końcu przysnął i nagły przechył rzucił go na ściankę działową sterówki, poczuł w tym siłę Franka. Fiberglassowe okienko przeistoczyło się w napierające na niego jego twarde ciało. Dwukrotnie budził się podniecony i zawstydzony, gdy we śnie czuł grube, delikatne palce masujące mu skórę u nasady karku. Kiedy usłyszał cichy basowy pomruk jego głosu w sterówce, gdy rozmawiał z Clem, o mało nie poderwał się z koi i nie wyskoczył na pokład, żeby się z nim zmierzyć. Clem patrzyła ze zgrozą, jak biegał po pokładzie, wykrzykiwał i przeklinał w stronę pióropuszy wyrzucanej w górę wody. Ale tam nikogo nie było, tylko zjawy. Ale mimo to nie mógł się uwolnić od wrażenia, że jest obserwowany. On widział wszystko. Czuł na sobie spojrzenie jego ciemnych, nieprzeniknionych oczu, gdziekolwiek się obrócił.

Po tym przestał już próbować zasnąć i obsesyjnie zapragnął usunąć z łodzi wszelkie ślady po Franku. Musiał pozbyć się wszystkich jego rzeczy. Spakował jego ubrania. Zachował jednak gotówkę, na jachcie było jej sporo, poukrywanej w różnych miejscach. Zaczął przeglądać ich rzeczy, dokumenty, paszporty. Zwrócił uwagę, że Kleks jest wpisana do paszportu Franka, a nie Annie. Dopisał więc małą w swoim paszporcie: Imogen Love. Kto mógłby podejrzewać co innego? Młoda para na jachcie z dzieckiem, nie było żadnych powodów do podejrzeń. Znalazł nożyczki, pociął wszystkie papiery i paszporty na drobne kawałki, obciążył w foliowej torbie puszką zupy i wyrzucił za burtę.

Trzeciego dnia pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła. Clem z Kleks zostały pod pokładem, niezdolne normalnie funkcjonować z powodu choroby morskiej. Leżały przytulone do siebie na koi po zawietrznej i unosiły głowy tylko po to, żeby wypluć żółć, otumanione i ponure. Nie mógł im pomóc poza pilnowaniem, żeby były zakryte i piły odpowiednią ilość płynów. Nawet nie pomyślał o tym, żeby odszukać jakąś wyspę i przybić do lądu. Na dnie jego umysłu ciągle kołatała się świadomość, że Frank jest tuż za nimi. Tymczasem sztorm przybierał na sile, prędkość wiatru dochodziła do pięćdziesięciu węzłów. Jacht płynął z wiatrem ze zmniejszonymi żaglami, ale on wciąż nie chciał poszukać żadnej przystani. Przywiązał się tylko do relingu znalezionym kawałkiem liny i coraz bardziej pogrążał się w natłoku bezsensownych myśli. W oddali widział majaczące wyspy, ledwie dające się odróżnić od ciemnego nieba, widoczne w postaci nieco jaśniejszych szarawych pasów na tle chmur. Trzymał się z dala od nich.

Czwartego dnia Clem i Kleks zaczęły już wymiotować samą wodą, a on był skrajnie wycieńczony. Kiedy w końcu wpłynęli między położone bardziej na zachodzie greckie wyspy, słońce zaczęło się przebijać przez zbitą masę białych sztormowych chmur i można było wreszcie pomyśleć o postawieniu jakiegoś żagla. A gdy ujrzał charakterystyczną mozaikę jaskiń w wysokim brzegu mijanej właśnie po zawietrznej wyspy, zaczął wreszcie

przeczuwać, że Frank ich już nie odnajdzie. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest wykończony.

W końcu rzucił kotwicę i zszedł pod pokład, żeby zaparzyć imbirową herbatę dla Kleks i Clem. Zdążył jeszcze ugotować makaron, zanim padł. Był tak zmęczony, że wydawało mu się, że oczy mu dygoczą w oczodołach. Na jakiś czas Clem musiała objąć wachtę. Ale jemu została do zrobienia jeszcze jedna rzecz, zanim mógłby wreszcie odpocząć.

Popołudniowe słońce omywało blaskiem burty łodzi, gdy białą błyszczącą farbą, której puszkę znalazł pod siedzeniem w sterówce, zaczął zamalowywać na rufie litery z zawijasami tworzące nazwę „Małej Utopii”. Odczuwał radość, że może się wreszcie uwolnić od tych żalonych słów, skoro nie było tu już odrażającej małej utopii Franka. Pozwolił świeżej farbie trochę podeschnąć, po czym znów zanurzył pędzel w puszcze i przechylił się przez rufę.

– Co ty robisz?

Obejrzał się. Clem stała na stopniach zejściówki, blada i wymęczona. Przez dwie doby nic nie miała w ustach, a nie odzywała się do niego jeszcze dłużej.

– Jak się czujesz? – zapytał z pędzlem w rękę. – Zaparzyłem specjalnie dla was imbirową herbatę i ugotowałem makaron.

– Co robisz? – powtórzyła, wpatrzona w pędzel.

– Zamalowuję nazwę.

Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

– Nie wolno ci tego zrobić.

– Nie możemy ryzykować, Clem. Musimy zmienić nazwę.

– Johnny – jęknęła, kręcąc głową. – Nie można zmieniać nazwy jachtu. Nie wolno ci tego zrobić.

Odwrócił się całkiem w jej stronę, trzymając w jednym ręku puszkę z farbą, a w drugim pędzel. Popatrzył na nią oczyma czerwonymi i piekącymi z braku snu.

– Myślisz, że może nas spotkać jeszcze jakieś nieszczęście? – zapytał. Ale z radością odebrał fakt, że wciąż była wyczulona na takie sprawy. – Dobra, w porządku – mruknął. – A co powiesz, żebyśmy zostawili łódź bez nazwy?

Skinęła głową i odwróciła wzrok. Skończył zamalowywać litery, zamknął puszkę z farbą, a pędzel schował do foliowego worka, po czym zszedł do kambuza. Kleks także czuła się już lepiej. Wszyscy razem napili się imbirowej herbaty i ostrożnie zjedli trochę makaronu, bojąc się o reakcję żołądka. Później Kleks usiadła na stopniach zejściówki, gdzie wyglądała prawie jak matka, blada i wymizerowana, nawet Gilla wisiała smętnie u jej boku, jakby i ona dostosowała się do ogólnej atmosfery przygnębienia. Mała popatrzyła, jak Clem zmywa naczynia, a Johnny składa stół kuchenny, i powiedziała:

– Ja chcę do tatusia.

Johnny zastygł na chwilę bez ruchu, zanim złożył do końca stół.

– Oni wrócą niedługo? – padło kolejne pytanie.

Wolałby z nią porozmawiać, kiedy odzyska zdolność logicznego myślenia. Potrzebował tylko odrobiny snu, choćby dziesięciu minut, nie więcej, żeby stawić czoło temu problemowi.

– Na razie nie – odparła Clem.

Obejrzał się i pochwycił jej wzrok. Okłamywanie Kleks w niczym nie mogło im pomóc. Gdyby mógł się zdrzemnąć, znalazłby jakiś sposób, żeby jej powiedzieć, że oni nie wrócą.

– Myślicie, że znajdą dla mnie kucyka? – zapytała Kleks, schodząc z zejściówki.

Kiedy Clem wzięła od niej talerz, mała wskoczyła na ławę w salonie, zgarnęła z półki całe naręczne książek, poszła z nimi do kajuty dziobowej i zatrzasnęła za sobą drzwi. Już wcześniej potrafiła godzinami przeglądać obrazki w swoich książkach. Clem znieruchomiła przy zlewie, zapatrzona na drzwi kajuty. Johnny rozłożył łóżko i zaczął zdejmować sztormiak.

– Ona wie, Johnny.

Odwrócił się.

– Co wie? – zapytał, ściągając oba swetry naraz.

– Wie, co zrobiliśmy.

Z mocno podkrążonymi ciemnymi oczami wyglądała na tak delikatną, tak kruchą.

– Nie bądź głuptasem. Oczywiście, że nie wie.

Wyprostował się i wolno podszedł do niej, delikatnie objął ją w pól i przyciągnął ją do siebie, wyczuwając jej pożądanie nie mniejsze niż jego. Poczuł, że i ona obejmuje go w pasie, wtulając głowę w jego ramię. Po raz pierwszy od bardzo dawna trzymał ją w ramionach. Odczuwał, jak jej pierś unosi się i opada w rytm głębokiego oddechu. Pocałował ją w czoło i uniosła ku niemu twarz. Zaczął więc całować jej policzki, nos, powieki, usta, łyzy. Ale i ona zaczęła odwzajemniać pocałunki. Wydawało się, że ich ciała wciąż się pamiętają i tylko odnawiają wcześniejszą znajomość, zamiast palców używając warg. Całowali się coraz żarliwiej, jak gdyby czas ich poganiał. Pośpiesznie uwolnili się od ubrań i przy zlewie w kambuzie kochali się mocno i szybko, jakby nie mogli inaczej i tylko w ten sposób mogli dotrzeć do siebie nawzajem.

Czułość pojawiła się później, gdy już leżeli na łóżku w salonie, zaspokojeni i zmęczeni. Wodził palcami po jej gładkiej opalanej skórze i po odbarwionych przez słońce włosach, po zagłębieniach u nasady kręgosłupa i nierównościach linii grzbietu, ciesząc się jej zapachem i miękkością skóry pod dotykiem warg, znowu czując cudowną pełnię miłości, niosącą z sobą obietnicę spokoju. Ale było tylko krótkie odroczenie, jeszcze zanim powieki mu opadły i pogrążył się w kamiennym śnie, poczuł, że ona znów oddała się od niego. Odwróciła głowę i spoglądała na niebo widoczne w otwartym luku, wędrując myślami setki mil od niego. Chciał obrócić jej twarz ku sobie, żeby spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że wszystko będzie w porządku, ale całe ciało miał jak z ołowiu i słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Zapadł w głęboki sen.

Budził się powoli. Leżał w tej samej pozycji, w jakiej usnął wyczerpany, ale świat wokół niego się zmienił. Nie było już Clem w jego ramionach. Zmieniło się oświetlenie,

wstał nowy dzień. Odwrócił się i popatrzył na zegar, przespał całe jedenaście godzin. Kark go bolał, przez całą noc nawet się nie poruszył. Zamrugał szybko i przeciągnął się, bo powieki i palce miał jeszcze lekko spuchnięte od długiego snu. Ale minął mu ból głowy i oczu. Nie czuł się już tak wycieńczony. Po lekkim kołysaniu i leniwym łopocie zwisającego luźno żagla domyślił się, że znowu się zatrzymali, ale nie dbał już o to, powinni być już wystarczająco daleko. Odwrócił się w kierunku sterówki, gdzie ujrzał skrzyżowane nogi Kleks siedzącej na ławce na lewej burcie z książką na kolanach. Śpiewała cicho tę samą piosenkę co poprzednio, a nad jej głową bom kołysał się luźno nad daszkiem kajuty z cichym poskrzypywaniem, to w jedną, to w drugą stronę.

Podniósł się na kolana i wyjrzał przez okno, pocierając kark. Gładkie morze przypominało tafłę szkła, urwisty skalny brzeg wyspy nasuwał podejrzenia, że jest niezamieszкана. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie są. Dokoła nie było żadnych łodzi. Nie było Franka. Dopiero wtedy, gdy się odwrócił, ujrzał Clem siedzącą bez ruchu w samym rogu łóżka, z kolanami pod brodą, jak przyglądała mu się, obejmując nogi rękoma.

– Cześć – powiedział z uśmiechem, powoli siadając z powrotem i wciąż masując sobie kark.

Nadal się nie poruszyła.

– Muszę iść, Johnny – powiedziała cicho, spokojnie.

Popatrzył na nią zdumiony.

– Dokąd?

– Muszę wracać.

– Do domu?

Pokręciła głową. Czekał, aż powie coś więcej, próbując cokolwiek wyczytać z jej twarzy, ale miała kamienną minę, wyzutą z wszelkich uczuć.

– Więc dokąd? – zapytał wbrew sobie, bo już wiedział, co ona ma na myśli i nie chciał tego słyszeć. Pragnął pochylić się ku niej, zakryć jej usta dłonią, unieruchomić jej wargi, żeby nie wydobył się spomiędzy nich żaden dźwięk. Miał ochotę przycisnąć rękę z całej siły i przyciskać ją, dopóki takie myśli nie wylecą jej z głowy.

– Do Franka.

Wszystko zamarło, tylko dygotał mu jeden mięsień dolnej szczęki.

– Źle postąpiliśmy – powiedziała. – Zabiorę ze sobą Kleks. Zaczekamy w Dątcy. Wrócimy do Bodrum. Wiem, że on się uratował. Muszę go odnaleźć.

A więc przemyślała to sobie, miała już gotowy plan. Podjęła decyzję. Zastanawiała się nad tym, gdy on leżał bez czucia w zdradzieckich objęciach snu. Ciekaw był, kiedy ten plan zaświtał w jej głowie, czy przed tym, jak się kochali przy zlewie w kambuzie? Czyżby uległa mu tylko z litości? Zostawiła go daleko za sobą.

– Po co? – zapytał.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w okno, a on poczuł lodowaty chłód rozlewający się po całym ciele. Aż naciągnął śpiwór na ramiona, ale syntetyczny materiał nie grzał ani

trochę. Nie chciał słyszeć tego, co ona ma do powiedzenia. Musiał położyć temu kres, zanim ona zyska okazję do dalszych przemyśleń.

– Przecież wszystko jest w porządku, Clem – powiedział gardłowym głosem. – Damy sobie radę. Popłyniemy dalej, na Sycylię, Sycylię, Korsykę. Wstawimy jacht do suchego doku, wystarczy tylko...

– Ja muszę go odnaleźć – powtórzyła, przerywając mu w pół słowa.

– Po co?

Nie odpowiedziała.

– Kochasz go?

Wzruszyła ramionami, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

– Może... – mruknęła. – Sama nie wiem.

Równie dobrze mogła wziąć z kuchni pamiętny nóż i wbić mu go w brzuch. Pokręcił głową, próbując odzyskać zdolność oddychania. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Przykro mi, Johnny – powiedziała i przygryzła dolną wargę.

Samotna łza stoczyła jej się po policzku, a jej widok na chwilę przyniósł mu ulgę, bo dostrzegł w niej słonawą kroplę nadziei, lecz gdy Clem pospiesznie starła ją palcami, dotarło do niego, że wcale nie płacze za nim, ale za swoją utraconą miłością. I przypomniał sobie anielski głos Annie, którym mu to wyśpiewała.

– Dlaczego? – Własne pytanie zabrzmiało mu obco, bo w głowie mu się tak kręciło, że nawet nie czuł już bólu po jej ciosie. – Dlaczego to robisz?

Pokręciła głową i znowu wyjrzała przez okno, jakby tam szukała odpowiednich słów, zaczerwieniona, z zatroskaną miną.

– Bo w środku czuję się martwa, Johnny... jakbym się dusiła.

Usiłował coś powiedzieć, zaprzeczyć, że tak nie jest, ale czuł tylko ten lodowaty wir gdzieś w głębi serca.

– Tęsknię za nim – dodała, nie bacząc na spustoszenia, które czyni.

– Ale przecież jesteś moją żoną – jęknął, nim jeszcze zrozumiał, jak żałośnie to brzmi. – Przysięgałaś... aż do końca świata...

– Tak, wiem... – odparła, ze złością machając rękoma, jakby na znak tego, że nie musi jej przypominać o tym okropnym fakcie. – Sama już nie wiem, co czuję... Zmieniłeś się, Johnny. Bez przerwy mnie krytykujesz. Widzę to w twoich oczach. Cały czas mnie osądzasz. Chyba już nawet mnie nie lubisz... I ja też się zmieniłam. Przestałam patrzeć na wszystko tak jak kiedyś. Mam teraz nowe życie wewnętrzne...

– Ja też mam życie wewnętrzne! – krzyknął. – Mam od cholery tego wewnętrznego życia. Jesteś w błędzie, bo bardzo cię kocham, Clem. – Głos mu się załamał, a gardło ścisnęło, jak gdyby chciało ukrócić cierpienia.

– Wiem o tym – odparła, jakby miłość nie miała już większego znaczenia, była tylko oklepanym frazesem.

Nie miał jej nic więcej do zaoferowania. Bo ona niczego nie chciała. Była przygotowana, żeby przehandlować jego miłość za uczucie Franka. Chciała się od niego odciąć, a on nie wiedział, co robić, bo wciąż czuł się związany, zawieszony w próżni. Ale w końcu dopadł go ból, jął mu się wwiercać w brzuch, ostry i przenikliwy, aż zaczął się rytmicznie kołysać w przód i w tył, dopóki nie uświadomił sobie nagle obecności Kleks w sterówce, kiwającej nogami na ławce i obojętnej na całą tę jatkę. Zaczerpnął kilka głębszych oddechów, żeby się opanować, żeby odzyskać dumę. Pieprzę cię, Clemency Bailey. Pieprzę cię.

Otarł łzy rogiem śpiwora i wyprostował się, zbierając do kupy resztki godności.

– Lepiej bądź pewna swoich decyzji, Clem, bo ja nie przyjmę cię z powrotem – rzekł, niemalże samemu w to wierząc. – Jak mnie zostawisz, przysięgam, że nie przyjmę cię z powrotem. Rozumiesz?

Spojrzała na niego przekrwionymi oczami z zapuchniętymi powiekami. A po chwili skinęła głową. To był ostateczny cios. Wszystko stało się jasne, ona już zerwała swoje powiązania z nim i mógł tylko nienawidzić jej za tę kompletną, bezgraniczną zdradę.

– Nawiasem mówiąc – odezwał się lodowatym głosem – ani trochę ci nie przeszkadza, że on jest pedofilem? Zaczynam podejrzewać, że jest ci to obojętne.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym wstała z łóżka, jakby to on mówił jej najgorsze rzeczy. Wbrew sobie nie chciał, żeby odchodziła. Pragnął, żeby znowu była z nim w łóżku, naga, bliska i okrutna. Weszła do dziobowej kajuty i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Upłynęło sporo czasu, gdy Kleks weszła do sterówki i wcisnęła się Johnny'emu na kolana.

– Nie lubię Clem – powiedziała.

To dobrze, pomyślał. Ja też jej nie lubię. I nawet nie chcę jej znać. Przytulił małą do siebie i uśmiechnął się sztucznie. Wydało mu się dziwne, że mięśnie jego twarzy nadal funkcjonują, że może sterować jachtem, robić herbatę i wypatrywać na morzu innych łodzi, podczas gdy w środku wszystko miał wycięte w pień.

Odsunął jej włosy z twarzy, jak robili to rodzice, próbując choć trochę ułożyć skołtunione kosmyki. Nie mógł pozwolić, żeby Clem zabrała ze sobą Kleks. Pod żadnym pozorem nie mógł do tego dopuścić.

– Potrzebuję Gilli, a Clem nie chce mnie wpuścić do kajuty – powiedziała ze złością.

Tak więc Johnny z ociąganiem musiał zejść pod pokład. Kiedy stanął przed drzwiami kajuty, pochwycił swoje odbicie w lustrze nad umywalką i bardzo się zdziwił. Wyglądał staro i obco, z pociętą zmarszczkami skórą spaloną od słońca, czarną szczecinę zarostu na brodzie, długimi włosami wyblakłymi na słońcu i sztywnymi od morskiej soli oraz całkiem innymi oczami, pociemniałymi od zgorzknienia. Takiego Johnny'ego jeszcze nie znał, a za drzwiami kajuty znajdowała się nieznajoma. Otworzył je bez pukania.

– Kleks potrzebuje Gilli – powiedział zdawkowo.

Clem siedziała po turecku na środku łóżka, tyłem do niego. Bluzka zsunęła jej się z

jednego ramienia, a naszyjnik z oszlifowanym fajansowym serduszkim wisiał na plecach. Uznał, że to symboliczny znak, że wszystko zostało postawione na głowie.

Rozejrzał się za Gillą, która siedziała oparta o klapę schowka spinakera, w samym wezłowiu łóżka. Nie wyglądało na to, żeby Clem zechciała ją podać, toteż uklęknął jednym kolaniem na brzegu łóżka, schylił się po maskotkę i zerknął na nią. Trzymała w rękach jakiś kawałek papieru, włosy zasłaniały jej twarz, ale i tak można było dostrzec, że jest w fatalnym stanie. Nawet go ucieszył ten widok. Usta miała rozchylone, z dolnej wargi zwisała jej kropelka śliny, wzrok trzymała utkwiony w swoich kolanach, aż przemknęło mu przez myśl, że zmieniła zdanie, zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, i natychmiast poczuł gotowość przyjęcia jej z powrotem. Ale wtedy spostrzegł na jej kolanach otwartą książkę. Nie rozpoznał jej w pierwszej chwili, lecz gdy zauważył, że odnalazła *Podróże Guliwera*, od razu zrozumiał. W rękę trzymała nie skrawek papieru, ale fotografię. Sięgnął po nią, lecz tak kurczowo zaciskała na niej palce, że musiał ją wyszarpnąć. Nie oglądał dokładnie wszystkich zdjęć za pierwszym razem, przynajmniej od momentu, kiedy pojął ich znaczenie. Ale teraz przyjrzał się z uwagą. Zdjęcie przedstawiało jasnowłosą dziewczynkę, mającą najwyżej siedem lub osiem lat, całkiem naga, leżącą na łóżku z rękoma i nogami przywiązanymi do ramy i z bezgranicznym zdumieniem malującym się na twarzy. Na pierwszym planie, w rogu zdjęcia, widać było męską rękę opartą na ramie łóżka. Była to dobrze im znana ręka z obciętymi koniuszkami dwóch palców.

Johnny powoli usiadł na brzegu łóżka i pozwolił, żeby fotografia wysunęła mu się z dłoni.

Teraz przynajmniej Clem znała prawdę.

Noc była jeszcze bardzo ciepła. Stali na kotwicy w archipelagu małych wysepek na północ od Sycylii. Unikali większych skupisk ludzkich, zawijali do małych portów i przystani tylko w celu uzupełnienia zapasów paliwa i słodkiej wody, kiedy indziej zatrzymywali się w małych odludnych zatoczkach, żeby uniknąć przedstawicieli władz i ciekawskich tłumów. Jednak zawsze coś im przypominało Franka i Annie, czy to rodzaj ubrania, sposób poruszania się bądź utykanie, brząca znajomo śmiech czy dźwięki piosenki, a czasami nawet jedno słowo, od którego serca biły im mocniej. Kleks nabrała zwyczaju podbiegania do całkiem obcych ludzi i pytania, czy nie widzieli jej mamy albo taty, podczas gdy Clem i Johnny stali tuż za jej plecami. Ale przestała to robić jakiś czas temu, gdy Johnny jej powiedział, że rodzice nie wrócą do niej, bo zostali w Turcji, więc teraz oni oboje będą się nią opiekować. Oznajmił to beznamiętnym i rzeczowym tonem i ku jego zdumieniu przyjęła to ze spokojem, nie okazując specjalnego zaskoczenia. Niemniej i ona widziała rodziców na każdym kroku, prześladowali ją tak samo, jak jego i Clem. Rozumiał już, że to brzemie będzie musiał dźwigać do końca życia, zawsze mieć oczy z tyłu głowy i nigdy nie czuć się wolnym od nich, od strachu, że za chwilę ktoś go poklepie po ramieniu, a on się odwróci i zobaczy przed sobą mężczyznę o przysadzistej sylwetce, pragnącego odzyskać swoje dawne życie. Clem reagowała tak samo, widział, jak się wzdrygała na widok czyjejś koszuli o znajomym wzorze czy choćby szerokich męskich barów, jak się kuliała ze strachu, bo wszystko zdawało się ją przerażać, jak jej dawny

swobodny duch został zdławiony, a pewność siebie zaniknęła. Nigdy o nim nie mówiła. W ogóle rzadko się odzywała.

Frank zabił jakąś część jej duszy, siedział w niej niczym martwy balast uczepony kurczowo jej wnętrzości. Czuła to, bez cienia wątpliwości. Obnażyła się przed nim, oddała mu, a on przez cały czas wyczyniał z nią najróżniejsze rzeczy. Odbierała to tak, jakby paliła się ze wstydu. A swąd oblepiał ją, włąził we włosy, do oczu i nosa, nie mogła się od niego uwolnić. Na samą myśl o tym, iż sądziła, że się w nim zakochała, przeklinała się od głupich, najgłupszych smarkul. Czuła dreszcze na plecach i żołądek ścisnął jej się boleśnie od świadomości, że dotykały jej te same dłonie, które widziała na zdjęciu oparte o ramę łóżka. Wszystko, co jej mówił, było kłamstwem. Wszystkie osobiste odkrycia mogła zanegować. Nic dziwnego, że stronił od osądów – był szarlatanem, oszustem, potworem. Dała się nabrać. A teraz jeszcze utraciła miłość Johnny’ego. Owszem, kochał ją, wiedziała o tym, ale nie mógł już tak jej kochać jak kiedyś, tak bezgranicznie i bezwarunkowo, od tej pory już zawsze musiały zalegać między nimi cienie, a ich miłość pozostać zraniona. Widziała to w jego oczach, ilekroć na nią patrzył – jak gdyby gasło w nich światło. Potraktowała ich miłość z bezduszną pogardą i pomijając wszystko inne, właśnie za to najbardziej nienawidziła Franka. Miała wszystko, na co zasłużyła, bo okazała się niegodna Johnny’ego. Poprzysięgła sobie, że już nigdy nawet nie wymieni imienia Franka.

Jej milczenie odpowiadało Johnny’emu, przynajmniej na razie. Zniszczenia dokonane przez Franka były nieodwołalne i wieczyste. Nie dało się przed nim uciec, miał być zawsze obecny, dokądkolwiek by się udali. Był na jachcie, w wietrze, w każdym porcie, na każdym horyzoncie. Tak więc wypełniona milczeniem przepaść między Clem i Johnnym ciągle rosła, gdy on zauważał, że ona coraz bardziej zamyka się w sobie. W ogóle przestała rysować i czytać. Kiedy żeglowali, tylko siedziała i wpatrywała się w morze, niczym cień człowieka. Kiedy wychodzili na suchy ląd, naciągała kapelusz na oczy ukryte za ciemnymi okularami i rzadko kiedy podnosiła głowę. Ona też wyglądała inaczej. Przez ostatnie miesiące włosy zrobiły jej się cienkie i długie. I przestały się skręcać, jak gdyby depresja zawisała na ich końcach wielkim ciężarem. Ale przynajmniej wciąż z nim była. Nie odeszła. Johnny lubił sobie wyobrazić, że jej stan się poprawia, że odżywa w niej dawna natura, co by oznaczało koniec ich trudności. Wolał nie przyznawać, że jest jednym z powodów jej nieszczęścia, ale jakaś jego część, dumna i podła, podsuwała mu przeświadczenie, że zasłużyła na to, żeby cierpieć. Musiała zapłacić za własne zaślepienie, za zdradę. Ale mimo wszystko pragnął jej powrotu w dawnym wcieleniu. W ogóle pragnął, żeby wszystko znów było tak jak kiedyś, nie wiedział tylko, jak to byłoby możliwe, skoro ani razu nie wyciągnęła do niego ręki. A kiedy się dobrze zastanowił, dochodził do wniosku, że on też nie wyciągnął ręki do niej.

– Johnny – szepnęła.

Otworzył oczy, miał lekki sen. Noc miała się ku końcowi. Clem kucnęła przy łóżku.

– Obudź się!

Zwykle gdy się budził, miał przed oczyma jej plecy, co wciąż mu przypominało o rozdzielającej ich przepaści. Ale teraz ujrzał na wprost jej twarz, a w jej oczach te same

iskry, co kiedyś. Aż pomyślał, że musiała się jakoś prześliznąć do jego snu, bo tylko w snach ich miłość pozostała nieskazona. Usiadł.

– Co się stało? – zapytał.

– Wyjdź do sterówki!

Dopiero wtedy to usłyszał, jak gdyby warczenie i dyszenie, oddech monstrualnego potwora, a także hurgot odległej bitwy, wystrzały i eksplozje. Odrzucił śpiwór i wybiegł po zejściówce w nocny mrok.

– O mój Boże! – wykrzyknął, gdy niezwykle widok kazał mu się cofnąć o krok.

Zakotwiczyli pod czynnym wulkanem. Wysoki stożek przed dziobem jachtu, który wczoraj tylko dymił, teraz niespodziewanie ożył. Ziemia wypluwała ze swoich trzewi w mrok czerwone jęzory ognia oraz pióropusze białych i pomarańczowych roztopionych skał, wyrzucała je wysoko w niebo, a gęste strumienie lawy opadały miękko i spływały po zboczu strumieniami płynnych klejnotów, po czym ciemniały i wtapiały się w ciemność przed kolejnym spazmem. Patrzyli na to z podziwem, wdrapawszy się na daszek kajuty, jakby oglądali rozgrywany tylko dla nich spektakl. Przyglądali się w zachwycie, jak ziemia na ich oczach się rozpęka i otwiera. Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Jak gdyby wzruszona tym spektaklem Clem wsunęła palce w jego dłoń, a jego serce omal się nie rozpękło od własnej erupcji, gdyż bardzo długo czekał na taki gest. Poczuł się szczęśliwy. Jakby wrócił do domu z dalekiej podróży.

Łatwo byłoby mu ścisnąć lekko jej rękę, gdyby jego palce zareagowały na ten dotyk, gdyby objęły i utuliły w sobie jej szczupłą dłoń i zawarły pokój, za którym tak tęsknił. Ale nie był do tego zdolny. Musiał ją ukarać. Powinna się poczuć odrzucona, żeby zrozumiała ten ból. Zależało mu, by pocierpiała jeszcze trochę dłużej, jak i on cierpiał. Chciał, żeby błagała o wybaczenie, żeby wytłumaczyła się za te wszystkie szkody, które poczyniła, zanim znów będą mogli być razem. Dlatego nie zareagował na dotyk jej drobnej ciepłej dłoni szukającej jego dotyku. Pozwolił, żeby spoczywała w jego dłoni przez chwilę, zanim wymierzył jej karę. Puścił ją. Strząsnął ją, czując nienawiść do samego siebie, po czym odwrócił się i powiedział:

– Kleks powinna to zobaczyć.

I zniknął pod pokładem, żeby obudzić małą.

Kiedy wyszedł z powrotem, zauważył, że płakała, na jej policzkach błyszczały mokre ślady pozłoczone blaskiem wulkanu i poczuł z całą mocą okrucieństwo tego nowego Johnny'ego. Ogarnięty rozpaczą, przez resztę nocy przyglądał się tym spazmom ziemskich trzewi, ale widok dla niego nie był już taki sam. Utracił swój magiczny urok.

Następnego dnia zawinęli do przystani na sąsiedniej wyspie. Musieli odnowić zapas paliwa i zrobić zakupy w supermarkecie, żeby zaopatrzyć się w żywność przed wyruszeniem w dalszą drogę na północ. Johnny uważnie zlustrował sąsiednie jachty, jak miał to już w zwyczaju, starając się nie przeoczyć niczego. Odczytywał nazwy kolejnych łodzi, przyglądał się każdej upranej koszuli schnącej na linie i mierzył wzrokiem każdy but stojący na pokładzie. Zacumował na końcu moła na pontonach, z dala od innych jachtów, po czym zaczęli się szykować do kontroli celnej. Nie schodzili na ląd mniej więcej od

tygodnia, toteż przejście pieszo wydawało im się dziwne, jak zwykle, gdyż mieli wrażenie, że ziemia kołysze im się pod nogami. Kleks trzymała ich za ręce, przez co musieli wyglądać jak typowe młode małżeństwo.

Ta wyspa także była wulkaniczna, sądząc po stromych szczytach i czarnym piasku plaży, ale kipiała żywą zielenią jak nieskalane miejsce dla nieskalanych ludzi, tyle że nie mogli tu zostać dłużej. Uregulował wszystkie opłaty i podał celnikowi sfałszowane dokumenty, jak zawsze z mocno bijącym sercem, wpatrując się w każdy jego ruch. Kleks jak zwykle dała się namówić na milczenie, tym razem przekupiona obietnicą wycieczki na szczyt pobliskiego wzgórza, gdzie widać było ludzi za murem ograniczającym punkt widokowy.

Wzięła Johnny'ego za rękę, gdy wchodzili pod górę, Clem wlokła się za nimi. Wdrapywali się po stromych schodkach z kapeluszami naciągniętymi głęboko na oczy ukryte za ciemnymi okularami. Przechodzili wąskimi ocienionymi uliczkami, mijali wysokie kolorowe domki z małymi balkonikami, między którymi pranie suszące się na sznurkach powiewało w słońcu niczym różnobarwne chorągiewki, a na końcu każdej uliczki otwierał się widok na morze i niebo oraz widoczną coraz wyżej ostrą linię rozdzielającą jeden błękit od drugiego. Kleks biegała tu i tam, ganiała brudne kundle i wychudzone koty. Jakiś czas temu ściął jej włosy na krótko, toteż w ogrodniczkach, w które ubierał ją przed każdym zejściem na ląd, wyglądała teraz jak chłopak. Ale nie złościła się z tego powodu. Od dawna ćwiczyła sikanie na stojąco za burtę jachtu, jak robił to Johnny.

– Wolałabym, żebyśmy tu byli tylko we dwoje – szepnęła, gdy dotarli na szczyt wzgórza i ujrzeli stary grecki amfiteatr z kręcącą się po nim gromadką turystów.

Spojrzał na nią, po czym obejrzał się na Clem, która stała nieco niżej oparta o kamienny mur i spoglądała na morze, jakby chciała w nim wypatrzeć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Spróbował ocenić ich sytuację z punktu widzenia małej. Clem rzeczywiście nie była dobrą towarzyszką. Wszystko zarażała swoim przygnębieniem, niszczyła wszystkie przyjemne chwile, które tak cieszyły Kleks. Tak bardzo się koncentrował na rozgrywce między sobą a Clem, że dotąd nawet nie brał małej pod uwagę. Atmosfera wciąż była zła. Aż nie mógł się nadziwić, jak łatwo przeszli w stan wzajemnej niechęci, jak wojna pomiędzy nimi stała się normą, przez co podobne chwile wytchnienia wbijały się w pamięć. Ostatniej nocy złożyła mu propozycję wyjątkowej chwili wytchnienia, ale on ją odrzucił dla własnej głupiej dumy.

– Niedługo odzyska taki wigor jak kiedyś – powiedział, mając wrażenie, że ta wizyta na szczycie świata, widok morza, miasteczka w dole i okolicznych wysp, całe piękno tego miejsca pozwalają mu zyskać nową perspektywę.

Musiał podjąć próbę naprawy ich stosunków. Pragnął ją zaskoczyć. Chciał przygotować jej ulubioną kolację, do której składniki powinien dostać w supermarkecie, wraz z butelką wina, przy dźwiękach jej ulubionej piosenki *These Arms of Mine* odtwarzanej po wielekroć na okrągło. To powinno pomóc. Ale kłopot polegał na tym, że gdy tylko ułożył w głowie ten plan, powróciły dręczące wątpliwości: jak mógł wszystko naprawić, gdy ilekroć czuł przyływ miłości, czuł także ból z powodu jej zdrady. W takich chwilach odczuwał mętlik w głowie. Kiedy na nią patrzył, widział tylko siebie. Zastanawiał się więc, jakim cudem mogłoby się to zmienić. A jeśli nie zmienić, to przynajmniej trochę

poprawić, bo miał już pewność, że nigdy między nimi nie będzie tak, jak kiedyś. Westchnął, zamknął oczy i poprosił Boga, żeby jemu pozwolił być lepszym, silniejszym człowiekiem. Postanowił znów wyciągnąć ze schowka matę modlitewną.

Schodzili nieco szybciej, Kleks przez całą drogę od ruin do sklepu z lodami ganiała kota, a Clem szła teraz przodem, ubrana w swoje stare dziurawe dżinsy, w klapkach na nogach. Wyszczupiała, spodnie zaczynały na niej luźno wisieć. Przystanęła i poprosiła go o klucz do drzwi sterówki, bo chciała wziąć sweter przed wizytą w supermarkecie, choć wcale nie było zimno. Kupił Kleks loda, gdy czekali na nią przed bramą przystani. Popatrzył, jak Clem idzie w ich kierunku pomostem na pontonach z zieloną torbą na zakupy przewieszoną przez ramię, wypakowaną wszystkimi jej skarbami, z kapeluszem naciągniętym na oczy, ale tym razem z papierosem w ustach. W jej wyglądzie nastąpiła jakaś zmiana, której nie potrafił dokładnie scharakteryzować. Z powodu ciemnych okularów nie umiał powiedzieć, czy na niego spojrzała, ale i tak się uśmiechnął do niej, gdy podeszła do bramy.

– Gotowa na zakupy? – zapytał, chcąc sprawić wrażenie zdecydowanego na nowy początek.

Ale ona przystanęła i zapatrzyła się na niego, jakby nie mogła zrozumieć nieoczekiwanej uprzejmości. Zauważył, że wargi jej drżą. I nagle, ku jego zaskoczeniu, pochyliła się i pocałowała go, po czym oddała klucz. Lecz nawet w takiej chwili, z sercem przepełnionym ochotą wybaczenia, nie potrafił odwzajemnić jej pocałunku.

Był to zwykły małomiasteczkowy supermarket, rozświetlony jaskrawymi jarzeniówkami, z promocyjnymi cenami wypisanymi grubym mazakiem na kawałkach kartonu zwisających spod tandetnych białych paneli w przejściach między regałami. Johnny z nawyku przyjrzał się klientom sklepu, po czym wziął Kleks za rękę i ruszył między regały, szybko zapełniając wózek. Obiecał jej kupić większy zapas landrynek i żelek owocowych, więc ochoczo pchała wózek, w pośpiechu rozglądając się za słodyczami. Znaleźli je na końcu trzeciej alejki i zastanawiali się nad wyborem, gdy zauważył paczki dropsów gruszkowych. Ukrył je w wózku pod alkoholem i herbatnikami, zerkając w głąb przejścia. Clem stała na jego końcu z torbą przerzuconą przez ramię i nie robiła absolutnie nic, tylko gapiła się na towary na półkach, jakby była z innego świata. Potężnie zbudowany mężczyzna chciał przejść obok niej, lecz nawet nie zareagowała, jak gdyby go nie zauważyła.

– Clem? – zagadnął Johnny, lecz i to pozostało bez reakcji.

Spojrzał w dół, bo Kleks ciągnęła go za rękaw, rozprawiając wciąż o słodyczach, toteż pozwolił jej się zaciągnąć z powrotem na koniec alejki, lecz gdy się obejrzał, Clem zniknęła, a olbrzym z kolei przeciskał się obok niego. Rozejrzał się za nią w kolejnej alejce, gdy ładowali do wózka płatki śniadaniowe i makaron, ale i tam jej nie było, musiała pójść gdzieś dalej.

Kiedy dotarli do kasy, zaskoczyło go, że nawet do nich nie dołączyła, zostawił więc Kleks z wyładowanym wózkiem i ruszył przez całą długość supermarketu, zaglądając w poszczególne przejścia, lecz nigdzie jej nie było. Kasjerka zaczęła podliczać ich zakupy,

toteż zawrócił i wysłał Kleks, żeby jej poszukała. Trochę to trwało, zanim dziewczyna powkładała zakupy do toreb, gdyż kupił tyle zapasów żywności, żeby im starczyło na podróż na Korsykę, gdzie planował zatrzymać się na jakiś czas, znaleźć jakąś przystań jachtową, poszukać pracy, a potem sprzedać łódź, żeby łatwiej im było zacząć od początku.

Płacił za zakupy gotówką Franka, gdy Kleks wróciła z wiadomością, że nigdzie nie znalazła Clem. Zostawił ją z zakupami, a sam wrócił jeszcze raz na salę i zaczął kluczyć między regałami, tym razem szybciej, ale bez skutku. Wzięli z Kleks torby i wyszli przed supermarket. Tu także jej nie było. Rozglądał się uważnie po głównej ulicy, lecz nigdzie jej nie dostrzegł, doszedł więc do wniosku, że musiała wrócić na jacht. Etapami przenieśli wszystkie ciężkie torby z zakupami na przystań pośród licznych skarg i buntów małej. Ale gdy tylko minęli bramę i skierowali się w stronę pomostu, już z daleka spostrzegli, że drzwi sterówki są zamknięte, a Clem nie ma na pokładzie. Johnny ruszył wolno pomostem, rozglądając się dokoła, bo przecież mogła gdzieś siedzieć, zapatrzona w wodę albo na inne łódzie. Ale nigdzie jej nie było. Sprawdził jacht. Nie zastał jej na pokładzie, a drzwi były zamknięte na klucz. Przypomniał sobie tę ostatnią chwilę, gdy widział ją w sklepie zapatrzoną gdzieś w dal. Zakłuło go w sercu, gdy doszedł do przerażającego wniosku, że ona odeszła.

Rzucił torby z zakupami na pomost pontonowy i kazał Kleks czekać na jachcie na powrót Clem, a sam wybiegł znowu z przystani i popędził główną ulicą w stronę supermarketu. Pędził ze wszystkich sił, z trudem łapiąc powietrze. O mało nie przewrócił kobiety, na którą wpadł w wejściu, lecz pognał dalej, po raz kolejny sprawdzając w pośpiechu wszystkie przejścia między regałami. Zatrzymywał się w tym miejscu, gdzie ją ostatnio widział, i odwrócił się, żeby sprawdzić, w co się tak wpatrywała. Płatki śniadaniowe. Kukurydziane. A więc marzyła o powrocie do domu. Tyle że jej domem była teraz łódź. W rodzinnym domu nie miała czego szukać. Wyglądało jednak na to, że właśnie tam chciała się udać.

Wybiegł z powrotem na ulicę i na drżących nogach popędził do miasta. Było już późne popołudnie i wszystkie sklepy znów się pootwierały, a na ulicach było sporo ludzi. Musiał lawirować między przechodniami. Wypatrywał zielonej torby, rozglądał się na lewo i prawo, zaglądał do sklepów i w boczne uliczki. Dotarł do skrzyżowania, popatrzył we wszystkie strony i skręcił w kierunku morza. Dotarł w końcu do portu, gdzie promy przybijały i odpływały, ludzie wchodzili na pokład albo z niego schodzili, zmierzając na Sycylię albo inne wyspy. Zaczął biec nabrzeżem, wołając:

– *Chica, bolsa verde.* – Chociaż sam nie wiedział, skąd mu przysły do głowy bezużyteczne tu hiszpańskie słowa.

Wskoczył na pokład małego lokalnego promu i zaczął się przepychać między pasażerami.

– Clem! – nawoływał coraz bardziej panicznym głosem. – Clemency!

Wszyscy patrzyli na niego, jakby postradał zmysły, aż w końcu kontroler poprosił go o bilet i kazał zejść na ląd. Wskoczył na kolejny prom i tak samo przebiegł od rufy do dziobu, wykrzykując jej imię, rozglądając się po twarzach pasażerów, dobijając do drzwi toalety.

Ludzie reagowali na niego złością, pokrzykiwali, to uskakiwali, to zagradzali mu drogę.

– *Mi femme* – powtarzał.

Robił tyle zamieszania, że policjant z nabrzeża zszedł na prom. Nie mógł sobie pozwolić na wzbudzanie ciekawości policji, więc przeskoczył przez reling na pomost i w zapadającym mroku pognął ku głównej ulicy. Ale tam znów zaczął nawoływać, płakać i biegać, dopóki nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa.

Zapadała już noc, kiedy wrócił na jacht, zadyszany. W jego sercu zgasł ostatni promyk nadziei, gdy z końca pomostu dojrzał, że Kleks siedzi na pokładzie sama, otoczona stertą papierków po słodyczach. Clem musiała już być daleko stąd. Mała popatrzyła na niego z nadzieją w oczach. Nawet nie otworzył jej drzwi sterówki. Popatrzył na nią i w milczeniu pokręcił głową, mierząc się z brutalną rzeczywistością.

– O rety, Johnny – zagadnęła Kleks. – Dlaczego my ciągle gubimy ludzi?

Wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

– Clem? – zawołał rozpaczliwie, wiedząc z góry, że nie będzie żadnej odpowiedzi.

Kilka godzin później siedział przy stole w kambuzie, z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy tknięty jakimś impulsem podniósł wzrok i ujrzał na wprost siebie pudełko zapalek sztormowych marki Swan Vestas, które pochodziło z jej kolekcji. Sięgnął po nie i obrócił w palcach. Na wąskim białym pasku na krawędzi było wypisane jego imię. Przez chwilę wpatrywał się w nie, zanim otworzył pudełko. W środku znajdowała się garstka drobnych odłamków muszelek, a na nich wypolerowane przez morze fajansowe serduszko, które ofiarował jej przed laty, gdy byli jeszcze dziećmi. I dopiero teraz go uderzyło, co przykuło jego wzrok, gdy wracała z jachtu przez przystań – nie miała tego serduszka na szyi. To właśnie dlatego pocałowała go przy bramie. To był jej pożegnalny pocałunek. Wyjął serduszko z pudełka i przetaił w palcach, jak to robił na plaży, gdy tylko się w niej zakochał. Ale w pudełku było coś jeszcze, maleńki skrawek papieru pod okruciami muszelek. Wyciągnął go i rozprostował. Maleńkimi literami napisała: „Nie zniosę tego dłużej, J. Nie mogę czekać, aż wszystkie gwiazdy pogasną, żebyś mi wybaczył”. Powoli zamknął pudełko i odsunął je od siebie po stole. Wstał, odwrócił się i wysunął szufladę z mapami – przynajmniej wzięła ze sobą trochę pieniędzy. Nie było też jej paszportu. Zamknął szufladę i wszedł po zejściówce do sterówki. Nie zamierzała tu wracać. Ich miłość legła w gruzach, wiedział to równie dobrze jak ona. Miała rację, nie potrafił jej wybaczyć, ani formalnie, ani w głębi serca. Nie czuł już takiej potrzeby. Łzy napłynęły mu do oczu i popatrzył na wodniste nocne niebo, mając przez chwilę wrażenie, że słońce musiało zejść ze swojej orbity, bo nawet nie zauważył, kiedy się ściemniło. Uważał jednak, że to całkiem naturalne, żeby czas zatrzymał się w takiej chwili, ponieważ nie widział żadnego powodu, dla którego Ziemia miałaby się dalej obracać.

Dusza ludzka jest napiętnowana koniecznością przetrwania i po jakimś czasie, rozciągniętym na dni albo tygodnie, przestał wreszcie czekać na jej powrót, bo musiał się układać na koi w salonie do snu, przestał się gapić na żółty kwiat wyhaftowany na poszewce poduszki, żeby znów zacząć normalnie funkcjonować, ponieważ odbili od

przystani na wyspie, wiatr spychał ich na zachód, a słońce wschodziło i zachodziło, jakby wszystko było po staremu. Przyglądał się biernie, jak niezmiennie wędrowało po niebie, a nocami patrzył, jak gwiazdy wykonują swą zwykłą robotę i pstrzą niebo ognikami złudnej nadziei. Nieróżniące się od siebie dni miały jeden po drugim. Alkohol stał się jego jedynym przyjacielem. Pił bez przerwy, kiedy tylko mógł.

Nie miał pojęcia, jaki jest miesiąc. Równie dobrze mógł to być sierpień albo wrzesień, nie miało to żadnego znaczenia. Widywał inne jachty wypływające na krótko z portów. Niektóre podpływały blisko i wtedy gapił się z niedowierzaniem na uśmiechnięte twarze machających mu rękoma ludzi. Ciekaw był, co oni widzą. Przypominał sobie nagle o Kleks, która stała mu się całkiem obca. Była opalona na kasztanowo, a jej niegdyś ciemne włosy teraz miały odcień słońca. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi nawet zadbać o siebie, a co dopiero mówić o niej. Ale w rzeczywistości nic go nie obchodziło. W miejscu gorącego i wrażliwego serca miał teraz tylko pustkę i obojętność. Patrzył obojętnie, jak mała sama się żywi, otwiera słoiki, wyjada dżem palcami, zlizuje okruchy herbatników z brudnego pokładu, wylizuje resztki soków z kartoników, które rozrywała na całej długości, tak samo palcami wyjada mleko w proszku, nie bacząc na to, że cała jest umorusana na biało, jak postać z filmu rysunkowego. Siadała na dziobie, ściskając w rękę swój harpun na morskie potwory, sprawiając wrażenie tak zdziczałej i szalonej, za jaką ją uważał, ale i tak nie umiał wzbudzić w sobie żadnego cieplejszego uczucia. Czasami przyłapywał ją, gdy mu się bacznie przyglądała, a raz czy dwa razy słyszał tuż przy uchu jej szept albo śpiewaną przez nią piosenkę, ale poza tym zostawiała go w spokoju, a on przez większość czasu nawet nie zauważał jej obecności. Wiedział, że ją przeraża swoim mamrotaniem pod nosem. Niekiedy we śnie jego obojętność przerywała bezgraniczna furia i wtedy miotał się i przeklinał, po czym budził zlany potem. Frank, Annie, Clem – wszyscy troje go wyrolowali. Czuł się więc przepelniony nienawiścią.

Nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobić z tymi resztkami wielkiej miłości, które czuł w sobie, choć powinien się od nich uwolnić. Raz za razem dotykał go ból jej nieobecności, czasem nawet setki razy dziennie, nigdy nie przynosząc mu ukojenia. W niczym nie widział żadnego celu. I wiedział, że już nigdy go nie odnajdzie. Bez przerwy wpatrywał się w horyzont, bo nie zostało mu już nic innego – wykonywał codzienne czynności, bo nie miał wyboru.

Dopiero gdy Kleks wypatrzyła na horyzoncie wyspę, uświadomił sobie, że jednak ma wybór. Miał go przez cały czas. Wziął od niej lornetkę i przyjrzał się dokładnie. Byli jeszcze daleko od lądu, ale i tak zauważył, że niewiele się różni od wysp, które wcześniej mijali: górzysta i stroma, stanowiła zapewne czubek jakiegoś starego wulkanu wyniesionego ponad powierzchnię morza, a jej zbocza, jałowe i spalone słońcem, nasuwały wrażenie, że wyżyć się na niej nie da. Zaciekawilo go przelotnie, gdzie się znaleźli, co to za wyspa, jakim językiem mówią jej mieszkańcy, ale nie wystarczyło tej ciekawości, żeby to sprawdzić. Lepiej się czuł, nie wiedząc tego. Na pewno byli gdzieś u wybrzeży Afryki i ta świadomość mu wystarczyła. Przyszło mu na myśl, żeby dokładnie określić ich położenie, długość i szerokość geograficzną, bo pewnie zdołałby to obliczyć ze wskazań sekstansu, tym bardziej że było koło południa, a więc najlepsza pora na takie

pomiary. Uznał jednak, że nie ma to żadnego sensu.

Przez całe popołudnie halsował ku wyspie, dopóki nie zmienił się wiatr i nie popchnął jachtu łagodnie w stronę brzegu. Kiedy podpłynęli bliżej, stało się jasne, że był w błędzie co do obecności ludzi na wyspie: na zboczach gór ujrzął porozrzucane kamienne zabudowania i w jego głowie zaczął kiełkować pewien pomysł. Długo przyglądał się przez lornetkę, dopóki nie wypatrzył małej przystani, do której i tak nie chciał zawijać, bo nie czuł żadnej potrzeby kontaktowania się z innymi ludźmi, skoro sam już tylko w niewielkim stopniu czuł się człowiekiem. Przepłynął więc na zachodnią stronę wyspy. Wybrzeże było tu skaliste, usiane z rzadka turkusowymi jaskiniami, ale w przewodzie zbudowane ze skruszonych czarnych skał wulkanicznych, za którymi turyści nie przepadali.

Kiedy zaczął wschodzić księżyc, olbrzymi i żółty, jakby skradł blask słońca ześlizgującego się po przeciwnej stronie nieba do morza, poczuł się jak kibic ich niezwykłych świetlnych zmagania.

Wtedy też spostrzegł kościółek, który pasował mu jako ostatni element planu. Przynajmniej jedno z nich powinno ocaleć. A krzyż, nawet w swojej pierwotnej postaci, był znakiem przynoszącym niezwykle ukojenie. Wyróżniał się swoim pełnym nadziei blaskiem na szczycie małej, łukowato sklepionej budowli na szczycie wzgórza. Poniżej kościoła stała niewielka gromadka zabudowań skupionych wokół osłoniętej od wiatru zatoczki, w której na falach kołysało się około dziesięciu kolorowych łodzi rybackich, przycumowanych do pontonowego pomostu skąpanego w złotym wieczornym blasku słońca. Byli jeszcze kilka mil od brzegu, gdy usiadł przy rumplu, wiedząc już, co ma zrobić, gdyż po raz pierwszy od czasu odejścia Clem przepełniała go świadomość przyświecającego celu.

Minął zatoczkę z kościółkiem i znalazł schronienie po jej przeciwnej stronie, pod naturalnym łukiem skalnym. Księżyc wygrał walkę na niebie. Błyszczał wysoko nad ziemią, zrobił się mniejszy i srebrzysty, ale jaśniał chyba bardziej niż dotąd. Prawdę mówiąc, był tak jasny, a woda tak przejrzysta, że doskonale widział, jak kotwica osiada w piasku na dnie. Łódź obróciła się do naturalnej pozycji względem wiatru i Johnny usiadł na pokładzie, żeby zwinąć sobie ostatniego skręta. Przez lornetkę zlustrował każdy skrawek wybrzeża i wypatrzył ścieżkę prowadzącą stromo między skałami w górę na przeciwległym końcu plaży.

Powiedział Kleks, że muszą się ubrać na uroczystą kolację na łodzi. Popatrzyła na niego wielkimi ze zdumienia oczami, zaskoczona, że zwraca się bezpośrednio do niej. Ale rozpromieniła się, upodabniając się do matki, przez co zjeżyły mu się wszystkie włoski na karku. Dodał, że zaczekają do świtu z zejściem na ląd, żeby tymczasem zrobić sobie przyjęcie na jachcie.

Zeszli razem pod pokład i gdy mała zamknęła się w kajucie dziobowej, sprawdził zawartość kuchennej szafki, w której prawie nic już nie zostało poza jedną paczką makaronu. Zaczął przetrząsać inne schowki i znalazł puszkę sardynek pod siedzeniem w salonie. Był przekonany, że nie da się z tego zrobić żadnego dania przypominającego porządny obiad, lecz mimo to wyciągnął wiadro morskiej wody i nastawił ją do zagotowania na kuchence gazowej.

Przeszedł przez salon, w którym Kleks bez skrępowania zdejmowała swoje brudne ciuchy, i skręcił do kingstonu, w którym jego wzrok przyciągnęła szczotka do włosów leżąca na zlewie. Zauważył drobiny krwi na lustrze. To była jeszcze krew Annie. Starł je szybko kciukiem i popatrzył na swoje odbicie, które znowu go zaszokowało. Był straszliwie wychudzony i zaniedbany, a spojrzenie miał tak ponure, iż trudno się było dziwić, że Kleks zaczęła się go bać.

Przeszedł do kajuty dziobowej, sięgnął przez łóżko i otworzył jedną z szafek. Grzebał w niej przez chwilę, aż wybrał trochę ubrań Kleks, dołożył do nich szczotkę do włosów z nocnej szafki i wrócił do salonu. Zrzucił ubrania w róg łóżka i zaczął rozczesywać małej włosy, ale jej to nie pasowało, więc przestał się tym przejmować, tylko wetknął Kleks na głowę starą wełnianą czapkę. Potem przetarł flanelową myjką jej umorusaną twarz, przy czym okazało się, że większość jej opalenizny to nagromadzony brud. Na nosie piegi wyłaniały się spod niego niczym pierwsze gwiazdy na niebie. I nie uniknął zagadkowego spojrzenia jej wielkich wodnistych oczu, gdy dokładnie zmywał małą pucołowatą buzię.

– Witaj, Johnny – powiedziała cicho, aż poczuł trochę mu obce klucie w sercu.

Próbował się uśmiechnąć, lecz mięśnie jego twarzy zdawały się odmawiać posłuszeństwa po tak długim okresie nieużywania.

– Bardzo mi przykro – odparł.

– Dlaczego jest ci przykro? – zapytała, kiedy z zapalem zaczął zmywać pokłady brudu z jej karku. – Dlaczego aż tak dokładnie próbujesz mnie domyć?

– Przecież nie możemy wziąć udziału w przyjęciu, jeśli będziemy brudni, prawda? – odrzekł.

– Ale ty także wyglądasz do dupy – oznajmiła.

– Owszem, masz rację – odrzekł. – Myślisz, że powinienem się ogolić?

– Mógłbyś włożyć garnitur tatusia.

– On ma tutaj garnitur?

– Aha, z taką pstrokatą muszką. Był w nim na spotkaniu z królową.

Johnny skinął głową.

– Naprawdę? – Skubnął ją w policzek. – Tak więc to, co było dobre na spotkanie z królową, musi też odpowiadać tobie. Włożę go z przyjemnością.

Wrócił pod pokład, żeby się ogolić. Widział ją, jak w salonie starannie przegląda wyjęte przez niego ubrania, bez przerwy mrużąc coś pod nosem. Aż pozazdrościł jej tego szczęścia, zdolności przystosowania się, choć i ona utraciła wszystko. Dostrzegł, że wybrała piżamę w niebieskie paski, którą założyła, przeglądając się uważnie w lustrze, zanim wyszła do sterówki, żeby zaczekać na niego.

Ogolony, a zarazem bledszy pod usuniętym zarostem, po raz kolejny zajrzał do schowka w kajucie dziobowej i znalazł garnitur Franka, czarny i wygnieciony. Włożył go, razem z białą koszulą i gorsem, po czym przejrzał się w lustrze. Wyglądał śmiesznie, jakby wybierał się na ślub albo coś w tym rodzaju. Podwinął nogawki spodni oraz rękawy

marynarki, po czym ścisnął się paskiem w pasie. Włożył do tego swoje znoszone buty do biegania, ale poczuł się w nich dziwnie, ponieważ od tak dawna chodził bosy.

– W porządku, moja damo – powiedział, wkładając makaron do wrzątku. – Zanim zjemy kolację, musimy wznieść toast!

Bawiła go ta gra, a może raczej cieszyła odrobina czyichś względów po długiej przerwie. Popatrzył na jej nogi w rajstopach z pasiastym wzorem kiwające się nad pokładem sterówki, kiedy czekała niecierpliwie, aż wyjdzie na górę i dołączy do niej. W srebrnej skrzynce z lekarstwami znalazł małą fiolkę środków nasennych używanych przez Annie. Wyjął ją i przyniósł ze sobą wraz z dwoma kieliszkami i butelką wina. Kleks zaśmiała się głośno, gdy go zobaczyła tak ubranego. Aż zastygł bez ruchu, kiedy rozległ się ten cudowny perlisty śmiech, którego nie słyszał od dłuższego czasu. W końcu miała zaledwie pięć lat, na miłość boską. Tylko pięć lat.

Ustawił kieliszki na siedzeniu między nimi i nalał jej porcję środka nasennego, a sobie czerwonego wina. Stuknęli się. Zwrócił uwagę, jak bardzo naśladuje matkę, trzymając kieliszek, z uniesionym ku górze małym palcem.

– Za ciebie, Kleks! – powiedział przez zaciśnięte gardło i oboje wypili.

Po raz kolejny napełnił kieliszki i wznieśli ten sam toast kilka razy z rzędu, dopóki nie zaczęły się kończyć środki nasenne, a on nie uznał, że to zdecydowanie wystarczy. Później przyglądał się w milczeniu, jak ona zjada makaron. Miała wilczy apetyt, nie nadążała z wkładaniem kolejnych jego porcji do ust. To go napełniło odwagą. Nic jej się nie stanie, pomyślał. Musiała wyjść z tego cało.

Mniej więcej po godzinie, kiedy księżyc spowił ich swoim blaskiem, kiedy mała zasnęła mu na kolanach, delikatnie ujął jej drobne paluszki w swoją dłoń i pocierając je, zapatrzył się pustymi oczami na posrebrzoną wodę. Nie miał innego wyjścia. Spojrzał w gwiazdy, które pragnęły mu chyba przekazać, gdzie się znajdują, roziskrzając całe niebo miliardami jaskrawych rozbłysków, tylko on nie chciał tego wiedzieć.

Uznał, że nadszedł czas. Przycisnął drobne paluszki Kleks do swoich warg i zwrócił uwagę na jej długie, zniekształcone paznokcie oraz liczne stwardnienia po wewnętrznej stronie dłoni. Przez sen lekko ścisnęła w odpowiedzi jego dłoń. Zamknął oczy i po raz drugi ucałował jej palce. Ostrożnie wyswobodził się spod jej bezwładnego ciała i ułożył ją ostrożnie na ławie w sterówce. Miała teraz na sobie sztormiak Clem, nieduży, błękitny, poprzecierany na łokciach i z podwiniętymi rękawami.

Zszedł do salonu i zapalił światło. Podniósł ławkę na lewej burcie i wyciągnął z bakisty wielką kasztanową torbę podróżną. Przez chwilę jeszcze stał, trzymając ją w rękach, niezdolny do tego, żeby się poruszyć, podsycając w sobie intensywną, choć przelotną złość do Clem za to, że zostawiła go w takiej sytuacji. Wreszcie pospiesznie rozpiął torbę i zajrzał do środka. Było w niej pełno jej ostatnich skarbów, różnych naklejek i biletów, gruszkowych dropsów, kamyków i różnych innych rzeczy, które zbierała przez kilka ostatnich miesięcy. Zmierzył go ich widok. Wywrócił więc torbę na nice i wysypał całą jej zawartość na pokład. Następnie złożył koc i upchnął go na dnie torby w roli materaca, po czym dorzucił trochę ubrań po bokach, chcąc je wyłożyć.

Wyszedł z torbą do sterówki, uniósł ostrożnie śpiącą Kleks i ułożył dziewczynkę w środku na kocu, starając się wyłożyć jak najbardziej miękkie posłanie. Zawinał brzegi koca na nią i skrzyżował jej ręczki na brzuchu. Następnie uniósł Gillę z błyszczącymi paciorkowatymi ślepkami i wepchnął maskotkę małej pod rękę, po czym zapiął suwak aż pod jej brodę. Wrócił do salonu, napełnił jeden z jej bidonów czystą wodą i ułożył go w torbie obok niej. W końcu pogasił wszystkie światła i zamknął za sobą drzwi sterówki.

Zepchnął z pokładu pneumatyczną tratwę ratunkową, zastanawiając się, ile może mieć lat, bo pozostawała mu tylko nadzieja, że jeszcze utrzyma się na wodzie. Nigdy dotąd nie korzystał z takiego zestawu ratunkowego, ale po otwarciu pakietu tratwa zachowała się tak, jak powinna. Gdy tylko pociągnął linkę, napełniła się powietrzem jak nadmuchiwana lala, którą kiedyś kupił sobie Rob. Przywiązał ją do knagi, po czym ostrożnie przeniósł do niej śpiącą Kleks, nie mogąc się nadziwić, że jest taka drobna i lekka – torba podróżna z małą ważyła tyle samo, co przedtem wypakowana rzeczami Clem. W końcu sam zajął miejsce w tratwie i odwiązał cumę.

Zaczął wiosłować do brzegu. Księżyc świecił tak jasno, że musiał być doskonale widoczny na wodzie, wierzył jednak, że nikt mu się nie przygląda z brzegu, gdyż w tej części zatoczki nie było żadnych zabudowań na lądzie. Kiedy dobił do wyspy, wyciągnął tratwę na piasek i ukrył za dużą skałą, po czym zarzucił sobie torbę na ramię i poniósł Kleks jak zwykły bagaż. Z mozołem pokonał pas piasku i zaczął się wdrapywać między głazami do ścieżki, zwracając uwagę na muszelki tkwiące w wulkanicznych skałach, co po raz kolejny kazało mu się zastanowić, gdzie jest. Dotarła do niego także kakofonia ścigających go odgłosów, ptasich wrzasków albo żabiego rechotu.

Kościół stał dość wysoko na lewym zboczu nad zatoką i ruszył ścieżką prosto ku niemu, uważając na każdą szczelinę w skałach, dobrze widoczną w blasku księżyca. Najwyraźniej to on był przyczyną hałasów w tej części plaży, ponieważ nagle umilkły, gdy tylko ruszył pod górę, a w zapadłej ciszy dały się słyszeć stłumione dźwięki gitary, co przyjął z zaskoczeniem, gdyż od dawna nie był w pobliżu ludzkich siedzib. Stał między głazami i nadstawił ucha, ale dźwięki muzyki tylko nasiliły w nim tęsknotę za Clem i dawnym życiem, toteż tylko przygryzł wargi, aż poczuł na języku smak krwi. Po chwili z tego samego kierunku doleciały go brawa i wiwaty. Gromkie śmiechy odebrał jak coś zupełnie obcego, a sama myśl, że nawet po jej odejściu istnieją jeszcze na tym świecie radość i szczęście, stała się dodatkowym argumentem, że dla niego nie ma tu już miejsca.

Oszołomiony, rozejrzał się dokoła. Znajdował się na zachodniej krawędzi wzniesienia nad zatoką, skąd było widać kilkanaście domów leżącej nad nią wioski, a po lewej górujący nad nią kościół. Muzyka dobiegała z któregoś domu stojącego nad samym morzem, być może z baru. Samotna żaba zarechotała gdzieś niedaleko, widocznie musiał być blisko jakiegoś oczka wodnego, którego stąd nie widział. Po chwili dołączyły do niej inne i wkrótce rozlegał się już tak gromki, wręcz ogłuszający rechot, jakiego jeszcze nie słyszał. Popatrzył na Kleks śpiącą pod jego ramieniem, ale hałas jej nie obudził, spała z otwartą buzią, lekko rozchylonymi wargami, toteż ruszył szybciej piaszczystą ścieżką w stronę kościoła.

Był mały, łukowato sklepiony, z dzwonnica na szczycie, przy czym zardzewiałe serce

dzwonu wisiało tuż nad jego głową. Drzwi były uchylone, pchnął je i otworzył szerzej. Zaskrzypiały głośno, więc szybko wszedł do środka. Niewielka przestrzeń była wykorzystana do maksimum, ukrzyżowany Chrystus górował nad kazalnicą zwróconą ku paru rzędom ławek. Blask księżyca wlewał się do środka przez wysokie łukowate okno za ołtarzem, przez co wydłużony cień Chrystusa na krzyżu kładł się daleko na kamiennej posadzce, a jego lewa ręka sięgała nieomal butów Johnny'ego. Rozejrzał się uważnie dokoła, starając się zapamiętać to wnętrze, bo wydawało mu się to istotne, choć w zasadzie nie wiedział dlaczego. Nagle zawrócił i wyszedł przed kościół. W okolicy nie było żywej duszy. Ostrożnie zdjął torbę z ramienia i postawił ją delikatnie na ziemi przed wejściem, mając za świadka jedynie blask księżyca. Rozpiął nieco suwak i wsunął Kleks Gillę pod pachę.

Pochylił się jeszcze, cmoknął małą w policzek i delikatnie ścisnął jej drobne palce. Przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło wydostał się tylko stłumiony jęk.

– Boże, ty łajdaku – szepnął. – Jeśli masz choć trochę litości, zaopiekuj się nią.

Nie oglądając się, ruszył szybkim krokiem w stronę jachtu bez nazwy, zadowolony, że mała się nie obudziła. Zbiegł ścieżką na plażę, zepchnął tratwę ratunkową na wodę i powiosłował szybko do łodzi. Przywiązał tratwę za rufą, wszedł na pokład, podniósł kotwicę, postawił grot i ruszył powoli na otwarte morze. Ani razu się nie obejrzał, wołał nawet nie wiedzieć, gdzie jest, co to za wyspa, do jakiej wpłynął zatoki. Dla niego nie miało to znaczenia. Teraz już nic nie miało znaczenia. Nie był z niczym powiązany, jakby przemienił się w ducha.

Pożegłował przez noc po spokojnym morzu ku nicości i nie zatrzymywał się, dopóki słońce nie wzeszło i nie zaszło ponownie, a potem znów nie wzeszło, a on nie nabrał pewności, że nikt go już stąd nie uratuje.

TONIĘCIE

Istniały na pewno gorsze rodzaje śmierci. Ten był niewiarygodnie dobry. Johnny ani trochę się tego nie spodziewał. Nawet sobie nie wyobrażał, że śmierć może być tak spokojna. Więc o co w ogóle chodziło? Śmierć nie była niczym innym jak wytchnieniem dla zmęczonych, wygodną poduszką na koniec wyczerpującego dnia. Teraz, gdy jego poduszka stała się tak namacalna, taka miękka i wygodna, zniknął cały ból, który go wypełniał. Był człowiekiem niemającym absolutnie nic do stracenia. Był człowiekiem wolnym.

W blasku księżyca powierzchnia morza połyskiwała wstęgami srebra i czerni. Fale nieco opadły i znowu stały się jego przyjaciółkami. Nawet nie zauważył, kiedy wszystko przestało boleć. Widocznie był zbyt zajęty umieraniem. To nie mogło już długo trwać, wydawało mu się, że topił się od kilku dni. Miał ochotę zanurzyć twarz w wodzie i odejść. Lecz nawet to wymagało za dużo wysiłku. Przekręcił nieco głowę, a może wcale tego nie zrobił, tylko powędrował spojrzeniem w stronę księżyca, który świecił tak jasno i był taki piękny, że aż trzeba było zmrużyć oczy. Pokryte solą wargi popękały, gdy uśmiechnął się do niego. Musiał się znowu przekręcić, bo teraz leżał na wznak i patrzył na gwiazdy. Ich widok zapierał dech w piersiach, połyskiwały jak klejnoty rozsypane na czarnym dywanie nocy. Pas Oriona wskazywał zachód, Wielka Niedźwiedzica, Gwiazda Polarna, Betelgeza. Były tam wszystkie, migoczące i tańczące, niezależne od niczego, niesłyszane nikomu ani niczemu. Tworzyły tak cholernie piękne widowisko, że aż zachciało mu się płakać.

Odchylił mocno głowę, aż ujrzał świat do góry nogami, jak gdyby pływał wśród gwiazd. Poznał swoje miejsce we wszechświecie.

Najpierw usłyszał, jakby coś wynurzyło się spod wody. W swoim odwróconym świecie dostrzegł w blasku księżyca na godzinie trzeciej jakiś kształt wyłaniający się na powierzchnię około dziesięciu metrów od niego. Zamrugał szybko i wyteżył wzrok, unosząc głowę najwyżej, żeby znów widzieć wszystko w normalnej perspektywie. W pierwszej chwili pomyślał, że to duża ryba albo wieloryb lub delfin. Następnie przypomniał sobie Kleks i jej morskie potwory. Może to właśnie jeden z nich postanowił go pożreć. Ech, ta Kleks. Ale ku swemu bezgranicznemu zdumieniu spostrzegł przed sobą ludzką postać. Patrzył w osłupieniu, jak podpływa powoli do niego, z piersią nienaturalnie wysoko uniesioną nad wodę. Jak, do diabła, ktoś zdołał go tu odnaleźć?

Najpierw rozpoznał ubranie, stare, zrobione na szydełku poncho. Całkiem o nim zapomniał, bo gdy ostatnio je widział, były już w nim tak wielkie dziury, że razem z Robem wsuwali w nie ręce, udając ryby schwytane w sieci. Wtedy zrozumiał, kto to jest, a serce zatrzepotało mu jak latająca ryba, przez co zyskał pewność, że jeszcze żyje. Postać podpłynęła do niego szybko i bez trudu, a na jej twarzy osrebrzonej blaskiem księżyca pojawił się uśmiech.

– Mama! – wykrzyknął, ożywiony niezwykłym ciepłem matczynej miłości.

Jej oczy skrzyły się w blasku księżyca. Gdy znalazła się blisko, zanurkowała pod wodę i zaraz się wynurzyła, gracją dorównując wydrze wślizgującej się na odbijacz. Była lekko zdyszana, krople wody spływały po jej bladej twarzy. Popatrzył w jej oczy, zielone z ciemnymi rzęsami, dokładnie takie same, jak jego własne. Była mu tak bliska, że miał wrażenie, jakby patrzył na samego siebie.

– Mama – powtórzył, przepełniony szczęściem, a ona się zaśmiała i pochyliła ku niemu, żeby palcami prawej ręki, gołej pod ażurowym poncho, musnąć jego policzek.

– Witaj, Jonts – powiedziała i pocałowała jego rękę zimnymi wargami.

Miał wrażenie, że pali się w środku. Gdyby miał siły, chętnie by się rozebrał.

– Och, mamó – rzekł przez zaciśnięte gardło. Oczy miała zalane wodą, widział tańczące w nich światło księżyca. – Jak mnie znalazłaś?

Uśmiechnęła się.

– Przecież mówiłam, że się zobaczymy – odparła, znowu muskając zimnymi palcami jego policzek. – Mówiłam ci. Żyję w tobie, bo przecież wydałam cię na świat.

– Zgadza się – powiedział zdumiony. – Podobno urodziłem się w czepku. To prawda?

Pokiwała głową i uśmiechnęła się, patrząc na niego oczami, które wyglądały jak jego własne.

– Więc jak mógłbym utonąć? – zapytał, przypominając sobie, w jak strasznej sytuacji się znalazł.

– Nie wolno ci się poddawać – rzekła i łzy spłynęły jej po twarzy niczym maleńkie księżycy na policzkach.

– Ja już się poddałem, mamó. Inaczej by mnie tu nie było – wychrypiał, gdyż nagle zebrało mu się na płacz. – Straciłem ją.

Objęła go i przytuliła do siebie, a on oparł głowę na jej ramieniu i zapłakał.

– Cii... To jeszcze nie koniec – powiedziała, głaszcząc go po włosach. Poczuł na czole jej lodowaty dotyk i twardość pierścionków. – Tylko nie zasypiaj, a wszystko będzie dobrze!

Ale ja nie chcę, żeby było dobrze, pomyślał, odczuwał jednak tak silne zmęczenie, że ledwie mógł zapanować nad opadającymi powiekami. Poczuł, że ona odsuwa go od siebie i unosi mu głowę, podetknąwszy palce pod brodę.

– Nie wolno ci spać, Jonts, mój skarbie – powtórzyła i pocałowała go.

Spróbował się skoncentrować, otworzył oczy. Zapomniał już, że gdy marszczyła brwi, tak zabawnie zbiegały jej się na czole. Ale i to nie pomogło, powieki miał za ciężkie. Był pijany zmęczeniem.

Spał.

Kiedy usłyszał muzykę, początkowo nie zarejestrował wcale, że to muzyka, gdyż znajdował się w tak odległej, tak oddzielonej od wszelkich doznań przestrzeni spokoju, że upłynęło sporo czasu, zanim zrozumiał, że muzyka nie jest jego częścią, ale czymś zupełnie odrębnym, a przez to wymagającym od niego choćby nazwania.

Niewiarygodnie cicha, znajdowała się na granicy jego świadomości, musiał się wsłuchiwać w nią każdą komórką ciała, żeby w ogóle mieć pewność, że tam jest. Kiedy już wiedział, że to muzyka – choć nawet nie usłyszał dźwięków, gdyż zdawały się omijać zmysły i docierać prosto do jego istoty, do tego punktu, którym się stał – poczuł, że ciągnie go na zewnątrz, tam, gdzie zapewne tkwiła reszta świata. A potem, gdy pojął, że dźwięki układają się w całość, zabłysnął płomień w tej przepastnej mrocznej pustce, której istnienie zawsze podejrzewał, nawet w dzieciństwie, a po chwili wypełniła się jej miłością, dokładnie tak samo, jak wtedy, za pierwszym razem, na plaży, kiedy w falach trzymał ją w ramionach. To Otis Redding śpiewał piosenkę *These Arms of Mine*.

Wibrujące crescendo gitary wypełniło całą jego istotę tą bezgraniczną miłością, którą była muzyka. Bo muzyka była nią, wiedział to. Ona gdzieś tam była, czuł jej miłość. Zdawała się sięgać aż do nieba, ogarniać cały wszechświat.

Ale oprócz muzyki było tam coś jeszcze. Ledwo to słyszał. W chwili gdy zrozumiał, że to plusk wody, przypomniał sobie, że ona odeszła, zostawiła go samego. Muzyka urwała się nagle.

Otworzył jedno oko. Nasłuchiwał. Nie było muzyki. Nie było matki. Nie było Clem. Jednak coś nadal tkwiło na granicy jego świadomości. Spróbował obrócić głowę, ale nic się nie stało. Nie czuł już swojej twarzy, nie czuł rąk ani żadnej innej części ciała. Był jak bryła lodu, pozbawiony wszelkich zmysłów poza jednym otwartym okiem, którym wciąż jeszcze widział obłoki na niebie, rozkołysane w rytm falowania morza. Unosiły się nad nim dwa wielkie księżyce, jeden wysoko na niebie, a drugi w wodzie tuż przy głowie – łączyła je tylko niewyraźna poszarpana ścieżka jego umysłu. Czerwonawa Gwiazda Poranna, błyszcząca obietnica świtu, dźwigała się ponad rąbek nieba.

Wtedy to zobaczył: tuż pod gwiazdą na horyzoncie nikły skrawek żagla pobielonego blaskiem księżycy. Zamrugął raz i drugi. Łódź nie zniknęła. Patrzył, jak żagiel powoli się przesuwają, naprawdę piękny, i zastanawiał się, jacy ludzie płyną tą łodzią, dokąd zmierzają, o czym rozmawiają. Uderzyło go, że nigdy nie widział niczego równie pięknego jak ten jacht sunący po spokojnej wodzie ukosem do wiatru, zależny wyłącznie od oddechu natury.

Kiedy spostrzegł, że łódź przeszła w drugi hals i teraz kieruje się prosto na niego, serce zabiło mu mocniej. Jego usta wypełniły się ostrą słodyczą. Nadzieja miała smak. Smak dropsów gruszkowych. Nie mógł już dłużej zaprzeczać – gdzieś tam w samym środku wcale się nie poddał. Wargi poruszyły się z trudem, bezgłośnie słowa prośby wydostały się na matę modlitewną.

Próbował się podciągnąć na odbijaczu, ale jego sine palce ledwo się poruszyły, to było wszystko, nie miał żadnej władzy nad swoim ciałem. Mógł jedynie trzymać otwarte to jedno oko. Patrzył spod współprzymkniętej powieki, jak fale unoszą go i opuszczają, zasłaniając i odsłaniając żółknące płótno niczym w okrutnej zabawie w a kuku.

Skrawek materiału przeistoczył się w trójkątny żagiel odległy o jakieś pół mili, płonący jaskrawą czerwienią wschodzącego słońca. Łódź była naprawdę zachwycająca, zawsze o takiej marzył. Drewniany skandynawski kecz z żaglami błyszczącymi na tle granatu nieba gładko rozcinał fale. Kiedy znów zmienił hals i skierował się na południe, Johnny'emu

wydało się, że dostrzegł przy sterze człowieka w czerwonym swetrze. Idący tym kursem jacht musiał go minąć w niewielkiej odległości, ale miał za sobą wschodzące słońce, istniało więc niebezpieczeństwo, że człowiek na łodzi może nie zauważyć.

Ognik nadziei rozpałił się jednak płomieniem. Chciał żyć. Musiał żyć. Zawarł umowę z Bogiem, w którego nie wierzył, że jeśli przeżyje, stanie się lepszym człowiekiem. Obiecał, że jeśli ta łódź go wyłowi, wróci na wyspę i uratuje Kleks. Poprzysiągł na matę modlitewną, że odnajdzie tę wyspę.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Choć nadal nie mógł się poruszyć, nie mógł już nawet otworzyć oka, a jego ciało wydało ostatnie tchnienie, gdzieś w środku poczuł ruch, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Miał wrażenie, że czyjeś ręce dotknęły jego serca, ostrożnie go otworzyły, jakby rozchylały płatki zamkniętego kwiatu. I napełniły miłością, spokojem i przebaczeniem, poczuł taką jasność umysłu, jakiej dotąd jeszcze nie zaznał, całkowicie uwolnił się od strachu. A miłość była wszechogarniająca, niezależna od wszystkiego, bez kryteriów, barier, podziałów. Kiedy pomyślał o Franku i Annie, także ich objął miłością. Pomyślał o Kleks, o swojej matce, o Clem. Wszystkich nią obdarzał. I wszyscy byli bezpieczni, wiedział to. Wszystko było dobrze. Ludzie z jachtu go nie zauważyli. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, nim stracił przytomność, była smukła lewa burta dziobowa przesuwaną się nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niego, wystarczająco blisko, żeby odczytać nazwę jachtu: „Lady Marion”. I gdzieś w głębi jego zmarzniętego ciała zrodził się szloch przemieszany ze śmiechem i nową wiarą. Lady Marion.

EPILOG

Stu, słomianowłosy Irlandczyk, był szyprem, świetnym żeglarzem i równie świetnym lingwistą. Rzadko się kąpał, często przemierzał całe oceany w jednym ubraniu i z tego powodu odznaczał się kiepską cerą. Jego pierwszym oficerem był Hiszpan o imieniu Emilio. Obaj pracowali dla Francuza prowadzącego firmę, zajmującą się odstawianiem jachtów, z siedzibą na Bermudach. Razem pływali po całym świecie, po różnych morzach i przy różnej pogodzie. To był osiemnasty wspólny rejs. Szef dobrze wiedział, że może na nich liczyć, bo zawsze dopływali do celu w wyznaczonym czasie przy minimalnych uszkodzeniach łodzi. Zazwyczaj pływali typowymi jachtami czarterowymi, ale tym razem im się poszczęściło – odstawiali szesnastometrowy skandynawski drewniany kecz, który pływał jak marzenie i był nawet wyposażony w najnowocześniejszego autopilota. Należał do bogatego niemieckiego kierowcy rajdowego, który w przyszłym tygodniu miał go odebrać na Krecie, gdzie przyjeżdżał na urlop.

Z powodu brzydkiej pogody wypłynęli z Narbony w południowo-zachodniej Francji z pewnym opóźnieniem. Ostatecznie, wobec braku perspektyw na poprawę aury, gdyż zimny mistral spływający po zboczach Pirenejów był kapryśnym wiatrem, wyszli z portu przy jego porywach dochodzących do dziewięciu w skali Beauforta. Tak więc mieli jeszcze opóźnienie, gdy wpłynęli na Morze Tyrreńskie. Po drodze zatrzymali się tylko raz, w Bonifacio na południowym wybrzeżu Korsyki, gdzie tak się schlali, że Emilio w ogóle nie wrócił na jacht, a Stu, naszprycowanego alkoholem do granic możliwości, komendant portu kazał ochroniarzom wywlec poza teren mariny.

Emilio był o kilka lat młodszy od Stu i miał całkowicie odmienny charakter. Podobnie jak szyper, także lubił panienki, tyle że panienki lubiły i jego. Dziewczynom podobał się jego wygląd, taniec, ale głównie chyba to, że zawsze pachniał świeżo jak poranna bryza. Z kolei Stu lubił, jak wieczorami panienki przychodziły z nim na pokład, a obaj jeszcze bardziej lubili, gdy wczesnym świtem następnego dnia szybko wychodzili z portu. Poza tym, że obaj byli doskonałymi żeglarzami i kochankami, dzielili wspólne bezgraniczne zamiłowanie do rumu i marokańskiego haszyszu.

Wypłynęli z Bonifacio przed kilkoma dniami i teraz cieszyli się lepszą pogodą. Jacht poruszał się wspaniale pod pełnymi żaglami i trzymał się kursu. Przez ostatnie cztery godziny wachtę pełnił Emilio i teraz, o wschodzie słońca, szykował już w kambuzie kawę dla Stu, podrygiwał przy tym w rytm piosenki Jackson Five płynącej z głośników nowoczesnej wieży stereo. Kiedy w końcu zajrzał do kajuty szypra, Stu spał smacznie na wznak w ubraniu, sapiąc i pochrapując.

– Pora wstawać, skarbie – rzekł z silnym hiszpańskim akcentem, cofając się tanecznym krokiem do stołu mapowego, żeby wysłuchać radiowej prognozy pogody.

Nigdy nie przestawał tańczyć. Kiedyś przetańczył cały trzytygodniowy rejs z Azorów na Barbados.

Stu zwłóknął się z koi, stanął w przejściu, wymęczony i zły, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, zaciekle mrugając przekrwionymi oczyma. Od razu podszedł do lodówki i wyjął sobie poranny rozrusznik serca. Otworzył puszkę z traskiem, uniósł ją do ust i wziął potężny łyk schłodzonego piwa.

– Jakiś ruch? – zapytał.

– Kilka trawlerów i jeden wycieczkowiec. *Pero nada más.*

Stu przeciągnął się, usiadł przy stole mapowym i nadstawiając ucho, z rozmarzonym uśmiechem na ustach zasłuchał się w melodyjny głos prezenterki odczytującej prognozę pogody.

– Przeleciałbym ją – mruknął i głośno beknął.

Po chwili wstał, przeciągnął dłonią po gęstwinie zmierzwionych włosów i obrzucił podejrzliwym wzrokiem Emilia, który właśnie wykonywał półobrót, wyrzucając przed siebie ręce w rytmie synkopowanym. Zaraz jednak z powrotem skoncentrował się na prognozie, gdyż kobieta przepowiadała zmianę wiatru w rejonie, w którym się znajdowali.

– Nadciąga ze wschodu ten pieprzony pedał?! Zmieniamy kurs. Popłyniemy na południe od Sycylii.

– Tak jest, kapitanie – odparł Emilio, uskakując mu z drogi.

Stu sięgnął przez stół po swój czerwony sweter, który był tak przepocony i nasiąknięty solą, że zachowywał kształt jego ciała. Wciągnął go, przypalił papierosa i z puszką piwa wyszedł do sterówki. Rozejrzał się szybko. Wstawał piękny poranek. Wschodzące słońce świeciło tak jaskrawo, że musiał zmrużyć oczy. Ziewnął szeroko, dopił piwo, zgniótł puszkę w dłoni i rzucił ją za burtę. Następnie przeprogramował autopilota, żeby poprowadził ich prosto na południe przez sto mil. Usiadł przy rumplu, pierdnął głośno i wyciągnął swoje małe srebrne pudełko z haszyszem, obserwując, jak łódź stopniowo nabiera prędkości.

Poświęcił trochę czasu na ustawienie żagli, po czym wzbogacił najlepszym marokańskim haszem zawartość marlboro. Wtedy zawołał do Emilia:

– Zapraszam cię na dymka, zanim złożysz głowę na poduszce.

Ten skończył parzyć kawę w kambuzie i przyniósł ją do sterówki.

– Piękny dzień – powiedział z twarzą ozłoconą blaskiem wschodzącego słońca. Osłonił dłonią oczy i popatrzył na błyszczącą lekko pofalowaną powierzchnię morza. Stu podał mu wielkiego grubego skręta. Emilio wyszedł na pokład, oparł się o bom, żeby podziwiać w pełnej krasie chwałę poranka.

Jego wzrok przykuło coś unoszącego się na wodzie. Wyprostował się, żeby lepiej zobaczyć.

– Stu! – zawołał. – Popatrz na dziewiątą. Co tam jest w wodzie? – zapytał, wskazując na wschód.

Stu wstał i spojrział we wskazanym kierunku. Trudno było cokolwiek dostrzec z powodu

jaskrawych odblasków słońca. Pochylił się więc i sięgnął po lornetkę leżącą na daszku kajuty. Popatrzył przez nią i mruknął:

– Czyżby żółw?

Podał lornetkę Hiszpanowi, który szybko przytknął ją do oczu.

To nie był żółw. Emilio zyskał co do tego pewność. Wyprostował się i balansując na lekko ugiętych nogach, zapatrzył się na dziwny obiekt.

– *Joder!* – wycedził, opuszczając lornetkę i mrużąc oczy. Po chwili znowu spojrzął przez nią. – Uruchom silnik!

Stu pochylił się, uruchomił silnik i zakręcił kołem, wprawnie obracając dziób w kierunku obiektu na wodzie.

Jeszcze zanim się zbliżyli, zrozumieli, z czym mają do czynienia. Dryfujące ludzkie ciało było przywiązane linką do odbijacza. Człowiek się nie ruszał. Emilio wyciągnął ze schowka bosak, wychylił się za burtę i zaczepiwszy hak za spodnie topielca, przyciągnął go do burty.

Stu podbiegł do niego, obaj ułożyli się płasko na pokładzie i z trudem wciągnęli ciężkie ciało na jacht. Topielec legł twarzą do dołu, kurczowo ściskając w dłoniach mały wzorzysty dywanik.

Emilio przekręcił ciało na wznak i obaj usiedli przy nim, spoglądając na zastygłą, pozbawioną życia twarz.

– Matko Przenajświętsza – wymamrotał Stu i się przeżegnał.

Twarz topielca miała niezwykły wyraz, przez co wyglądał jak anioł. Sprawiał wrażenie pogrążonego w błogim śnie. Mimo że był cały siny, na jego wargach zastygł cudowny uśmiech, jakby chłopak popadł w boską zadumę, ogarnięty bezgranicznym spokojem.

Emilio także się przeżegnał.

– Nie żyje? – zapytał.

– Na to wygląda.

Stu ukląkł, położył sobie na kolanach zszarzałą rękę topielca i zaczął sprawdzać puls.

– Jezu, taki słodki chłopak – mruknął, gdy nie wyczuł tętna. Popatrzył na Emilia i pokręcił głową.

Ten pochylił się szybko, przytknął usta do wygiętych w uśmiechu warg chłopaka i zatkawszy palcami jego siny nos, zaczął mu robić sztuczne oddychanie. Nic to nie dało.

Stu rozpoczął masaż serca, odliczając: raz, dwa, trzy, cztery... Ale i to nie przyniosło skutku. Przerwał więc i popatrzył na Emilia. Nie musieli nic mówić. Podnieśli topielca, zwracając uwagę, że ma na sobie elegancki garnitur z muszką, z którego woda obficie skapywała na pokład. Musiał wypaść za burtę jakiegoś statku wycieczkowego. Przenieśli go po zejściówce aż do salonu. Stu zgarnął łokciem wszystko ze stołu, na którym go położyli. Wcześniej odcięli linkę łączącą go z odbijaczem i zniszczonym dywanikiem, a teraz ściągnęli z niego przemoczone ubranie, żeby odsłonić wychudzone, poszarzałe, zimne jak lód ciało. Dłonie, stopy i wargi chłopaka były nie tylko blade, ale wręcz sine. Stu

pogrzebał w szafce kajuty i wrócił z całym naręczem koców i ręczników.

– No, dalej, chłopcze – mruknął, opatulając nagie ciało dużą kapą z łóżka, podczas gdy Emilio napełniał plastikowe butelki gorącą wodą i układał je przy topielcu. Jeszcze raz rozpoczął sztuczne oddychanie, a potem na zmianę wykonywali masaż serca, lecz bezskutecznie.

Po dłuższym czasie przerwali wszelkie próby reanimacji i usiedli po obu stronach topielca, spoglądając na siebie nawzajem, zdumieni tym, co ich spotkało. W końcu Stu sięgnął do szafki po butelkę rumu. Odkręcił ją i pociągnął tęgi łyk. Następnie pochylił się, wlał nieco alkoholu między rozwarte wargi chłopaka i popatrzył, jak rum spływa mu po brodzie.

– Szkoda, że nie zobaczyłem go wcześniej – odezwał się w końcu Emilio, sięgając ponad topielcem po butelkę.

– Biedny dzieciak – mruknął Stu i zapalił papierosa, wpatrując się w zastygłe rysy. – Tylko popatrz na niego. Z jakiego powodu jest tak cholernie szczęśliwy?

Emilio pokręcił głową.

– Co z nim zrobimy? Wrzucimy go z powrotem do morza?

Stu wzruszył ramionami i przytaknął ruchem głowy.

I wtedy, całkiem niespodziewanie, chłopak zakasłał i wypluł wodę. Obaj poderwali się na nogi, patrząc na niego z niedowierzaniem. Ułożyli go na boku i przyglądali, jak rozchylone wargi zaczynają odzyskiwać naturalny kolor, a odcień skóry zmienia się z siniego w szary, a potem w brudnożółty, w miarę jak krew zaczyna krążyć w żyłach.

Chłopak nagle otworzył szeroko płonące zielone oczy, gwałtownie usiadł na stole i zaczerpnął wielki haust powietrza.

– Wszystkie gwiazdy pogasły! – wykrzyknął, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Wszystkie gwiazdy pogasły!